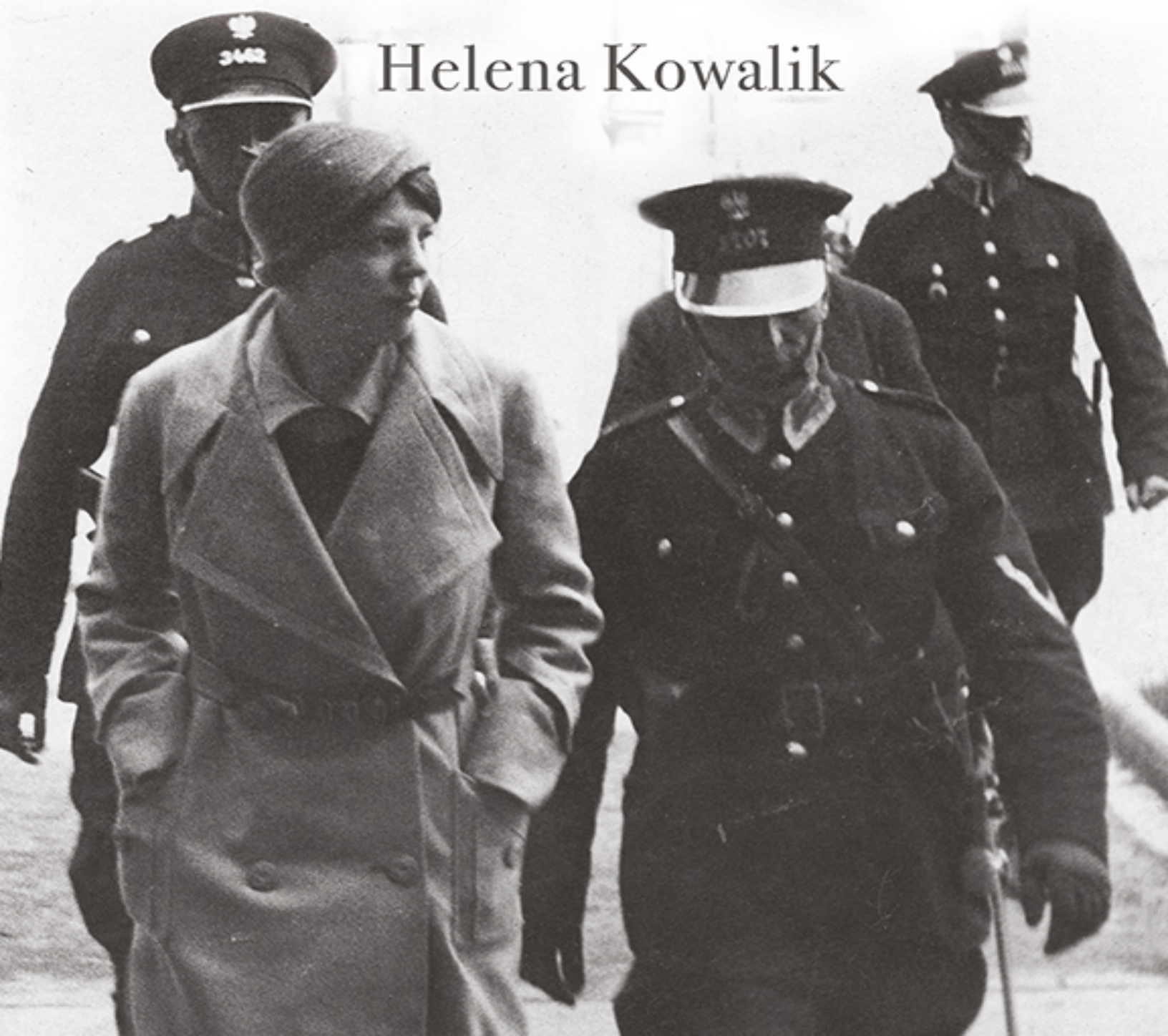


# SŁYNNNE PROCESY II RZECZYPOSPOLITEJ

Helena Kowalik



# SŁYNNNE PROCESY II RZECZYPOSPOLITEJ

Helena Kowalik



MUZA

Sport i Turystyka

Projekt okładki

Tomasz Majewski

Redaktor prowadzący

Urszula Lewandowska

Redaktor merytoryczny

Mariola Hajnus

Redakcja techniczna

Andrzej Sobkowski

Skład wersji elektronicznej

Robert Fritzkowski

Korekta

Małgorzata Szewczyk

Barbara Milanowska (Lingventa)

Wybór zdjęć

Urszula Lewandowska

Zdjęcia ze zbiorów: Archiwum Akt Nowych, Biblioteki Jagiellońskiej, Biblioteki Narodowej, Biblioteki Cyfrowej Regionalia Ziemi Łódzkiej, Fotopolska, Neo&Siloy, Internetowego Polskiego Słownika Biograficznego, Małopolskiej Biblioteki Cyfrowej, Narodowego Archiwum Cyfrowego, Wikimedii Commons

Zdjęcie na 1. stronie okładki: Teodozja Majewska, oskarżona o działalność szpiegowską, w eskorcie policjantów udaje się na rozprawę, maj 1932 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Zdjęcie na 4. stronie okładki: proces bojówkarzy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (UON), sprawców napadu na pocztę

w Gródku Jagiellońskim przed Sądem Okręgowym we Lwowie.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Zdjęcia na wewnętrznej stronie okładki: proces przeciwko generałowi brygady Bolesławowi Jaźwińskiemu oskarżonemu o nadużycia w Wojskowym Instytucie Geograficznym, 20 kwietnia 1931 roku (fot. Jan Binek, Narodowe Archiwum Cyfrowe) oraz proces brzeski w Sądzie Okręgowym w pałacu Paca przy ul. Miodowej w Warszawie (fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe)

© for the text by Helena Kowalik

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2020

**ISBN 978-83-287-1268-3**

Sport i Turystyka

Wydanie I

Warszawa 2020

Mojemu wnukowi Beniowi

*Historia, mierząc wielkość bohaterów,  
nie zalicza im wysokości szczytów*  
Aleksander Świętochowski

# Spis treści

Wstęp

DEZERTERZY I SZPIEDZY

Rodzinna tajemnica

Odmowa Cymermana

Pod gilotyną

Ten bolszewik Segal

Akcja „Wózek”

Zdjęcia

RADOŚĆ Z ODZYSKANEGO ŚMIETNIKA

Oddaj moją ojcowiznę

Niech miecz opadnie

Od gazowej maski do marszałkowskiej laski

W imieniu ulicy

Pośrednik

Zdjęcia

ZDRADZIECKA KULA

Bez skruchy

Giń, kacie prawosławia!

Batko z Hulajpola

Łuk triumfalny dla zdrajców

Nazywam się Blachowski...

Smert Lachom

Zdjęcia

NA KOLANA!

Płacz starego wachmistrza

Widzę cmentarzysko moralne

Nad przepaścią

Zdjęcia

CZUŁKI WROGA

Judaszowe srebrniki

Fałszywy baron, prawdziwy agent

Pozdrowienia od Czeki

Zdjęcia

Podziękowanie



# Wstęp

Na rozprawy potrzebne były bilety wstępu. Nawet nie wszyscy sprawozdawcy sądowi mieli szansę dotrzeć do loży prasowej. Podczas głośnych procesów politycznych pałac Paca w Warszawie przy ulicy Miodowej, w którym mieścił się Sąd Okręgowy, otoczony był podwójnym kordonem policji. Na pobliskich ulicach wstrzymywano ruch kołowy.

Ci, którym udało się pokonać kolejne bariery i zająć miejsce w ławach dla publiczności, obserwowali rozprawę pod czujnym okiem nie tylko woźnego, ale i sędziów. Nie wolno było używać lornetek, rozmawiać, podchodzić do oskarżonego. W sądowym spektaklu główne role odgrywali prokurator i obrońca. Ich słowa nazajutrz cytowane były przez gazety, o ich argumentach dyskutowano w klubach i kawiarniach.

Przestępca polityczny nie budził takich emocji. Sam zazwyczaj niewiele miał do powiedzenia (choć zdarzały się wyjątki, jak np. w styczniu 1923 roku na procesie Eligiusza Niewiadomskiego, zabójcy prezydenta Narutowicza), o jego losie decydowali inni, często używający w swych argumentach pojęcia racja stanu. Takie procesy trwały krótko. Najdłuższy, w którym sądzono ukraińskich zamachowców, zabójców ministra Bronisława Pierackiego, rozpoczęty 18 listopada 1935 roku, zakończył się wyrokiem w połowie stycznia roku następnego. Samo odczytywanie aktu oskarżenia zajęło prokuratorowi dwa dni. Przesłuchano 160 świadków.

Powstała po 123 latach niewoli II Rzeczpospolita nie miała litości dla tych, którzy podnieśli rękę na Najjaśniejszą. Surowe wyroki podawano do publicznej wiadomości z wyraźnym zamysłem edukacji obywateli, co to znaczy służyć odrodzonej ojczyźnie. Zarówno

patetyczne wystąpienia oskarżyciela publicznego, jak i obrońców (ci ostatni nie bez powodu nosili na tożde wstęgę z napisem „Honor i Ojczyzna”), o wiele bardziej skupiały się na ocenie sytuacji politycznej kraju i wyszukiwaniu przyczyn, impulsów, które doprowadziły oskarżonego do zbrodniczego czynu, niż na oskarżonym.

Na procesie Niewiadomskiego prokurator tak przedstawił polityczne podłoże zbrodniczego czynu: *Nie został on wyhodowany w mózgu mordercy zupełnie samodzielnie i nie zrodził się w jego sercu bez żadnej pobudki z zewnątrz. To, co było czasem wyrazem zawiedzionych nadziei, wyrazem gniewu partyjnego, uzewnętrzniało się w fatalnych często słowach, Niewiadomski brał na serio, jako głos obudzonego sumienia narodu. (...) On sobie wyobraził, że słucha tętna narodowego życia, a przecież słyszał tylko pokrzykiwania, tylko gadzinowe syki.*

W tym przypadku prokurator nie mijał się w ocenie politycznej atmosfery z adwokatem. Zazwyczaj mowy końcowe stron procesowych różniły się; wszak ktoś oskarżał, ktoś bronił. Jedno tylko miały wspólne – sięgający po sklepienie sali sądowej patos.

Kiedy przodownik policji Józef Muraszko zastrzelił na wschodniej granicy dwóch polskich oficerów – zdrajców skazanych za podkładanie bomb w wolnej Polsce (mieli być wymienieni na polskich więźniów w Bolszewii) – prokurator wyznał, że smuci go przeświadczenie oskarżonego, jakoby zachował się jak patriota.

Adwokat oponował: jego klient, strzelając do oficerów, naprawdę bronił Najjaśniejszej. Muraszko obawiał się potajemnego powrotu tych zdrajców do Polski z zadaniem szpiegowania dla bolszewików. Zabijając ich, policjant dał świadectwo swego patriotyzmu.

Całkowicie utożsamiając się ze swym klientem, mecenas sprawił swą mową obrończą, że, jak pisali korespondenci sądowi, w oczach publiczności załśniły łzy. Powiedział: *Dla nas ojczyzna – to pieśń wigilijna w grudniowy wieczór pod iskrzącym niebem, to wierzby płaczące przy polskiej drodze, to żołnierz w marszu z pieśnią o wojence, to Święty Boże w wiejskim kościele, dzika grusza na*

*rozstaju... (...) Bolszewizm u nas jest obelżywą groźbą i dlatego na jego krwawe czyny odpowiedzią była krew przez Muraszkę przelana. A jeśli wam, polscy sędziowie, zabójstwa przebaczyć nie wolno – Muraszcze przebaczy Polska.*

To były czasy dla takich eksploracji, inkrustowanych cytatami z twórczości urodzonych w niewoli romantyków. Jeszcze się nie wytarły często używane słowa: ojczyzna, niepodległość. Nawet Irena Krzywicka, znana w latach 20. z ostrego języka niepokorna publicystka, tak pisała o powrocie Polski w 1918 roku na mapę Europy: *Stało się coś, na co czekały pokolenia (...). Zjednoczyły się zabory, powstało państwo i oto pewnego dnia stojąc w tłumie w Alejach Ujazdowskich, płakałam ze szczęścia wraz z innymi, patrząc na przejeżdżające wojsko polskie, na przyjeżdżający rząd, na wszystko, co się spełniło, ziściło. Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański stali niejako z nami w tłumie i płakali ze szczęścia razem z nami*". (Wyznania gorszycielki, Warszawa 1998).

Wrogów odrodzonej Rzeczypospolitej czekała kara śmierci.

W pierwszych latach Najjaśniejszej taki los mógł spotkać wszelkiego rodzaju zamachowców: Polaka antysemitę, który na wezwanie swej partii chciał za cenę zabójstwa głowy państwa zmienić porządek polityczny w kraju, ukraińskich nacjonalistów dążących do utworzenia samoistnej Ukrainy, Niemców niepokodzonych z traktatem wersalskim czy zatrzymanych pod Warszawą w 1920 roku Sowieców. Kara śmierci groziła też dezertynom z wojska, szpiegom i malwersantom państwowego majątku.

Pierwszego października 1921 roku stanął przed sądem podporucznik Jan Wereszczyński oskarżony o to, że jako oficer kasowy Wojskowego Urzędu Gospodarczego roztrwonił na cele prywatne dwadzieścia parę milionów marek. Sprawozdawca „Kuriera Warszawskiego” Włodzimierz Ostoja-Zagórski pisał: *Ostrą goryczą napełnia się sen patrioty o Armii Wolnej Polski. (...) W młodej naszej armii etyka poszczególnych funkcjonariuszy jest przerażająco odmienna od odpowiadającej najniższym wymaganiom. Tych poważnych niedbalstw i przewinień tolerować nie wolno. Kara*

*śmierci na defraudantów jest nie tylko ustawowa, ale rzeczywiście stosowana. Niech w Polsce dla Wereszczyńskich nie będzie litości.*

Wyrokiem sądu Jan Wereszczyński został rozstrzelany.

Bieda w kraju i narastająca inflacja rodziły w umysłach niektórych popędliwych Polaków desperacką potrzebę szukania winnego. Jeśli w dodatku takim frustratem był wojskowy – niegdysiejszy legionista, który żył w przekonaniu, że jest niejako właścicielem wywalczonej własną krwią Rzeczypospolitej – od tragedii dzielił go tylko krok.

Zrobił go pewnego kwietniowego popołudnia 1926 roku sierżant Wacław Trzmielowski, strzelając do Huberta Lindego, prezesa Pocztovej Kasy Oszczędności, właśnie oskarżonego o lekkomyślne trwonienie majątku tej rządowej placówki.

Dzień wcześniej Stanisław Szurlej, adwokat Lindego, przemawiając przez wiele godzin przed sądem, wyraził opinię, aktualną do dziś: – *Pan prokurator żądając wysokiej kary dla mojego klienta, miał wzgląd na społeczeństwo, które jakoby tego oczekuje. Niebezpieczny to argument, bo robimy ze społeczeństwa sędziów, a z sądu tylko wykonawcę tego wyroku. A do społeczeństwa nie trzeba się ustosunkowywać, jak sługa do pana, słuchać jego rozkazów i płynąć z falą. (...) Kalumniarstwo, obdzieranie ludzi z czci, stało się w Polsce nagminne. Nawet ci, którzy są sławieni, jako zbawcy narodu, zostają po pewnym czasie obryzgani błotem. (...) Taki prąd jest rządzącym na rękę, bo można od czasu do czasu kogoś rzucić tłumowi na pożarcie i powiedzieć: to nie my, to on. Sprawa Lindego jest wynikiem właśnie takich prądów.*

Nie zawsze doprowadzano na ławę oskarżonych właściwą osobę. W tych niestabilnych czasach budowania nowej praworządności państwowe służby jeszcze nie działały jak trzeba. Czasem wystarczyło pomówienie, oskarżenie wcale nie z pobudek patriotycznych, tylko dla zagarnięcia cudzego majątku i niewinny człowiek stawał przed prokuratorem. Mecenasowi Eugeniuszowi Śmiarowskiemu – obrońcy niesłusznie posądzonego o współpracę z bolszewikami lekarza z przygranicznego miasteczka Równe – udało się uzyskać wyrok uniewinniający dopiero w sądzie

apelacyjnym. W mowie obrończej wiele mówił o powojennych hienach żerujących na „ojczyźnianej pobudliwości” Polaków.

Tak było przez całe dwudziestolecie międzywojenne. Sąd stał się miejscem, gdzie przeprowadzano wiwisekcję narodowych tragedii, w których ktoś przypadkowy nacisnął cyngiel. Nie było takich debat na żadnym innym forum; a przede wszystkim nie było ich w sejmie łżonym przez Marszałka, wstrząsanym awanturami reprezentantów różnych partii politycznych i częstymi zmianami gabinetu rządowego.

Nigdy więcej w dziejach Polski taka sytuacja się nie powtórzyła i daremnie dziś szukać odzwierciedlenia tamtej atmosfery w kronikach sądowych ówczesnej prasy.

Sprawozdawcy sądowi ograniczali się bowiem do suchych relacji z przebiegu procesu, a jeśli już dawali upust swym emocjom, to głównie w opisie wyglądu oskarżonych. Działali w ten sposób na wyobraźnię czytelnika i sygnalizowali, jaki jest stosunek redakcji (zwykle organu prasowego którejs z partii) do politycznego przestępstwa. Tak więc zabójca Narutowicza miał *szczurze spojrzenie*, a oskarżony w procesie ukraińskich zamachowców o napaść na Pierackiego Bandera: *Wyraz twarzy zdecydowanie nieprzyjemny, oczy biegające, z lekkim zezem*.

Najwybitniejsi adwokaci mieli jednak świadomość swej roli, skoro kilku z nich własnym sumptem wydawało swoje mowy obrończe drukiem. Ta jakże pożyteczna dla potomnych działalność została przerwana po procesie brzeskim. Tam bowiem przed sądem stanęli jako oskarżeni były premier rządu odrodzonej Polski, byli ministrowie i znani działacze polityczni, a ich obrońcy kilkadziesiąt razy wymieniali nazwisko Marszałka, nie szczędząc mu krytyki. – *Proces ten kończy legendę o Piłsudskim. Miał wszelkie możliwości, aby naród nosił go na rękach, i wszystko zmarnował. Teraz chce zostawić na polu politycznym pustkę, a nad nią swoje dyktatorskie ja. Jeśli ktoś się sprzeciwi, niszczy go* – powiedział wtedy mecenas Jan Nowodworski.

W kwietniu 1938 roku sejm podjął precedensową uchwałę o ochronie czci imienia Józefa Piłsudskiego. Stanowiła ona, że za

uwłaczanie czci zmarłego Marszałka grozi 5 lat więzienia.

Adwokaci nie mieli złudzeń: polityczny knebel może wkrótce objąć i inne nazwiska z pierwszych stron gazet, które wybrzmiały na sali sądowej. Zaprzestali drukowania swych wystąpień. Nawet, jak to się działo wcześniej, w postaci skromnych broszurek o śladowym nakładzie.

Dlatego wydobyte na światło dzienne po prawie stu latach uśpienia w archiwach wnikliwych analiz sytuacji politycznej w kraju, ukazanej przez pryzmat sali sądowej, wydaje mi się cenną lekcją historii dla współczesnych. Cyprian Kamil Norwid w jednym ze swoich filozoficznych esejów, *Myśli o Polsce i Polakach*, napisał: *Historię nie tylko stanowią wiarygodne zbiorowiska nagich faktów, ale i pojęcie, jakie naród o swej własnej wyrabia historii.*

Helena Kowalik



## DEZERTERZY I SZPIEDZY

**Szli w bój, śpiewając: Na stos rzuciliśmy nasz życia los, na stos, na stos! Tak było w 1916 roku i kilka lat później. Wywalczyli wolną Polskę. Ale kiedy już wszystko wokół stało się nasze, także wojsko, wielu Polakom zaciążył obowiązek obrony granic Najjaśniejszej. W ciągu całego dwudziestolecia międzywojennego dezercje rekrutów były wręcz plagą. W niektórych pododdziałach sięgały nawet 70 procent stanu. Tylko w 1923 roku uciekło z Wojska Polskiego 10876 rekrutów.**

Początkowo dezserterów karano wyrokami śmierci, które mógł zmienić tylko prezydent lub naczelnik państwa. Z czasem znacznie złagodzone drastyczne restrykcje, gdyż nie spełniły swej roli – nie odstraszały innych od zrzucenia kamaszy.

„Polska Zbrojna” w nr. 214 z 1927 roku w artykule *Dezserter w kufrze* opisała historię niejakiego Tatarowicza, który w roku 1923 zbiegł ze stacjonującego w Piotrkowie Trybunalskim 25 pp. do Berlina. Pięć lat później musiał przyjechać na pogrzeb ojca. Jego kochanka Niemka zapakowała go w kufer i wysłała jako bagaż koleją do Polski. Żeby mężczyzna się nie udusił, wywiercono w skrzyni otwory.

Na stacji w Sosnowcu chrapanie dochodzące z kufra zainteresowało przechodzącego koło wagonu kolejarza; wezwał posterunkowego i wszystko się wydało. Wojskowy Sąd Okręgowy w Łodzi w porozumieniu z prokuraturą okazał się bardzo łagodny – skazał Tatarowicza tylko na rok i sześć miesięcy więzienia. Ten sam

sąd w podobnych sytuacjach pięć lat wcześniej wydawał wyroki śmierci.

Na ministerialnym szczeblu zapadły też decyzje, aby wychowywać rekrutów. „Żołnierz Polski” drukował listy „parszywych owiec” – skruszonych dezertersów zbiegłych za granicę (a więc nie osądzonych), u których, jak komentowała gazeta, odezwało się sumienie i teraz proszą o „ściągnięcie ich na ojczyzny łono”.

Oto list dezertera Władysława Trzcńskiego do kapitana Bocheńskiego z 3 baonu telegraficznego w Grodnie. Tydzień po wcieleniu żołnierz opuścił jednostkę i wyjechał za wielką wodę.

*Pozdrawiam was, moje drogie Państwo. Życzę wam szczęścia. A teraz ja odzywam się do was. Ja rad bym Polski i swej ojczyzny bronić, chciałbym powrócić do wojska. Głupie myśli za morza mnie wypędziły. Co się kładę spać, to mi się mój pułk śni. Proszę was, ściągnijcie mnie z powrotem...*

Kajał się publicznie dezerterski strzelec Piotr Księdzuc, który za radą polskiej ambasady w Berlinie wysłał z Niemiec list do swej kompanii, przestrzegający towarzyszy broni przed jego losem:

*Kochano Gromado. Czy wiecie, że tacy wariaci, co pouciekali, są tu żebrakami. Żeby z głodu nie zdechnąć, idą do obcych legionów do Afryki bić się z murzynami. Precz ze zboczeniem! Trzymanie się własnego kraju jest rzeczą świętą, ja wracam, bo lepiej w tym kraju zdechnąć w więzieniu za swój nikczemny uczynek, aniżeli w obcym włączyć się i być żebrakiem.*

Wśród uciekinierów było wielu Żydów. Ci, którzy dopiero co przybyli z Bolszewii, jak nazywano wówczas Sojuz, byli traktowani po macoszemu. Na posiedzeniu sejmu 18 kwietnia 1923 roku poseł Rymar ze Związku Ludowo-Narodowego wystąpił z interpelacją w sprawie wydalania z granic państwa Żydów emigrantów z Rosji. Chodziło o około 330 tysięcy osób. *Takiej masy żydostwa nasz organizm nie wytrzyma* – oświadczył poseł.

W riposćcie poseł Schiper (Koło Żydowskie) zauważył, że wielu Żydów obywateli II RP, bez ich zgody wywieziono za zieloną granicę. *Rząd Rzeczypospolitej uprawia szmugiel żywym towarem* – zawołał.



Żydzi cierpieli w wojsku, bo tam patrzono na nich podejrzliwie, gdyż stanowili – zdaniem będących u władzy narodowców – podstawowy czynnik rozkładu polskiej armii. Publicysta endeckiej „Falangi” postulował wręcz, aby zabronić Żydom noszenia polskich mundurów.

Czasopismo „Polska Narodowa” wzywało na pierwszej stronie:

*Służba w polskim wojsku to dla Polaka nie obowiązek, lecz zaszczyt i chluba. Ale tylko dla Polaka. Nikt inny do tej armii nie może mieć wstępu! Wara od niej Żydom i żydowskim zdrajcom! Domagamy się odżydzenia polskiej armii.*

Takie podburzające głosy rozzuchwalały wielu oficerów, byłych legionistów. W kwietniu 1919 roku w przyfrontowym Pińsku na rozkaz dowódcy patrolu, majora Aleksandra Łuczyńskiego, zamordowano 35 Żydów cywili. Ofiary zebrały się wieczorem w synagodze, aby podzielić między sobą paczki, które przysły od ich krewnych z Ameryki. W tym czasie takie zgromadzenia były uznawane za nielegalne. Patrole wojskowe wkroczyły do synagogi i rozstrzelały wszystkich obecnych. Dwa miesiące później major dostał awans na stopień pułkownika.

Za bezkarnych uważali się zwłaszcza żołnierze wojsk wielkopolskich, armii generała Hallera i Dywizji Litewsko-Białoruskiej. W drodze na front obrzucali obelgami napotkanych Żydów cywili i często bez powodu znęcali się nad nimi, upokarzali.

*Potem żołnierze wyprowadzili rabina na rynek, gdzie stał szwadron ułanów i tam oficer rozkazał żołnierzom przed frontem swego oddziału i w obecności tłumów ludności miejskiej obciąć rabinowi brodę. Poczem podano mu lusterko, by się przeglądał. Następnie ów oficer rozkazał rabinowi obejść swój oddział i podziękować żołnierzom – pisano na łamach „Myśli Narodowej”.*

Sprawcy nie zostali ukarani mimo interpelacji w sejmie posłów Żydowskiego Stronnictwa Narodowego, skierowanej do ministra spraw wojskowych.

W sierpniu 1920 roku wiceminister spraw wojskowych, generał Kazimierz Sosnkowski, przekonany o kolaborowaniu żołnierzy

narodowości żydowskiej z bolszewikami, kazał wycofać ich z frontu do specjalnego obozu pod Jabłonną. W „Falandze” napisano: *Obóz koncentracyjny dla Żydów był dobrym wynalazkiem. Element żydowski jest w wojsku szkodliwy jako siejący panikę, wprowadzający demoralizację, składa się ze zdrajców, szpiegów i dezercerów.*

Właśnie do takiego obozu trafił ochotnik, student Klotz. W ręku miał zaklejoną kopertę od dowództwa.

## Rodzinna tajemnica

### **Oskarżony: st. szer. Jakub Klotz, zarzut: dezercja**

– Synu, ty też jesteś Żydem! – krzyknęła matka skazanego na śmierć Jakuba Klotza w chwilę po ogłoszeniu wyroku i upadła zemdlona.

Był wrzesień roku 1920. Doraźny Sąd Wojskowy w Łodzi rozpoznawał sprawę starszego szeregowego Jakuba Klotza z Kalisza, dezercera z pułku w Jabłonie. Jeszcze trwała wojna polsko-bolszewicka. Klotz, student Wydziału Matematyki i Chemii Uniwersytetu Warszawskiego, od niespełna dwóch lat służył ojczyźnie jako ochotnik. Najpierw pół roku na froncie, potem został przydzielony do baonu radiotelegraficznego w Cytadeli Warszawskiej, następnie przeniesiono go do sztabu telegraficznego w Krakowie, gdzie odbierał tajne depesze. W październiku 1920 roku kończył mu się urlop dziekański, miał wrócić na uczelnię. Ale patriotycznie nastawieni akademicy zawiadomili rektora, że chcą ponownie założyć mundury, bo zagrożona najazdem bolszewików ojczyzna ich potrzebuje. Drobnym, wychuchanym przez matkę „Klocek”, solidaryzując się z uchwałą kolegów, zgłosił się do swego oddziału. Otrzymał zaklejoną kopertę, zaadresowaną do dowództwa batalionu

w Jabłonie. Kilka godzin później postanowił stamtąd zdezerterować, za co groziła kara śmierci.

Przed sądem doraźnym tak się tłumaczył ze swej decyzji:

*– Miałem nadzieję, że w Jabłonie zastanę żołnierzy gotowych bić się za Polskę. Tymczasem to, co zobaczyłem, to był obóz koncentracyjny dla Żydów w jarmułkach, głównie dezertorów. Obdarci i wycieńczeni, żaden nie miał munduru, nie wspominając o broni. Widok tych nędzarzy siedzących na gołej ziemi w modlitewnym kiwaniu się wstrząsnął mną do głębi. Nie chciałem przebywać w takim towarzystwie.*

Klotz, choć wychował się w domu dostatnim i niczego mu nie brakowało, nie był maminym synkiem. W roku 1905 zorganizował w szkole strajk w obronie usuwanego języka polskiego. Został za to wydalony i rodzice wysłali go na dalszą naukę do Szwajcarii. Następnie podjął studia w Berlinie, lecz gdy tylko w Warszawie otwarto uniwersytet, wrócił do Polski. Znowu przerwał naukę, bo wybuchła wojna polsko-bolszewicka...

19-letni Jakub poczuł się oszukany przez swoich krakowskich dowódców. Musieli wiedzieć, gdzie go kierują, skoro dali mu zaklejoną kopertę. Wprowadzając w błąd wartownika, samowolnie opuścił koszary. Był w szoku. Nie mógł pojąć, dlaczego właśnie jego, wykształconego radiotelegrafistę, przydzielono do oddziału piechoty utworzonego wyłącznie, jak się potem wyraził na rozprawie sądowej, z elementu całkiem obcego mu narodowościowo. Szedł do Warszawy, odpoczywając po drodze w lesie. Na dworcu kolejowym wsiadł, a raczej zaczepił się jedną nogą na buforze wagonu pełnego wojennych tułaczy. Pociąg jechał w kierunku Kalisza.

W domu zamyka się w swoim pokoju, nie chce rozmawiać nawet z matką. Mówi jej przez drzwi, że wkrótce stanie do poboru w miejscowej komisji wojskowej, ale musi się pozbierać. Nie wychodzi na miasto, prawie nie je.

Kiedy jest już gotowy do wytłumaczenia się z dezercji przed komisją, okazuje się, że tego dnia (w sobotę) naboru nie ma. Dopiero w poniedziałek. Dobrze, mówi matce, dwa dni mnie nie

zbawia. Tymczasem w niedzielę do domu Klotzów puka żandarmeria. Jakuba zadenuncjowała sąsiadka.

Proces dezertera trwał trzy dni. Zeznawali głównie świadkowie obrony, których obecność na sali rozpraw wywalczył obrońca Kazimierz Sterling<sup>[1]</sup>. Byli to głównie wojskowi zwierzchnicy Jakuba Klotza.

– *Jeden z najlepszych moich podwładnych – powiedział o oskarżonym jego bezpośredni przełożony w szkole radiotelegraficznej. – Sumienny, pracowity i ambitny.*

– *Wszyscy w sztabie uważaliśmy „Klocka” za człowieka czystego, nieposzlakowanego, słowem zasługującego na wyjątkowe zaufanie. Dlatego był wyznaczony do odbioru depesz ściśle tajnych – charakteryzował go inny oficer.*

Świadkowie oskarżenia, dwaj żandarmi, usiłowali przekonać sąd, że oskarżony, ukrywając się w domu po zdezerterowaniu z wojska, przygotował sobie kryjówkę w szafie. W tym celu na wewnętrznej stronie drzwiczek umocował sznur, który trzymał, aby się nie otwierały.

Ale przesłuchani przez adwokata, który pytał o grubość sznura i rodzaj użytych gwoździ, musieli w końcu przyznać, że była to zwykła tasiemka do wieszania krawatów w szafie.

Wszechstronnie wykształcony mecenas Sterling miał ambicje literackie. Jego mowy obrończe były w stanie zawładnąć wyobraźnią publiczności, a nawet stron procesowych. Przemówienie, które wygłosił w obronie swego klienta, weszło do podręczników dla studentów prawa.

– *Nieraz zdawało mi się na sali sądowej – mecenas buduje nastrój w kompletnej ciszy – że sponad głów zebranych idzie poszum wielkich, ciężkich, czarnych skrzydeł, przybliżających lub oddalających się od głowy oskarżonego. Nam, obrońcom z czasów niewoli carskiej, dobrze znany jest ten tragiczny poszum wiejący ponad salą. Z zapartym nieraz oddechem słuchamy, jak zbliża się do*

*oskarżonego, a wraz z nim zbliża się nieodzownie wielka, skrzydlata zagadka niebytu. Ktoś otwiera wrota do więzienia.*

*Ten powidok miałem w oczach w chwili, kiedy przed sądem stanęła tragiczna w swym spokoju postać matki oskarżonego. Stawiła się tu, by swym zeznaniem składanym w mękach duszy walczyć o życie jedyne go syna! Matka – jako świadek... Wiem, co można temu zarzucić. Jednakże proszę was, panowie sędziowie, o zestawienie szczegółów jej zeznań i wywnioskowanie, czy pani Klotz jako świadcowi można wierzyć... Przypomnijcie sobie tylko tę chwilę, kiedy zapytana o szczegół niekorzystny dla syna, odpowiedziała po chwili wahania z nieśmiałością, cicho, całkowitą prawdę. Nie wiem, czy zauważyliście w tym momencie to, co udało się mnie podpatrzeć – lekki uśmiech aprobaty na ustach syna i błysk miłości w jego oczach za to, że matka jego jest taką, jaką ją sobie wymarzył, ukochał i mieć w sercu pragnął.*

*Jeżeli wam o tym mówię, to nie tylko po to, byście jej zeznaniu dawali wiarę – ona tak mało istotnych szczegółów dla sprawy wniosła – ale dlatego, byście, panowie, przystępując do sądenia oskarżonego, wiedzieli, kim jest jego matka, a więc pod jakim wpływem jego młodość ubiegła.*

Adwokat przedstawia następnie rodzinę oskarżonego. Ojca, „wielkiego kupca małego miasta, który pracuje dzień cały, zarabia, liczy, dorabia się, dochodzi do majątku”. Niewątpliwie kocha on swego syna, ale wpływ na wychowanie dziecka, na ułożenie się psychiki, musi mieć nader nikły. Wszystko pozostaje w rękach matki. Ona kształtuje swoje nerwowe, wrażliwe, pracowite i ambitne dziecko. Jest patriotką, co stwierdzili powołani świadkowie – przedstawiciele kaliskiej inteligencji. Również porucznik żandarmerii, szef oddziału informacyjnego, przyznał na rozprawie, że Klotzowie to „dobrzy obywatele kraju”. Ich córka robiąca karierę na uniwersytecie paryskim napisała z odznaczeniem pracę doktorską o Konstytucji 3 maja. A ich syn, na pierwszy zew ojczyzny w listopadzie 1918 roku zdjął studencką czapkę, aby przywdziać mundur żołnierza.

Mecenas Sterling podaje przykłady świadczące o tym, że oskarżony nie bał się dyscypliny wojskowej. Ani życia w koszarach. Przywiązany do swego otoczenia, kolegów, czuł się wśród współtowarzyszy służby jak wśród braci...

Dramat, jaki Klotz przeżył w dniu ponownego wstąpienia do wojska, mecenasowi kojarzy się z tragedią grecką. Najpierw radosne powitanie – śmiechy, uściski kolegów, dowcipy, wesoly „Klocek” i jego kompani – i nagle, jak z jasnego nieba, pada grom. Oberman wręcza mu w zapieczętowanej kopercie rozkaz wyjazdu do baonu zapasowego 1 Pułku Piechoty w Jabłonce. Klotz nie wie, co go czeka, posłusznie więc udaje się na miejsce.

Mistrz oracji robi przerwę, po czym zadaje sędziom pytanie:

– *Czy wiecie panowie, co to była Jabłonna?*

Mecenas używa czasu przeszłego, bo władze wojskowe same się zorientowały, że popełniły błąd i zarządzenie o zorganizowaniu w tej miejscowości specjalnego obozu dla żołnierzy wyznania mojżeszowego cofnęły. Ale Jakub Klotz był już wtedy w więzieniu.

Znakomity adwokat jest Żydem, autorem pracy o asymilacji jego rodaków w Polsce. Kiedy więc pada z jego ust pytanie, jaki był cel haniebnej decyzji o odosobnieniu zmilitaryzowanych Żydów, wolnych obywateli Rzeczypospolitej – wiadomo, że jest ono retoryczne. Bo mecenas Sterling nie oczekuje od stron procesowych odpowiedzi. obrońca chce przekonać sędziów przysięgłych, że dla Jakuba Klotza, „człowieka honoru, Polaka, kochającego swój kraj i pragnącego nieść mu w ofierze swe siły i życie, takie wycofanie z szeregów, zamknięcie w środowisku specyficznym, było jak wymierzony policzek, tym straszniejszy, bo hańbiący – hańbiący niezasłużenie”.

Jakie myśli tłukły się w rozgorączkowanej głowie dezertera Klotza, kiedy w drodze do Warszawy usiadł na dwie godziny na leśnej polanie, mecenas przedstawia własnymi słowami lepiej od oskarżonego, który potrafi powiedzieć tylko tyle, że był bliski obłędu.

– Ukochał wielką miłością młodzieńczego serca Polskę, którą mu matka jego ponad wszystko ukochać kazała, ukochać nauczyła. –  
Obrońca zniża swój tubalny głos niemal do szeptu. – Oto czynił dla tej miłości Polski wszystko, na co skromne jego, dziecinne niemal, siły pozwalały. Skazał się na wydalenie z gimnazjum, nie cofnął się przed pójściem na front, ponosił wszelkie trudy, spełniał dla niej wszelkie obowiązki sumiennie, pracowicie, z całym samozaparciem... Wezwany ponownie, radośnie pośpieszył, by znów ofiarować to wszystko, co tylko jego młode siły i gorące serce dla jej dobra dać może... I oto w podzięcie oznajmiono mu, że na zaufanie nie zasługuje, że ma być z szeregów obrońców ojczyzny wyobcowany... Gorycz zalewa mu serce, fala krwi gorącej bije do głowy i oślepia, nerwy, jak naciągnięte struny, grają poszarpaną pieśń rozpacz. Do potwornych rozmiarów urasta pojęcie hańby. Gdzieś w głębi duszy woła jeszcze poczucie obowiązku, dyscypliny, karności, ale głos ten brzmi coraz słabiej w silnym biciu krwi do skroni – tonie w końcu w gorącej fali, która oparem mózg powleka... Coraz jaśniej, coraz wyraźniej formułuje się decyzja: wycofa się z wojska jako ochotnik, pójdzie z poboru, wtedy niech go wysyłają, dokąd zechcą... Przyjechał do domu, spojrzął na ojca, matkę i nagle pod tym dachem opiekuńczym podniecenie jego prysło, wybuchł płaczem.

Z akt śledczych wynika, że nie powiedział dlaczego. Dopiero przed sądem zeznał Jakub, jak całymi dniami leżał na łóżku, nocami tłukł się po pokoju. Po paru dniach, gdy za bardzo dokuczyła mu samotność, na ostrożne nagabywanie matki, zwierzył się jej, że wydalono go z radiotelegrafu z niewiadomego dlań powodu i przydzielono do Jabłonny. Opowiadając to, znów płakał.

Po tej spowiedzi ogarnęła go apatia. Wyczerpany do cna, leżał na łóżku nieogolony, nieubrany, palił papierosy jeden za drugim. Ukojenie przyniosła powzięta w samotności decyzja zgłoszenia się na komisję poborową. Wpuścił do swego pokoju kuzynkę – opowiedział jej o wszystkim, zwierzył się z zamiaru stawienia się z jej bratem na pobór 28 sierpnia.

– *Widziałam* – zeznała ta krewna w sądzie – że *Jakuba cieszy powrót do życia, odnalezienie siebie samego. Kiedy się dowiedział, że wybrał zły dzień (sobotę) na złożenie wyjaśnień przed wojskową komisją, ze spokojem odłożył wyjście na miasto do poniedziałku.*

Kilka godzin później usłyszał z przyległego pokoju brzęk ostróg, podniesione głosy... Przyszli po niego! Pokój miał na piętrze, wyskoczyć nie sposób; zresztą domyślił się, że dom jest otoczony. W desperacji schował się do szafy. Aby ją zamknąć od wewnątrz, przytrzymał sznurek do wieszania krawatów, przybity na drzwiach. Ale ten, gwałtownie szarpnięty, zerwał się, drzwiczki szafy się rozchyliły... Na widok skierowanej w jego stronę lufy karabinu poprosił: „Panowie, błagam, miejcie wzgląd na mych rodziców”.

– *Pan prokurator winien dowieść, skoro postawił taki zarzut – przypomina obrońca – że oskarżony nie miał zamiaru powrócić do służby wojskowej, porzuciwszy ją samowolnie. Proces wykazał, że wszystko przemawia przeciwko takiej koncepcji. Oskarżony jest jedynym synem zamożnych rodziców; gdyby pragnął ukryć się przed wojskiem, miałby pieniądze na zaszywanie się w jakiejś wiejskiej kryjówce czy za granicą. Wrócił do Kalisza, prowincjonalnego miasteczka, gdzie wszyscy go znali. Również posterunkowi... Zresztą w kilku pokojach domu rodzicielskiego zarekwirowanych na czas wojny mieszkali oficerowie, a jeden z nich pracował w sądzie...*

Adwokat kończy kilkugodzinną mowę, zwracając się do sędziów:

– *Czy my, którym los oszczędził przeżywania strasznych dwóch godzin w lesie pod Jabłonną, możemy rozwiązywać tragiczny dylemat, postawiony człowiekowi honoru?... Składam z ufnością życie oskarżonego w wasze ręce. Czyńcie, co wam sumienie nakáže.*

Sąd po kilkugodzinnej naradzie uznał winę Jakuba Klotza za udowodnioną i zgodnie z obowiązującym kodeksem karnym skazał go na karę śmierci przez rozstrzelanie. Jednocześnie postanowił, że kierujący rozprawą przewodniczący i jeden z młodszych asesorów udadzą się niezwłocznie do dowódcy Okręgu Generalnego z wnioskiem o ułaskawienie skazanego.



Jeszcze tego samego dnia wyrok śmierci dla Jakuba Klotza został zamieniony na karę 10 lat ciężkiego więzienia. O całkowitym ułaskawieniu oskarżonego zdecydował marszałek Piłsudski na skutek próśb matki i mecenasa Sterlinga.

Jakub Klotz wrócił do domu w stanie poważnego rozstroju nerwowego. Przyczyniły się do tego nie tylko przeżycia w czasie procesu, ale i wiadomość, którą w rozpacz wykrzyczała jego matka. Klotz nie miał pojęcia, że jest Żydem wychowanym w rodzinie zasymilowanej z Polską.

O dalszych losach ułaskawionego dezertera ówczesne gazety nie wspominają. Wiadomo jedynie, że w roku 1920 był to jeden z wielu procesów żołnierzy uciekających z polskiego wojska. Tylko nielicznym udało się uniknąć kary śmierci.

## **Bibliografia**

„Dziennik Poznański” – wyd. z 19 września 1920 r.

„Dziennik Robotniczy” – wyd. z 20 i 30 września 1920 r.

„Falanga” – nr 24 z 1937 r.

„Kurier Łódzki” – wyd. z 20 września 1920 r.

„Myśl Narodowa” – nr 40 z 1930 r.; nr 14 z 1936 r.

„Polska Narodowa” – nr 7a, 14 z 1936 r.

„Polska Zbrojna” – nr 288, nr 320 z 1927 r.; nr 98, nr 318, nr 320 z 1934 r.

„Żołnierz Polski” – nr 12 z 1931 r.; nr 18 z 1934 r.

K. Dołęga, *Żydzi w czasie walk o niepodległość Polski*, Poznań 1937.

*Mowy sądowe 1*, zebr. i oprac. Szymon Gelernter, Warszawa 1925.

Archiwum Akt Nowych, Prezydium Rady Ministrów – 8 kwietnia 1919 r.

Materiały z Centralnego Archiwum Wojskowego.

Stenogramy z posiedzenia sejmu – 18 kwietnia 1923 r.

**W lipcu 1920 roku marszałek Józef Piłsudski podpisał rozporządzenie Rady Obrony Państwa o obowiązku obywateli przyjmowania do swych domów uchodźców ze Wschodu, zmuszonych do opuszczenia rodzinnych stron z powodu walk wojennych. Nie wszędzie czekali na uciekinierów z otwartymi rękami...**

## Odmowa Cymermana

**Oskarżony: Antoni Remiszewski,  
zarzut: bezprawne ograniczenie wolności dziedzica**

W połowie sierpnia 1920 roku włościanin Franciszek Orda spod Wilna uciekał z żoną i dziećmi drabiniastym wozem przed kulami bolszewików. W starostwie łódzkim, którym zarządzał Antoni Remiszewski, Orda otrzymał mandat kwaterunkowy do majątku Ottona Cymermana w miejscowości Chojny. Podstawą prawną było wojenne rozporządzenie Rady Obrony Państwa.

Udręczeni długą podróżą uchodźcy stanęli w południe przed bramą do majątku dziedzica, prosząc o wodę dla siebie i konia. Dzieci płakały, że są głodne.

Pałac Cymermana liczył kilkadziesiąt pokoi, obok były zabudowania folwarczne, a mimo to dziedzic nie pozwolił wpuścić uciekinierów na podwórze. Odmówił też kromki chleba. W upalny dzień wilniuchy czekali na zlitowanie do wieczora. Wreszcie Cymerman wyszedł do nich z księdzem, który widząc parobka niosącego parowane kartofle ze śrutą zbożową dla świń, poradził dziedzicowi nakarmienie tym przybyszów.

Na tym łaskawość proboszcza się skończyła. Orda musiał odjechać, aby rano w gabinecie starosty Antoniego Remiszewskiego poprosić o inny kwaterunek...

Wilniukom zapewniono w końcu z urzędu dach nad głową, ale starosta, oburzony niesubordynacją dziedzica i jego brakiem zrozumienia dla ofiar wojny, kazał go aresztować bez czekania na decyzję prokuratury. Cymerman – wpływowy prezes Związku Ziemian w Łodzi – złożył skargę do wojewody na bezprawne pozbawienie go wolności.

Odbył się proces, w którym oskarżonym był starosta Remiszewski.

Zatrzaśnięcie bramy przed uciekinierami wojennymi Cymerman tłumaczył brakiem... ubikacji na dworze. Do pałacowych pokoi nie chciał wprowadzać nieproszonych gości, bo byli brudni. Wobec uporcu Ordy, który wolał godzinami siedzieć na wozie, zamiast szukać dla dzieci innego schronienia, postanowił w końcu umieścić wilniuków w nieużywanej izbie zabudowań gospodarczych. Ale proboszcz mu odradził. Pomieszczenie było z grzybem na ścianach i bez wychodka. Dzieci uciekinierów nie dałyby mu spokoju.

– *Te tłumaczenia są dla reputacji pana Cymermana zabójcze* – stwierdził obrońca oskarżonego, mecenas Eugeniusz Śmiarowski[2].

Adwokat zwrócił uwagę sędziów na datę 14 sierpnia 1920 roku – wtedy doszło do złamania przez starostę prawa. Był to dzień, kiedy wróg stał pod Warszawą, a świeżo odzyskana niepodległość miała się rozsypać w gruzy. Kto tylko udźwignął karabin, szedł na front, kto był do tego niezdolny, pracował na tyłach armii. Każdy administrator samorządowy stał się dowódcą na swoim odcinku frontu.

– *W tych warunkach postępowanie Cymermana to nie tylko samolubstwo pana na włościach, z pochodzenia Niemca, który w czasie wojny współpracował z okupantem, ale przysporzenie korzyści wrogowi ze wschodu* – ocenił mecenas.

Zgodnie z art. 637 kodeksu karnego, zastosowanie rozporządzenia Rady Obrony Państwa wymagało spełnienia dwóch warunków. Musiał z tego wynikać pożytek dla państwa polskiego i niemożność odroczenia decyzji bez ryzyka sprowadzenia

niebezpieczeństwa dla urzędu. 14 sierpnia był właśnie takim szczególnym dniem.

– *Czułem się odpowiedzialny za to, aby w moim powiecie wszystko szło jak w zegarku – wyjaśniał starosta Remiszewski. –*

*Zdawałem sobie sprawę, że jeśli niesubordynację dziedzica z Chojny puszczę płazem, następnego dnia będę miał dziesięciu takich Cymermanów. Kiedy w połowie sierpnia 1920 roku na terenie starostwa łódzkiego pojawiła się ogromna fala uchodźców, otrzymałem polecenie ulokowania ewakuowanych cywilów w ciągu sześciu godzin od chwili przybycia. Tego wymagała konieczność nietamowania wojskowego transportu.*

Sąd uniewinnił Remiszewskiego od zarzutu złamania prawa.

## **Bibliografia**

„Dziennik Robotniczy” – wyd. z 21, 22, 23 sierpnia 1920 r.

„Kurier Łódzki” – wyd. z 22 i 24 sierpnia 1920 r.

J. Maziarz, *Sądy przysięgłych w II Rzeczypospolitej w praktyce Sądu Okręgowego w Krakowie*, Warszawa 2017.

Jeszcze trwała wojna polsko-bolszewicka, dopiero za rok zostanie podpisany traktat ryski, który wytyczy granicę z Krajem Rad, a w Najjaśniejszej już rozliczano się ze zdrajcami, sługusami zaborców. O „grubej kresce” nie było mowy. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne tropiono szpiegów – tych autentycznie werbowanych przez ościenne państwa, wrogie odrodzonej Polsce, ale i wymagowanych.

## Pod gilotyną

**Oskarżony: Alfons Festenstadt „Fortwill”,  
zarzuty: szpiegostwo i zdrada stanu**

Wizyta ministra spraw wewnętrznych Stanisława Wojciechowskiego w Wilnie w maju 1920 roku, na kilka miesięcy przed wkroczeniem oddziałów Żeligowskiego, odbywała się w nerwowej atmosferze. Dogasała wojna z sowiecką Rosją – najeźdźcy, uciekając, przekazali Wilno Litwinom. Ale na ulicach jeszcze raz po raz rozlegały się strzały prowokatorów.

Powóz, którym jechał przyszły prezydent II RP, właśnie skręcał w Ostrobramską, gdy jakiś mężczyzna w czarnym zniszczonym surducie z białą kopertą w ręku rzucił się pod koła pojazdu. Konie stanęły dęba, ale się zatrzymały – desperat uniknął śmierci. Minister kazał dowiedzieć się, co skłoniło tego człowieka do tak dramatycznego kroku.

Okazało się, że mężczyzna nazywa się Samuel Tłusty i w czasie okupacji niemieckiej w Warszawie doznał wiele złego od znanego piosenkarza kabaretowego, 35-letniego Alfonsa Festenstadta pseud. „Fortwill”. Artysta, będąc agentem policji politycznej, penetrował środowisko aktorskie i denuncjował osoby podejrzane o działalność wymierzoną przeciwko zaborcy. Nie tylko donosił, chętnie też

uczestniczył w przesłuchaniach zatrzymanych i wymuszaniu na nich zeznań torturami. Kiedy Niemcy opuścili Warszawę, został natychmiast aresztowany. W nieznanych okolicznościach wkrótce wyszedł na wolność i wyjechał do Wilna. Tam dostał angaż w teatrze Lutnia, gdzie wstąpił się szlagierem *Pod gilotyną*.

Minister nadał sprawie bieg i w styczniu 1921 roku, jak podaje „Kurier Warszawski”, Festenstadtowi – oskarżonemu o zdradę stanu – założono kajdanki. Stało się to w kulisach teatru, gdy tylko opuścił scenę.

W śledztwie piosenkarz przyznał się do wydania Niemcom Samuela Tłustego – jak twierdził, agenta rosyjskiego. Ale powiedział też, że zrobił to pod przymusem, bo wywiad niemiecki zwerbował go podstępnie i w razie odmowy grożono mu śmiercią.

Kilka miesięcy później w Warszawie zaczął się proces „Fortwilla”. Przed pałacem Paca – siedzibą sądu – policjanci z ochrony musieli siłą powstrzymać tłum chętnych do obejrzenia swego idola na ławie oskarżonych.

W sali sądowej, informował „Kurier Warszawski”, doszło do ostrego starcia między prokuratorem Mieczysławem Jaroszem a obrońcą Kazimierzem Sterlingiem. Adwokat twierdził, że artykuł kodeksu karnego o zdradzie stanu mógłby mieć zastosowanie tylko wówczas, gdyby obywatel polski współdziałał z okupantami przeciwko organizacji polskich patriotów. Na przykład gdyby sypnął kogoś z PPS czy POW. Festenstadt nie doniósł na nikogo z partii wolnościowych. *Te słowa obrońcy – relacjonował sprawozdawca sądowy „Kuriera” – wywołały ogólną wesołość publiczności, bo wszyscy wiedzieli, że gdyby tak się stało, towarzysze zdecydowaliby o zlikwidowaniu konfidenta.* Trudno uznać za zdradę Polski – dowodził mecenas – wydawanie niemieckiemu zaborcy szpiegów, którzy działali w interesie Rosji. Polski nie było na mapie.

– *Gdyby uznać, że za przestępstwo przeciwko państwu rosyjskiemu powinien odpowiadać każdy mieszkaniec Kongresówki, trzeba by wsadzić wielu bohaterów narodowych, którzy wstąpili do legionów* – mówił obrońca.

– *Oskarżony nie tylko współpracował z zaborcą, on osobiście torturował swoje ofiary* – replikował prokurator, powołując się na zeznania ponad 20 świadków.

Proces dobiegał końca. W ostatnim słowie artysta poprosił o kilkudniową przepustkę, gdyż chciał się pożegnać z ciężko chorą matką. Oskarżyciel publiczny zaprotestował, twierdząc, że „Fortwill” ma na sumieniu niejedno ludzkie życie i przestępstwa, „na wspomnienie których ciarki przechodzą po ciele”.

Wyrok sądu brzmiał: 8 lat ciężkiego więzienia. *Kiedy skazanego odprowadzano do więziennego powozu, nucił pod nosem swój szlagier „Pod gilotyną”* – napisał reporter „Kuriera Warszawskiego”. W uzasadnieniu do odrzuconej apelacji powołano się na kazuś Weisholca.

Była to sprawa sądowa dotycząca wydarzenia z roku 1915. W 1919 roku toczyła się w Płocku przeciwko Mordce Weisholcowi, oskarżonemu o to, że był tajnym agentem niemieckiej policji polowej i prześladował politycznie zaangażowanych Polaków. Weisholcowi zarzucono m.in., że doniósł na Jana Skupińskiego i dziesięciu jego znajomych, zarzucając im szpiegowanie na użytek armii rosyjskiej. Tym samym spowodował ich skazanie.

Obrońca, mecenas Jan Nowodworski<sup>[3]</sup>, nie zaprzeczał, że jego mandant był szpiegiem niemieckim, ale przypominał: działało się to w czasie, kiedy nie istniało państwo polskie, zatem nie mogło pozostawać we wrogich stosunkach z Rzeszą Niemiecką. W przekonaniu przewodniczącego składu sędziowskiego *zawsze istniała Polska, istniał naród polski i w chwili, gdy wskrzesło Państwo Polskie, winno ono żądać ekspiacji od wyrodnych swoich poddanych.*

Zapadł wyrok – 9 lat ciężkiego więzienia. Po odrzuceniu apelacji, obrońca złożył skargę do Sądu Najwyższego, dowodząc, że czyny skazanego nie mieszczą się w ramach zdrady stanu. Kasacja nie została uwzględniona. A w uzasadnieniu napisano:



*Odrębność państwowa Królestwa Polskiego lubo przemocą rosyjską ubezwładniona nigdy nie wygasła ani w poczuciu narodu polskiego, ani w obliczu prawa międzynarodowego. Przeto Królestwo Polskie mogło być obiektem zdrady stanu, polegającej na dopomaganiu państwu nieprzyjacielskiemu w jego wrogich działaniach. Inna wykładnia doprowadziłaby do niedorzecznego wniosku, że kto w Królestwie Polskim współdziałał z Niemcami, niszcząc kraj i dręcząc ludność polską, ten był winien zdrady wobec państwa rosyjskiego, lecz nie wobec Królestwa Polskiego.*

## **Bibliografia**

„Kurier Warszawski” – styczeń i czerwiec 1921 r.

„Rzeczpospolita” – czerwiec 1921 r.

„Słowo” wileńskie – lipiec 1922 r.

Wojna z bolszewikami, choć zwycięska, nie uszlachetniła wszystkich Polaków. Obok tych, którzy narażając swoje życie, szli na wroga, pojawiły się pobitewne hieny, skore do przejęcia cudzego majątku. Winę za niechlubne postęпки często zrzucano na Żydów, którzy w społecznej opinii sprzyjali Sowiетom. Wybujął antysemityzm to ciemna, nieusuwalna plama na wizerunku Najjaśniejšej.

Nie zawsze zresztą oskarżenia były bezzasadne. W grudniu 1921 roku Sąd Okręgowy w Grodnie skazał na trzy lata twierdzy Szoloma Ralskiego, bolszewickiego milicjanta w czasie zajęcia miasta przez Sowiетów. Aresztował on swoją sąsiadkę, Polkę Rozalię Polańską, i oskarżył ją, że jest wrogo nastawiona do nowej władzy. Kobieta została rozstrzelana. Potem okazało się, że Ralski pomówił ją przed sądem doraźnym Czeki, gdyż chciał przejąć sklepik skazanej.

## Ten bolszewik Segal

### Oskarżony: dr Marek Segal, zarzut: zdrada stanu

Doktor Marek Segal był szanowanym lekarzem narodowości żydowskiej w swoim rodzinnym mieście Równe. W roku 1919 ta niegdysiejsza siedziba Lubomirskich została ponownie włączona w granice II Rzeczypospolitej. Armia konna Budionnego stoczyła w Równem walkę z oddziałem legionowym generała Kazimierza Raszewskiego. Po opanowaniu miasta bolszewicy pastwili się nad Polakami, grabili ich majątki. Ochoczo wydawali na „szpionów” wyroki śmierci.

Jesienią 1920 roku do polskiego sędziego śledczego w Łucku zgłosili się niejacy Krzemińscy, mieszkańcy Równego, i oskarżyli doktora Segala o to, że wydał ich w ręce bolszewików jako szpiegów, a następnie zeznaniami swoimi w czerezwyczajce<sup>[4]</sup> spowodował skazanie na śmierć. Tylko cudem, bo już byli wyprowadzeni na plac kaźni, udało im się uniknąć rozstrzelania.

Krzemińscy podali świadków: Zarycką – miejscową praczkę i Puda Fiedorca – stróża w kamienicy, w której wynajmowali pokój od doktora Segala. Ci ludzie ponoć widzieli, jak właściciel pokazywał bolszewikom mieszkanie Krzemińskich, mówiąc, aby zabrali tych mierzawców<sup>[5]</sup> Polaków.

Natomiast zeznanie Segala w czerezwyczajce miała słyszeć Krzemińska przez drzwi sali, w której odbywał się doraźny sąd. Była też świadkiem tego, jak doktor, patrząc na leżącego na ulicy trupa polskiego żołnierza, zarąbanego przez bolszewików, cieszył się, że skończyło się w Równem panowanie Polaków.

Krzemińscy wystąpili przeciwko Segalowi również z powództwem cywilnym o 364 tysiące marek polskich – jako zwrot kosztów i strat poniesionych z powodu ich aresztowania i wysłania w głąb Związku Radzieckiego.

Na podstawie tych danych lekarz został oskarżony o zdradę stanu.

Liczni zeznający na rozprawie mieszkańcy Równego twierdzili, że stosunek Segala do bolszewickiej Rosji był wrogi, i to z kilku powodów. Należał do liberalnej Partii Wolności Ludowej, nieformalnie nazywanej Partią Kadetów, przeciwnej bolszewikom. Przez „czerwonych” stracił życie jego 17-letni syn, a ponadto, z chwilą wejścia Budionnego do miasta, najeźdźcy doszczętnie rozkradli całe mienie doktora.

Sąd Okręgowy w Łucku uznał winę Segala za udowodnioną zeznaniami Krzemińskiej, Zaryckiej i Fiedorca i skazał go na 5 lat ciężkiego więzienia.

Lekarz odwołał się od wyroku do Sądu Apelacyjnego Ziem Wschodnich. Mowa obrończa Eugeniusza Śmiarowskiego przed sądem drugiej instancji do dziś uważana jest w kręgach prawniczych za ważną w rozważaniach o antysemityzmie w II RP. Kilka lat później ten adwokat zyskał sławę jako obrońca w głośnych procesach politycznych, m.in. przywódcy Bundu<sup>[6]</sup> – Henryka Erlicha,

inicjatorów robotniczych demonstracji w Krakowie w roku 1923 czy osadzonych w brzeskiej twierdzy liderów centrolewicowej opozycji.

– *Sprawa ta* – mecenas zaczął od naszkicowania sytuacji w nowo odrodzonej Polsce, przez którą dopiero co przeszła nawała bolszewicka – *powstała na pobojuwisku, a na pobojuwisku żerują hieny i maruderzy, obdzierając trupy i dobijając rannych. W atmosferze prochu i krwi, zamętu i chaosu obnażają się nikczemne strony natury ludzkiej. Tam, gdzie dopiero co miały miejsce czyny najwyższego bohaterstwa, najszczytniejsze akty poświęcenia i ofiary – tam już grasuje zbrodnia, panoszą się zachęcone bezkarnością popędy chciwości i zysku, szukają ujścia niewstrzymywane grozą kar uczucia nienawiści i zemsty. Skazanie Marka Segala to jedno ze zwycięstw owych hien osiągnięte pod osłoną nocy pobitewnej nad prawdą, nad sprawiedliwością, nad honorem Rzeczypospolitej. Ale rok po wyroku Sądu Okręgowego, kiedy już nie słyhać zgiełku wojennego i sędziowie mogą pracować z rozważą, nie powinny przesłaniać im oczu opary, podnoszące się z pobojuwiska.*

Po żarliwym, pełnym emocji wstępie adwokat przystąpił do konkretów. Przede wszystkim podważył wiarygodność osób, na których zeznaniach oparł się sąd w Łucku.

Obywatelka Józefa Krzemińska. Nie umie czytać ani pisać, nie potrafi nawet wymienić nazwiska siostry własnego męża, choć się na nią powołuje. Zatrudniona w urzędzie miejskim jako posługaczka, „wywodzi się z najniższego społecznie i moralnie środowiska i tkwi w nim całkowicie swymi instynktami, ciasnotą poglądów, pierwotnością swoich zasad moralnych”.

Mecenas zwrócił uwagę sędziów na antysemityzm rzekomo poszkodowanej:

– *To namiętna, ślepa, fanatyczna nienawiść do Żydów, nienawiść, pochodząca z nietkniętego kulturą instynktu, sycona gawędami po podwórzach i sklepikach, rozpalana szeptanymi na ucho baśniami o mordach rytualnych. Żyd to wróg; każdy, bez wyjątku, zdolny jest do czynów najpotworniejszych, każdy jest nieprzyjacielem Polski,*

*w każdym czai się przeniwierstwo i zdrada. Dostarczenie przeciwko niemu dowodów zmyślonych to tylko pobożne kłamstwo prowadzące do świętego celu.*

Krzemińska zeznała, że Segal przyjmował u siebie bolszewików, częstował ich winem, odbywał tajemnicze narady. Co było ich tematem? Oczywiście, zguba Polski.

Sąd w Łucku nie zweryfikował tego oskarżenia. Nie sprawdził, skąd Krzemińska wie, że Segal gościł oficerów kawalerii Budionnego. Przecież, jak twierdziła, w parę godzin po wejściu wojsk bolszewickich aresztowano ją z mężem, wtrącono do więzienia i wywieziono z Równego.

*– Za kratami się dowiedziałam – oskarżała dalej – że Segal wydał wielu Polaków.*

Od kogo i z kim spośród mieszkańców Równego spotkała się w niewoli? O to już sąd pierwszej instancji nie zapytał.

*– Zatem są to pomówienia – konkludował mecenas. – Ale co było ich siłą napędową? Czy tylko żywiołowa nienawiść do Żydów? Nie. Antysemityzm szedł w parze z wyrachowaniem, dążeniem do osobistego zysku.*

To wynika z akt śledczych, które dziennikarze cytowali w swych artykułach. Krzemińska, składając skargę, twierdziła, że kiedy została aresztowana, ktoś ukradł ich warsztat szewski. (Mąż na ten temat się nie wypowiadał). Mógł to zrobić tylko Segal. Jako właściciel kamienicy miał klucze do każdego wynajmowanego mieszkania...

W toku pierwszego postępowania sądowego oskarżycielka rozwinęła tę myśl, w końcu zażądała od Segala odszkodowania za utracony majątek. Notabene wysoka kwota roszczeń była niewspółmierna do wartości szewskiego zydla i kilku dratów do reperowania butów.

Krzemińska wiedziała, udowadniał mecenas Śmiarowski, że jej własność zabrali najeźdźcy ze wschodu, bo taki los spotkał większość mieszkańców Równego. Ale nie mogła kierować pretensji do Kozaków czy dragonów Budionnego, a tym bardziej do rządu

bolszewickiego, to by nic nie dało. Na grabieżcę wytypowała więc znienawidzonego Żyda. Niech zapłaci, jest winien choćby z racji swej odmienności. Najbliżej, pod ręką, miała Segalą, którego nie cierpiała, tym bardziej że zalegała z komornym za wynajmowany lokal.

Mecenas starał się przybliżyć sądowi świadków oskarżenia: Zarycką i Fiedorca:

*– Te same przesady, jeżeli chodzi o Segalę, i tenże brak przesądów, gdy w grę wchodzi zasady moralne. Poczucie solidarności chrześcijańskiej i poczucie solidarności lumpenproletariackiej. Przeprowadziłem analizę ich wypowiedzi i zachowania, zyskałem pewność, że świadkowie kłamią, całe oskarżenie jest oparte na złej woli i na fałszu.*

I kolejno zbijał poszczególne zarzuty prokuratorskie.

Krzemińska rzekomo była świadkiem zarabiania szablami na rynku rówieńskim przez bolszewików młodego polskiego żołnierza. Kiedy ona rozpaczała na widok ofiary leżącej na bruku, podszedł do niej Segal. „Czego chciałem, tego się doczekałem. Nie mogłem już więcej patrzeć na Polaków, teraz już ich nie widzę i jestem spokojny” – powiedział ponoć.

*– Czy można wyobrazić sobie większy cynizm?! – analizował tę wypowiedź adwokat. – Co by to było za zwyrodnienie moralne u człowieka, w dodatku lekarza, który nie umie pochylić głowy przed krwawą ofiarą przemocy i gwałtu, nie umie uszanować ludzkiej śmierci, tylko daje ujście swojej dzikiej nienawiści!?*

*Upewniłem się – twierdził – że taki fakt nie miał miejsca. Żołnierz zginął dwie godziny po wejściu bolszewików do Równego. Krzemińska nie mogła tego widzieć, gdyż legionista został zabity nie na ulicy, a w aptece; obecny był przy tym aptekarz Bałański i kilku klientów. Jej tam nie było. Segal, jak to wynika z zeznań świadków, był już wtedy doszczętnie przez wojska Budionnego ograbiony. Odzież, pieniądze z kasy ogniotrwałej, zapasy żywności – wszystko to stało się zdobyczą najeźdźców. Gdyby nawet doktor wcześniej*

*cieszył się z nadejścia Budionnego, to w tym momencie musiało u niego górować nade wszystko poczucie wielkiej krzywdy.*

Obrońca wykazywał dalej, jak nieprawdopodobne jest, aby lekarz, mając świadomość swej materialnej ruiny, spacerował spokojnie, a natknąwszy się przypadkowo na zwłoki zamordowanego młodego żołnierza, nie krył swej radości, że oto „doczekał się tego, czego chciał”. Czyli – doczekał się sprowadzenia go, mieszczanina z ducha, temperamentu i stanu majątkowego, do pozycji nędzarza. I katastrofy dla miasta, w którym żył przez 40 lat. Niepodobna też, dowodził mecenas Śmiarowski, by człowiek znany ze swego oddania dla chorych w dzień i w nocy cieszył się z czyjejś gwałtownej śmierci.

*– Z psychologicznego punktu widzenia taka reakcja u zdrowego na umyśle człowieka jest nieprawdopodobna – powtórzył adwokat. – Ale są jeszcze świadkowie. Jak zeznał Kitnowski, znajomy Segala, kiedy się spotkali, a było to w dniu zamordowania polskiego legionisty, doktor klął i złorzeczył z powodu najazdu bolszewików i ogołocenia go z wszelkiego majątku. Dlaczegoż by Krzemińskiej miał mówić coś wręcz innego?*

A co wiadomo o stosunku Segala do Polaków? Świadkowie obrony wezwani do sądu apelacyjnego (przed sądem okręgowym nie zostali przesłuchani) twierdzili, że doktor wyjednywał od rządu Petlury zapomogi dla polskiej szkoły w Równem; jako radny wystąpił z projektem ponownego uruchomienia w Równem polskiego gimnazjum; wygłosił powitalną mowę w czasie wizyty naczelnika Piłsudskiego, w której deklarował całkowitą lojalność obywatelską.

Ponadto wspierał wdowę po polskim uchodźcy, doktorową Markiewiczową; pomagał ukrywać się przed bolszewikami niejakiemu Bielińskiemu – początkowo w swoim ogrodzie, później na cmentarzu żydowskim, dokąd z narażeniem własnego życia przynosił mu prowianty.

Kiedy zatem mogła się zrodzić w nim nienawiść do Polski i przychylność dla bolszewizmu? Czy wówczas, gdy jego 17-letni syn

wcielony do sowieckiej Armii Czerwonej zmarł w Moskwie na tyfus plamisty? Czy wtedy, kiedy bolszewicy ograbili go ze szczętem?

Kolejny zarzut wsparty był zeznaniami tych samych świadków. Krzemińscy twierdzili, że kiedy w swoim pokoju razem z sąsiadami Zarycką i Fiedorcem pili herbatę, zobaczyli przez okno Segala na ulicy z dwoma żołnierzami z czerwoną gwiazdą na czapkach. Właściciel kamienicy, wskazując na nich, powiedział do swych towarzyszy: „Zabierzcie tych mierzawców Polaków”.

Wkrótce potem Krzemińscy zostali aresztowani i oddani pod sąd czerezwycajki.

*– Dziwna sprawa – zauważył adwokat. – Cała trójka siedziała przy jednym stole, a Zarycka nie pamiętała, że był tam Fiedorec, który zresztą w śledztwie opisał tę sytuację inaczej niż oskarżycielka. Zeznał, że słyszał, jak Segal prosił bolszewików, aby zaaresztowali Krzemińskich, bo są niewypłacalnymi dłużnikami.*

Podczas procesu w sądzie okręgowym stróż zmienił swe pierwsze zeznania na wersję Krzemińskiej. Prawdopodobnie dotarło do niego, że trudno będzie sądowi wyobrazić sobie kamienicznika Segala, udającego się pod opiekę władz proletariackich ze swymi komornianymi pretensjami.

*– Bolszewicy jako obrońcy świętego prawa własności i wolnych umów! Wszak to nonsens logiczny i życiowy, takie zeznania demaskują intrygę dobranego towarzystwa praczki, stróża i posługaczki – kpił adwokat i wskazał na kolejny absurd, niedostrzeżony przez sąd okręgowy.*

Oto Krzemińska widzi Segala prowadzącego bolszewików pod jej okna, słyszy słowa, które ją i jej męża wydają w ręce wrogów. Czy można sobie wyobrazić, aby pomiędzy tą chwilą a wejściem do mieszkania uzbrojonych czerwonoarmiejców nie przerwała mężowi spokojnego picia herbaty, aby natychmiast nie podzieliła się z nim groźną wiadomością: „Segal prowadzi na nas bolszewików, jesteśmy zgubieni!”. Aby w tym momencie nie nastąpiło jakieś, czy to wzburzenie, czy po prostu skamienienie obojga małżonków wobec grożącego im niebezpieczeństwa?



Krzemiński w swoim zeznaniu w ogóle nie wspomina o takiej sytuacji.

Wreszcie dowód trzeci – zeznanie Segala przed bolszewickim sądem tajnej policji i skazanie Krzemińskich na śmierć.

Krzemińska miała słyszeć zeznanie doktora, stojąc pod drzwiami sali, w której odbywało się posiedzenie czerezwycajki. Segal rzekomo przedstawiał Krzemińskich jako polskich szpiegów.

Czy można było to podsłuchać? Pod drzwiami kręciło się dużo osób, był taki gwar, że bolszewicki żołnierz kilkakrotnie wychodził z sali doraźnego sądu i nakazywał ciszę pod groźbą rozstrzelania. Krzemińska nie mogła słyszeć słów Segala. A gdyby usłyszała, trudno sobie wyobrazić, aby nie szepnęła mężowi, że tam, za drzwiami, Segal gotuje dla nich straszny los.

Kobieta twierdziła, że nie rozmawiała z mężem, bo na to nie pozwalała straż bolszewicka stojąca przy drzwiach, ale zaplątała się w zeznaniach, bo przecież na korytarzu, gdzie stali świadkowie i oskarżeni, nie było porządku – panował gwar i hałas, które od czasu do czasu musiał uciszać delegowany z sali żołnierz.

Równie nieprawdopodobnie wypadło zeznanie Krzemińskich o czekającej ich egzekucji. W ostatniej chwili, tuż przed salwą, komisarz zajrzał do akt i powstrzymał pluton egzekucyjny, bowiem w dokumentacji dołączonej do wyroku nie znalazł potwierdzenia winy. Skazani uratowali życie, ale zostali deportowani w głąb Rosji. Do odzyskanego przez państwo polskie Równego powrócili po zakończeniu wojny.

*– Po prostu cud! – kpił adwokat oskarżonego. – Skazani na śmierć przez czerezwycajkę za dowiedzione im szpiegostwo, przechowywanie bomb i podminowywanie gmachów zostali nagle o świcie ułaskawieni. Co takiego mogło powstrzymać sąd Czeki od rozstrzelania Krzemińskich? Z tego rodzaju przestępcami bolszewicy nie robili ceregieli. Gdyby Segal zeznał to, co rzekomo miała słyszeć Krzemińska, zabrakłoby głównych świadków, bo ich mogły dawno już zarosłyby trawą. Nikt z aktorów tej intrygi nie stracił życia, gdyż żadnego bolszewickiego sądu nad nimi ani tym bardziej wyroku nie*

*było; wszystko to zmyślili. Nie byli eskortowani do Dubna, po prostu gdzieś sobie wyjechali na czas wojennej zawieruchy.*

Ale jeżeli nawet ta osobliwa, jak na obyczaje bolszewickie, sytuacja z litościwym komisarzem jest prawdziwa, byłoby to, zdaniem mecenasa, nowe potwierdzenie niewinności oskarżonego. Bo skoro komisarz bolszewicki nie znalazł w aktach potwierdzenia o szpiegowaniu Krzemińskich, to znaczy, że Segal ich nie obciążał. Na rozprawie wyjaśniał, że przekonywał bolszewików o niewinności Krzemińskich.

*– Panowie sędziowie! – powiedział na koniec mecenas Eugeniusz Śmiarowski. – Wyroku Sądu Okręgowego nie jest w stanie usprawiedliwić żadne rozumowanie, żadna logika. Widzę tylko takie wyjaśnienie: na powojennej, łatwo powstającej nieufności do ludzi odmiennego środowiska, tej jeszcze trwającej pobudliwości na oskarżenia o zdradę, która cechuje każdy okres wojenny, żerują, popychani przez najniższe instynkty i przez najnędniesze cele osobiste, tacy ludzie jak Krzemińscy. Niestety, osiągają straszliwe tryumfy nad prawdą, nad sprawiedliwością i nad... honorem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.*

*Wierzę, panowie sędziowie, że wyrok wasz zaufanie do państwa w całej pełni przywróci, a uniewinniając oskarżonego, sprawicie, że uczciwi i lojalni obywatele, niezależnie od narodowości i wyznania, do których należą, są w Polsce bezpieczni i przed niezastużoną, od złych ludzi pochodzącą krzywdą będą zawsze skutecznie obronieni.*

Sąd okręgowy uchylił wyrok niższej instancji i uniewinnił Segala.

## **Bibliografia**

„Gazeta Warszawska” – listopad 1923 r.

„Kurier Warszawski” – listopad i grudzień 1923 r.

E. Śmiarowski, *Mowy obrończe 1920–1925*, Warszawa 1926.

**Porachunki ze zdrajcami z okresu zaborów odeszły w niepamięć, gdy w odzyskanej Polsce pojawiło się niebezpieczeństwo wywiadowcze ze strony agresywnych sąsiadów – zarówno z wschodniej, jak i zachodniej granicy.**

Dla Niemców Polska była „krajem sezonowym”, którego niezawisłości bronił wprawdzie traktat wersalski, ale Berlin marzył o rewizji tego dokumentu, choćby siłą. Gromadzeniem materiałów szpiegowskich z Polski – głównie chodziło o nasz potencjał militarny – zajmowały się ekspozytury niemieckiego wywiadu wojskowego w Królewcu, Wrocławiu, Szczecinie, Gdańsku, Dreźnie i Frankfurcie nad Odrą.

Z kolei Sowieci po wymuszonym na nich podpisaniu w 1921 roku pokoju w Rydze szukali w Polsce tajnych sprzymierzeńców, aby podważyć traktat. Mieli w Warszawie dobrze zakamuflowaną siatkę szpiegowską.

Walką z obcym wywiadem, a także kontrwywiadem, zajmował się II oddział Sztabu Generalnego Wojska Polskiego zwany „Dwójką”. W gazetach raz po raz pojawiały się informacje o aresztowaniu szpiegów. Procesy sądowe z art. 99 polskiego już kodeksu karnego (*Kto wchodzi w porozumienie z osobą działającą w interesie obcego państwa lub organizacji międzynarodowej w celu wywołania wojennych lub innych, wrogich działań przeciw Państwu Polskiemu, podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 10*) zazwyczaj były utajnione, tylko wyroki ogłaszano.

Kara śmierci groziła natomiast za przekazanie obcemu państwu tajemnicy związanej z obronnością kraju. Szpiega, który dopuścił się takiego przestępstwa, stawiano przed plutonem egzekucyjnym.

Wojskowe sądy były nieczułe na tłumaczenia oskarżonych, dlatego zostali zdrajcami własnego kraju. Również wówczas, gdy chodziło o oficerów, którzy – odważni na polu walki – w czasie pokoju dopuszczali się zdrady na rzecz obcych służb. Inna rzecz, że powody zazwyczaj były banalne.

Ktoś na skutek hulaszczego trybu życia wpadł w długi, a werbujący go funkcjonariusz Abwehry, skądinąd świetny kompan do wypitki, służył bezinteresowną, jak twierdził, finansową pomocą. Bezinteresowną do czasu, bo jednak za którymś razem wyciągał pisemne zobowiązanie do współpracy.

## Akcja „Wózek”

**Oskarżony: por. Paweł Piontek,  
zarzut: szpiegostwo na rzecz Abwehry**

Porucznik Paweł Piontek z 1 Batalionu Strzelców w Chojnicach nie był w stanie spłacić swych karcianych długów. Widział tylko dwa wyjścia z patowej sytuacji: honorowy strzał w głowę albo przyjęcie oferty królewieckiej Abwehry. Wybrał to drugie.

Od niemieckiego werbownika Gunthera Wollenberga otrzymał w 1924 roku zadanie zorganizowania siatki szpiegowskiej na Pomorzu. Miał też dotrzeć do tajnych dokumentów Dowództwa Okręgu VIII WP w Toruniu.

Paweł Piontek był bardzo gorliwym szpiegiem. Do tej aktywności zmuszał go ciągły brak pieniędzy spowodowany rozrywkowym trybem życia. Kiedy otrzymał polecenie zwerbowania innych oficerów, wciągnął do działalności szpiegowskiej adiutanta dowódcy pułku w Toruniu, Jana Urbaniaka, a z czasem także swoją narzeczoną Wandę Piekarską, z zawodu ekspedientkę. W ukryciu była łączniczką niemieckiego wywiadu. Zlecniodawcy chwalili Urbaniaka za operatywność, ale przestrzegali, aby w towarzystwie trzymał język za zębami. Porucznikowi wystarczyło kilka kieliszków wódki i już się chwalił, jakim to jest asem wywiadu.

Kontrwywiad polski nie spał. Szpiegowi podstawiono kilku oficerów z fałszywymi dokumentami. Kiedy królewiecka Abwehra

dała się nabrać, „Dwójka” zaproponowała Piontkowi rolę podwójnego agenta. Miał uczestniczyć w akcji „Wózek”, która polegała na przechwytywaniu niemieckiej poczty w pociągach jadących tranzytem przez Polskę z Berlina do Prus Wschodnich. Gdy lokomotywa w ustalonym miejscu zwalniała, agenci „Dwójki”, w zмовie z polskimi kolejarzami, wskakiwali na stopień wagonu z pocztą, zrywali plomby, zabierali niemiecką korespondencję wojskową i zacierali po sobie ślady. Koperty były błyskawicznie przewożone do siedziby Ekspozytury nr III w Bydgoszczy, gdzie sporządzano kopie zdobytej dokumentacji. Następnie podrzucano je do najbliższego pociągu tranzytowego.

Piontek przystał na akcję „Wózek”, znęcony obietnicą korzyści materialnych. To był szczęśliwy okres w jego życiu – miał dwa źródła nielegalnych dochodów. Nie pomyślał, że jest przez swych mocodawców obserwowany.

Kiedy okazało się, że zdradza Niemcom polskie tajemnice wojskowe, został aresztowany. Już na pierwszym przesłuchaniu w kwietniu 1927 roku wydał Urbaniaka i swoją narzeczoną. Sąd Okręgowy w Grudziądzu skazał obu mężczyzn na rozstrzelanie, natomiast Wandę Piekarską na sześć lat ciężkiego więzienia.

Miejszem najsilniejszej konfrontacji między niemieckim a polskim wywiadem było Wolne Miasto Gdańsk. Zakonspirowanej tam placówce Abwehry udało się zwerbować oficera rezerwy, Jankowskiego, komisarza toruńskiej policji. Nadano mu pseudonim „Kokino”. Ksywa pochodziła stąd, że funkcjonariusz był narkomanem i podczas służbowych wyjazdów do Gdańska zaopatrywał się w kokainę u greckich marynarzy przyplływających regularnie do portu. Abwehra zmusiła go do współpracy szantażem, grożąc, że ktoś „życzliwy” rozgłosi, w szponach jakiego nałogu tkwi policjant.

Jankowski początkowo zdradził wrogowi kilka cennych informacji, jednakże po powrocie do Torunia ruszyło go sumienie i zwierzył się ze wszystkiego (łącznie z tym, że jest uzależniony od kokainy) kierownikowi bydgoskiej ekspozytury wywiadu. Jak zwykle w takich sytuacjach, otrzymał propozycję nie do odrzucenia – aby został

podwójnym agentem. Miał za pośrednictwem komisarza przekazywać Niemcom spreparowane informacje. Przystał na to.

Na początek przekazał Abwehrze wykaz osób podejrzewanych o szpiegostwo, które zamierzano aresztować. Na liście tej byli prawdziwi niemieccy szpiegzy i osoby przypadkowe. Sprytny zabieg „Dwójki” pozwolił na wyselekcjonowanie niemieckich szpiegów, których natychmiast ściągnęła do siebie centrala. „Kokino” nadal dezinformował Abwehrę o przemieszczaniu się jednostek i obiektów wojskowych. Z czasem Niemcy zorientowali się, że mają do czynienia z podwójnym agentem. Jankowskiego przejechał samochód. Nigdy nie wyjaśniono, czy był to zwykły wypadek, czy morderstwo na zlecenie.

## **Bibliografia**

„Słowo Pomorskie” – nr 29 z 6 kwietnia 1927 r.; nr 238 z 1927 r.

„Polska Zbrojna” – nr 94 z 1927 r.

- [1] **Kazimierz Sterling (1875–1933)** – w czasach zaborów jako działacz PPS należał do grupy obrońców politycznych spiskowców. Wydany w ręce carskiej *ochrony* przez prowokatora Sankowskiego, został w r. 1907 zmuszony do wyjazdu za granicę, skąd powrócił dopiero po kilku latach. Był przede wszystkim wybitnym adwokatem, ale pisał też wiersze, sztuki teatralne. Mowy obrończe bardzo często inkrustował cytatami literackimi. Nie chodził, zwyczajem poetów, z głową w chmurach. Przemawiając na sali sądowej, nie pomijał żadnego faktu, wszystkie skrupulatnie, rzetelnie analizował.
- [2] **Eugeniusz Śmiarowski (1878–1932)** – z wykształcenia filozof, prawnik, literat i pianista. W okresie, gdy Polski nie było na mapie, występował w obronie więźniów politycznych, oskarżonych o knowania przeciw carowi. Był m.in. członkiem Centralnego Komitetu Narodowego w Warszawie. W pierwszych latach II RP wszedł do sejmu z listy PSL „Wyzwolenie”. Karierę polityczną zakończył w 1928 r. i skupił się na pracy adwokackiej. Broniąc w wielkich procesach, w których śledztwo liczyło kilkadziesiąt tomów, mało dbał o figury retoryczne. Ale trzymał w napięciu audytorium z powodu sugestywnego wyrażania się i niezwykle solidnego traktowania swej roli obrońcy. W czasie procesu brzeskiego był już ciężko chory na serce, nie rozstawał się z nitrogliceryną i korzystał z niej podczas rozpraw, a mimo to niezmordowanie bronił *pro publico bono* swego klienta, Kazimierza Bagińskiego z PSL „Wyzwolenie”.
- [3] **Jan Nowodworski (1876–1954)** – pochodził z rodziny prawniczej, w latach 1906–1907 był obrońcą w procesach politycznych. Działał w Towarzystwie Opieki nad Więźniami „Patronat” guberni warszawskiej. Podczas I wojny światowej pełnił funkcję prokuratora wojskowego. Po zakończeniu działań wojennych bronił niezawisłości adwokatury; w uznaniu takiej postawy kilkakrotnie wybierano go na dziekana Rady Adwokackiej w Warszawie.

W latach 1930–1935 był posłem z listy Stronnictwa Narodowego. Jako adwokat specjalizował się w prawie karnym – w procesie brzeskim bronił Adama Pragiera. Na sali sądowej nie zdradzał żadnych emocji. Był przeciwnikiem wywoływania nastroju.

W czasie II wojny światowej został członkiem tajnej Naczelnej Rady Adwokackiej. Kierował sądem polowym Armii „Warszawa”. W PRL nie przeszedł komunistycznej weryfikacji wśród adwokatów i odebrano mu prawo wykonywania zawodu. Został przywrócony po odwołaniu się do ministra sprawiedliwości. Zmarł 30 lipca 1954 r. Pochowano go na Powązkach w Warszawie.

- [4] Czerezwyczajka, czerezwyczajka (albo Czeka) – potoczna nazwa WCzK (Wszzechrosyjskiej Komisji Nadzwyczajnej do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem), czyli tajnej policji, poprzedniczki NKWD i KGB, w Rosji sowieckiej.
- [5] Mierzawcy (z ros.) – łajdacy, obrzydliwcy.
- [6] Bund – żydowska partia socjaldemokratyczna (Powszechny Żydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Polsce i Rosji).





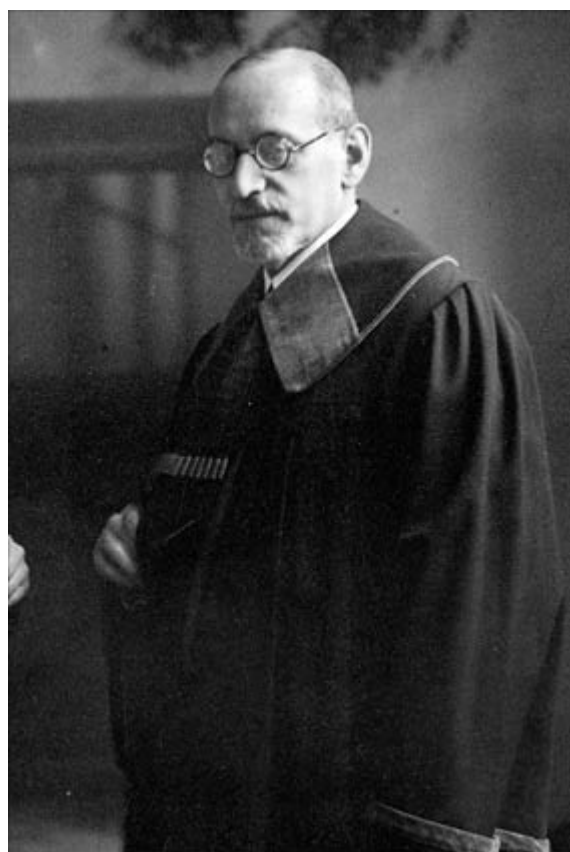
*Dezerner Józef Janik (2. z lewej) w drodze z sądu do więzienia, rok 1934.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Legioniści wraz z Żydami przed wejściem do synagogi, Kresy, 1914–1918.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Pasażerowie przed budynkiem stacji kolejki wąskotorowej w Jabłonie.  
Fot. Jan Binek, Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Obrońca, mecenas Kazimierz Sterling. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Kalisz – miasto rodzinne oskarżonego Jakuba Klotza. Plac 11 Listopada, koniec lat 30. XX wieku. Dawniej i obecnie Główny Rynek, tę historyczną nazwę przywrócono w 1990 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*W Chojnach uciekinierzy spod Wilna mieli otrzymać schronienie. Na zdjęciu kościół św. Wojciecha w Chojnach. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Starosta łódzki Antoni Remiszewski. Fot. Ludwik Hartwig, Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Obrońca oskarżonego, mecenas Eugeniusz Śmiarowski. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



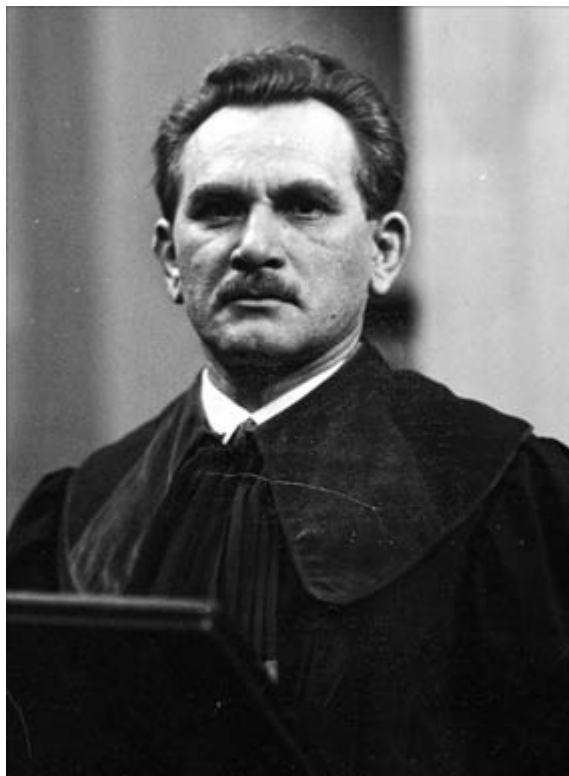
*Wilno, ulica Ostrobramska. Widok na Ostrą Bramę z cudownym obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, lata 30. XX wieku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Wejście do krypty podziemnej kościoła św. Teresy przy ulicy Ostrobramskiej w Wilnie, lata 30. XX wieku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Brama wjazdowa do gmachu Sądu Okręgowego w pałacu Paca przy ulicy Miodowej w Warszawie, rok 1926. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Prokurator Mieczysław Jarosz. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Kuluary sądowe w pałacu Pacy w Warszawie. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Zrujnowany pałac książąt Lubomirskich w Równem. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Generał Kazimierz Raszewski. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*





*Sklep rybny w Równem, rok 1934. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Sześćioletni bezdomny chłopiec w Równem, lata 20–30. XX wieku.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Siemion Budionny – dowódca sowieckiej 1 Armii Konnej, lata 40.  
XX wieku. Fot. Wikimedia Commons*



*Uczniowie Państwowego Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Równem przy szkolnej stacji meteorologicznej. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Uczennice ze szkolnego teatru marionetek w Państwowym Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Równem. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Wizyta prezydenta RP Ignacego Mościckiego na Wołyniu, pobyt w Łucku. Prezydent w towarzystwie metropolity Kościoła prawosławnego, czerwiec 1929 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Manifestacja antypolska w Gdańsku przed Dworem Artusa, sierpień 1939 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



# RADOŚĆ Z ODZYSKANEGO ŚMIETNIKA

**„Radość z odzyskanego śmietnika” – jak sarkastycznie nazwał polską euforię po odzyskaniu niepodległości Juliusz Kaden-Bandrowski w swej powieści Generał Barcz (w 1922, roku jej wydania – zdeklarowany piłsudczyk) – nie powstrzymała fali pozwów do sądu o zwrot majątków zabranych przez zaborcę za udział w powstaniach.**

Pusty do dna skarb państwa znalazł się w trudnej sytuacji wobec tych roszczeń. Pieniądzy brakowało na wszystko, a Polacy z innych klas społecznych niż dotknięte restrykcjami ziemiaństwo byli przeciwni regulowaniu rachunków za zaborców. Przypominali, że cały naród zapłacił wysoką cenę za odzyskanie niepodległości.

Cywilne procesy spadkobierców represjonowanych uczestników patriotycznych insurekcji tłumnie obserwowała publiczność. W pierwszych ławach zwykle siedzieli sympatycy poszkodowanych, często ubrani w powstańcze karmazynowe czapki o czterech rogach, w tylnych – broniący skarbu państwa mieszczanie i robotnicy.

## Oddaj moją ojcowiznę

## **Roszczenia spadkobierców o zwrot pałacu Zamoyskich**

– *Nie wystarczy przyjść do sądu w konfederatce i przy dźwiękach poloneza żądać od państwa datku* – powiedział przedstawiciel Prokuratury Generalnej na rozprawie w Sądzie Najwyższym w lutym 1930 roku. Oburzeni członkowie Stowarzyszenia Wzajemnej Pomocy Uczestników Powstania 1863 roku zaprotestowali w piśmie z 16 lutego do „Gazety Polskiej” przeciwko takiemu potraktowaniu spadkobierców bohaterskich Polaków. Prokuratura nie zmieniła jednak zdania. *Satysfakcja za gwałt ze strony najeźdźcy* – uzasadniała swoje stanowisko na łamach „Kuriera Warszawskiego” – *należy się całemu narodowi polskiemu, a nie pojedynczym jego jednostkom, gdyż ludzie za ojczyznę tracili nie tylko majątki, ale i życie.*

Długo walczyli w sądach spadkobiercy pałacu Zamoyskich w Warszawie przy ulicy Nowy Świat 67/69. (Dziś mieści się tam kilka wydziałów Uniwersytetu Warszawskiego).

To był piękny obiekt. Neorenesansowa fasada budynku nawiązywała do rzymskiego pałacu Cancelleria. Okazałą budowlę wzniesiono z inicjatywy hrabiego Andrzeja Artura Zamoyskiego, w latach 1858–1860 prezesa Towarzystwa Rolniczego, założyciela Spółki Żeglugi Parowej na Wiśle, a od 1850 roku przewodniczącego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskim, drugiej obok Banku Polskiego instytucji kredytowej. Majątek hrabiego w 1850 roku szacowano na prawie 2 miliony złotych polskich.

Zamoyski był patriotą. W rządzonym przez cara Priwisleniju<sup>[1]</sup> wielokrotnie narażał siebie i swoje mienie. Kiedy 27 lutego 1861 roku na Krakowskim Przedmieściu Kozacy zaatakowali demonstrujący tłum – pięćdziesiąt kul potoczyło się po bruku, zabiły pięciu przechodniów – wziął udział w pogrzebie, który był wielką manifestacją narodową. Warszawiacy ciała ofiar zanieśli do sali pompejańskiej Hotelu Europejskiego i przez całą noc ludzie czuwali

przy zmarłych. Od rana do kościoła Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu ciągnęły żałobnie ubrane tłumy.

Szykowała się rozmowa delegacji Polaków z carskimi władzami. Hrabia Andrzej Zamoyski wchodził w jej skład. Razem ze znanym handlowcem Leopoldem Kronenbergiem był już głęboko wciągnięty w konspirację. Niestety, delegaci niewiele wskórali, wybierając się po śmiertelnej strzelaninie na ulicach Warszawy do namiestnika księcia Gorczakowa. Carski pełnomocnik zapytał, czego chcą. Na to hrabia Zamoyski odpowiedział: *Żądamy, abyście opuścili nasz kraj*. To tylko rozbawiło namiestnika. Odprawiono ich z niczym.

Nazajutrz kupiec Szlenkier na znak solidarności z żałobą narodową polecił rozdać wszystkie czarne tkaniny ze swego sklepu bławatnego. Został za to na kilka miesięcy osadzony w Cytadeli. Po zwolnieniu, w przebraniu furmana, uciekł powozem do Paryża.

Już wcześniej, kiedy Królestwo Polskie wizytował tuż po koronacji w 1855 roku Aleksander II, hrabia Zamoyski był w reprezentacji witającej imperatora. Myślał, że w kulturalnej rozmowie wyjedna akt łaski dla skazanych na śmierć więźniów politycznych.

– *Żadnych marzeń, panowie* – powiedział wówczas car do Polaków, po francusku zresztą, choć dobrze znał język polski. Z zadowoleniem przypomniał, że na trasie jego przejazdu sypano kwiaty, a z balkonów i okien zwisały drogie dywany i transparenty z wielkim carskim orłem, który *adin gład miał na Kaukaz, a wtoroj na Jewropu*. Dla uczczenia imperatora na placu Ujazdowskim stanęły stoły suto zastawione mięsivem i chlebem. Gawiedź rozdrapała wszystko, na koniec rozebrano nawet deski na opał.

W 1862 roku Zamoyski musiał porzucić swoje interesy i wyjechać z Królestwa, do którego już nie wrócił. Carska *ochrana* wpadła na trop, że hrabia odgrywał główną rolę w przygotowaniu powstania przez tzw. Dyрекcję Białych – stronnictwo burżuazyjno-ziemiańskie.

W Warszawie było coraz niespokojniej. Funkcję carskiego namiestnika w Królestwie Polskim sprawował brat Aleksandra II, książę Konstanty. (To jego stryja, także Konstantego, chcieli zastrzelić w Belwederze powstańcy 1830 roku). 1 lipca 1862 roku



doszło do nieudanego zamachu na namiestnika na Dworcu Petersburskim (dziś Wileńskim). Sprawców schwytano. Zostali powieszani. Tydzień później Konstanty opuścił Warszawę, na jego miejsce przybył Fiodor Berg z zadaniem przywrócenia w zbuntowanym Priwisleniju porządku.

19 września 1863 roku z okien pałacu Zamoyskich na Nowym Świecie członkowie Żandarmerii Narodowej rzucili bombę na karetę wiozącą namiestnika Fiodora Berga. Nie trafili; Warszawa została srodze ukarana. W czasie rewizji pałacowych pomieszczeń kozaccy żołnierze wdarli się do salonu sędziwej siostry Chopina i wyrzucili na bruk fortepian, na którym Fryderyk ćwiczył jako uczeń Konserwatorium Warszawskiego.

Norwid napisał o tym wiersz:

(...)

*Oto – patrz, Fryderyku! To – Warszawa:*

(...)

*Patrz!... Z zaułków w zaułki*

*Kaukaskie się konie rwą*

*Jak przed burzą jaskółki,*

*Wyśmigając przed pułki*

*Po sto – po sto.*

*Gmach zajął się ogniem, przygasł znów*

*Zapłonął znów – i oto – pod ścianą*

*Widzę czoła ożałobionych wdów*

*Kolbami pchane*

*I znów widzę, acz dymem oślepiam,*

*Jak przez ganku kolumny*

*Sprzęt podobny do trumny*

*Wydźwigają... runął... runął... – Twój fortepian!*

(...)

*Jętkły – głuche kamienie: Ideal – sięgnął bruku*[2].

Mieszkańców pałacu pognano na Cytadelę; ich dobytek, zrzucony koło pomnika Kopernika, spłonął. Spalono i zniszczono zgromadzone przez rodzinę Chopina pamiątki po kompozytorze. Zrabowane klejnoty księżnej Róży Lubomirskiej jakiś Kozak sprzedawał później na ulicy, po rublu za perłę. Miasto musiało zapłacić wysoką kontrybucję.

Skonfiskowany pałac został zamieniony na biura wojskowe, sąd wojenny warszawski i klub rosyjski. W sąsiednich budynkach należących do kompleksu pałacowego mieściły się sklepy i magazyny.

Berg zasiedział się w Warszawie na 11 lat, w okresie jego panowania powieszono 1500 osób. Kiedy w Cytadeli ginął Romuald Traugutt, namiestnik wysłał depezę do cara: *Nasza walka staje się coraz skuteczniejsza.*

Po opuszczeniu Warszawy przez Rosjan spadkobiercy wystąpili do Naczelnika Państwa, aby oddano im pałac, zajęty przez jedno z ministerstw II RP. Petycja trafiła do Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych. Odpowiedziano, że rozstrzygnięcie sprawy będzie wstrzymane, aż do powzięcia przez sejm uchwały w przedmiocie majątków skonfiskowanych przez zaborców.

Krewni Andrzeja Zamoyskiego nie chcieli czekać, wystąpili do sądu. Czasopismo endeckie „Myśl Niepodległa” określiło te roszczenia jako bezczelne: *Rzeczpospolita powstała na zgliszczach, ocalały z pożogi gmach służy jednemu z ministerstw.*

Przez prasę przetoczyły się dyskusje znanych prawników. Przestrzegali, że rozstrzygnięcie w sprawie Zamoyskich będzie precedensem: inni wywłaszczeni przez rząd carski niecierpliwie czekają na decyzję. Przedstawiciel Prokuratury Generalnej apelował w „Robotniku”, aby *odrzucić beletrystyczno-historyczny balast i twardo stanąć na gruncie ekonomiczno-państwowym.*

Sąd okręgowy pozew Zamoyskich oddalił. Podobnie rozumował sąd apelacyjny. W 1930 roku sprawa kamienicy na Nowym Świecie

67/69 trafiła na wokandę Sądu Najwyższego. Powodowie powołali się na orzeczenie wydane przez kompletny skład sędziowski Izby Pierwszej SN z maja 1928 roku, że wszelkie akty rosyjskie, na których opierała się konfiskata, były bezprawne. Sąd Najwyższy uchylił wyrok sądu apelacyjnego i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia. Tymczasem wszystkie tego rodzaju sprawy zostały zawieszono, bo ukazała się długo oczekiwana ustawa, umożliwiająca odzyskanie majątku po obydwu powstaniach. Trzeba było jednak zapłacić podatek, sięgający 30 procent jego wartości. Dla wielu spadkobierców, zubożałych w czasie wojen poprzedzających odzyskanie niepodległości, była to zaporą nie do przebycia. Rodzina hrabiego Zamoyskiego znalazła się w takiej sytuacji.

W rozstrzyganiu tego rodzaju roszczeń przyjmowano różne interpretacje prawne. Na przykład Maria Uszycka uzyskała zwrot swej ojcowizny w Witwińcu (powiat brzeski), skonfiskowanej za udział jej ojca w powstaniu styczniowym bez konieczności płacenia podatku. Prokuratoria Generalna długo się opierała w zaakceptowaniu tego wyroku. Jej prawnicy z tytułami doktorskimi dowodzili, że Polska jest państwem nowo powstałym i żadnych takich zobowiązań nie przejęła od zaborcy. Konfiskata majątków była w rozumieniu prawa międzynarodowego karą. (Powołano się na przykład Alzacji i Lotaryngii). Tytuł własności państwa polskiego został w stosunku do skonfiskowanych majątków wzmocniony traktatem ryskim.

Taka interpretacja wywołała oburzenie publiczności w konfederatkach. Maria Rodziewiczówna, sama zainteresowana zwrotem jej rodzinnego majątku, napisała w „Expressie Porannym”:

*Słuchając mowy reprezentantów urzędów Rzeczypospolitej Polskiej, pytam się w duchu, czy ci ludzie mówiący po polsku są Polakami, gdyż oświadczenia, które słyszałam, nie mogły wyjść z duszy Polaka. (...) Więc kary, które spadły na Polaków za ich walkę o wolność ojczyzny, były karami legalnymi? Więc my nie*

*jesteśmy dalszym ciągiem Polski Piastów, Jagiellonów, Polski przedrozbiorowej, ale nowotworem bez przeszłości?*

Adwokaci Uszyckiej argumentowali (co upubliczniła „Gazeta Warszawska” z 6 marca 1930 roku), że powołanie się na rozstrzygnięcia w Alzacji i Lotaryngii jest niewłaściwie. Nie ma analogii. Tam była umowa między dwoma niepodległymi państwami. Zabór rosyjski to bezprawie, dlatego dawne prawa własnościowe obywateli polskich nie mogą być zdezaktualizowane.

Sąd przychylił się do tego stanowiska.

Długo toczył się proces przeciw skarbowi państwa spadkobierców hrabiego Tadeusza Tyszkiewicza – walczyli oni o odzyskanie majątku. Rodzina domagała się tylko zwrotu skonfiskowanych przez Moskali 23 tysięcy hektarów Puszczy Białowieskiej, w okolicach należącego do hrabiego miasteczka Świsłocz. Zrzekła się gruntów rolnych zajętych przez osadników wojskowych i włościan, a także prawa do pałacu.

Tadeusz Tyszkiewicz, wierny Napoleonowi, który obiecał uciemiężonym Polakom wolną ojczyznę, zaciągnął się w 1805 roku do jego wojsk. Bił się dzielnie, po pokoju w Tylży wrócił do Księstwa Warszawskiego w randze pułkownika. Potem szedł z Bonapartem na Moskwę. W czasie odwrotu Francuzów pod Medyną wpadł pod lance Kozaków i omal nie zakłuli go na śmierć. Już w randze generała dostał się do niewoli moskiewskiej, skąd wrócił do Warszawy w 1814 roku. W powstaniu listopadowym Tyszkiewicz jako premier rządu tymczasowego na Litwie walczył na czele własnego pułku. Ranny podczas oblężenia Pragi, przedarł się do Małopolski, stamtąd ruszył do Francji. Zmarł na emigracji w Paryżu.

Sąd Najwyższy uwzględnił pozew spadkobierców. Ale Dyrekcja Lasów Państwowych ociągała się z oddaniem majątku. Pod koniec grudnia 1933 roku „Kurier Warszawski” pisał:

*Spadkobiercy generała Tyszkiewicza po długim, cierpliwym i lojalnym oczekiwaniu wystąpili do komornika, który wezwał Skarb Państwa do wykonania wyroku w ciągu 3 dni. Lasy Państwowe usiłowały podważyć wyrok SN stwierdzeniem, że spadkobiercy nie*

*wpłacili sporego podatku. Ale okazało się, że ustawa wywłaszczeniowa weszła w życie już po wydaniu wyroku, a prawo nie działa wstecz. Tyszkiewiczowie odzyskali prawa do puszczy wokół Świsłocza.*

## **Bibliografia**

„Gazeta Polska” – wyd. z 15 lutego 1930 r.

„Gazeta Warszawska” – nr 48 i 67 z 1930 r.

„Express Poranny” – wyd. z 21 lutego 1930 r.

„Kurier Warszawski” – nr 356 z 1924 r.; wyd. z 11 maja 1928 r.; 15 lutego i 17 października 1930 r.; nr 349 z 1933 r.; nr 301 z 1936 r.

Wznoszenie II RP z wojennych zgliszczy było obwarowane restrykcyjnymi przepisami.

Ustawy z 1 sierpnia 1919 i 18 marca 1921 roku o zwalczaniu przestępstw popełnionych z chęci zysków przez urzędników, również wojskowych, przewidywały karę śmierci przez rozstrzelanie. W samym tylko roku 1920 sądy wojskowe skazały na śmierć 24 mundurowych, a dwa lata później z paragrafu „marcówki” rozstrzelano 93 skazanych.

Prawnicy bardzo krytycznie wypowiadali się o tzw. „marcówce”. Znany adwokat Leon Okręt napisał o tej ustawie:

*...jest nie dość giętka życiowo, za kategoryczna. (...) Nie może dać tych uzdrawiających wyników, jakich czekał od niej prawodawca, który łudził się, że można długo, zbyt długo, wyjątkowym prawem leczyć zanadto wiele niedomagań i leczyć jednakowo, średniowiecznym ogniem.*

Ale organy ścigania miały inne zdanie. Na procesie podporucznika Jana Wereszczyńskiego – który jako oficer kasowy Wojskowego Urzędu Gospodarczego roztrwonił ponad 20 milionów marek – prokurator zażądał dla oskarżonego kary śmierci.

## Niech miecz opadnie

### **Oskarżony: Jan Wereszczyński, zarzut: defraudacja**

– Natłok na sali rozpraw był tak olbrzymi – donosił „Kurier Warszawski” 1 października 1921 roku – że w ciągu procesu musiano przenieść się do największej sali Sądu Wojskowego w Warszawie. Na rozprawy mogli się dostać tylko posiadacze biletów.

Sprawozdawca sądowy zastanawiał się, co bardziej przyciągnęło publiczność: zawrotna suma przekraczająca 20 milionów marek, które podporucznik Jan Wereszczyński zdefraudował, czy jego wykwintnie ubrana żona zeznająca jako świadek.

*Niektórzy szeptali, że owe miliony przepuścił na nią, córkę stróża, późniejszą tancerkę kabaretową, której nigdy nie było dość pieniędzy na stroje. Inni, bardziej wtajemniczeni, wiedzieli swoje: to szwagier Tadeusz Przybylski był złym duchem podporucznika. Obiecując krociowe zyski, wciągnął go w ciemne interesy i zostawił z pustą kasą.*

Mecenas Nowodworski, próbując usprawiedliwić swego klienta, tak go przedstawiał: to człowiek naiwny, zmanipulowany przez oszusta szwagra. Przybylski zjawił się w wolnej Polsce jako budzący szacunek wygnaniec z Bolszewii. Z Rosji przywiózł wraz z nienawiścią do bolszewików garść brylantów, za które otworzył z bratem dom handlowy; sprzedawano w nim, jak to się mówiło, mydło i powidło. Interes nie szedł dobrze, choć właściciele byli niezłymi spekulantami. Wereszczyńska w zaciszu małżeńskiej sypialni namówiła męża, oficera gospodarczego, aby wsparł szwagra rządowymi pieniędzmi. Pożyczka miała być spłacona z procentami.

Porucznik dał Przybylskiemu ze skarbu państwa trzy czeki w sumie na 19 milionów polskich marek. Pieniądze nie poszły w całości na rozwój domu handlowego. Znaczną część panowie przepuścili, bawiąc się w kasynach.

Prokurator zaczął mowę od charakterystyki oskarżonego:

*– Chociaż pochodzi z dobrej rodziny i jest synem pułkownika armii polskiej, zupełnie odpadł od swego środowiska i otoczenia. Lubił przebywać w świecie fałszywych hrabin i niebieskich ptaszków...*

Chwilę potem oskarżyciel publiczny uderzył w wysokie tony:

*– Są zbrodnie, które wywołują krzyk rozpacz. Do takich należą czyny Wereszczyńskiego. Polska powstała dzięki grupie bohaterów, którzy ujrzeni ją wreszcie w pełni rozwoju za cenę własnej krwi i własnego kalectwa, za cenę swych niepomiaralnych poświęceń.*

*Każdy czyn skierowany na szkodę Najjaśniejszej jest nikczemnością i zbrodnią. I ten, kto go popełnia, nie wart być żołnierzem polskim, nie godzien jest imienia obywatela Rzeczypospolitej. Polska, która boryka się z trudnościami i toczy nierówną walkę z wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi, ma największego wroga wewnątrz. Jest nim korupcja, sprzedajność, wyzysk i nieuczciwość. Boleśnie pomyśleć, że wszystkie te przywary spotykamy u człowieka, który miał wysoki zaszczyt nosić mundur oficera polskiego.*

Wereszczyński uśmiechał się, słuchając aktu oskarżenia.

*– Może przed nim – skomentował to prokurator – jako przed nami przesuwać się w tej chwili cienie zrabowanych z kasy skarbowej pełną garścią milionów i widmo bogatego i zbytkownego życia, które pragnął nabyć za cenę tych skarbów. Ale wszystko to przeszłość. Ostała się surowa rzeczywistość. Pozostał tylko miecz odpowiedzialności, który wisi już nad głową i lada chwila spadnie.*

Prokurator zażądał dla defraudanta kary śmierci.

Obrońca, adwokat Stanisław Szurlej<sup>[3]</sup>, usiłował uchronić oskarżonego przed tą ostatecznością.

Uznawał winę swego klienta i każdą karę, jaką ma ponieść, poza karą śmierci. Wereszczczyński – uświadamiał sądowi – człowiek o umyśle miernym, megaloman, został oficerem kasowym, nie mając żadnej fachowej wiedzy. Dysponował setkami milionów państwowych marek i nikt go nie pytał o kwalifikacje, nikt nie kontrolował.

*– Gdybym mógł – wołał dramatycznie mecenas, kończąc długą mowę – uzyskać zupełne uwolnienie porucznika skinieniem palca mojej ręki, nie ruszyłbym palcem, ale przeciwko śmierci zwracam się z całą mocą mego przekonania, nie z obowiązku obrońcy, tylko prosząc, aby mu wymierzono sprawiedliwość.*

Z procesu tego wieje taka beznadziejna pustka – relacjonował Włodzimierz Ostoja-Zagórski w „Kurierze Warszawskim” – otwiera się przed oczami taka czarna przepaść, że ostrą goryczą napęłnia się sen patrioty o Armii Wolnej Polski. Klucze do wojskowej kasy dostępne szeregowcom i ordynansom, książeczki czekowe walające



*się po szufladach biur, księgi w nieporządku, inne w ogóle nie prowadzone i niesłychany brak kontroli ze strony przełożonych władz i dowodów napełniają wprost przerażeniem. Podejrzana spółka Jana Wereszczyńskiego ze szwagierkiem, za którym stoi banda opryszków i zbójów, jaskrawo odbija się od tego ideału, jakim chcielibyśmy widzieć oficera w polskim mundurze. Z procesu dowiedzieliśmy się smutnej prawdy: w młodej naszej armii etyka poszczególnych funkcjonariuszy jest przerażająco odmienna od odpowiadającej najniższym wymaganiom. Tych poważnych niedbalstw i przewinień tolerować nie wolno. Kara śmierci na defraudantów jest nie tylko ustawowa, ale rzeczywiście stosowana. Niech w Polsce dla Wereszczyńskich nie będzie litości.*

Wereszczyński został rozstrzelany.

Przybylskiego sąd skazał na 4 lata więzienia.

## **Bibliografia**

„Kurier Warszawski” – wrzesień, październik 1921 r.

„Kurier Poranny” – styczeń 1922 r.

„Rzeczpospolita” – nr 26 i 271 z 1921 r.

*Mowy sądowe*, zebr. i oprac. Szymon Gelernter, Warszawa 1925.

L. Okręt, *Półtora roku sali sądowej*, Warszawa 1925.

- W odrodzonym państwie nie nastąpiło odrodzenie duszy narodu (...). Szuje i łajdaki rozpanoszyły się. Rozwielmożniło się w Polsce znikczemnienie ludzi. Swobody demokratyczne zostały nadużyte tak, że można by zniechęcić całą demokrację, interes partyjny przeważał ponad wszystko. (...) Wydałem wojnę szujom, łajdakom, mordercom i złodziejom, w walce tej nie ulegnę! – wykrzyczał z trybuny sejmowej marszałek Piłsudski dwa tygodnie po zamachu rządowym z maja 1926 roku, w którym zginęło 379 osób, a blisko 1000 zostało rannych.

## Od gazowej maski do marszałkowskiej laski

### Oskarżony: gen. Michał Żymierski, zarzut: korupcja

Dwa tygodnie przed przewrotem wszczęto śledztwo przeciwko generałowi Michałowi Żymierskiemu.

Podejrzany był walecznym legionistą (pod Kaniowem został ciężko ranny), bardzo utalentowanym wojskowo. Generałem został w wieku 35 lat, niedługo po wojnie polsko-bolszewickiej. Z osobliwą dezynwolturą poczynił sobie ze swoim nazwiskiem. Na świat przyszedł jako syn kolejarza Łyżwińskiego. Jego brat zamordował w Krakowie pewnego antykwariusza i nastoletni Michał odciął się od najbliższych krewnych, zmieniając nazwisko na Żymirski. Informował otoczenie, że jest potomkiem wślawionego dzielnością generała Żymirskiego, walczącego w czasie powstania listopadowego pod Olszynką Grochowską. Kiedy zdementowała to prawdziwa rodzina bohatera, późniejszy generał wstawił sobie w nazwisko literkę „e”. Został Żymierskim. Jako zastępca szefa Administracji Armii Żymierski był przeciwny zamachowi majowemu w 1926 roku i opowiedział się po stronie prezydenta Wojciechowskiego oraz legalnego rządu.

Prokurator wojskowy zarzucał Michałowi Żymierskiemu, że w 1924 roku przekupiony łapówką, wydał zgodę na zakup 100 tysięcy masek przeciwgazowych – w cenie 24 zł 80 gr za sztukę – od francuskiego wspólnika, firmy Protekta. Zdaniem śledczych realna cena masek nie powinna przekraczać 16 zł 25 gr. Na domiar złego, 42 procent masek miało złą wentylację wydechową i trzeba je było wyrzucić. Okazało się, że wypłacona Protekcie, na polecenie generała Żymierskiego, nadmiernie wysoka zaliczka przewyższała aż 7,5-krotnie kapitał spółki. Straty skarbu państwa wyniosły 150 tysięcy dolarów. Za ułatwienie Protekcie zdobycia tak wielkiego zamówienia generał dostał od firmy 1000 złotych, 878 dolarów amerykańskich oraz 600 akcji podwarszawskiej firmy „Ursus”. Ponadto dał się przekupić, przyjmując zaproszenia do drogich restauracji czy korzystając z luksusowego samochodu przedstawiciela Protekty podczas wycieczek po Francji.

Podejrzany tłumaczył się, że nie brał łapówek; mógł sobie pozwolić na wystawny tryb życia, gdyż wcześniej, w czasie studiów wojskowych w Paryżu, zaoszczędził pokaźną sumę franków.

Sędzia śledczy wysłał oficera żandarmerii do Paryża, aby zweryfikował wyjaśnienia podejrzanego, badając dokumentację francuskiego udziałowca Protekty – Banku Zjednoczonych Kooperatyw. Oficer wrócił z wiadomością, że Michał Żymierski dostał 878 dolarów od Józefa Saksona, dyrektora banku. Ponadto na rachunek dolarowy Jadwigi Orłowej, kochanki generała, zostało wpłacone przez tę samą osobę 10 tysięcy złotych.

Żymierski został aresztowany. Nie mógł się z tym pogodzić. Napisał zażalenie do sądu, że jako generał brygady przebywa pod kluczem w jednym pomieszczeniu z notorycznymi kryminalistami, dezertkami i innymi „wyrzutkami i szumowinami armii”. Cella jest mała, wilgotna, brak w niej powietrza i światła; z wadliwej kanalizacji wydostają się fetory.

– *Wszystko w normie* – odpowiedziano mu.

Żymierski, prawnik z wykształcenia, pisał też skargi do marszałka Piłsudskiego, że śledztwo prowadzone jest tendencyjnie, odbiera je

jako zemstę za udział w wypadkach majowych po stronie rządowej. Twierdził, że sędzia śledczy czynił świadkom obietnice korzystnych kontraktów w dostawach dla armii, w zamian za zeznania negatywne dla podejrzanego.

Marszałek nie odpowiedział, ale pewnej nocy aresztant został zawieszony do Belwederu. Nie wiadomo dokładnie, co było treścią rozmowy. Jak podaje Jerzy Poksiński, historyk II RP, Żymierski stworzył kilka wersji tego zdarzenia, znacznie odbiegających od siebie. Współwięźniom po powrocie do celi mówił, że Piłsudski złożył mu propozycje, o których musi milczeć. Swemu przyjacielowi legionście, Karolowi Popielowi, zwierzył się, że Marszałek zaczął rozmowę od deklaracji: władzę w Polsce objął na długo i jest zdecydowany zrobić generalny porządek. Departament administracji wojskowej zaś to siedlisko korupcji i pomówień i radzi generałowi, aby „po szczęśliwym przejściu epizodu śledczego” przeszedł na stanowisko komendanta Wyższej Szkoły Wojennej. Pod koniec audyencji Piłsudski zadał Żymierskiemu pytanie: *Wyście tak blisko byli Sikorskiego, powiedzcie szczerze, jakie on robił interesy?* Aresztant miał odpowiedzieć: *Komendancie, w obliczu mej najdroższej, umierającej matki oświadczam, że o żadnych interesach Sikorskiego nie wiem, w ministerstwie praca była rzetelna i uczciwa...*

Generał poprosił o przyśpieszenie jego sprawy ze względu na matkę, którą chciałby się zajmować na wolności. Marszałek ponoć odpowiedział: *Potrzeba mi na razie, abyście posiedzieli, i musicie to przetrzymać.*

Sędzia śledczy odmawiał aresztantowi wpisania do protokołu wizyty w Belwederze. Dopiero, gdy ten zagroził głodówką, odnotował, że przed trzema dniami w porze nocnej nieznanymi osobnikami wprowadzili Żymierskiego z celi więziennej i przedstawili Czynnikowi Nadrzędnemu.

Nie był Żymierski jedynym generałem, który trafił do aresztu w gorących dniach majowych. Taki sam los spotkał m.in. legionistę

Włodzimierza Zagórskiego, szefa Departamentu Lotnictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych.

On również był skonfliktowany z Piłsudskim, to spór jeszcze z czasów Pierwszej Brygady. W rezultacie w 1916 roku odszedł z komendy Legionów. Ale kiedy w 1923 roku Marszałek demonstracyjnie zrzekł się funkcji szefa Sztabu Generalnego WP, aby zamknąć się w Sulejówku, Zagórski wszedł na polityczną arenę, obejmując Departament Lotnictwa.

Tuż po przewrocie majowym, 12–15 maja 1926 roku, w „Monitorze Polskim” ukazała się informacja: *Gen. brygady Włodzimierz Zagórski obwiniony jest o brak kontroli, jako szef Departamentu Lotnictwa Ministerstwa Wojskowego. (...) Skarb Państwa poniósł znaczną szkodę.*

W czasie śledztwa generał zamknięty w wileńskim więzieniu pisał pamiętniki. Zamierzał je wydać, gdy wyjdzie na wolność, o czym doniosła endecka „Gazeta Warszawska”. Jest wielce prawdopodobne, że niejeden akapit Zagórski poświęcił przedstawieniu Piłsudskiego jako płatnego współpracownika wywiadu austriackiego. Wiedział o tym z pierwszej ręki jako oficer austriackiego wywiadu w czasie zaborów. Współpraca Piłsudskiego z Wiedniem była w kręgach wojskowych tajemnicą poliszynela, ale przyszły marszałek twierdził, że nie brał za szpiegowanie pieniędzy, a jedynym powodem sprzedania się była chęć utworzenia za zgodą zaborcy polskich oddziałów zbrojnych.

Memuary Zagórskiego zaginęły w dziwnych, niewyjaśnionych okolicznościach.

4 sierpnia 1927 roku w Belwederze zapada decyzja sprowadzenia aresztanta Zagórskiego do Warszawy. Ma go przywieźć pociągiem z Wilna kapitan Milanowski. Około godziny dwudziestej, Zagórski dojeżdża na Dworzec Wileński. Bagaż, w którym prawdopodobnie były jego pamiętniki, pozostawia w przechowalni.

Jak zeznali potem w sądzie świadkowie oskarżenia, czekał na niego wojskowy ford, aby zawieźć go do Belwederu. Więzień chciał się wykąpać, prosił o zatrzymanie samochodu na Krakowskim

Przedmieściu, koło łaźni „Pod Messalką”. Wysiadł i wtedy wszelki ślad po nim zaginął.

13 sierpnia w gazetach pojawia się list gończy za generałem, który nie stawiał się na spotkanie w Belwederze. Oficer jest oskarżony o dezercję. „Ilustrowany Kurier Codzienny” sugeruje, że Zagórski uciekł do Niemiec lub Bolszewii. „Głos Prawdy” – że na Litwę. Są spekulacje: podobno w fordzie jechał sobowtór Zagórskiego, a ten prawdziwy został uprowadzony wiśniowym cadillakiem, należącym do wyposażenia Belwederu, który dostrzeżono owego wieczoru przed dworcem. Tego dnia pojazd był oddany do dyspozycji pułkownika Wieniawy-Długoszowskiego.

Tajemnica zaginięcia generała Zagórskiego nie została dotąd wyjaśniona.

W kwietniu 1927, po roku od wszczęcia postępowania przygotowawczego, akt oskarżenia Michała Żymierskiego wpłynął do sądu. Sędzia śledczy dołączył listę ponad 100 świadków, w tym wielu generałów.

Publiczność wpuszczano na salę sądową za biletami. Większość obecnych знаła zarzuty, bo w dniu rozprawy opublikował je „Kurier Czerwony”.

Po odczytaniu przez prokuratora aktu oskarżenia sędzia przewodniczący zapytał Michała Żymierskiego, czy przyznaje się do zarzutów.

*– Nie poczuwam się do żadnej winy. Nie popełniłem żadnego przestępstwa. Nie naraziłem munduru oficerskiego na hańbę, ani też skarbu państwa na straty –* odpowiedział oskarżony, służbiście prężąc się w generalskim mundurze.

Po czym zaczął szczegółowo wyjaśniać, co skrzętnie odnotowała „Gazeta Poranna Warszawska”:

*– Armia nasza w 1924 roku była zupełnie nieprzygotowana do obrony przeciwgazowej. W wojsku używano starych masek francuskich i rosyjskich z licznymi latami. W budynkach Instytutu*

*Obrony Gazowej mieściły się orkiestry dęte. Istniała pilna konieczność zakupu nowych masek...*

Prokurator przerwał ten wykład, aby przepytować generała o codzienne wydatki. Chciał udowodnić, że pieniądze na bankowym koncie oskarżonego pochodziły z wręczonej mu łapówki, bo sam nie mógł zgromadzić tak dużych oszczędności.

*– Moje wydatki były bardzo skromne – tłumaczył oskarżony. – Mieszkanie miałem rządowe, jadałem w kasynie oficerskim, na życie nie wydawałem więcej niż 250 zł miesięcznie. Miałem możliwość poczynienia oszczędności w czasie odkomenderowania na studia do Paryża. Początkowo diety dzienne wynosiły 60 franków, potem je podwyższono do 65. Dostawaliśmy specjalne dodatki za podróże służbowe. W sumie zaoszczędziłem we Francji 16.230 franków. Po powrocie do kraju zamieniłem je na 700 dolarów, pozostawiając sobie do dyspozycji 3000 franków.*

*– Ile pan generał zapłacił za sztychy Norblina?*

*– Kupiłem je okazjnie, bawiąc w Wersalu.*

*– A brązy i statuetki?*

*– To był prezent.*

*– A dlaczego na dostawcę masek wybrał pan francuską Protektę?*

*– To była bardzo dobra oferta, zwłaszcza że produkcja miała się odbyć w Polsce, w Radomiu.*

Przeczył temu świadek, inżynier Edmund Kummanta, były producent masek przeciwgazowych w Rosji. Oceniał, że umowa zawarta przez Ministerstwo Spraw Wojskowych na produkcję masek w Protekcie była niekorzystna, gdyż zamówiony sprzęt typu A.R.S. [4] nie odpowiadał warunkom technicznym instrukcji opracowanej przez ministerstwo. Krytycznie ocenił też lokalizację wyrobu masek. Powinno się je wytwarzać w kilku zakładach, a nie w jednym, aby w razie bombardowania lotniczego uniknąć zniszczenia całej produkcji.

Zdecydowanie negatywnie ocenił typ maski przeciwgazowej produkowanej przez Protektę świadek dr Józef Bednarz[5], lekarz

medycyny, były naczelnik Wydziału Przeciwigazowego w Głównym Zarządzie Artylerii Armii Rosyjskiej w Moskwie. Nie wytrzymała porównania z angielskimi czy rosyjskimi.

Świadek pułkownik Władysław Wielowiejski, który kontrolował wykonanie umowy zawartej między Protektą a Ministerstwem Spraw Wojskowych, potwierdził, że zaliczki dla fabryki masek przeciwigazowych nie powinny być udzielane przed uruchomieniem produkcji.

Biegli rzeczoznawcy od ksiąg buchalteryjnych Banku Zjednoczonych Kooperatyw i Protekty negatywnie wypowiedzieli się o kondycji finansowej tego producenta, który wbrew zapowiedziom nie wniósł kapitału zakładowego w wysokości 400 tysięcy złotych i posługiwał się fikcyjnymi dokumentami.

Wywiązała się polemika między świadkiem Józefem Saksonem, przedstawicielem Banku Zjednoczonych Kooperatyw (udziałowca Protekty), a biegłym ppłk. Staszewskim i mec. Stanisławem Szurlejem, obrońcą oskarżonego.

Adwokat: – *Czy kapitał zakładowy Protekty został wpłacony?*

Sakson: – *Tak.*

Szurlej do biegłego: – *Czy to jest prawda?*

Rzeczoznawca: – *Z całą stanowczością zaprzeczam. Wszystkie przedstawione sumy są fikcją. Pan Sakson stara się przekonać wysoki sąd gołosłownym twierdzeniem, do mnie zaś przemawiają liczby. To, co mówi świadek, nie jest uwidocznione w księgowości. Komu więc wierzyć: dokumentom czy panu Saksonowi?*

Sakson: – *Oczywiście mnie.*

Inni świadkowie z Ministerstwa Spraw Wojskowych zeznawali, że Żymierski zdecydowanie przyśpieszał załatwienie spraw popieranej przez niego firmy i był głuchy na argumenty specjalistów mających zastrzeżenia do projektu umowy z francuską fabryką.

Tak między innymi wypowiedział się major Franciszek Sarnka, do którego obowiązków należała realizacja projektu budowy fabryki masek przeciwigazowych w Polsce. W tym celu prowadził wstępne



pertraktacje z kilkoma przemysłowcami, między innymi z Leonem Skulskim.

*– W chwili, gdy rozmowy dobiegały do fortunnego końca – zeznawał świadek – generał Żymierski oświadczył mi, że należy nawiązać kontakt z Bankiem Zjednoczonych Kooperatyw, a konkretnie z panem Saksonem. Miałem z tego powodu obiekcje, gdyż uważałem grupę Skulskiego za solidną, ale generał odpowiedział, że jest to życzenie generała Władysława Sikorskiego, który ma na uwadze względy polityczne. Od tej chwili moje stosunki z generałem Żymierskim uległy znacznemu oziębieniu, odnosiłem wrażenie, że w układzie z Protektą chodzi tylko o geszeft.*

Generał dywizji Władysław Sikorski nie odniósł się do zeznania poprzedniego świadka o politycznym aspekcie wyboru Protekty, ale uważał, że decyzja o wyborze tego producenta była słuszna.

Dziennikarzy i publiczność nużyły buchalteryjne dociekania, ale nikt nie opuścił sali rozpraw nawet wówczas, gdy sąd przystąpił do odczytania 370 stron dokumentów, które uznano za materiał dowodowy w sprawie.

Czekano na dwóch świadków: Jadwigę Orłową, wdowę po nauczycielu, i Martę Bielecką, aktorkę rewiową – obie były kochankami Żymierskiego. Oskarżony wyraźnie obawiał się zeznań tych kobiet i usiłował wykreślić je z listy osób do przesłuchania. Już na pierwszej rozprawie przedstawił sądowi oświadczenie, że śledztwo przeciwko niemu było prowadzone stronnictwo; kiedy nie znaleziono dowodów na przekroczenia służbowe, zaczęto ich szukać w życiu prywatnym podejrzanego, „poczynając od kolebki”.

Skarga oskarżonego nie została uwzględniona. Wezwany na świadka Alfred Zbyszewski, kierownik Wydziału Wywiadowczego Ministerstwa Skarbu, zeznał, że Żymierski do tego stopnia terroryzował panią Bielecką, iż jakiś czas temu postanowiła popełnić samobójstwo i odkręciła kurki gazowe. Pogotowie w stanie bardzo ciężkim odwiozło ją do szpitala.

Złożony w tym momencie wniosek mecenas Szurleja o zarządzenie przez sąd rozprawy tajnej – ze względu na naruszenie

pewnych zasad przyjętej obyczajowości – został oddalony.

Świadek Zbyszewski mówił dalej:

*– Marta Bielecka zwierzyła mi się, że dwukrotnie w czasie kłótni spoliczkowała Michała Żymierskiego, gdyż postępował wobec niej haniebnie.*

Eksnarzeczona generała, jak pisano o Bieleckiej w „Gazecie Warszawskiej Porannej”, potwierdziła zeznania Alfreda Zbyszewskiego, „dodając szereg intrygujących szczegółów”, bowiem wzajemnie się uderzali.

*– Chciałem wyjaśnić – ripostował oskarżony – że z mojej strony nie było to spoliczkowanie, lecz próba ocucenia świadka. Pani Bielecka pewnego wieczoru siłą weszła do gabinetu w restauracji Lagnera, gdzie się posilałem, i zrobiła mi scenę zazdrości, krzycząc, a następnie mdlejąc.*

*– Inne przyczyny – zeznała Marta Bielecka – skłoniły mnie do gwałtownego wejścia do zacisznego gabinetu. Generał znajdował się tam w towarzystwie mojej siostrzenicy. Chcąc zapobiec jej kompromitacji, musiałam pokonać drzwi siłą.*

Zapytana o sytuację finansową oskarżonego w czasie ich związku, artystka narzekała na jego skąpstwo. Rzadko przywoził jej ze służbowych podróży do Francji prezenty. Raz dostała trzy pary pończoch. Często chodziła natomiast wraz z generałem na obiady do drogich restauracji, spożywane w towarzystwie pana Saksona i pośła Karola Popiela. Rachunki zawsze regulował Sakson. Przy niej nie rozmawiali o interesach. Jeśli mieli taką potrzebę, generał kazał jej wyjść i zamykali się w gabinecie na klucz.

Wielkie poruszenie, jak relacjonował reporter „Gazety Warszawskiej”, wywołało wejście na salę Jadwigi Orłowej. Gazety odnotowały również, że świadek – w odróżnieniu od pretensjonalnej w wyglądzie Bieleckiej – *była ubrana skromnie, ale elegancko. Zeznawała cicho, głosem z lekka drżącym, jakby przez łyzy.*

*– Generała Żymierskiego poznałam w Borysławiu w 1919 roku – mówiła. – Byłam wdową po Aleksandrze Orłowie, dyrektorze miejscowego gimnazjum. Nawiązaliśmy bliższą znajomość*

*i zostałam jego narzeczoną. Jakiś czas mieszkaliśmy w Grodnie, a potem przez dwa lata w Paryżu, gdzie był oddelegowany na studia wojskowe. Po przyjeździe do Francji miałam swoje oszczędności, w sumie 3000 dolarów. Część tych pieniędzy złożyłam w interesie drzewnym na imię Michała Żymierskiego, gdyż byłam przekonana, że z nim więcej będą się liczyć. Gospodarstwo prowadziliśmy wspólnie. To było skromne życie. Razem nasze wydatki wynosiły 1400 franków miesięcznie.*

Po dwóch latach wrócili do Polski.

*– Poprosiłam o zwrot moich pieniędzy – przytaczała zeznania świadka „Polska Zbrojna” – bowiem między nami stosunki zmieniły się zasadniczo. Generał nie dysponował jednak gotówką. Zgodziłam się na 10 tysięcy zł, na które pan Żymierski dał mi kartkę do pana Saksona. Gotówki na rękę nie otrzymałam, tylko procent od tej sumy. Od jakiegoś czasu jednak zupełnie zaprzestali mi wypłacać procenty, przeto oddałam sprawę adwokatowi.*

Na pytanie przewodniczącego składu sędziowskiego o wysokość ewentualnych oszczędności generała we Francji Orłowa oceniła je na blisko dwa tysiące dolarów.

Z kolei świadek, pułkownik Władysław Anders, dowódca Samodzielnej Brygady Kawalerii, który studiował z Żymierskim w Paryżu, usiłował przekonać sąd, że kolega z uczelnianej ławy nie musiał w rozliczeniach z panią Orłową ratować się łapówką od dyrektora Protekty.

*– W Paryżu poznałem tryb życia generała. Był bardzo skąpy. Na upartego można było zaoszczędzić miesięcznie po kilkaset franków.*

Zapytany przez prokuratora, czy sam zgromadził jakieś oszczędności, Anders odpowiedział, że w jego przypadku byłoby to niemożliwe.

Inny świadek z tego samego rocznika paryskiej szkoły wojennej, pułkownik Jerzy Ferek-Bleszyński, zeznał, że nawet wówczas, gdy diety wynosiły 65 franków, nie starczało na utrzymanie. O oszczędnościach nie było co marzyć.

Kiedy zarówno zeznania, jak i odczytane dokumenty nie potwierdziły wyjaśnień Michała Żymierskiego, a materiał dowodowy jednoznacznie wskazywał na to, że 10 tysięcy złotych przekazane przez Józefa Saksona Jadwidze Orłowej było łapówką, oskarżony oświadczył, że pieniądze pożyczył mu przyjaciel Włodzimierz Dybczyński. Koronnym dowodem w tej sprawie miał być bilet wizytowy Żymierskiego w sejfie wierzyciela, na którym generał pokwitował otrzymaną kwotę.

Zbadano stan majątkowy Dybczyńskiego. Okazało się, że jego folwark w powiecie Kowel mógł przynieść co najwyżej dwa tysiące złotych rocznego dochodu. Ziemia była tam najgorszej klasy i bez żadnych zabudowań. Prokuratura ustaliła ponadto w Izbie Skarbowej, że właściciel majątku nie płacił żadnego podatku dochodowego.

Zdaniem biegłych Dybczyński nie mógł udzielić Michałowi Żymierskiemu pożyczki, gdyż sam miał dług na kwotę 10.450 zł i w ciągu kilku lat udało mu się spłacić zaledwie 1000 zł.

Sędzia śledczy przypuszczał, że pokwitowanie na wizytówce zostało doręczone świadkowi Dybczyńskiemu już w czasie pobytu generała w więzieniu. Żymierski jakimś sposobem utrzymywał kontakt ze światem zewnętrznym – wysyłał i odbierał grypsy, odwiedzały go kobiety (wtedy stroił się w przemyrane do celi jedwabne koszule). Każda mogła ukryć wizytówkę i potem doręczyć ją Dybczyńskiemu. Tekst na bilecie pisany był takim ołówkiem, jaki znajdował się w celi.

Pod koniec procesu – w sierpniu 1927 roku – generał Żymierski oświadczył:

*– O Józefie Piłsudskim odzywałem się niezmiennie z najwyższym uznaniem i zawsze wyrażałem opinię, iż bitwa warszawska jest jego wyłączną zasługą.*

Była to widoczna, wręcz nachalna próba pozyskania przychylności Marszałka w sytuacji, gdy zarzuty z aktu oskarżenia zostały potwierdzone. Na początku Żymierski twierdził, że jego

proces jest pokazowy, ma być dowodem słuszności przewrotu majowego dokonanego rzekomo pod hasłami moralnego odrodzenia, walki z korupcją.

Ale jeśli nawet przez chwilę się łudził, że Piłsudski go oszczędzi, to po opublikowaniu jeszcze przed wyrokiem w Bibliotece Odrodzenia Moralnego broszury pt. *Zbrodniarze* musiał stracić nadzieję. Jego nazwisko było na trzecim miejscu na liście. Wyprzedzali go generałowie Zagórski i Rozwadowski. Obaj po przewrocie majowym stracili życie w tajemniczych okolicznościach. Zagórski prawdopodobnie został porwany i zamordowany, Rozwadowski podtruty powoli działającą substancją w wileńskim więzieniu. W broszurze napisano m.in.:

*Generał Żymierski spekulował na dostawie masek gazowych dla armji polskiej. Uprzytomnijmy sobie, co to znaczy. Maską złą to śmierć, to zguba żołnierza, to zagłada całych oddziałów. Maską złą to – mówmy bez ogródek – skrytobójstwo popełnione na setkach, tysiącach żołnierzy (...). Teraz dopiero rozumiemy, dlaczego ów oficer, niegdyś legjonista, tak stanowczo opowiedział się za Witosem, dlaczego bronił rządu, o którym wiedział, że jest rządem korupcji. Rozumiał pan Żymierski, że skoro tylko rząd czystych rąk dojdzie do władzy, czeka go sąd i kara.*

Pewną pociechą dla oskarżonego była okazywana mu sympatia w prasie opozycyjnej.

Popierający endecję „Kurier Warszawski” pisał już na początku procesu:

*Nareszcie w czternaście miesięcy po uwięzieniu pięciu generałów bezpośrednio po przewrocie majowym, jeden z nich, generał Żymierski, jest postawiony przed sądem. Tylko jeden i dopiero teraz. Jakże powolny jest bieg sprawiedliwości pod tym rządem, którego celem i racją bytu miało być tępienie prawości i czynienie zasłużonej kary. Jakikolwiek zapadnie wyrok, samo oskarżenie i uwięzienie dla ludzi na tem stanowisku jest już ciosem, który tylko ciężką winą uzasadnić może (...). Opinia publiczna, zaalarmowana tak wyjątkowo srogim postępowaniem, ma prawo oczekiwać*

*sensacyjnych i druzgocących rewelacji, a jeśli się zawiedzie, będzie szukała wyjaśnienia przewlekłej procedury w przedwojennych tradycjach rosyjskiego systemu (...). Ta powolność w formułowaniu aktu oskarżenia przez prawowitą władzę jest tym szkodliwszą, że stanowi rażący kontrast z pochopnością i wielkim impetem oskarżeń, ciskanych całym gradem przez napastliwą prasę brukową na ludzi, którzy z tego lub innego powodu zasłużyli na jej niechęć...*

Prokurator w mowie na zakończenie procesu zaczął od wyrażenia żalu, że podsądny tak świetnie rozpoczął błyskotliwą karierę w atmosferze legionowego idealizmu, a doszedł do ławy oskarżonych jako człowiek skorumpowany, który okrada własne państwo. Fabryka masek musiała powstać, tego wymagało bezpieczeństwo kraju. Potrzebny był nieduży kapitał zakładowy, obywanie się przez pierwszy rok bez zysków oraz, co najważniejsze, „czystość rąk ludzi, którzy nią kierowali”. Żaden z tych warunków nie został spełniony: kapitału nie wplacono żadnego, od razu ciągnięto z produkcji niepomierne zyski, a ludzie okazali się niesolidni. Bank Zjednoczonych Kooperatyw i Protekta były to towarzystwa wzajemnej adoracji, wspierające się nieustannie, dla celów występnych. Oskarżony generał oddał wielkie zamówienie na zaopatrzenie wojska grupie politycznej (chodziło o antypiłsudczykowską działalność pociągniętego Karola Popiela) i już z tego tytułu powinien być ukarany. Dla odstraszenia innych.

Mecenas Stanisław Szurlej po opisie sądowego theatrum odbywającego się „w atmosferze żalów i podejrzeń, politycznych rozczarowań, zawiedzionych miłości i wyprowadzania świadków obrony w towarzystwie służby bezpieczeństwa albo pod pręgierzem potępienia”, odniósł się do słów prokuratora, że generał Żymierski sprzeniewierzył się idei legionowej.

– *Ja nie wiem, co pod tą ideą rozumie prokurator i nie jestem tego ciekaw – wyznał obrońca. – Nas winna obchodzić tylko idea honoru Polski i honoru własnego. Temu generał się nie sprzeniewierzył, za inne prawo nie karze, a wy sądzić macie według prawa. Nie pochwalam i ja tego, że generał polski chodzi z dostawcami na kolację do gabinetów, i to w asyście kobiety, ale przecież od kroków*

*może nietaktownych do przestępstwa, zbrodni mu zarzucanej, czyli łapownictwa, droga bardzo daleka.*

*Było tu powiedziane przez oskarżyciela publicznego, że generał Żymierski ma pewne zasługi, ponieważ posiada ordery. Ale gdyby nawet ich nie miał, to pozostaną mu inne odznaki za wierną służbę dla ojczyzny: szesnaście blizn, złamana ręka, złamana noga i przebite na wylot piersi. Czy możliwe jest, aby ten człowiek, który młode życie swoje i zdrowie niósł w ofierze dla Polski, nie dla kariery, bo Polska między 1914 i 1918 rokiem nie mogła jej jeszcze zapewnić – żeby ten człowiek ją okradał? Stanowczo w tym wszystkim kryje się jakaś tragiczna tajemnica, potworne nieporozumienie. Choćby z tymi dziesięcioma tysiącami złotych, przypuśćmy nawet, że Dybczyński nieudolnie skłamał. Może tu zaszedł taki wypadek, że dla ratowania czyjegoś honoru trzeba było poświęcić własny?*

Argumentem niepoważnym nazwał Szurlej sprawę biletu wizytowego: sędzia śledczy widział w tym romans w cztery oczy z jedwabną koszulą w tle, przekazanie Dybczyńskiemu biletu przez damę w woalce itp. „Nie twórzmy na sali sądowej powieści kryminalnej”.

*– Panowie sędziowie – adwokat zwrócił się do orzekających. – Ja chyba całym swoim życiem zasłużyłem sobie na to, aby mi wierzono. Oświadczam uroczyście, że widzę możliwość braku winy u oskarżonego. Skoro więc istnieje ona w mojej świadomości, nie wątpię, że powstanie i w waszej. A przy najmniejszej bodaj wątpliwości co do winy oskarżonego, skazać go nie możecie.*

Na koniec mecenas zawołał:

*– Jest ktoś ważny, naczelny zwierzchnik generała. Chciałbym, aby te słowa przedostały się przez mury sądu i dotarły do niego. Niech usłyszy, że jego żołnierzowi dzieje się krzywda.*

„Kurier Warszawski” przytaczając mowę obrońcą Szurleja, napisał, że spotkała się ona z bardzo emocjonalnym odbiorem publiczności, że wręcz wstrząsnęła obecnymi na sali sądowej, a niektórzy sędziowie z trudem powstrzymywali łzy.

Oskarżony w ostatnim słowie stwierdził, że do zabrania głosu na końcu procesu zmuszają go nie tylko względy proceduralne, lecz obowiązek żołnierskiej obrony swego honoru i swego munduru, którego nie splamił w przeciągu 17 lat służby.

*– To będzie ostatni mój wysiłek, abym nie stał się ofiarą pomyłki, zemsty, insynuacji czy podejrzeń.*

Nie zgadzał się z wieloma tezami aktu oskarżenia. Uważał, że tryb i terminy zawierania przez Ministerstwo Spraw Wojskowych umowy z Protektą nie naruszały żadnych normatywnych ustaleń w tych sprawach. O przyczynienie się do spreparowania aktu oskarżenia posądzał inżyniera Kummantę, urażonego odsunięciem go od produkcji masek. Wysokie zaliczki udzielane Protekcie tłumaczył natomiast koniecznością popierania przemysłu zbrojeniowego w odradzającej się Polsce.

Zarzut spłacenia miłosnego długu Orłowej pieniędzmi z łapówki potraktował z pobłażaniem:

*– Prokurator tak pozazębiał kwestie moich oszczędności ze sprawami osobistymi, że ja sam przestałem rozumieć. Zdawało mi się, że mam halucynacje. Dlatego więcej o tych sprawach mówić nie będę, bo trudno walczyć z przypuszczeniami.*

Żymierski po raz kolejny podczas procesu usiłował zaprzeczyć, że w decydującym momencie opowiedział się przeciwko Naczelnikowi Państwa.

*– Jak ja mogłem opuścić swego najwyższego zwierzchnika? – dziwił się. – Przecież pan Marszałek nauczył mnie bić się pod swoim kierunkiem. To ja, a nie jak się powszechnie mówi, że generał Haller, organizowałem przejście II Brygady przez front pod Rarańczę. Jeżeli nie wypowiadałem się dotychczas na ten temat, to dlatego, że żołnierz swe czyny pokrywa milczeniem.*

Oskarżony zakończył słowami:

*– Jestem żołnierzem i nie przychodzę po przebaczenie. Gdybym czuł się winnym, sam bym wymierzył sobie sprawiedliwość. Śmierci się nie lękam i zbyt lekceważę sobie życie. Jeżeli tego nie uczyniłem, to dlatego, że wierzę w sprawiedliwość sądu.*



Sąd uznał winę generała i skazał go na 5 lat ciężkiego więzienia. Dodatkową karą była degradacja – wydalenie z armii i odebranie wszelkich odznaczeń. (Żymierski przychodził na rozprawy w generalskim mundurze). Sędzia, uzasadniając wyrok, stwierdził, że oskarżony dla własnych korzyści dopuścił się czynów karygodnych w okresie niezmiernie trudnego położenia finansowego państwa, kiedy to należało bardzo oszczędnie wydawać grosz publiczny...

Żymierski przesiedział w więzieniu okrągłe pięć lat. Za kratami zmienił poglądy polityczne, przeszedł na stronę komunistów. Po zwolnieniu wyjechał do Paryża i tam szpiegował dla wywiadu radzieckiego. Tajne informacje pozyskiwał w kołach polskiej emigracji skupionej wokół naszej ambasady. Dla NKWD był cenną zdobyczą, bo dysponował wieloma danymi o armii. Bardzo mu ciążył sądowy zakaz noszenia wojskowego munduru. W lutym 1939 roku poprosił marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego o rewizję procesu. I złożył oświadczenie:

*Nigdy do tajnej organizacji Sikorskiego nie należałem, ani w okresie legionowym, ani późniejszym, nic mnie z Sikorskim nie łączyło i w żadnym kontakcie z nim nie byłem. W 1924 r. współpracowałem z Sikorskim w Ministerstwie Spraw Wojskowych, ale nie znajdowaliśmy porozumienia.*

Marszałek Rydz-Śmigły nie uruchomił procedury rewizyjnej. W 1940 roku Żymierski ponownie usiłował się oczyścić i wniosek o rehabilitację skierował do konspiracyjnego sądu obywatelskiego złożonego z samych przeciwników Piłsudskiego. Wincenty Bryja, członek tego komitetu, zapisał w swych wspomnieniach, co były generał mówił na swoje usprawiedliwienie. Dużą część tych wyjaśnień zajęła opowieść o rozmowie aresztowanego w 1926 roku generała z naczelnikiem Piłsudskim. Miał to być dowód, że skazanie nastąpiło z powodów politycznych.

Żymierski zeznał:

*– Piłsudski po kilkunastominutowej awanturze, której echa odbijały się od ścian pałacu belwederskiego, po rękoczynach*

*z pięściami do dalszej operacji gotowymi, krzyczał: – Jesteś w tajnej organizacji Sikorskiego! Ja wiem, że jesteś! Jeżeli mi nie zdradzisz sieci tej organizacji, posiedzisz sobie 5 lat, ja ci to mówię, posiedzisz 5 lat! Nie mogłem inaczej odpowiedzieć, jak tylko tyle, że o żadnej tajnej organizacji Sikorskiego nic mi nie wiadomo. Znowu awantura, krzyki, groźby, wreszcie kazał mnie odprowadzić.*

Sąd obywatelski uznał wyrok z 1927 roku za nieważny. (Jego członkowie nie wiedzieli, że Żymierski jest agentem sowieckiego wywiadu). Prawnie rehabilitacja nie miała znaczenia, gdyż uniewinnić mógł tylko działający od maja 1940 roku sąd Polskiego Państwa Podziemnego.

Żymierski doczekał się jednak chwili, gdy mógł paradować w białym mundurze marszałka z buławą w dłoni. Stało się to w roku 1945, kiedy został naczelnym dowódcą wojsk polskich walczących u boku Armii Czerwonej. Dołączył wtedy do swego nazwiska pseudonim „Rola”. W randze marszałka jedną z jego pierwszych decyzji było odebranie polskiego obywatelstwa wyższym oficerom służącym na Zachodzie, m.in. Władysławowi Andersowi – koledze ze studiów we Francji, który świadczył na jego korzyść w czasie procesu o korupcję.

Michał Rola-Żymierski żył długo, zmarł w wieku 99 lat. Jego oficjalne biografie wydane w PRL pomijają proces z 1927 roku. Ale w kręgach wojskowych powszechnie znany był anonimowy dowcip o drogach awansu generała: „od gazowej maski do marszałkowskiej laski”.

Aż do 2019 roku Michał Rola-Żymierski był honorowym obywatelem Chełma.

## **Bibliografia**

„Dziennik Poznański” – wyd. z 17 sierpnia 1927 r.

„Express Poranny” – lipiec 1927 r.

„Gazeta Polska” – wyd. z 16 lutego 1930 r.

„Gazeta Poranna Warszawska” – wyd. z 27 lipca i 28 sierpnia 1927 r.; 14 października 1927 r.

„Gazeta Warszawska” – nr 48, 67 z 1930 r.

„Głos Codzienny” – kwiecień 1927 r.

„Ilustrowany Kurier Codzienny” – wyd. z 14 sierpnia 1927 r.

„Kurier Czerwony” – kwiecień 1927 r.

„Nasz Przegląd” – wyd. z 13 sierpnia 1927 r.

„Polska Zbrojna” – wyd. z 6 sierpnia 1924 r.; lipiec, sierpień, wrzesień 1927 r.

„Rzeczpospolita” – nr 183 z 1927 r.

*Zbrodniarze*, [seria: Biblioteka Odrodzenia Moralnego], Warszawa 1926.

J. Piłsudski, *Myśli, mowy i rozkazy* [Przemówienie do przedstawicieli stronnictw sejmowych 29 maja 1926], Warszawa 1989.

J. Poksiński, *Sprawa karna Michała Żymierskiego*, „Palestra”, nr 5–62000.

T. Rek, *Pierwsze lata dyktatury Piłsudskiego 1926–1930: w świetle sprawozdań sejmowych i senackich*, Warszawa 1956.

Jesienią 1925 roku powstała komisja nadzwyczajna do walki z nadużyciami naruszającymi interesy państwa.

Polacy, coraz bardziej rozgoryczeni, że w wolnej ojczyźnie pensje są głodowe, drożyzna narasta, akceptowali wyroki śmierci na defraudantów. Gorliwie szukano w wysokich urzędach kolejnych malwersantów. Czasem prowadziło to do samosądów i tragedii. Tak jak w przypadku Huberta Lindego, prezesa Pocztowej Kasy Oszczędności.

„Goniec Nadwiślański”, relacjonując proces zabójcy Lindego, napisał: Oto, do czego w Polsce dochodzimy. Pierwszy lepszy warchoł przyswaja sobie misję trybunału sądowego oraz funkcję kata. Kiedy to się skończy?

## W imieniu ulicy

**Oskarżony: sierż. Waław Trzmielowski,  
zarzut: zabójstwo ministra Huberta Lindego**

Wymierzona w głowę kula utkwiała w mózgu. Hubert Linde, prezes Pocztowej Kasy Oszczędności w randze ministra, upadł na bruk ulicy Celnej w Warszawie. Chwilę potem tego kwietniowego popołudnia 1926 roku już nie żył. Morderca w mundurze wojskowego poczekał, aż nadejdzie posterunkowy. I przedstawił się: sierżant Waław Trzmielowski, lat 36, adres zamieszkania...

– Zabiłem Lindego, bo na to zasłużył – wyjaśnił spokojnie.

W komisariacie ustalono, że zabójca brał udział w kampanii tureckiej, zaś w wojsku polskim uczestniczył w odsieczy Lwowa, gdzie został ranny od granatu. Wśród przełożonych z legionu cieszył się dobrą opinią.

Następnego dnia „Goniec Nadwiślański” (pismo codzienne poświęcone interesom stanu średniego – jak się przedstawiał w winiecie) informował swoich czytelników:

*Wieść o zabójstwie ministra zgromadziła przed kamienicą przy ulicy Brzozowej, gdzie mieszkał, tłum ludzi. Z pewnych kół rozpuszczono pogłoskę, że miało ono podkład erotyczny. Śledztwo nic w tym kierunku nie wykryło. Czyn sierżanta Trzmielowskiego, choć jak sam zeznaje, jest czynem o podłożu patriotycznym, należy stanowczo potępić – nie można dopuścić do tego, aby w państwie praworządnym, jakim jest Polska, miały zachodzić podobne wypadki samosądu. Tradycja naszego ustawodawstwa na to nie pozwala. Opinia społeczeństwa jest silnie zaniepokojona. Wyrok na zabójcę musi być bezwzględny i stanowczy, aby był odstraszący dla innych.*

*Z wyjaśnień zabójcy widać, że chce on uchodzić w opinii publicznej za bohatera, który poświęcił się dla dobra sprawy. Oto, do czego w Polsce dochodzimy: pierwszy lepszy warchoł przyswaja sobie misję trybunału sądowego oraz funkcję kata. Kiedy to się skończy?*

Trzmielowski przewieziony do wojskowego więzienia śledczego (w cywilnym odmówił składania wyjaśnień), zameldował rotmistrzowi:

*– Wszystko złe, co się dzieje, bierze początek od takich ludzi jak Linde. Na jego procesie byłem codziennie. Mowa adwokata głaskała go i chwaliła. Nabrałem obawy, że będzie oczyszczony.*

Przesłuchiwany zażądał papierosa, aby uspokoić nerwy. Po chwili zeznawał dalej:

*– Wiem, że mój czyn będą brały na swój rachunek różne partie. Do żadnej nie należę. Zabiłem z własnego popędu, gdy przypadkowo ujrzałem go na ulicy. Rozmawiał z kimś, żywo gestykulując. Śmiał się. Zawrzał we mnie gniew. Dobyłem z kieszeni rewolwer i strzeliłem.*

Hubert Linde – prawnik z wykształcenia, galicjanin, żołnierz I Brygady, jako minister budował system pocztowy odrodzonej Polski. W wyniku interpelacji poselskiej o nadużyciach w tym resorcie musiał zrezygnować ze stanowiska. Następnie był

ministrem skarbu w gabinecie Witosa. Po odejściu z rządu (w ciągu dwóch miesięcy jego kadencji sytuacja walutowa kraju uległa dalszemu pogorszeniu) przesował Pocztowej Kasie Oszczędności – instytucji bankowej wzorowanej na modelu austriackim.

Jesienią 1925 roku utworzono komisję nadzwyczajną do walki z nadużyciami, które godzą w interesy państwa. Przewodniczył jej Mieczysław Dębski z Naczelnej Izby Kontroli Państwa, urzędnik bezkompromisowy (doprowadził m.in. do aresztowania niejakiego Pawłowskiego – naczelnika zaopatrzenia w dyrekcji kolejowej we Lwowie, teścia syna prezydenta). Jego gorliwość i dociekliwość wywołała taki opór notabli, łącznie z Ignacym Mościckim, że w 1928 roku na polecenie premiera Kazimierza Bartla komisję zlikwidowano.

Ale zdążyła ona opracować raport obciążający Huberta Lindego. Prokurator przygotował akt oskarżenia ministra (z datą 5 marca 1926), a także współpracujących z nim Wilhelma Baua, właściciela kina w Warszawie, majątków Borowno na Kresach i pod Rzeszowem, szeregu kamienic w Warszawie i Łodzi, oraz Bogusława Hryniewicza, kierownika kontroli technicznej w PKO. Proces ruszył na początku kwietnia 1926 roku.

Prezesowi banku oskarżyciel publiczny zarzucał zbyt kosztowne nabycie w 1923 roku nieruchomości na nową placówkę PKO w Łodzi. Miał wydać 70 tysięcy dolarów, zapłacił wiele więcej. Doszło do tego w następujących okolicznościach: ponieważ prezes nie mógł dokonywać transakcji walutą zagraniczną, dom jako pośrednik nabył handlarz nieruchomościami – kupiec Bau, aby niezwłocznie odsprzedać go PKO. Z tego powodu otrzymał zadatek w wysokości 50 miliardów marek polskich[6].

Potem okazało się, że na nieruchomości ciąży przedwojenny dług i bez zgody wierzycieli nie można jej sprzedać. Linde zdecydował (nie informując komitetu dyrekcyjnego), że PKO dług spłaci. Bau otrzymał na ten cel dodatkowe marki. Dwa tygodnie później prezes podpisał decyzję o wyasygnowaniu kolejnej transzy marek ze względu na szybką zwyżkę notowań dolara. Ostatecznie nieruchomość kupiono za 98666 dolarów. Zdaniem NIK maksymalna

cena tej kamienicy z parcelą nie powinna przekraczać 24 tysięcy dolarów.

Pośrednik Bau dobrze zarobił na transakcji, gdyż zaliczki na kupno nieruchomości otrzymywane z PKO – w sumie 572 miliardy marek – niezwłocznie przenosił na swój rachunek w innym banku i polecał nabywać za nie dolary.

Kolejny zarzut dotyczył decyzji z roku 1924, kiedy to prezes PKO podjął się budowy gmachu sejmu przy ul. Wiejskiej. W tym czasie Bau potrzebował gotówki. Jako właściciel majątku w Borownie złożył prezesowi ofertę kupna 1500 metrów sześciennych drewna kantowego oraz miliona cegieł. Surowiec należało odebrać na odległej od Warszawy stacji załadowniczej. (Dochodziły więc koszty transportu). Prezes na warunki przystał, z miejsca wypłacono Bauowi 92 tysiące złotych.

Kilka miesięcy później Linde został poinformowany przez pracowników działu technicznego, że do Łodzi przyjechały z Borowna dwa wagony zmurszałej cegły i wagon zbutwiałego drewna. Budulec nie nadawał się do użytku. W rzeczywistości żadnego transportu z Borowna nie było. Trudne pertraktacje z Bauem zakończyły się deklaracją dostawcy, że wpłacone pieniądze odda tuż po żniwach. Linde skwitował to komentarzem na urzędowym piśmie: *Dobre i to, z konieczności zgoda*. Po dwóch latach czekania PKO dostało tylko 76475 zł. I na tym spłaty się skończyły. Śledztwo NIK ujawniło, że w majątku Borowno nigdy cegielni ani drewna kantowego nie było.

Hubert Linde został też oskarżony o nepotyzm.

Oto po 30 latach nieobecności przyjechał do niego mieszkający za granicą starszy brat Marian. W czasie wojny przebywał w Rumunii, pomagał polskim uchodźcom i z tego tytułu dostał tam rentę. Linde usłyszał od brata deklarację: Jest bezdzietny, pragnie zostawić w Polsce ślad po rodowym nazwisku, wybuduje pod Warszawą sierociniec. Prezes PKO zapytał, jak chce to przeprowadzić.

– *Chciałbym zastawić swoją rentę rumuńską. Mam ją skonsolidowaną na sumę 25 tysięcy funtów szterlingów w banku londyńskim. Musisz mi pomóc.*

Decyzją prezesa Marianowi Linde wypłacono z kasy PKO 384823 zł, choć naczelnik wydziału papierów wartościowych miał zastrzeżenia: PKO nie mogło udzielać pożyczek pod zastaw papierów zagranicznych. Zastrzeżenia okazały się słuszne. Wbrew obietnicom, dłużnik należności nie spłacał, renta została spieniężona i z tego tytułu do banku PKO wpłynęło 315628 zł. Resztę należności spisano na straty.

To nie koniec nepotycznych układów. Marian Linde, wyjeżdżając za granicę, upoważnił brata do wyszukania odpowiedniego majątku ziemskiego. Prezes scedował to na Baua, a ten podsunął Petrykozy w powiecie grójeckim. Nowy nabywca kupił majątek w ciemno za 564 tysiące zł. Zapłacił właścicielowi pierwszą ratę 75 tysięcy zł, na drugą już nie miał pieniędzy. Rozpoczął starania o pożyczkę 10 tysięcy funtów w Banku Angielskim, którego oddział, Bank Depozytowy, był w Warszawie. Bank żądał gwarancji. I wtedy Hubert Linde napisał w imieniu PKO list gwarancyjny. Poskutkowało. Kiedy nadszedł czas spłacania długu, a Marian Linde nadal nie miał pieniędzy, obrotny Bau dogadał się z warszawskim bankierem Goldfederem, który miał w czasowym posiadaniu portfel akcji Towarzystwa Budowy Hotelu Ritz, i za zgodą głównego akcjonariusza wystąpił do PKO o udzielenie pożyczki 250 tysięcy zł pod zastaw akcji. Wtajemniczony we wszystko prezes Linde zarządził wypłatę Goldfederowi 300 tysięcy zł, bo wobec rosnącej inflacji 250 tysięcy zł nie wystarczyło na pokrycie długu – 10 tysięcy funtów. Bau odebrał gotówkę od Goldfedera i zaniósł ją do Banku Depozytowego. Kombinacja nie wyszłaby na jaw, gdyby nie telefon dyrektora Banku Depozytowego do Ministerstwa Skarbu i pytanie, czy ze względu na polskie przepisy dewizowe można pieniądze z tytułu gwarancji przekazać do Londynu. Okazało się, że w PKO o pożyczce pod nienotowane na giełdzie akcje Towarzystwa Ritz nikt poza prezesem nie wiedział. A tego akurat nie było w Warszawie.



Później Linde zapewniał radę nadzorczą swego banku, że zrobił to we własnym imieniu. A pieczęcią PKO zaopatrzył pisma gwarancyjne odruchowo. Zapytany, dlaczego nikogo nie wtajemniczył w proceder, tłumaczył, że obawiał się kolejnych kandydatów z pustym portfelem do tego rodzaju poświadczeń.

Podobnej bezprawnej gwarancji udzielił prezes na spłatę długu brata – 20 tysięcy dolarów – zaciągniętego w wiedeńskim banku. Wobec „zniknięcia” dłużnika PKO przelała do Wiednia gwarantowaną sumę.

Na liście prokuratorskich zarzutów znalazła się też sprawa skupu państwowych obligacji kolei arcyksiążąt Karola Ludwika i Albrechta w Galicji. Odrodzona Polska była zobowiązana wykupić obligacje obciążające te koleje państw zaborczych, które przeszły w całości do Rzeczypospolitej. Na przykład po przejęciu kolei dawnej monarchii austriackiej musiała zapłacić właścicielom obligacji kolejowych odpowiednie sumy pożyczką konwersyjną, o ile będą to obywatele polscy (równowartością dawnych 100 koron miało być 15 zł), zaś w przypadku obywateli austriackich walutą obcą albo złotem.

W takiej sytuacji Hubert Linde dowiedział się od radcy handlowego w Wiedniu, że warto skupować tam obligacje kolejowe, to dobry interes dla Polski. Ale powinna to zrobić osoba prywatna. Korzyść dla państwa polegała na tym, że obligacje można było nabyć po 7 zł, a nie jak w Polsce, po 15. Prezes zapytał o zdanie premiera. Grabski zalecił rozważę.

Wilhelm Bau i Marian Linde zwiertzyli w tym interes i zaczęli na potęgę skupować papiery obligacyjne. Prezes Linde polecił urzędnikowi PKO rozliczać się z tymi klientami po kursie 48 groszy za 1 złoty. Innym właścicielom, już nie znajomym prezesa, płacono po 28 groszy za złoty. Bau znosił obligacje walizkami, część tego bagażu była zawożona do mieszkania prezesa.

Jak obliczyła NIK, w wyniku protekcji PKO straciła 663948 zł i niepotrzebnie nabyła obligacje kolejowe Banku Krajowego Galicji i Lodomarii, które okazały się deficytowe.

Prokurator w akcie oskarżenia napisał:

*Zwiążanie organizacji skupu z dwoma o niskiej wartości moralnej osobnikami jak Wilhelm Bau i Marian Linde, którzy zarobili na tej kombinacji ponad 100 procent, zupełne zaniedbanie interesów PKO, to po prostu rabunek mienia publicznego. W aferze najbardziej ohydny jest fakt, że prezes PKO za te same obligacje kazał płacić klientom różne ceny, uzależniając ich wysokość od stopnia pokrewieństwa czy unижonej usłuzności.*

Z chwilą oddania Huberta Lindego pod sąd, swoje zarzuty zdobyte w reporterskim śledztwie dołożyła prasa lewicująca, zwłaszcza „Kurier Poranny”. W przeddzień procesu w dzienniku pojawił się artykuł zarzucający Lindemu protekcjonalizm. Napisano, że prezes forował swego chrześniaka, który z ramienia PKO chodził na giełdę i tam lokował państwowe pieniądze jako własne, a po pewnym czasie zwracał, ale zdewaluowane, zabierając zysk do kieszeni.

Przed sądem odpowiadali też Wilhelm Bau i Bogusław Hryniewicz. Marian Linde uniknął procesu, gdyż wyjechał za granicę.

Ten pierwszy został oskarżony o celowe doprowadzenie do zawyżenia ceny nieruchomości w Łodzi oraz nakłonienie prezesa Lindego do nabycia przez PKO materiałów budowlanych za 90 tysięcy zł, choć tak naprawdę ich nie posiadał.

Natomiast Bogusław Hryniewicz – szef kontroli technicznej w PKO – otrzymał zarzut świadomie zawyżonej, korupcyjnej wyceny nabywanej nieruchomości w Łodzi za prawie 78 tysięcy dolarów, podczas gdy jej rzeczywista wartość nie przekraczała 24 tysięcy dolarów.

Po 10 dniach procesu zabrali głos prokurator i obrońca oskarżonych.

Znany z emocjonalnych, ale też wnikliwych pod względem prawnym wystąpień prokurator Kazimierz Rudnicki zaczął od słów:

*– Żadne okrutne morderstwo, żadne oszustwo czy zuchwały rozbój nie budzi we mnie takiej odrazy, jak cyniczne okradanie młodego państwa. Jakże fałszywie dźwięczą słowa Huberta Lindego*

*o rzekomej dbałości o interes ogólny wobec niezbitego faktu, że pieniądze państwowe dzięki niemu jedynie przechodzą do kieszeni Wilhelma Baua i Mariana Lindego.*

Dla oskarżyciela publicznego Marian Linde i Wilhelm Bau to obrotni spekulanci wojenni, chwilowi bogacze, których fortuna zaczęła się chwiać w okresie stabilizacji złotego. Chcąc ją ratować, a może i powiększać – *korzystali z niezbyt wysokiej inteligencji Huberta Lindego, zwłaszcza z jego bardzo słabego poczucia prawa i moralności obowiązujących przy sprawowaniu władzy na tak wysokim i odpowiedzialnym urzędzie.*

Po latach, w wydanych wspomnieniach prokurator Rudnicki wyznał:

*Ten Bau był wstrętnym typem pająka, który potrafił omotać swoją ofiarę i ostrożnie, by nie zadusić, wyssać jej krew. Napawał mnie odrazą do tego stopnia, że na rozprawie nie mogłem się pohamować i ukryć swej pogardy. Określałem go coraz to innym mianem: był dla mnie mikroblem, jakie milionami żyją na monetach, pasożytem na ciele skarbowości polskiej, totumfackim rodziny Linde, faktorem. Przyznaję, że takie epitety były zbyteczne.*

Prokurator zażądał wysokich kar dla oskarżonych. Hubert Linde miał iść do więzienia na 10 lat.

Wcześniej sąd musiał jednak wysłuchać argumentów obrony.

Mecenas Stanisław Szurlej – nie bez powodu nazywany w kręgach prawniczych złotoustym – zaczął sześciogodzinną mowę obrończą z patosem:

*– Na zniszczonych warsztatach naszego życia ekonomicznego – przewrót, wojna spowodowały, że co chwila rwą się te cienkie nici, jakie prząść usiłujemy. Ale my widzimy tylko, kto właśnie przy krosnach siedzi, i nań zaraz wszystkimi kamieniami rzucamy. Lecz za chwilę ze zdumieniem widzimy, że warsztaty dalej przędą słabo i spostrzegamy, że nie zawsze ten, który przypadkowo pracował w tym miejscu, gdzie się nić urwała, jest przyczyną złego. Tak powstają oskarżenia niesłuszne, krzywdzące, zrodzone z biedy polskiej i bezradności wobec głębszych przyczyn. Wytworzyła się*

szczególna podejrzliwość do ludzi, którzy rządzą; podejrzliwość idąca tak daleko, że cześć i honor nie ostają się przed atakami. Kalumniarstwo, obdzieranie ludzi z czci stało się w Polsce nagminne. Nawet ci, którzy są sławieni jako zbawcy narodu, zostają po pewnym czasie obryzgni błotem. Jeśli opinia publiczna kogoś potem potępia, jako zbrodniarza wskazuje, to nie wolno jej bezkrytycznie wierzyć, bo opinia publiczna u nas jest chora. A równocześnie tym prądem od dołu, który za winy wspólne woła o karę dla jednostek, idzie prąd z góry od tych, którzy rządzą. A rządzą źle. I taki prąd jest im na rękę, bo można od czasu do czasu kogoś rzucić tłumowi na pożarcie i powiedzieć: to nie my, to on. W ten sposób tłum chwilowo się uspokaja, bo znajduje aprobatę swoich poglądów u warstwy rządzącej, a rządzący uzyskują moratorium. Sprawa Lindego jest wynikiem właśnie takich prądów. Tu nie są rozpatrywane czyny takie, jako zabójstwo, które zawsze i wszędzie są występne. Tu rozpatrujemy stosunki płynne, rozpatrujemy kwestie na tle marek, na tle inflacji, na tle obligacji kolejowych, na tle lombardu – kwestie nowe, które wczoraj były dobre, dziś obojętne, a jutro złe, albo odwrotnie.

Mecenas zrobił przerwę, aby wyjść z ławy i przybliżyć się do stołu sędziowskiego.

– Czy mamy tu do czynienia z kradzieżą, oszustwem, sprzeniewierzeniem, typowymi formami rzucenia się na majątek ludzki? – zapytał.

– Ależ nie! – odpowiedział sam sobie. – Hubert Linde jest oskarżony o to, że robił źle interesy – za drogo kupił dom w Łodzi, za drogo kupił obligacje, bez formalności i za dużo dał za lombard pod zastaw renty, nie zabezpieczył należycie pożyczki. Ale można dotykać pieniędzy, a jeszcze się nie ubrudzić – tu właśnie ten przypadek zachodzi.

Po tym wstępie Stanisław Szurlej wdał się w skrupulatną analizę poszczególnych zarzutów prokuratorskich.

Prezes Linde zapłacił za drogo za kamienicę w Łodzi... W jaki sposób mógł obliczyć, że nie przekroczył sumy 77 tysięcy dolarów?

W zarzucie stwierdzono, że skoro zapłacił 520 miliardów marek polskich, to wynosiło to przeszło 100 tysięcy dolarów. Według jakiego kursu, skoro przepisy dewizowe zabraniały mu operacji dolarowych, a zdawał sobie sprawę z fikcyjnych notowań giełdowych?

Transakcja polegała na tym, że sprzedający chciał zapłatę w dolarach, a Bau jako kupiec miał możliwość legalnego nabycia amerykańskiej waluty. Gdzie tu jest świadome działanie na niekorzyść PKO? Prezes mógł powiedzieć: nie kupuję. Ale to byłaby decyzja człowieka nieodpowiedzialnego, który za cenę bezczynności zostawił naszemu państwu 520 miliardów dewaluujących się marek zamiast realnej wartości, jaką jest kamienica. A poza tym – czy Hubert Linde zataił jakieś fakty? Cena domu była zatwierdzona przez komisję rewizyjną, rządowy organ kontroli nad PKO.

Mecenas wyśmiał biegłych, którzy obliczyli, że zapłata za dom w Łodzi przewyższa jego wartość.

*– Panowie biegli nie wzięli pod uwagę – ironizował – że moment kupna był korzystny dla Godheilów, właścicieli nieruchomości, a dla PKO nie. Ta ekspertyza przypomina mi słowa biblijne, które powiedział faryzeusz na widok celników: „Dzięki ci Panie, że nie jestem jako jeden z nich”. Czy nie lepiej byłoby – adwokat nakręcał się, czując poparcie publiczności – aby panowie biegli obrócili ten czas na poprawę złotego, który się chwieje? Zwłaszcza jeden z was miał sposobność do zastosowania swych świetnych teorii, kiedy był na wysokim stanowisku rządowym. Ale wtedy z tej sposobności nie skorzystaliście i dziś używacie sali sądowej do wykładów na temat poprawy ekonomicznej państwa.*

Stanisław Szurlej odniósł się także do zarzutu, że Hubert Linde zawarł z Bauem umowę na dostawę materiałów budowlanych, nie sprawdzając uprzednio należycie nie tylko wartości nabywanych materiałów, ale nawet ich istnienia:

*– Gdyby przyjąć takie rozumowanie oskarżyciela – zauważył obrońca – to biada giełdom zbożowym, gdyż trzeba by tam przyjeżdżać z towarem, wagonami zboża. Póki co, życie kupieckie*

*oparte jest na zaufaniu. Przy pożyczkach wekslowych jeszcze większe zaufanie jest potrzebne niż przy umowach na dostawę, a żaden dyrektor banku nie został pociągnięty do odpowiedzialności za to, że dłużnik pożyczki nie oddał. Zaliczka jest koniecznością naszego życia ekonomicznego, gdyż prywatni ludzie nie mają gotówki i skarb państwa musi umożliwić im wykonanie umowy. Jeśli Linde nie schował zapisu kaucyjnego, lecz dołączył do akt, dał działawowi prawnemu, to nie popełnił żadnego zaniedbania.*

Mecenas mówił o tragedii oskarżonego, dowodząc, iż całe jego nieszczęście wzięło się stąd, że sam chciał wszystko załatwić. I że to właśnie go zgubiło. Po tych słowach obrońcy kobiety w ławach dla publiczności nie kryły wzruszenia...

*– Dla prezesa brat czy obcy, katolik czy żyd, wszyscy byli jednakowi. Dobrze zrobił temu, tamtemu, kto wszedł mu pod rękę. Taka była jego psychika. W rezultacie, jeśli coś się nie udało, każde zaniedbanie w olbrzymiej instytucji z setką urzędników szło na rachunek Huberta Lindego.*

Co się zaś tyczy niefortunnych obligacji kolejowych, Szurlej przypomniał, że rząd o tym wiedział, rada zawiadowcza wiedziała, a także reprezentująca rząd komisja rewizyjna. Co więcej, wszyscy chwalili prezesa za inicjatywę, umacniali go w pomysłach. Pierwszym, który stwierdził, że ta transakcja jest zbrodnią, był sędzia śledczy.

Obrońca podkreślił też, że w ciągu 10 dni procesu nikt nie zarzucił Lindemu wykorzystywania stanowiska dla osobistych korzyści. Choć w czasie śledztwa próbowano ubrać go w te buty. W domu oskarżonego oglądano każdą rzecz, zastanawiano się nawet, czy tapety na ścianach nie są za drogie, jak na kieszeń prezesa. W końcu trzeba było przyznać, że oskarżony nie ma majątku, nic dla siebie nie chce, chciałby tylko dobrze czynić dla innych. I to go doprowadziło na ławę oskarżonych.

Mowa obrończa trwała od rana do późnego popołudnia. Nikt z publiczności nie opuścił sali, wszyscy słuchali w napięciu – odnotowali w swych sprawozdaniach z procesu dziennikarze.

W ostatniej godzinie padły słowa:

*– Pan prokurator żądając wysokiej kary dla Lindego, miał wzgląd na społeczeństwo, które jakoby tego oczekuje. Niebezpieczny to argument, bo robimy ze społeczeństwa sędziów, a z sądu tylko wykonawcę tego wyroku. A do społeczeństwa nie trzeba się ustosunkowywać jak sługa do pana, słuchać jego rozkazów i płynąć z falą. Błędne jest przekonanie, że gdy ukarze się jednego z tych wielkich, to ludzie odetchną i powiedzą – wreszcie sprawiedliwość panuje na świecie. Nie, tłum krzyknie: jednego skazali, a ilu jeszcze złodziei zostało? Natomiast zagraniczni dziennikarze nie uwierzą, że w Polsce w ławie oskarżonych posadzono ministra za to, że polskie marki, pośmiewisko całego świata, zamienił na trwałą wartość, jaką jest kamienica.*

*Jeśli wasze orzeczenie, panowie sędziowie, nie uwzględni płynności naszego życia, gdzie z dnia na dzień zmieniają się stosunki pieniężne i ekonomiczne, to może być w tym wyroku surowość, ale nie będzie sprawiedliwości – zakończył obrońca.*

Wydanie wyroku odłożono o dwa dni, do poniedziałku. Pół godziny po opuszczeniu sali rozpraw Hubert Linde już nie żył. Postępowanie karne przeciwko niemu zostało umorzone. W powództwie cywilnym na rzecz PKO zasądzone natomiast od rodziny zmarłego ponad półtora miliona złotych odszkodowania.

Rok później Linde został całkowicie uniewinniony w Sądzie Najwyższym.

Jeszcze nie zwiędła góra wieńców na grobie zastrzelonego, gdy w sali warszawskiego Sądu Wojskowego posadzono na ławie oskarżonych 36-letniego Wacława Trzmielowskiego.

Złożył wyjaśnienia:

*– Po wysłuchaniu mowy obrończej nie miałem wątpliwości, że wyrok będzie uniewinniający. Nie mogłem się z tym pogodzić. Ten człowiek okradał młode państwo polskie, o które ja przelewałem krew. Tego dnia byłem umówiony z kolegą na Starym Mieście, szedłem w tamtą stronę i jeszcze raz przeżywałem wszystko, co się*

*zdarzyło w sądzie. Niespodziewanie natknąłem się na Lindego. Chyba doznałem zamroczenia umysłu, nie pamiętam, co się działo. Kiedy oddawałem policjantowi rozładowany rewolwer, zrozumiałem, że strzelałem do przechodnia. Obecnie uświadamiam sobie, że nie byłem do takiego czynu upoważniony. Zabicie człowieka to nie to samo, co zabicie ptaka.*

Na pytanie sędziego, czy kiedykolwiek osobiście zetknął się z prezesem PKO, oskarżony przyznał, że świętej pamięci Lindego nie znał.

– *O jego procesie dowiedziałem się z gazet – wyjaśniał. – Po służbie przychodziłem na wszystkie rozprawy. W miarę zbliżania się do wyroku nie dawała mi spokoju myśl, że człowiek na takim stanowisku stał się przyczyną poważnych strat skarbu państwa polskiego i może być niewinny. Na myśl o tym szumiało mi w głowie, czułem ucisk w klatce piersiowej.*

Sprawozdawca „Kuriera Warszawskiego” po pierwszym dniu procesu napisał o oskarżonym: *Trzmielowski sprawia wrażenie człowieka bardzo ograniczonego.*

Świadkowie zeznający na kolejnych rozprawach przytaczali wypowiedzi Trzmielowskiego w czasie procesu Lindego, kierowane do kogoś w ławie dla publiczności. Nazywał prezesa skończonym draniem, którego powinni powiesić, bo rozstrzelanie to zbytni honor dla takiego przestępcy.

Biegli psychiatrzy wojskowi orzekli, że oskarżony nie jest psychicznie chory. Nie miał w chwili morderstwa zamroczenia świadomości i nic nie wskazywało na jego rozstrój psychiczny. Wykluczyli też dokonanie zabójstwa w afekcie.

Ta diagnoza obaliła linię obrony znanego adwokata Hermana Liebermana[7].

Jeszcze w czasie procesu lewicowe pisma satyryczne w Warszawie przypomniały sprawę endeka Władysława Kucharskiego, który podczas wojny dorobił się majątku na dostawach dla wojska, a w 1923 roku, jako minister przemysłu i handlu, bardzo niekorzystnie sprzedał francuskiemu



przemysłowcowi zakłady żywardowskie, narażając skarb państwa na stratę 2557358 franków szwajcarskich. Nie stanął przed Trybunałem Stanu, bo w parlamencie zabrakło głosów do wymaganych 3/5 większości.

Echo tych artykułów odezwało się ponownie podczas ogłaszania wyroku w procesie Trzmielowskiego. Kiedy padły słowa „10 lat ciężkiego więzienia”, jedna z obserwatorek, obca dla skazanego, podeszła do niego i ze współczuciem przytuliła go do piersi.

Nazajutrz w „Gońcu Nadwiślańskim” na pierwszej stronie ukazał się komentarz do głośnego procesu:

*Ze zbrodniczego czynu sierżanta Trzmielowskiego widzimy, że w Polsce zaczyna być źle. Jakim sposobem ten żołnierz mógł się czuć moralnie uprawniony do wydania w swej bezgranicznie nikczemnej duszy wyroku? Brak poszanowania dla prawa i urzędów państwowych, nie wyłączając sądów, to straszna choroba, która toczy nasz organizm narodowy. Jeśli taki niezwykle admirator endecji jak Niewiadomski uważał za stosowne zmienić dokonaniem mordu wolę większości narodu wyrażoną na Zgromadzeniu Narodowym i potem udawał bohatera narodowego, to jak się tu potem dziwić, że gangrena wdziera się do organizmu państwowego i zaczyna go toczyć.*

*Jeśli wolno było być bohaterem narodowym Niewiadomskiemu, to dlaczego jakiś inny Muraszka<sup>[8]</sup> czy Trzmielowski nie ma zapragnąć tego samego? Czas wielki, aby cały obóz endecki uznał, że nie wolno morderców uważać za bohaterów, gdyż to stwarza dalszych zuchwałych naśladowców żądnych chwały.*

## **Bibliografia**

„Goniec Nadwiślański” – kwiecień 1926 r. – styczeń 1927 r.

„Kurier Warszawski” – wyd. z 19–24 kwietnia 1926 r.

Stenogram procesu. Mowa adwokata Stanisława Szurleja.

Mowy sądowe, zebr. i oprac. Szymon Gelernter, Warszawa 1925.

K. Rudnicki, *Wspomnienia prokuratora*, Warszawa 1956.

**Do sejmu docierały informacje o mnożących się napadach na dwory, zaorywaniu przez chłopów gruntów folwarcznych. Z drugiej strony była pilna potrzeba przygotowania majątków na wschodzie dla legionistów, bo to obiecał im marszałek Piłsudski. W tej sytuacji premier Ignacy Daszyński zapowiedział upaństwowienie wielkiej i średniej własności ziemskiej oraz oddanie jej w ręce chłopów pod kontrolą państwa. Na wsi wywołało to poruszenie i dużo niepewności, czym skończą się dyskusje w sejmie.**

We wrześniu 1919 roku Jan Stapiński, poseł Polskiego Stronnictwa Ludowego, oznajmił z mównicy sejmowej:

*Żądamy wywłaszczenia obszarów dworskich bez zapłaty i bez odszkodowania. Godzimy się tylko na dostarczenie wywłaszczonym obszarnikom pensji na pewien czas, aż się nauczą pracować, tudzież na koszt nauki szkolnej ich dzieci. Zapłata za ziemię obszarnikom się nie należy!*

Uchwała (jeszcze nie ustawa) o zasadach reformy rolnej została przyjęta przez sejm 10 lipca 1919 roku. Maksymalnie można było posiadać od 60 do 180 hektarów, w zależności od warunków lokalnych, natomiast na Kresach Wschodnich – do 400 hektarów. Prawnie rozpoczynająca proces reformy ustawa została uchwalona rok później. Odszkodowania za wywłaszczone majątki miały wynosić połowę ceny rynkowej.

Wkrótce okazało się, że ten akt prawny jest sprzeczny z konstytucją. Do sprawy powrócono jesienią 1923 roku. Dwa lata trwały dyskusje w komisjach sejmowych, ostatecznie ustawę uchwalono 28 grudnia 1925 roku. Umożliwiała chłopom nabywanie ziemi dzięki rozłożonym na 40 lat kredytom od państwa, a właścicielom parcelowanych majątków gwarantowała zapłatę po cenach rynkowych.

Na podstawie reformy rolnej z 1925 roku przeprowadzono parcelację 1,9 mln ha ziemi – z zaplanowanych 2,25 mln ha. Na przeszkodzie dalszym poczynaniom w tej kwestii stanął najpierw wielki kryzys, a następnie wybuch wojny.

# Pośrednik

**Oskarżony: Władysław Niwiński,  
zarzut: zabójstwo wiceprezesa Głównego Urzędu  
Ziemskiego Władysława Olewińskiego**

17 maja 1923 roku. Szósta po południu, słoneczny dzień. Ulicą Smolną w śródmieściu Warszawy idzie zamyślony Władysław Olewiński, wiceprezes Głównego Urzędu Ziemskiego.

Kelner z pobliskiej kawiarni z ogródkiem kłania się panu ministrowi, choć nigdy nie dostał od niego napiwku. 40-letni urzędnik w zszarzałym niemodnym kapeluszu z pękatą skórzaną teczką w ręku nie bywa w lokalach gastronomicznych. Po zjedzeniu w domu obiadu, jak co dzień zmierza prosto do swego gabinetu w Głównym Urzędzie Ziemskim. Będzie tam pracował do nocy.

Kiedy pistolet mordercy dotknie jego piersi, Olewiński zdoła wykrztusić tylko początek pytania: „Przepraszam, czy pan...”. Nie kończy, pada na bruk, śmiertelnie rażony w serce.

Nadbiegający funkcjonariusz policji nie musi się nawet trudzić ściganiem zabójcy. Mężczyzna o wyglądzie studenta sam do niego podchodzi i oświadcza:

– *Jestem Władysław Niwiński, obywatel ziemski, zabiłem prezesa Głównego Urzędu Ziemskiego, sprawa honorowa.*

W areszcie morderca spokojnie przedstawia motywy swego czynu. W 1918 roku otrzymał od swojego ciężko chorego brata Jana, właściciela majątku Opoka Wielka pod Lublinem, 66 mórg ziemi. Twierdził, że mu się należały, jako reszta schedy po rodzicach. (Tak naprawdę wyłudził te morgi od konającego). Nie zamierzał być hreczkosiejem<sup>[9]</sup>, ziemia przez dwa lata leżała odłogiem i w 1920 roku Główny Urząd Ziemski w ramach reformy rolnej przeznaczył majątek Opoka Wielka do przymusowego wywłaszczenia. Nim to się dokonało, oskarżony sprzedał morgi

miejscowym chłopom. Transakcja odbywała się z kartką na kolanie, bez notariusza, gdyż Niwiński, kiedy brał od nabywców pieniądze, nie miał jeszcze przepisanej tytułu własności.

Ale zapewniał chłopów, że dla niego to nie są żadne przeszkody. Hipotekę załatwi w ciągu kilku dni, a decyzję o wywłaszczeniu się cofnie, bowiem wiceprezes GUZ Władysław Olewiński to szkolny kolega jego brata Adama! Wkrótce potem z ubolewaniem poinformował chłopów, że prezes zażądał wysokiej łapówki: kilkunastu milionów marek polskich. I choć część pieniędzy dostał, nic jeszcze nie zrobił dla pomyślnego załatwienia sprawy.

Przesłuchiwany przez kilka dni Niwiński za każdym razem inaczej przedstawiał okoliczności wręczenia łapówki. Raz twierdził, że pieniądze położył na biurku wiceprezesa i przykrył gazetą. Innym razem, że umówił się z Olewińskim w restauracji i tam podał mu kopertę pod stolikiem.

Zaznaczył podczas przesłuchania, że codziennie telefonował do urzędu z pytaniem, czy sprawa jest załatwiona, jednak odpowiedzi wiceprezesa były wymijające. Tymczasem chłopom domagali się aktów własności, nachodzili go już nawet w Warszawie. „Wyszedł z nerw” po telefonie do domu Olewińskiego, kiedy to gospodarz wręcz go zrugął za naprzykrzenie się. Urażony na honorze, sięgnął po pistolet.

Rozprawa sądowa przeciwko Niwińskiemu rozpoczęła się 22 września 1923 roku. Ubrana żałobnie wdowa, nieruchomo wpatrzona w oskarżonego, nawet nie ocierała łez, nieprzerwanie spływających jej po twarzy. Świadek Władysław Grabski – były (i przyszły) minister skarbu – przedstawił zamordowanego jako „jednego z tych, których zdolności w chwili zerwania się kraju do niepodległości znalazły zastosowanie szlachetne i odpowiedzialne”.

Olewiński przed I wojną światową był adwokatem w Żyrardowie. Za obronę walczących z caratem zesłano go w głąb Rosji. Do wolnej Polski wrócił po traktacie wersalskim i został sędzią okręgowym w Radomiu. Premier Witos, doceniając bezkompromisowość tego prawnika, zaproponował mu fotel prezesa Okręgowego Urzędu Ziemskiego. Finansowo w porównaniu z posadą sędziego czy

zarobkami adwokata oznaczało to degradację i murowane konflikty z petentami, którym zabierano majątki. Ale Olewiński chciał budować nową Polskę. Był – jak zeznawali inni świadkowie – człowiekiem ideowym. Stronił od rządowych elit. Zresztą w lichym, przeniecionym palcie nie miał wyglądu dostojnika. Również wtedy, gdy awansował na wiceprezesa (w randze ministra) GUZ.

Policjant, który sprawdzając wersję Niwińskiego, szukał w domu zamordowanego pieniędzy z łapówki, na pytanie sędziego, co znaleziono, zachnął się: *Typową biedę sproletaryzowanego inteligenta*. Niejako na poparcie tych słów służąca Olewińskich opowiedziała o kilkakrotnym przerabianiu ubranek dla dwojga jego dzieci i wysyłaniu ich już wczesnym rankiem do świetlicy szkoły publicznej – bo państwa nie stać na bonę, a żona także pracuje, jako kancelistka. Wspomniała też o tym, że największy domowy skarb – brylantowe kolczyki pani domu – kilkakrotnie zanosila do lombardu. A kiedy przyszła choroba, państwa nie stać było na prywatnego doktora.

Ujawniając te wstydlive tajemnice domu chlebobdawcy, który decydował o milionowych majątkach najbogatszych ziemian w Polsce, służąca poskarżyła się na całkowite oderwanie Olewińskiego od problemów dnia codziennego. Kiedy mówiła mu, że nie ma za co zrobić zakupów na targu, wołał zniecierpliwiony i gniewny: „Skądże wam wezmę, kraść będę, czy co?”.

A kim był zabójca, 29-letni Władysław Niwiński?

– *Oszustem* – stwierdził prokurator.

– *Człowiekiem zaniedbanym na umyśle i duszy* – dodawał brat oskarżonego, Adam. – *Skończył ledwie kilka klas niższych, nie chciało mu się pracować, 50 tysięcy spadkowych rubli wydał w ciągu roku.* (W 1919 roku, kiedy wycofano z obiegu ruble carskie i przymusowym środkiem płatniczym została marka polska, 100 rubli można było wymienić na 216 marek polskich. Litr mleka kosztował wówczas 6 marek). *Potem bez skrpułów, lekkomyślnie, pożyczzał pieniądze na prawo i lewo.*

Sąd dociekał, czy wiceprezes Olewiński mógł w ogóle „odkręcić” decyzję z 1921 roku o przymusowym wywłaszczeniu w Opoce Wielkiej. Biegły szczegółowo przeanalizował sytuację prawną tego majątku w świetle ustawy o reformie rolnej i organizacji urzędów ziemskich. Okazało się, że zakwalifikowanie Opoki Wielkiej do przymusowej parcelacji było z punktu widzenia prawnego zasadne, ponieważ dotychczasowy właściciel Jan Niwiński doprowadził do tego, że ziemia leżała odłogiem. Okręgowy Urząd Ziemski nie reagował na skargę Władysława Niwińskiego w sprawie parcelacji, ponieważ ten nie figurował w hipotece majątku.

Władysław Niwiński po raz pierwszy spotkał się z wiceprezesem Olewińskim, kiedy decyzja o parcelacji zapadła zarówno w pierwszej, jak i w drugiej instancji. Na drodze legalnej pozostała jeszcze jedna furtka: kasacja. Ale 21 sierpnia 1922 roku skarga kasacyjna została zwrócona z powodów formalnych. Gdyby Niwiński uzupełnił braki w dokumentacji, wyznaczenie terminu rozpatrzenia skargi było jeszcze możliwe. Ponieważ tego nie zrobił, procedura parcelacji ruszyła.

– *Czy można było wyeliminować z obszaru Opoki Wielkiej te 66 mórg sprzedane kilkunastu włościanom?* – zapytał prokurator. – *I czy mógł o tym zdecydować samodzielnie jeden urzędnik, choćby był wiceprezesem Głównego Urzędu Ziemskiego?*

– *Nie* – padła krótka odpowiedź biegłego sądowego.

Łapówka miała być wręczona kilka miesięcy wcześniej, przed rozpatrzeniem kasacji.

Niwiński przyznał, że w międzyczasie nie podjął żadnych działań prawnych w celu zmiany decyzji urzędu. Nie potrafił jednak wytłumaczyć, dlaczego podawał różne wersje przekazania łapówki.

Prokurator zapytał w końcu:

– *Pan powiedział policjantowi w chwili aresztowania, że zabił, bo to sprawa honorowa. Czy wręczenie łapówki, jeśli do tego doszło, to sprawa honorowa?*

– *Chodzi o mój honor. Jak się z kimś umawiam, to dotrzymuję słowa* – odparł Niwiński.

Jego obrońca dążył zaś do pokazania osamotnienia klienta, nawet w kręgu rodzinnym: po prostu zrobił straszną rzecz, bo nie miał znikąd poparcia...

Sąd ustalił, że oskarżony miał długi... Portier hotelu Savoy zeznał, że pożyczył Niwińskiemu 9 mln marek polskich (W 1923 roku, gdy szalała inflacja, litr mleka kosztował już 3 tysiące marek polskich). Miał to być ratunek przed rozsierdzonymi chłopami, którzy zapłacili za morgi, a prawnie nie byli właścicielami nabytej ziemi. Pieniądze nie wróciły do właściciela. Niesolidny gość nie uregulował też restauracyjnych rachunków, które po miesiącach stołowania się w Savoyu urosły w pokaźną sumę.

Nie udało się ustalić wysokości rzekomej łapówki dla wiceprezesa Głównego Urzędu Ziemskiego. Poszkodowani włościanie podawali różne kwoty, o jakich informował ich dziedzic Władysław Niwiński. Niejaki Bieńkowski usłyszał, że trzeba dać ministrowi 7 milionów marek polskich. Włościanie Malczewski i Wysocki byli przekonani, że wiceprezes żąda 13 milionów. Strusińskiemu Niwiński na trzy dni przed zabójstwem powiedział o 2 milionach. Bogucki zapamiętał, że muszą zebrać 20, inaczej sprawa nie będzie załatwiona. Gronowskiemu zaś Niwiński się żalił, że minister stale podnosi wysokość łapówki, już doszedł do 30 milionów!

Na wiadomość o konieczności przekupienia wiceprezesa GUZ chłopci niby pożyczili Niwińskiemu marki, ale z góry było wiadomo, że są to pieniądze na wieczne nieoddanie.

Obrońca zmierzał do wykazania, że jego klient jest nieobliczalny. Powołani przez niego świadkowie widywali Władysława Niwińskiego w stanie wielkiego podniecenia, agresywnego. Kiedyś na wsi rzucił się na Żyda i chciał go powalić na ziemię. A gdy interweniował sąsiad, jego też przewrócił i chwycił za gardło.

Służąca Olewińskich zeznała, że oskarżony ciągle nachodził prezesa w domu i telefonował. Raz przyszedł – jak zwykle bez uprzedzenia – mocno pijany, potknął się w przedpokoju, z trudem go podniosła. Kiedy indziej zjawił się w czasie niedzielnego obiadu.



Wtedy pan Olewiński kazał powiedzieć, że go nie ma, a ogóle to nie przyjmuje interesantów w domu.

Z kolei pracownik Urzędu Ziemskiego zapamiętał Niwińskiego jako petenta godzinami przesiadującego pod drzwiami gabinetu wiceprezesa. A pewnemu adwokatowi, koledze zamordowanego, utkwiło w pamięci, że wiceszef GUZ, opowiadając z entuzjazmem o swej pracy, wspominał o jednej tylko niedogodności: w związku z reformą rolną nachodzą go natrętni petenci, usiłujący coś załatwić wbrew prawu.

Biegły psychiatra, który badał oskarżonego, a także przysłuchiwał się jego wyjaśnieniom podczas procesu, stwierdził, że jest to psychopatyczny kłamca z nadmiernym mniemaniem o sobie.

Podczas końcowego wystąpienia prokurator Kazimierz Rudnicki zebrał wszystkie wątpliwości dotyczące rzekomej łapówki.

*– Gdyby człowiek, który stał na czele urzędu, od którego zależało wznowienie postępowania w sprawie parcelacji, był zainteresowany łapówką, czyby nie postarał się, aby podobna prośba została uwzględniona? Nie zrobiłby wszystkiego, aby nadać bieg kasacji i przez to uzyskać możliwość wznowienia sprawy? – argumentował. –*

*Niwiński przecież twierdzi, że Olewiński już wtedy pewną sumę pieniędzy od niego otrzymał. A tymczasem wiceprezes w sierpniu 1922 roku, a więc kilka miesięcy po rzekomym wzięciu łapówki, podpisuje decyzję o zwróceniu skargi kasacyjnej.*

Rudnicki przeanalizował też osobowość oskarżonego i przypomniał, co mówił oskarżony w śledztwie: że jest stworzony do czerpania z życia.

*– To już nie jest Wielka Opoka – grzmiał prokurator – ale wielkie bagno! Z tego bagna powstają jadowite mgły, które owiewają postać Olewińskiego.*

Zdaniem prokuratora Niwiński wierzył, że dla tych, przed którymi kłamał, zabicie Olewińskiego będzie dowodem, że mówił prawdę. Spodziewał się, że sąd będzie dla niego pobłażliwy, jako mściciela swego nadwerżonego honoru, zaś opinia publiczna go rozgrzeszy.

– *Były to myśli maniakalnego kłamcy, degenerata* – oceniał oskarżyciel.

Sąd uznał Niwińskiego winnym zbrodni zabójstwa pod wpływem silnego wzburzenia i skazał go na 8 lat ciężkiego więzienia. Podczas apelacji obniżono wysokość kary do 6 lat. Ziemia w Opoce Wielkiej przeszła na własność państwa.

## **Bibliografia**

„Kurier Warszawski” – wrzesień 1923 r.

„Rzeczpospolita” – styczeń 1922 r.; wrzesień 1923 r.; nr 26 z 1924 r.

*Mowy sądowe*, zebr. i oprac. Szymon Gelernter, Warszawa 1925.

- [1] *Priwislenije, Priwislinskij Kraj* (ros.) – Kraj Nadwiślański – tak potocznie nazywano Królestwo Polskie pod koniec XIX w.
- [2] Fragm. wiersza C.K. Norwida, *Fortepian Szopena*.
- [3] **Stanisław Szurlej (1878–1965)** – doktor nauk prawnych, publicysta, pułkownik Wojska Polskiego. Był członkiem Stronnictwa Narodowego. W czasach II RP występował w wielu głośnych procesach, m.in. jako obrońca generała Michała Żymierskiego, Wincentego Witosa w procesie brzeskim oraz pełnomocnik rodziny zamordowanego przez ukraińskich nacjonalistów pośła BBWR Tadeusza Hołówki.  
*Umiał trzymać w napięciu uwagę sali, rozwijając argumenty oparte na starannej analizie materiału dowodowego. Od czasu do czasu rzucał jakby od niechcienia dowcip lub cytaty świetnie dobrane i od razu uwalniał słuchaczy od znużenia –*  
charakteryzował Szurleja Mieczysław Jarosz w *Wędrówkach po ścieżkach wspomnień* (1963 r.).  
W roku 1937 Polska Akademia Literatury przyznała Szurlejowi Złoty Wawrzyn za krasomówstwo sądowe. Wojna zastała mecenasa w Anglii. Minister Spraw Wojskowych, generał Władysław Sikorski, mianował go szefem Sądownictwa Wojskowego i Naczelnym Prokuratorem Wojskowym. Do kraju już nie wrócił, zmarł na obczyźnie.
- [4] *Appareil Respiratoire Special* (franc.) – francuska maska przeciwgazowa z 1917 roku.
- [5] **Józef Władysław Bednarz (1879–1939)** – lekarz psychiatra. Już w latach studenckich wstąpił do PPS. Z tego powodu aresztowano go w 1906 roku. Po odbyciu wyroku w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej (słynnym z pastwienia się nad więźniami) został zmuszony przez władze do opuszczenia Królestwa Polskiego.  
Do niepodległej już Polski powrócił w 1921 r. Pracował m.in. w szpitalach psychiatrycznych w Kulparkowie i podwarszawskich Tworkach. W l. 1932–1939 był dyrektorem Zakładu Psychiatrycznego w Świeciu. Zrobił tam wiele dobrego dla humanitarnego traktowania pacjentów. Mawiał, iż „miarą

człowieczeństwa jest stosunek do ludzi chorych psychicznie”. 3 września 1939 roku Świecie zostało zajęte przez niemiecki Wehrmacht. W szpitalu przebywało ok. 1700 pacjentów pod opieką dziewięciu lekarzy. Wedle nazistowskiej ideologii osoby psychicznie chore uznawano za „niegodne życia” – Niemcy rozpoczęli ich eksterminację. Doktora Bednarza pozbawiono stanowiska i uwięziono w areszcie domowym. 15 października 1350 chorych, w tym 120 dzieci, wywieziono do żwirowni w Mniszku pod Świeciem, gdzie zostali zgładzeni. Pozostałych pacjentów uśmiercono w Lesie Szpęgawskim. Józef Bednarz nie skorzystał z możliwości ucieczki. Opiekując się jednym ze szpitalnych transportów, trafił do Mniszka i tam został zamordowany. Dziś szpital psychiatryczny w Świeciu nosi jego imię.

- [6] W połowie 1923 r. – w związku ze światowym kryzysem gospodarczym i hiperinflacją – w Polsce za 1 dolara płacono ok. 250 tysięcy marek polskich; w listopadzie tego roku 1 dolar wart był już 1,6 mln marek polskich.
- [7] **Herman Lieberman (1870–1941)** – od 1901 do 1919 r. członek Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej, później jeden z przywódców Polskiej Partii Socjalistycznej, kilkakrotnie sądzony za działalność polityczną. W czasie I wojny światowej walczył w Legionach Polskich; odznaczony Krzyżem Walecznych. W styczniu 1919 roku został posłem na Sejm Ustawodawczy (uczestniczył w pracach nad konstytucją marcową). Nadal działał w PPS, był członkiem władz centralnych. Jako adwokat często podejmował się obrony w procesach politycznych; m.in. doprowadził do uniewinnienia robotników krakowskich oskarżonych w związku z krwawymi zajściami w 1923 roku. Wstrząśnięty przewrotem majowym w 1926 r., publicznie wystąpił przeciw nadużyciom władzy, zażądał postawienia ministra skarbu Gabriela Czechowicza przed Trybunałem Stanu za finansowanie akcji wyborczej BBWR. W procesie brzeskim siedział na ławie oskarżonych. (Bronił go

mec. Eugeniusz Śmiarowski). Skazany na 2,5 roku więzienia, jeszcze przed uprawomocnieniem się wyroku wyjechał do Francji, gdzie założył Ligę Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Do Polski już nie wrócił, na emigracji blisko współpracował z Władysławem Sikorskim. Zmarł w Londynie. Po śmierci został odznaczony przez prezydenta RP Władysława Raczkiewicza Orderem Orła Białego.

[8] Józef Muraszko (przodownik policji, szef pogotowia śledczego w Stołpcach) w marcu 1925 r. zastrzelił w pociągu dwóch więźniów konwojowanych do Rosji na wymianę, podejrzanych o śmiertelny w skutkach wybuch amunicji w Cytadeli Warszawskiej (więcej na ten temat w rozdz. „Łuk triumfalny dla zdrajców”, s. 193).

[9] Hreczkosiej (z ukr., daw.) – gospodarz zasiedziały na roli.



*Osadnik wojskowy przed domem, Osada Krechowiecka. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Pałac Zamojskich w Warszawie przy ulicy Nowy Świat. Fot. Tilman 2007, Wikimedia Commons, CC BY-SA 4.0*



*Hrabia Andrzej Zamoyski. Fot. Biblioteka Narodowa*



*Budynek Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Kościół Świętego Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.  
Fot. Biblioteka Narodowa*





*Leopold Kronenberg. Fot. Biblioteka Narodowa*



*Zamach na Fiodora Berga w Warszawie w 1863 roku. Fot. za: Stefan Król  
Cytadela warszawska, Wikimedia Commons*



*Wojsko rosyjskie demontuje pałac Zamoyskich po zamachu na Fiodora Berga. Fot. Maciej Szczepańczyk, Wikimedia Commons, CC BY-SA 3.0*



*Eksponaty pozostałe po nieudanym zamachu na Fiodora Berga: klamry do pasków, szczypce do odlewu kul i odłamek bomby. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Sala rozpraw w Sądzie Najwyższym w pałacu Krasieńskich w Warszawie.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Maria Rodziewiczówna również była zainteresowana zwrotem rodzinnego majątku. Fot. za: „Kłosy” 1889, Wikimedia Commons*



*Hrabia Tadeusz Tyszkiewicz. Fot. Wikimedia Commons*



*Gmach Najwyższego Sądu Wojskowego przy pl. Saskim w Warszawie.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Mecenas Stanisław Szurlej przy biurku w swoim gabinecie. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Józef Piłsudski (siedzi w środku) i oficerowie I Brygady Legionów Polskich na Wołyniu w dniach 21 marca–22 czerwca 1916 roku. Widoczni m.in.: pułkownik Edward Rydz-Śmigły (1. z prawej), porucznik Bolesław Wieniawa-Długoszowski (za Rydzem-Śmigłym), major Michał Żymierski (stoi 2. z prawej, z rękami w kieszeniach). Fot. Internetowy Polski Słownik Biograficzny*



*Posel na Sejm RP I kadencji, Karol Popiel. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Generał Włodzimierz Zagórski podczas wizyty polskich lotników wojskowych w Hiszpanii, sierpień 1925 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Józef Piłsudski. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Generałowie, od lewej: Włodzimierz Zagórski, Władysław Sikorski  
i Tadeusz Rozwadowski podczas balu lotników, 7 lutego 1925 roku.  
Fot. Biblioteka Narodowa*



*Władysław Anders, kolega Żymierskiego ze studiów. Fot. Wikimedia Commons*



*Jerzy Ferek-Błeszyński, kolega Żymierskiego i świadek na jego rozprawie. Fot. Wikimedia Commons*





*Józef Piłsudski oraz generałowie: Tadeusz Rozwadowski i Kazimierz Sosnkowski, Warszawa, rok 1923. Fot. Centralne Archiwum Wojskowe, Wikimedia Commons*





*Po wybuchu I wojny światowej Tadeusz Rozwadowski objął dowództwo XII Brygady Artylerii Austro-Węgier, a od 1918 roku służył w Wojsku Polskim. Fot. Wikimedia Commons, Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Generał Michał Żymierski. Fot. Władysław Miernicki, Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Edward Rydz-Śmigły. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Hubert Linde, prezes Pocztovej Kasy Oszczędności w Warszawie.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Fragment ulicy Celnej w Warszawie. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Pogrzeb Huberta Lindego w Krakowie, rok 1926. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Prokurator Sądu Apelacyjnego w Warszawie Kazimierz Rudnicki (2. z lewej), podprokurator Michał Skoczyński (4. z lewej) i podprokurator Kaduskiewicz (3. z lewej), Nowogródek, sierpień 1925 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Adwokat Herman Lieberman. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



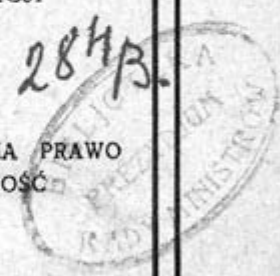
*Żniwa w gospodarstwie wachmistrza Kazimierza Weselińskiego, Osada  
Krechowiecka na Wołyniu. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*

REFORMA ROLNA

# NOWE PRAWO O PARCELACJI ZIEMI

Z WYKAZEM MAJĄTKÓW  
ZIEMSKICH, PODLEGAJĄCYCH  
PRZYMUSOWEJ PARCELACJI

W JAKI SPOSÓB, GDZIE I KTO MA PRAWO  
OTRZYMAĆ GRUNT NA WŁASNOŚĆ



1926

WYDAWNICTWO GAZETY „A L A R M”  
WARSZAWA - PRAGA, ULICA BIAŁOSTOCKA № 4.  
TELEFON 177-88.  
KONTO CZEKOWE P. K. O № 13 545.

# **BANK ZIEMIAŃSKI**

**WYDZIAŁ  
AGRARNO-PARCELACYJNY**

**PARCELUJE**

**maj. DĄBRÓWKA,  
pow. Włocławskiego,**

położony w odległości 6 km. od st. kol. Chodecz.  
Obszar parcelowany około 220 mg. ziemi żytnio-kar-  
toflanej i pszenno-luszczonej.

**Cena 1,400 do 2,000 zł. za morg,**  
w tem około 25% pożyczki Państw. Banku Rolnego.

Informacji o warunkach sprzedaży działek udziela  
Bank Ziemiański Wydział Agrarno-Parcelacyjny w War-  
szawie, Mazowiecka 10 oraz na miejscu p. Józef Skotnicki  
właściciel majątku Świerna, pow. Włocławskiego, poczta  
Ładocze-Kujawski.

# **Parcelacja maj. WITOWICE**

**POW. SANDOMIERSKI**

pod KLIMONTOWEM

dojazd z OPATOWA.

**250 MORGÓW z BUDYNKAMI**

**CENA OD 600 ZŁ. DO 1400 ZŁ.**

przy pomocy Państwowego Banku Rolnego.

Wszelkich informacji udziela się na miejscu.





Informacje o parcelacji majątków ziemskich w latach 20. XX wieku.  
Fot. Biblioteka Narodowa



## ZDRADZIECKA KULA

**W grudniu 1922 roku towarzyska „warszawka” rozszyfrowywała w kawiarniach i zamkniętych dla gawiedzi klubach, kto się kryje pod postaciami z najnowszej powieści z kluczem Kadena-Bandrowskiego Generał Barcz (tytułowy bohater to Józef Piłsudski). Ten bardzo ważny dla dziejów II RP utwór obnaża, jak się zwalczali u zarania Polski wersalskiej jej wodzowie, nieprzygotowani do rządzenia w swych politycznych okopach, niepohamowani w ksenofobiach, wybujałych ambicjach przywódczych.**

Artystyczny obraz przewalaneek „na odzyskanym śmietniku” wstrząsnął wieloma politykami. Na Wiejskiej coraz głośniej wołano, że czas na opamiętanie, bo dojdzie do tragedii. Nikt jednak nie przewidział, że zdarzy się to wkrótce – 16 grudnia, w świątyni sztuki...

Wybory do sejmu w końcu 1922 roku nie dały podstawy do stworzenia większości parlamentarnej. Lewica, do której zaliczano PSL „Piast” z Witosem na czele, zdobyła 190 mandatów, prawica 170, mniejszości narodowe 84. Większość sejmowa zawisła od tego, z kim połączy się „Piast”. Wincenty Witos wybrał Narodową Demokrację.

Powstał problem, kto będzie prezydentem. Piłsudski odmówił. PSL „Wyzwolenie” wysunęło kandydaturę Gabriela Narutowicza. „Piast” optował za Wojciechowskim, prawica za hrabią Zamoyskim.

Endecka „Rzeczpospolita” piórem Strońskiego uprzedzała w artykule *Zapora*, że prezydenta może wybrać tylko większość polska.

Piastowcy nie chcieli głosować na herbowego arystokratę i oddali swe mandaty kandydatowi „Wyzwolenia”. Do tego doszły głosy mniejszości i prezydentem został Gabriel Narutowicz.

Kiedy ta wiadomość wypłynęła z sejmu na ulicę, okupujący gmach parlamentu tłum prawicowych fanatyków ruszył, jak podaje „Gazeta Warszawska”, w kierunku domu, w którym mieszkał Józef Haller. Generał – poseł z listy Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej, popularnie zwanego Chjeną – wyszedł demonstrantom naprzeciw i w Alejach Ujazdowskich wygłosił przemówienie:

*Rodacy i towarzysze broni! To wy, a nie kto inny swą pierśią bohatersko osłanialiście niczym twardym murem granice Rzeczypospolitej, roгатki Warszawy. W swoich czynach chcieliście Polski wielkiej, niepodległej. W dniu dzisiejszym tę Polskę, o którą walczyliście, sponiewierano. Odruch wasz jest wskaźnikiem, że oburzenie narodu wzbiera jak fala. Sprawcie, aby Narutowicz nie przyjął godności prezydenta.*

W tłumie powtarzano plotkę: Narutowicz jest Żydem.

## Bez skruchy

**Oskarżony: Eligiusz Niewiadomski,  
zarzut: zabójstwo prezydenta Gabriela Narutowicza**

Ten dzień – 16 grudnia 1922 roku – Gabriel Narutowicz zaczyna od jazdy konnej po Łazienkach. Potem idzie do swego gabinetu w Belwederze i podpisuje akt łaski dla skazanego na śmierć. Była to jego pierwsza decyzja jako prezydenta Rzeczypospolitej, przed kilkoma dniami wybranego przez Zgromadzenie Narodowe.

Spogląda na zegarek. O jedenastej – o czym przypomina mu sekretarz – ma jechać na otwarcie wystawy polskich malarzy w Zachęcie. Pozostało pół godziny, które prezydent spędza na samotnym picu kawy. Ma o czym rozmyślać. Zaczyna nowy etap w swoim życiu. W kwietniu 1919 roku do powrotu do kraju namówił go Ignacy Mościcki. Zrezygnował z dostatniego życia w Szwajcarii, posady dziekana na politechnice zuryskiej, rozległych towarzyskich kontaktów na zachodzie Europy, aby zostać w Polsce ministrem, a następnie głową państwa. Jak sam żartował, prezydenckie apanaże w ojczyźnie stanowiły połowę pensji gospodyni jego domu w Zurychu.

Poprzedniego dnia złożył mu wizytę arcybiskup warszawski, kardynał Aleksander Kakowski. O czym rozmawiali, wiadomo z listu arcybiskupa do prymasa Edmunda Dalbora. Prezydent miał przyrzec Kościołowi poparcie, zwłaszcza odnośnie do konkordatu. Na koniec poprosił kardynała o błogosławieństwo dla siebie i podjętej pracy. Ukląkł na oba kolana...

Wychodząc z Belwederu, parę minut po jedenastej, Narutowicz zostawia na stole swój rewolwer.

– *Na wszelki wypadek, by instynkt samozachowawczy nie wziął góry nad spokojem, jaki winienem zachować na swym stanowisku –* mówi szefowi protokołu dyplomatycznego.

Dwunasta dwanaście. Do prezydenta, który jest już w galerii, podchodzi poseł angielski Max Muller i składa gratulacje z okazji objęcia urzędu głowy państwa. Narutowicz odpowiada po francusku: – *Raczej należałoby mi współczuć.*

Chwilę potem rozlegają się strzały. Prezydent pada twarzą na posadzkę, umiera. Na plecach jego marynarki widać trzy dziury po kulach. Zabójcą jest malarz Eligiusz Niewiadomski, który stoi bez ruchu z dymiącym browningiem w ręku. Max Muller osuwa się zemdlony pod ścianą.

W przedsiönku Zachęty kilkadziesiąt osób otacza posła Mariana Kościałkowskiego z PSL „Wyzwolenie”. Znany polityk, godząc

wyciągniętą ręką w stojącego na schodach generała Józefa Hallera, woła histerycznie:

*– To pańskie dzieło, panie generale, wyście go zabili. Jego krew obciąży wasze sumienia!*

Ten rozpaczliwy krzyk rozlega się w śmiertelnej ciszy.

Przykryte sztandarem Rzeczypospolitej ciało prezydenta odjechało do Belwederu otwartym landem. Na stopniach samochodu stanął szef protokołu dyplomatycznego Stefan Przeździecki, który przed kilkoma dniami towarzyszył prezydentowi w drodze do sejmu na złożenie przysięgi. (Ówczesny premier Julian Nowak wymówił się chorobą). Kiedy powóz wjechał na Krakowskie Przedmieście, na chodnikach stały już tłumy. Ludzie milczeli, niektórzy ocierali łzy.

Wieczorem marszałek sejmu Maciej Rataj powołał nowy rząd z Władysławem Sikorskim na czele. Generał wprowadził stan wyjątkowy w stolicy.

Informacja o zamordowaniu prezydenta znalazła się na pierwszej stronie wszystkich gazet. Stanisław Stroński, najbardziej zagorzały publicysta prawicowej „Rzeczypospolitej” i „Warszawianki” napisał o Niewiadomskim, że jest to *człowiek znany w sferach artystycznych z ogromnej ambicji i niepoczytalnej mściwości, fanatyzmu. Powszechnie uznawany był za nieobliczalnego. Jego czyn to hańba dla Polski.*

Dziennikarz tym bardziej usiłował odciąć się od zabójcy, że miał na sumieniu głośny artykuł o wiele mówiącym tytule *Zapora*, szkalujący Narutowicza tuż przed zaprzysiężeniem na prezydenta. Po tragedii w Zachęcie Stroński apelował w komentarzu pt. *Ciszej nad tą trumną...* o narodowe pojednanie. Napisał, że *morderstwo polityczne jest zbrodnią, którą może popełnić tylko człowiek nie zdający sobie w swym uniesieniu sprawy ze zła, jakie wyrządza życiu publicznemu.*

I wyraził nadzieję, że *naród przetrzyma ten głęboki wstrząs w smutku, ale zarazem w spokoju, bez których niebezpieczeństwo byłoby stokroć groźniejsze.*

Również endecka „Gazeta Warszawska” przedstawiła zabójcę jako człowieka, którego stan umysłu od dawna budził wątpliwości, i wyraziła przekonanie, że opinia publiczna wyda wyrok potępiający zamachowca.

Lewicowy „Robotnik” określił łyzy „chjeńskiej” prasy jako krokodyla i wzywał do jedności narodowej, bo coraz częściej rozlegają się głosy, że wojna domowa jest nieunikniona: *Różne chjeny i chjenięta na mieście, w tramwajach, w lokalach, niedwuznacznie dają wyraz swej radości z zabójstwa ich zdaniem żydowskiego prezydenta.*

19 grudnia, trzeciego dnia po morderstwie, odbył się pogrzeb. Trumnę ze zwłokami Gabriela Narutowicza uroczyście przewieziono z Belwederu na Zamek Królewski. Karawan był eskortowany przez oficerów z obnażonymi szablami. Kondukt otwierały dwa szwadrony szwoleżerów, następnie maszerowały bataliony piechoty i bateria artylerii. Pierwszy prezydent II Rzeczypospolitej został pochowany w krypcie warszawskiej katedry św. Jana. Kardynał Kakowski powiedział nad trumną: *Nie było u nas takiej zbrodni od czasów Piasta.*

Stanisław Thugutt, polityk PSL „Wyzwolenie”, napisał w swych pamiętnikach:

*19 grudnia pogoda była tak mroczna i mglista, że nawet w samo południe panowały ciemności. Na chodnikach od Belwederu do Zamku stał tłum w gęstym skupieniu, nieodgadniony tłum i nie wiadomo było, co się kryje pod tą skorupą milczenia.*

Cztery dni przed morderstwem...

Kluby tworzące blok Chrześcijańskiej Jedności Narodowej postanowiły zbojkotować zaprzysiężenie prezydenta, zaplanowane na 12 grudnia w samo południe. Od rana w Alejach Ujazdowskich odbywały się pochody i demonstracje, korporanci wykrzykujący hasła antysemityczne szli uzbrojeni w grube laski. Dochodziło do bijatyk. Wzywano posłów narodowych do zdecydowanej walki, aż „do wyzwolenia Polski z haniebnego niewoli”. Na Narutowicza jadącego powozem na zaprzysiężenie do sejmu spadły grudy lodu

z kamykami w środku. Kilka takich pocisków uderzyło prezydenta w twarz.

Prawicowe bojówki próbowały nie dopuścić posłów mniejszości na Wiejską. Zatrzymywano posłów lewicy idących pieszo na Zgromadzenie Narodowe. Sędziwy senator Bolesław Limanowski wraz z towarzyszącym mu Daszyńskim zostali wepchnięci do bramy, skąd nie mogli zbiec. Pobito posła PPS Zygmunta Piotrowskiego i senatora żydowskiego pochodzenia Lejba Kowalskiego. Policja nie reagowała. Na placu Trzech Krzyży doszło do strzelaniny; od kuli zginął młody robotnik Kałuszyński, kilkanaście osób rannych trzeba było odwieźć do szpitala. O śmiertelnej ofierze napisano w „Robotniku”, że *poległ od kuli zbirów reakcyjnych w świętej walce o Prawo i Konstytucję*.

Jak wspominał w swych pamiętnikach działacz socjalistyczny, legionista Adam Pragier:

*Ceremonia złożenia przysięgi była wstrząsająca w swej ponurej grozie. Mieliśmy świadomość, że przeżywamy chwile prawdziwego niebezpieczeństwa. Ale była w nas jednakowa determinacja: za żadną cenę nie wolno dopuścić, by anarchia uliczna rozpętana przez prawicę wzięła górę.*

„Rzeczpospolita” tak opisywała moment zaprzysiężenia: *„Zjawia się p. Gabriel Narutowicz i staje przed trybuną marszałkowską. (...) Jest widocznie błady. Posłowie żydowscy zaczynają klaskać. Do nich przyłączają się posłowie lewicy. Posłowie PSL klaszczą częściowo. Wincenty Witos w pierwszej ławce z rękami w kieszeniach.*

Następnego dnia Stroński lamentował na łamach swojego dziennika: *Wybór zdumiewający, bezmyślny, jątrzący, wytwarza stan rzeczy, z którym większość polska musi walczyć. Na jego podstawie prawica żadną miarą nie przystąpi do pracy państwowej. (...) W jaki sposób elekt złożą przysięgę, skoro jej brzmienie oparte jest na całkowicie religijnej podstawie chrześcijańskiej, a on bezwyznaniowy?*

Jak na zawołanie Chrześcijański Związek Jedności Narodowej wydał oświadczenie, że ich stronnictwa nie mogą wziąć odpowiedzialności za bieg spraw państwowych i odmówią wszelkiego poparcia rządowi powoływanym przez prezydenta narzuconego przez obce narodowości: Żydów, Niemców i Ukraińców. *ChZJN podejmuje stanowczą walkę o narodowy charakter Państwa Polskiego zagrożony tym wyborem.*

Inny publicysta „Rzeczpospolitej”, Marian Grzegorzczak, wprawdzie przyznał, że litera prawa stoi za Narutowiczem, ale honor narodowy i poczucie zbiorowej godności polskiej nie są po jego stronie. Prezydent narzucony przez przypadek stał się narzędziem w rękach niepolskich.

Do Bristolu, gdzie mieszkał Narutowicz, napływały anonimy z pogrózkami, że wkrótce zginie: *Zawiadomienie trzecie – pisał ktoś ze Lwowa – pozostaje Panu do oznaczonego terminu już tylko 4 doby 20 godzin. Czas zrobić testament. Pozdrowienia.*

14 grudnia Piłsudski przekazał władzę Narutowiczowi w Belwederze. Na śniadaniu wygłosił toast:

– *Panie Prezydencie Rzeczypospolitej. Czuję się niezwykle szczęśliwy, że pierwszy w Polsce mam wysoki zaszczyt podejmowania w moim jeszcze domu pierwszego obywatela Rzeczypospolitej Polskiej. Jako jedyny oficer służby czynnej, który dotąd nigdy przed nikim nie stawał na baczność, staję oto na baczność przed Polską, którą ty reprezentujesz, wznosząc toast: Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej niech żyje!*

15 grudnia Gabriel Narutowicz rozpoczął rozmowy z przywódcami stronnictw. Zamierzał stworzyć rząd koalicyjny partii PSL „Piaś” i „Wyzwolenie”, PPS oraz Narodowej Partii Robotniczej. Natychmiast zareagowała na to „Gazeta Warszawska”. Napisano, że mogłaby powstać koalicja stronnictw polskich, ale *fakt pozostanie faktem – istnieje zaporę. Losy Państwa będą zależały od szantażu Żydów, Niemców i Ukraińców.*



Zaraz po zamordowaniu Narutowicza zabójca oddał się w ręce policji. Odwieziono go do więzienia mokotowskiego, gdzie niezwłocznie odbyło się przesłuchanie.

Na pytanie, czy ktokolwiek pomagał mu w zbrodniczym czynie, Eligiusz Niewiadomski odpowiedział z oburzeniem, że jest panem swojej woli. Nie życzył sobie adwokata. (I tak go dostał).

Nigdy nie wszedł w konflikt z prawem, dla organów ścigania był postacią bliżej nieznaną. 54-letni artysta malarz, przez pewien czas zatrudniony jako urzędnik średniego szczebla w ministerstwie kultury. Formalnie do żadnej partii politycznej nie należał, sympatyzował z prawicą, zwłaszcza endecją.

Poinformowano go, że stanie przed sądem doraźnym, tak zarządził minister sprawiedliwości. Ale pierwszy prezes Sądu Najwyższego Franciszek Nowodworski zgłosił sprzeciw, sprawę skierowano do Wydziału VIII Karnego Sądu Okręgowego w Warszawie. Proces w sali kolumnowej pałacu Paca rozpoczął się 30 grudnia 1922 roku. Oskarżał prokurator Kazimierz Rudnicki, adwokatem z urzędu został Stanisław Kijeński, niegdyś obrońca skazanych na rozstrzelanie rewolucjonistów Wielkiego Proletariatu.

Powództwo cywilne w imieniu nieletnich sierot po zamordowanym popierał mecenas Pachelski, domagając się wynagrodzenia szkód i strat moralnych i materialnych w wysokości symbolicznej jednej marki.

Zbliżony do lewicy „Express Poranny” tak przedstawił swym czytelnikom początek procesu:

*Dzień jest szary, dżdżysty, pełen wilgoci i mgieł. Przed pałacem Paca na ulicy Miodowej silny kordon policji. By dotrzeć na salę rozpraw, trzeba przejść kilkakrotną kontrolę legitymacji i biletów wstępu. Wszystkie miejsca zajęte, galerie na piętrze nabite, pod filarami przedstawiciele palestry i urzędnicy sądowi. W ostatnim rzędzie sali widzimy Stefana Żeromskiego. Tuż obok niego Wacław Sieroszewski z żoną. Dla wielu dziennikarzy zabrakło krzeseł, muszą stać. W tłumie pod filarami przeciska się i szuka miejsca obok mecenasa Belmonta były kandydat mniejszości narodowych na*

*prezydenta Rzeczypospolitej Baudouin de Courtenay. W przejściu stoi poetka Kazimiera Iłakowiczówna, na której rękach zamordowany prezydent oddał ostatnie tchnienie.*

Opisano usadowioną w pierwszym rzędzie ław rodzinę oskarżonego. Bładą i milczącą żonę, córkę „ujmującej urody”. Towarzyszy im brat Gabriela Narutowicza, urzędnik ministerialny. Obie panie z przelęknieniem spoglądają co chwila w kierunku drzwi, przez które wprowadzą skutego oskarżonego. Kiedy wchodzi, córka opuszcza nisko głowę i nie podnosi jej przez dłuższą chwilę.

Niewiadomski jest wysoki, starannie ubrany. Jego twarz o rysach ostrych i pociągłych, wyraża jakby zaciętość i upór – ocenia reporter „Expressu Porannego”. Przebiegają przez nią nerwowe skurcze wąskich warg i rudych brwi. Nonszalanckim ruchem zdejmuje palto i szalik i kładzie je obok na ławce. Dziennikarz pisze: *Spoza złotych okularów widnieją maleńkie szparki szcurzych oczu. Jego spojrzenie na salę jest bez wyrazu – przesuwa się po twarzach publiczności bez żadnego drgnienia nawet w chwili, gdy dostrzega swoich najbliższych.*

– *Czy oskarżony przyznaje się do winy?* – pyta sędzia.

– *Do złamania prawa jak najbardziej, do winy nie. Ale jestem gotów ponieść jak najdalej idące konsekwencje. Na śledztwie przemilczałem pewną okoliczność: strzały pierwotnie nie były przeznaczone dla Narutowicza. Miał od nich zginąć Naczelnik Państwa Józef Piłsudski. On po Magdeburgu nie dorósł do roli, jaką mu wyznaczyły dzieje. Prezydent był kłosem pod nogi, rzuconym przez Piłsudskiego na odchodnym. Gdyby w sejmie przeszedł większością polską albo wyboru na prezydenta nie przyjął, zamachu nie byłoby. Ja musiałem z premedytacją odebrać mu życie, aby bronić majestatu Rzeczypospolitej, sponiewieranego przez ciury. Miałem prawo i obowiązek to uczynić.*

– *Co miał pan do zarzucenia Gabrielowi Narutowiczowi?* – Sędzia usiłuje przybliżyć wyjaśnienia podsądnego do sytuacji, w jakiej się znalazł.

– Konkretnie nic, ja nawet uważałem Narutowicza za uczciwego człowieka. Jako obywatel padł on ofiarą budzących zgrozę gmatwanin sejmowych: lewica połączona z żydostwem postanowiła nie dopuścić niezależnego człowieka do prezydentury, żydostwu trzeba było człowieka chwiejnego, aby dalej pielęgnował polityczne matactwo i dotychczasową anarchię...

Przez dwie godziny oskarżony chaotycznie wyjaśniał, dlaczego musiał zamordować Narutowicza. Była to zagmatwana ocena kolejnych, szybko zmieniających się rządów II RP oraz nawracające dywagacje, że głównym zagrożeniem dla kraju był Józef Piłsudski.

– Na jakiej podstawie oskarżony tak sądzi? – zapytał prokurator.

– Proszę, oto dowody. – Niewiadomski zachowywał się, jakby uczestniczył w akademickiej dyspucie. – Naczelnik powołał w 1918 roku lewicowy rząd Jędrzeja Moraczewskiego, który nie miał ani odwagi, ani siły, żeby otwarcie stanąć pod sztandarem dyktatury proletariatu. Określał się skromnie rządem ludowym, jednakże każdy rozumiał, że nazwa była tylko listkiem figowym innych zamiarów – wprowadzenia dyktatury. Następnie Piłsudski utracił kandydaturę na premiera prawicowego Wojciecha Korfanteo. Popierał Narutowicza na stanowisko prezydenta, gdyż chciał doprowadzić do rządów miękkiej ręki w Polsce. W chwili, gdy naród polski potrzebował czasu i skupienia, Piłsudski zdecydował, że sejm ma być wybrany demokratycznie z zastosowaniem pięcioprzymiotnikowego głosowania<sup>[1]</sup>. W rezultacie zamiast jednej głowy do rządów, dorwało się ich czterysta; najzawilsze sprawy państwowe zostały oddane w ręce fernali i pastuchów bydła.

Skończył, wreszcie mogło paść pytanie.

– Czy oskarżony miał współników w popełnieniu zbrodniczego czynu?

– Wysoki sądzie, kiedy pytano mnie o to w czasie śledztwa, odpowiedziałem przecząco. Teraz twierdzę odwrotnie: moimi współnikami – w sensie duchowym – byli Perl poseł PPS i redaktor „Robotnika” – tuby tej partii, oraz Kazimierz Ehrenberg, naczelny redaktor lewicowego „Kurier Porannego”. Nie zgadzałem się z ich

*poglądami w żadnej mierze, byłem oburzony, że mają wpływ na opinię publiczną. To utwierdzało mnie w postanowieniu o sprzeciwienu się złu.*

*– Co oskarżony rozumie przez określenie „rządy miękkiej ręki”? – Sędzia przerwał dywagacje na temat osób, które nawet nie były świadkami w sprawie.*

*– Miękką ręką służy złodziejom, paskarzom, bandytom, przeniwiercom grosza publicznego, chłopstwu, które się wykręca od płacenia podatków, żydostwu, spiskowcom, zdrajcom stanu i aferzystom politycznym. Takie rządy, a właściwie bezrządy i przyzwolenia na wszelkie działania lewicy, pobłażliwe traktowanie ludzi podejrzanych o komunizm powodują, że byle banda łobuzów zatrzymywała życie stolicy, blokując podczas strajku tramwaje czy gazownie, tyłtając majestat Rzeczpospolitej w ulicznym błocie.*

*– Chciał pan zabić Piłsudskiego, a zamordował Narutowicza?*

*– Musiałem zmienić plany. Pierwotnie zamierzałem dokonać tego 6 grudnia podczas otwarcia wystawy „Warszawa za czasów Stanisława Augusta”. Wypróbowałem po raz setny rękę i rewolwer i byłem tak pewny, że Piłsudski zginie, jak tego, że tu stoję. Dopiero ostatnie przesunięcia na szachownicy sejmowej, rezygnacja Piłsudskiego z kandydowania na prezydenta – o czym dowiedziałem się 5 grudnia z gazet – wysunęły siłą jakiegoś fatalizmu osobę pana Narutowicza.*

*Ale nie żałuję niczego; zrobiłem to, co było moim obowiązkiem. Spełniłem go uczciwie. Przez moje ręce przemawiała nie partyjna zaciekłość, lecz sumienie, zelżona godność narodu. Tak jak ja, czują tysiące, tylko nie każdy zrobił to, co się stało moim udziałem.*

*Sprawozdawca sądowy zbliżonego do obozu ludowców „Expressu Porannego” tak skomentował wyjaśnienia malarza:*

*Oskarżony przesuwą winę za zbrodnię z podsądnego na polityków. O tyle ma rację, że każdy, kto ślepo uwierzy sykom nienawiści, a będzie chciał otworzyć wrota szczęśliwości Polski, mógłby dopuścić się zbrodni Niewiadomskiego.*

Prokurator zaczął swą mowę od powidoku momentu śmierci Gabriela Narutowicza:

*– Przed dwoma tygodniami o tej samej nieledwie godzinie w sali Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych konał na podłodze prezydent Rzeczypospolitej, przedstawiciel 30 milionowego narodu. Nie było przy nim bliskich. (...) Martwiejącą głowę obce podtrzymywały ręce... Gdzie ta anarchia? – Kazimierz Rudnicki odwrócił się w kierunku Niewiadomskiego.*

Pytanie było retoryczne, oskarżony bez zgody sądu nie mógł się wypowiadać. Prokurator ciągnął swój wywód:

*– Oto świeżo powstałe państwo dokonuje wielkiej pracy organizacyjnej. Stan ekonomiczny Polski systematycznie się poprawia. Przemysł włókienniczy już przewyższył produkcję przedwojenną, żelazny niemal dorównuje i co najważniejsze – dwa i pół miliona dzieci uczy się w polskich szkołach, to jest czterokrotnie więcej niż w ostatnim roku zaborów. W roku 1920 zdemoralizowany, pobity żołnierz polski potrafił się na nowo zorganizować, walczyć i ginąć jak ksiądz Skorupka czy poseł Polskiej Partii Socjalistycznej Aleksander Napiórkowski. Można powiedzieć: z niczego, z chaosu, z dezorganizacji, z zupełnego rozbicia – powstaje gmach Polski. Teraz trzeba mówić w pobożnym skupieniu w niemal religijnym nastroju, którego źródłem jest praca, nie zabójstwo: mój rząd, mój kraj, moje wojsko.*

*– A jakież było postępowanie oskarżonego? – Po naszkicowaniu ogólnego tła prokurator zajął się Niewiadomskim. – Nie mógł znieść tej hańby, że prezydent przyjął władzę również z rąk posłów małej grupy chliborobów, których uważał za wrogów Polski.*

Oskarżyciel publiczny nie musiał rozwijać tematu. Większość osób na sali sądowej słyszała o zamordowaniu w 1920 roku Twerdochliba, przywódcy Ukraińskiej Partii Włościańskiej, tzw. Chliboroby, który mimo bojkotu ogłoszonego przez wszystkie znaczące ukraińskie partie polityczne w Polsce, deklarował udział w rozpisanych na listopad 1922 roku wyborach do sejmu. Złamanie bojkotu wyborów spowodowało wydanie na niego wyroku śmierci

przez Ukraińską Organizację Wojskową. Twerdochlib został zastrzelony w czasie kampanii wyborczej 15 października 1922 roku na stacji kolejowej Sapieżanka.

Można mieć inne poglądy polityczne – przyznawał prokurator – demonstrować je, ale w sposób cywilizowany. Rudnicki przywołał ducha młodego robotnika Kałuszyńskiego, zastrzelonego na ulicy w dniu zaprzysiężenia prezydenta. Pogrzeb tej ofiary bojkotu Narutowicza odbył się parę godzin po tragedii w Zachęcie. Za trumną szło kilkadziesiąt tysięcy partyjnych towarzyszy zamordowanego, którzy łatwo mogli stać się jego mścicielami, gdyby nie powstrzymało ich poczucie konieczności utrzymania w kraju spokoju.

Oskarżony nie protestował, kiedy polska delegacja podpisywała w 1921 roku w Rydze traktat o mniejszościach narodowych, zapewniający im całkowity udział w budowaniu Rzeczypospolitej. Nie sprzeciwiał się, kiedy uchwalano Konstytucję, która ten stan całkowicie akceptowała. Wybrał drogę skrytobójczą, mordując człowieka, któremu nic nie mógł zarzucić ani pod względem charakteru, ani politycznym. Nie szukał współników. Jest to czyn indywidualny, ale nie został wyhodowany w mózgu mordercy zupełnie samodzielnie i nie zrodził się w jego sercu bez żadnej pobudki z zewnątrz. To, co było czasem wyrazem zawiedzionych nadziei, wyrazem gniewu partyjnego, uzewnętrzniało się w fatalnych często słowach – Niewiadomski brał na serio, jako głos obudzonego sumienia narodu. Jego pobudliwa natura chłonęła wszystkie głosy, które rozlegały się między 6 a 16 grudnia, i brała je za rzetelną prawdę. Wyobraził sobie, że słucha istotnie tętna narodowego życia, a przecież słyszał tylko pokrzykiwania, tylko gadzinowe syki.

34 lata później Kazimierz Rudnicki w swej książce *Wspomnienia prokuratora* wyznał, że został zobowiązany w czasie śledztwa przez ministra sprawiedliwości, aby nie wymieniał żadnych nazwisk polityków, którzy swoimi krzykami z trybuny sejmowej mogli popchnąć Niewiadomskiego do zbrodni. Rząd nie chciał drażnić już nieco uspokojonego społeczeństwa.

Dlatego świadków wzywano głównie na okoliczność charakteru oskarżonego, jego nieobliczalnych reakcji. Wiele mógł na ten temat powiedzieć malarz Jan Skotnicki, dyrektor departamentu w Ministerstwie Sztuki i Kultury, który Niewiadomskiego znał dobrze z pracy; przez dwa lata siedzieli przy jednym biurku. Skotnicki zeznał, że Niewiadomski łatwo poddawał się wpływom zewnętrznym. Jeżeli idee były podsuwane umiejętnie, przyjmował je za swoje. W obozie narodowym znalazł się przez przypadek. Chwilowe, taktyczne hasła tego ugrupowania traktował jako istotne wyznaczniki wiary. W każdej partii byłby krańcowym radykałem. Nie próbował zgłębiać programów, pociągała go raczej ich jaskrawość. Stąd wypływało jego oderwanie od rzeczywistości, a także pozerstwo i deklamatorstwo. *To był umysł ogarniający tylko pewne rzeczy, bez postrzegania konsekwencji i niebezpieczeństw, jakimi mógł taki punkt widzenia grozić.*

Skotnicki zwrócił uwagę sądu na pryncypialność oskarżonego, główne źródło jego radykalizmu: *Jako zwierzchnik był surowy, często popędliwie złośliwy, jako człowiek – mściwy, bezwzględny, uparty. Te cechy charakteru nie zjednywały mu sympatii ani kolegów, ani interesantów.*

Autodestrukcyjna natura osobowości Niewiadomskiego miała się w pełni ujawnić w końcu 1921 roku, kiedy został wyrzucony z pracy w ministerstwie z powodu kłótni z ministrem.

Zdaniem świadka rosnąca izolacja bezrobotnego Niewiadomskiego miała wyraźny wpływ na jego życie prywatne i stan psychiki:

– *Mam wrażenie – powiedział Skotnicki w sądzie – że stosunki osobiste i trudności życiowe po otrzymaniu dymisji zrodziły w głowie oskarżonego myśli samobójcze. Chciał odebrać sobie życie, ale w sposób widowiskowy, tak, aby jego czyn przeszedł do historii. Zabójstwo Narutowicza spełniało te warunki.*

Leo Belmont, obrońca w procesach politycznych, a także pisarz i sprawozdawca sądowy, twierdził w swym artykule dla „Kuriera

Ilustrowanego”, że Niewiadomski jest niepoczytalny – wbrew temu, co sam o sobie mówi. Powinien być zbadany przez lekarzy.

*Ten morderca to wulkan pod korą lodową! Z uporem symuluje zdrową jaźń, wstydzi się cienia swej słabości, ale na swą zgubę, z maniacką uciechą samobójcy łądzi sąd, publiczność na sali rozpraw, dziennikarzy, że jest człowiekiem absolutnie normalnym, nie tylko o myśli logicznej, lecz i woli, podobnie zdrowej, co i twardej.*

Niejako potwierdzeniem tej opinii była reakcja oskarżonego na zeznanie prezesa Komitetu Zachęty, że o Niewiadomskim słyszał opinie jako o wariacie, którego premier Ponikowski usunął z urzędowania.

– *Sam podałem się do dymisji, ponieważ zażądano ode mnie niezgodnego z pierwotnym przeznaczeniem budżetowym wydatkowania pewnej pozycji* – zaprotestował podsądny.

Sąd nie widział potrzeby zasięgnięcia opinii biegłych psychiatrów.

Ostatnim świadkiem przed wystąpieniem obrońcy był Stanisław Car, szef Kancelarii Prezydenta. Odpowiadał na pytania o zabezpieczenie wizyty głowy państwa na otwarciu wystawy.

Niewiele zrobiono. Na polecenie służb specjalnych pracownicy Zachęty starali się nie rozgłaszać informacji, kiedy przyjedzie Gabriel Narutowicz. Stanisław Car wyjechał po prezydenta do Belwederu. Zapamiętał pełne przeczyć słowa honorowanego gościa przed wyjazdem: – *Najlepsze zabezpieczenie to nie zwracać się wcale o ochronę do służb specjalnych.*

– *Nikt z organizatorów wernisażu nie przewidywał tragedii* – twierdził Car. – *Bo też nigdy dotąd w wolnej Polsce takie środki nie były przedsięwzięte. Piłsudski jako naczelnik państwa bywał na wernisażach i otwarciach i jeśli jechał ze szwadronem szwoleżerów, miało to charakter reprezentacji, nie obrony.*

Niewiadomskiemu został przydzielony adwokat z urzędu, Stanisław Kijeński. Rudnicki twierdzi w swych wspomnieniach, że prawnik co najmniej sympatyzował z politykami Narodowej



Demokracji. Bardzo mu zależało na rozgłosie. Ponieważ zgodnie z procedurą sądową końcowe mowy adwokatów nie są umieszczane w aktach, Kijeński zaraz po procesie własnym sumptem wydał stenogram swego wystąpienia w formie broszury. Publikację otwierała biografia Niewiadomskiego, bardzo życzliwa skazanemu.

Na sali sądowej Kijeńskiego spotkał afront ze strony klienta, który w pewnej chwili poprosił adwokata o zaprzestanie wywodów. Mecenas potraktował oświadczenie oskarżonego pobłażliwie; sugerował, aby na takie słowa nie zwracać uwagi, bo Niewiadomski stanowi typ samotnika i jest zdolny głównie do rozkazywania.

Mowę obrończą zaczął od stwierdzenia, że Polska nigdy nie była w tak straszliwym położeniu jak dziś, wobec czego nic dziwnego, że człowiek z wrażliwością Eligiusza Niewiadomskiego mógł oszaleć z bólu.

*– W Polsce jest tak źle – grzmiał adwokat – gdyż grozi nam wróg wewnętrzny i gdybyśmy nie czuli bólu wobec współczesnego pohańbienia Polski, nędznym bylibyśmy plemieniem.*

*Rzeczpospolita istnieje dopiero cztery lata. Potrzebuje zorganizowanej, ciągłej pieczołowitości, aby nabrała sił. Ale jeśli w kraju wiele zrobiono, jak twierdzi pan prokurator, to wysiłkiem społeczeństwa, nie rządu. Niewiadomski widział na każdym kroku słabość, a nawet, jak się wyraził, zbrodniczość poczynań rządu wobec wysokiej fali wrogiej obczyzny, zwłaszcza Żydów, która może nas całkowicie pochłonąć. Oni dotychczas tylko handlowali, ale teraz pchają się do rządów. To pohańbienie widziały miliony Polaków. Oskarżony był wstrząśnięty, że głosy wrogów państwa spowodowały wybór na prezydenta kogoś z mniejszości narodowej; biednej i nieszczęśliwej ofiary niewiedzy i nieświadomości życia polskiego narodu[2]. Oskarżony w głębi bolejącego serca patrioty powiedział sobie: Dość tego! Trzeba wziąć przemoc w karby.*

Na koniec Kijeński zakwestionował przystąpienie do procesu na prawach strony (uczestniczącej w całym postępowaniu) adwokata, pełnomocnika małoletnich dzieci Narutowicza. Sąd wniosku o odsunięcie od czynności procesowych mecenasa Paschalskiego[3]

nie uwzględnił. Adwokat mógł wyrazić publicznie żal rodziny ofiary, że na procesie tak niewiele mówi się o zamordowanym prezydencie:

– *Zabito go w imię pewnych idei politycznych, a my o nim prawie nic nie wiemy.*

Prokurator Rudnicki tak tłumaczy się z tego zaniechania w swojej książce: *Nie wspominałem o prezydencie w mowie oskarżycielskiej, bo w stosunku do niego słuszne było pytanie z „Anhellego”: „Któż mi co zarzuci i grobowi mojemu?”. Dostojność i piękno Narutowicza były tak widoczne, że nie należało przeciwstawić go małości jego zabójcy.*

Niemniej prawie wszystkie gazety przybliżyły swoim czytelnikom postać zamordowanego.

Urodził się w majątku szlacheckim na Żmudzi. Ojciec zapłacił rokiem więzienia za szarżę na Kozaków w powstaniu styczniowym. Ten sam los spotkał starszego brata. To był postępowy dom, otwarty na wolnościowe prądy w Europie. Herbowy ziemianin Jan Narutowicz – jeszcze przed ogłoszeniem w styczniu 1863 roku zapowiedzi o uwłaszczeniu chłopów przez Powstańczy Rząd – nadał włościanom ziemię w swoich wsiach.

Po gimnazjum 17-letni Gabriel dostał się na Wydział Fizyko-Matematyczny Uniwersytetu Petersburskiego. Alarm domowego lekarza, że u młodego pacjenta rozwija się gruźlica, skłonił owdowiałą matkę do ulokowania syna w korzystnym klimatycznie Zurychu. Młody Żmudzin, studiując w Szwajcarii na Wydziale Budownictwa Wodnego politechniki, sympatyzował z działaczami Wielkiego Proletariatu. Fascynacja okazała się przelotna, inżynier Gabriel Narutowicz przede wszystkim realizował się w swoim zawodzie. Został szefem przedsięwzięcia regulacji Renu, budował na tej rzece elektrownie wodne, potem nadzorował takie prace także w Hiszpanii i Italii. Jako wysokiej klasy specjalście zaproponowano mu fotel dziekana na zuryskiej politechnice. Jego dom był oazą dla młodzieży z Polski, żona Narutowicza pochodziła z Litwy. Dla swych rodaków zorganizował w Zurychu Polski Komitet Samopomocy.

Zaszczyty, międzynarodowe uznanie, świetna pozycja materialna przestały mieć po roku 1918 znaczenie wobec przemożnej chęci powrotu do odrodzonej Polski. Plany opóźniła ciężka choroba żony. Po jej śmierci Gabriel Narutowicz oddał się do dyspozycji władz polskich. Premier Grabski powołał go najpierw na ministra robót publicznych. „Gazeta Warszawska” alarmowała, że Narutowicz obstawia swój resort ludźmi z żydowskiej finansjery. „Kurier Warszawski” pisał o ministrze „ten obcy”.

Prawdziwa nagonka zaczęła się, gdy ze strony ludowców padła kandydatura Narutowicza na prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Koniec procesu. Oskarżony ma prawo do ostatniego słowa. Na sali sądowej zalega przejmująca cisza, jak informuje czytelników „Express Poranny”. Morderca prezydenta jest najzupełniej opanowany. Mówi głosem głębokim, donośnym, twardym. Przemówienie jego jest świetnie przygotowane, ma się wrażenie, że Niewiadomski melduje o wykonaniu jeszcze jednego punktu programu politycznego, którego motywem było zamordowanie Narutowicza.

*Nieruchomość maski oskarżonego przejmuje zgrozą. Między salą a tragicznym mówcą czuje się otchłań. Straszny jest spokój rzekomo oszalełego z bólu. To nie szalenie, lecz zimny sadysta – pisze sprawozdawca „Kuriera Porannego”.*

Niewiadomski w ostrym tonie protestuje przeciwko nazwaniu go przez prokuratora skrytobójcą.

– Skrytobójstwo się kryje, ja działałem z otwartą przyłbicą! – krzyczy. – Czyny moje według brzmienia prawa są przestępstwami państwowymi z kategorii najwyższej. Przyłączam się do tej kwalifikacji. Wyrok skazujący mnie na więzienie bezterminowe, terminowe, jednodniowe czy jednogodzinne będzie największą krzywdą moralną, jaką można mi wyrządzić. Zamknięcie mnie za kratami rzuci w oczach świata cień na pamięć o mnie, a w moich własnych oczach odbierze mi to, co było siłą moralną w chwili wykonania strasznego czynu. Bo kiedym strzelał do człowieka

*nieznanego mi, bezbronnego, stojącego tyłem, to moją siłą moralną było przeświadczenie, że za jego życie daję swoje. Narutowicz istniał dla mnie tylko jako człowiek ojczyźnianej hańby. Tę hańbę moje strzały stały z czoła Polski. Proszę o wyrok śmierci. Wystawiłem weksel, chcę go zapłacić uczciwie.*

*Nie ujawniam skruchy, przeciwnie, ujawniam nadzieję, że echa moich strzałów dosięgną najdalszych zakątków ziemi polskiej, zapukają do wszystkich chat i do wszystkich serc, trafią nawet do obozu przeciwników nieświadomych, komu służą – zbudzą ich sumienia, czujność. Resztę zrobi czas.*

Sąd udaje się na naradę przed ogłoszeniem wyroku. Nikt nie wychodzi z sali. Oskarżony wyjmując z kieszeni czekoladę, zjada ją po kawałku. Poczęstowany obrońca odmawia.

– *Proszę wstać, będzie odczytany wyrok* – oznajmia przewodniczący składu sędziowskiego. Eligiusz Niewiadomski stoi wyprostowany, jego ascetyczna, wygolona twarz (podczas procesu nosił brodę) jest jak maska. Ani drgnie.

*Kiedy z ust sędziego pada słowo śmierć, tylko cień sarkastycznego spazmu przesunął się przez tę twarz. Kędyś wśród publiczności słychać głuchy łoskot po osunięciu się zemdlonego ciała – przejmująco relacjonuje „Express Poranny”.*

Od wyroku zdanie odrębne złożył jeden z sędziów, Jan Kozłowski, kwestionując wymiar kary. Optował za dożywociem.

Niewiadomski napisał z aresztu:

*Oznajmiam niniejszym, że wyrok przyjmuję. Wszelkie podania o ulaskawienie, o ile by takowe z czyjejkolwiek bądź strony wpłynęły, proszę uważać za złożone bez mojej wiedzy i wbrew mojej woli. O ile by na podaniu znalazł się mój podpis, proszę uważać go za nieautentyczny. Nadto upraszam Wysoki Sąd, aby przesyłając akta sprawy do p. Prezydenta Rzeczypospolitej, raczył nie pominąć niniejszego pisma, oraz aby wyświadczył mi wysoką łaskę i powstrzymał się od wnoszenia swego głosu o złagodzenie wyroku.*

Prośba o akt łaski od rodziny skazanego jednak wpłynęła. Prezydent Stanisław Wojciechowski odpowiedział na nią: *Ani*

*w aktach sprawy, ani w swoim sumieniu nie znajduję powodów, abym mógł z niej skorzystać.*

Niewiadomski napisał do prokuratora, aby wyrok wykonano po oddaniu mu honorów wojskowych. Po odmowie zajął się redakcją swej książki pt. *Malarstwo polskie XIX i XX wieku*. Kilka dni przed wykonaniem wyroku do prokuratora Rudnickiego przyszła pewna teozofka. Chciała widzieć się ze skazanym, *aby wnieść w jego ostatnie godziny życia nieco ukojenia*. Niewiadomski nie chciał skorzystać z tej usługi.

31 stycznia 1923 roku zabójca prezydenta Narutowicza po wypiciu szklanki mleka (takie było jego ostatnie życzenie) został wyprowadzony z celi śmierci na stoki Cytadeli. Nie chciał, aby zakrywano mu oczy. Nie pozwolił na przywiązanie do słupa. Po zdjęciu okularów, stanął twarzą do plutonu i krzyknął: *Umieram za Polskę, którą gubi Piłsudski*.

Z inicjatywy Narodowej Demokracji w noc poprzedzającą egzekucję odwołano wszystkie bale publiczne na znak żałoby. W wielu kościołach odbywały się nabożeństwa za męczennika narodowego. Kazania księży były tak bardzo w duchu endecji, że episkopat musiał wydać odezwę do wiernych, aby nie robili z modłów narzędzia politycznej agitacji.

Rodzina chciała zabrać ciało skazanego. Zwłoki przewożono wieczorem, ale i tak na ulicach stały tłumy. Już w Cytadeli chciano pociąć na drzazgi słupek, przy którym odbyła się egzekucja. W drodze do miasta manifestanci zaprzęgli się do karawanu, a w pewnym momencie zdjęto trumnę i usiłowano zrobić odlew z prawej ręki nieboszczyka. Z czasem grób Niewiadomskiego stał się obiektem pielgrzymek z całej Polski.

W 1923 roku psychiatra Maurycy Urstein<sup>[4]</sup> opublikował broszurę na temat osobowości zabójcy Narutowicza. Przeanalizował jego zachowanie na sali sądowej oraz manifesty napisane już w więzieniu. W swej epikryzie stwierdził:

*Doznajemy wrażenia, jak gdybyśmy słyszeli orkiestrę bez kapelmistrza. W gruncie rzeczy to zbiór głośno brzmiących wyrazów*

*bez wewnętrznego związku i logicznego powiązania, przy tym uporczywe zatrzymywanie się przy poszczególnych oderwanych wyobrażeniach, zamęt i chaos. To by wskazywało, że Eligiusz Niewiadomski cierpiał na katatonię, która wywoływała u niego napady szału i zamroczenia.*

## **Bibliografia**

- „Express Poranny” – wyd. od grudnia 1922 r. do stycznia 1923 r.
- „Gazeta Poranna 2 Grosze” – 17–20 grudnia 1922 r.
- „Gazeta Warszawska” – 10 grudnia 1922 r. – 31 stycznia 1923 r.
- „Kurier Polski” – 17–21 grudnia 1922 r.
- „Kurier Poranny” – wyd. z 18 i 20 grudnia 1922 r.
- „Kurier Poznański”. *Dodatek nadzwyczajny* – 9 grudnia 1922 r.
- „Przegląd Wieczorny” – wyd. z 18 grudnia 1922 r.
- „Robotnik” – wyd. z 16 i 17 grudnia 1922 r.
- „Rzeczpospolita” – 11–17 grudnia 1922 r.
- A. Garlicki, *U źródeł obozu belwederskiego*, Warszawa 1983.
- S. Kijeński, *Proces Eligiusza Niewiadomskiego o zamach na życie prezydenta RP Gabryela Narutowicza w dniu 16 grudnia 1922 r. odbyty w Sądzie Okręgowym w Warszawie dnia 30 grudnia 1922 roku: specjalne sprawozdanie stenograficzne*, Warszawa 1923.
- E. Niewiadomski, *Kartki z więzienia*, Poznań 1923.
- L. Okręt, *Półtora roku sali sądowej*, Warszawa 1925.
- A. Pragier, *Ciszej nad tą trumną!*, „Wiadomości” [tygodnik], 8 kwietnia 1973 r., Londyn.
- W. Roszkowski, *Najnowsza historia Polski 1914–1945*, Warszawa 2003.
- M. Ruszczyc, *Strzały w Zachęcie*, Katowice 1987.
- M. Urstein, *Niewiadomski w oświeceniu psychiatry*, Warszawa 1923.

Kościół katolicki miał poważnego konkurenta w powiększaniu swej owczarni – Cerkiew. Na terenie odrodzonej Rzeczypospolitej żyło około czterech milionów wyznawców prawosławia. Dla rządu uzależniona od Moskwy Cerkiew – koń trojański Sowietów – była problemem politycznym.

## Giń, kacie prawosławia!

**Oskarżony: Smaragd (Paweł Łatyszenko),  
zarzut: zabójstwo abp. Jerzego (Jaroszewskiego)**

Jest godzina jedenasta 8 lutego 1923 roku. Mimo zbliżającego się południa ciągle bardzo zimno. Policjant, który pilnuje domu zakrytialnego cerkwi prawosławnej na warszawskiej Pradze, chowa się przed mrozem do bramy. Ale musi wyjść na chodnik, bo właśnie zatrzymała się dorożka; wysiadł z niej pop w wysokiej czapie i baranym kożuchu z kudłami na wierzchu. Mundurowy nie widzi twarzy mężczyzny zdecydowanym krokiem zmierzającego do drzwi mieszkania arcybiskupa Jerzego, bo zasłania ją długa broda. Zastępuje mu drogę; nie był uprzedzany o jakiegokolwiek wizycie u prawosławnego metropolity. Odsuwa się na bok dopiero na wołanie odźwiernego, że to swój, archimandryta Smaragd.

Gość chce się widzieć z arcybiskupem Jerzym. A skoro zwierzchnik będzie zajęty do osiemnastej, on poczeka, choć nie zdąży na ostatni pociąg do Chełma. Tylko niech go nie wyganiają na dwór, tam straszny ziąb, cerkiew też nieogrzewana.

Diakonowi Szatewowi, sekretarzowi osobistemu metropolity, nie jest to na rękę. Archimandryta będzie słuchał, o czym on rozmawia ze świeckim sekretarzem Kosteckim (służył u metropolity w charakterze „kielejnika”, czyli kogoś pośredniego między służącym a woźnym) – trzeba baczyć na słowa. Zwłaszcza że Smaragd nie

okazuje arcybiskupowi Jerzemu posłuszeństwa. Najlepiej będzie, jeśli do godziny szóstej w sekretariacie zapanuje kompletna cisza...

Wreszcie otwierają się drzwi od gabinetu metropolity; zaprasza on nieoczekiwanego gościa do sąsiadującej z pokojem sypialni. Świadkiem rozmowy ma być sekretarz synodu prawosławnego ks. Jurij Sakowicz. Arcybiskup Jerzy każe mu stanąć pod oknem, daleko od stolika, przy którym sadza gościa. I żeby się nie nudził, daje mu do poczytania piśmiennictwo cerkiewne „Listki Poczajowskie”.

Po pewnym czasie Sakowicz wychodzi na korytarz, aby przywitać arcybiskupa Dionizego, metropolitę wołyńsko-krzemienieckiego. Właśnie pomaga gościowi zdjąć podbitą lisami szubę, gdy rozlega się trzykrotny strzał. Wbiegają do pokoju razem z Kosteckim – widzą metropolitę leżącego pod ścianą w kałuży krwi. Smaragd stoi nad nim z rewolwerem w ręku i powtarza, wymachując bronią:

– *To dla ciebie, kacie prawosławia!*

Po czym opada na krzesło, nakazując wezwanie policji.

Zmarły metropolita Jerzy (z nazwiska Jaroszewski) był Ukraińcem. Po przyjęciu święceń kapłańskich w kościele prawosławnym zaczął szybko robić karierę – w 1910 roku został rektorem Petersburskiej Akademii Duchownej, a sześć lat później arcybiskupem eparchii (diecezji) mińskiej. Bił pokłony carowi i kiedy wygrała rewolucja lutowa, przystał do Armii Ochotniczej generała Aleksandra Denikina – został tam tymczasowym arcybiskupem eparchii charkowskiej. Przegrana Denikina w 1920 roku zmusiła arcybiskupa Jerzego do ucieczki z Rosji przed bolszewikami. Osiadł we włoskim mieście Bari. Zwierzchnik Zachodnioeuropejskiego Egzarchatu Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego oddał pod jego pieczęć rosyjskie parafie prawosławne we Włoszech. W tym środowisku arcybiskup Jerzy spotkał się z emigrantami polskimi.

Do władz ciągle jeszcze organizującego się państwa nad Wisłą dotarła wiadomość o energicznym popie, wrogo nastawionym wobec komunistycznej Rosji. Taki człowiek był bardzo potrzebny w II RP, gdyż na terenie odrodzonej Rzeczypospolitej znalazło się około



czterech milionów wyznawców prawosławia. Podczas rozbiorów podlegali oni zwierzchnictwu Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego; ich biskupami byli Rosjanie. W nowej rzeczywistości z bieżącej (wygnania z Rosji) zaczęli powracać nad Wisłę prawosławni duchowni, którzy chcieli sprawować rząd dusz nad wyznawcami tego obrządku. Natykali się na barierę prawną. Polskie przepisy z 1918 roku nie uwzględniały struktury Cerkwi prawosławnej.

Piłsudski dążył do uzyskania autokefalii (autonomii) Kościoła prawosławnego w II RP. Ale ciągle było coś pilniejszego. Najpierw wojna polsko-bolszewicka, potem brak ustalonej granicy państwa na wschodzie. Kiedy wreszcie można było zająć się problemem, zaszkodziły niefortunne, z braku rozeznania „kto jest kto”, decyzje personalne. Na przykład urząd metropolity w eparchii warszawskiej i grodzieńskiej powierzono biskupowi Włodzimierzowi, który okazał się prorosyjski. Trzeba było cofnąć mu pozwolenie.

I wtedy na włoskim horyzoncie pojawił się bardzo obiecujący ze swymi poglądami politycznymi arcybiskup Jerzy Jaroszewski.

Polska ambasada zaprosiła go do Warszawy w sierpniu 1920 roku. Formalnie pozostawał zwierzchnikiem eparchii mińskiej, ale stracił stanowisko, gdyż ta po pokoju ryskim została przedzielona granicą państwową. Z ulgą więc przyjął propozycję rządu tymczasowego objęcia godności arcybiskupa chełmsko-warszawskiego. Zobowiązał się na piśmie nie tylko do zachowania lojalności wobec państwa polskiego, ale wręcz uniezależnienia prawosławia w Polsce od patriarchy moskiewskiego.

Od razu napotkał opór części prawosławnych biskupów, którzy uważali, że usamodzielnienie cerkwi w Polsce byłoby sprzeczne z prawem kanonicznym, czyli Bożym. Abp Jerzy protesty zignorował, pośpiesznie wyświęcił na biskupa swojego człowieka, archimandrytę Aleksandra, i na soborze biskupów – wyłącznie zwolenników uniezależnienia Cerkwi w Polsce – doprowadził do formalnego złożenia wniosku o ustanowienie autokefalii w Patriarchacie w Konstantynopolu.

Od tej chwili wizyty arcybiskupa i jego adherentów w gabinecie ministra oświecenia publicznego i wyznań religijnych Macieja Rataja stały się codziennością. Latem 1921 roku Jaroszewski przedstawił ministrowi swych najwierniejszych druhów: biskupa krzemienieckiego Dionizego i biskupa eparchii pińsko-nowogrodzkiej Pantelejmona. Goście oświadczyli, że oni uznają Jerzego za egzarchę (zwierzchnika) polskiego prawosławia. Taką godność nadał arcybiskupowi synod Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego. Jednakże moskiewski patriarcha Tichon w kwestii autokefalii zasłaniał się soborem biskupów, który jako jedyny, będąc najwyższą władzą, może udzielić zgody. Nie sposób jednak było zwołać takie zgromadzenie, gdyż w Rosji trwała wojna domowa.

Rataj się zmartwił, ale arcybiskup Jerzy zapewnił go, że ominie tę przeszkodę.

Kiedy dwa i pół roku później wychodzący w Łodzi prorządowy „Głos Polski”, a także kilka innych gazet podały pod wielkimi nagłówkami sensacyjną wiadomość, że mordercą zwierzchnika polskiego Kościoła prawosławnego był archimandryta (czyli opiekun klasztoru) Smaragd, większość Polaków po raz pierwszy usłyszała to duchowne imię. Trzeba było czytelnikom przybliżyć postać złoczyńcy.

Archimandryta Smaragd. Jego świeckie nazwisko brzmiało Paweł Łatyszenko. Podczas procesu sądowego sprawozdawca dziennika „Głos Polski” tak opisywał oskarżonego:

*Olbrzymi, atletycznych kształtów eks-zakonnik Smaragd jest ubrany w czarny strój, kurtkę pół-świecką, pół-mniszą. Ma długą brodę, wąsy, na kark spadające włosy. Twarz jakaś żółta o skośnych oczach i wystających kościach policzkowych – typ mongolski.*

W relacjach „Kuriera Warszawskiego” jest też mowa o tępym spojrzeniu Łatyszenki.

Wbrew tym sugestiom Smaragd był wybitnym teologiem, historykiem dziejów Cerkwi prawosławnej, z racji rozległej wiedzy podziwianym przez patriarchę Tichona. Jako wykładowca prawa

kanonicznego w seminarium duchownym w Chełmie miał grono wpatrzonych weń uczniów. Z dziada pradziada był mieszkańcem kresów II RP i zdecydowanie sprzeciwiał się próbom oderwania Cerkwi w Polsce od patriarchatu moskiewskiego. Uważał, że jest to sprzeczne z prawem kanonicznym. Ponieważ nie ukrywał swych poglądów, dopiero co nominowany na metropolitę arcybiskup Jerzy wstrzymał jego chirotonię (podniesienie do rangi urzędu) na biskupa eparchii grodzieńskiej i słuckiej.

Warszawski arcybiskup konsekwentnie dążył do uzyskania autokefalii. W tym celu w Ławrze Poczajowskiej zwoływał sobory biskupów z polskich eparchii. Na początku 1922 roku wymusił na podległych mu duchownych przyjęcie rządowego dokumentu o nazwie *Tymczasowe przepisy o stosunku rządu do Kościoła prawosławnego w Polsce*. Kiedy biskup Włodzimierz zwlekał z jego podpisaniem (hierarcha był zdania, że proponowane zapisy uzależniają polskie prawosławie od państwa), arcybiskup spowodował, że minister oświecenia publicznego i wyznań religijnych odwołał opornego popa z urzędu. Podobny los spotkał biskupa Pantelejmona. Na zwołanym przez siebie 30 maja 1922 roku soborze Jerzy przedstawił rezolucję, w myśl której polscy biskupi mieli podejmować decyzje bez czekania na instrukcje od patriarchy Tichona, zwłaszcza że został osadzony przez władze rosyjskie w areszcie domowym. Mimo jawnych restrykcji, kilku uczestników soboru nie chciało podpisać rezolucji w obawie, że działania warszawskiego metropolity spowodują zmarginalizowanie prawosławia w Polsce. Złamali się dopiero na widok policjantów, aresztujących opornych biskupów Włodzimierza i Eleuteriusza.

Arcybiskup Eleuteriusz należał do najbardziej konsekwentnych przeciwników autokefalizacji Kościoła prawosławnego w Polsce. Osobiście sprzeciwiał się decyzjom metropolity Jerzego w tej sprawie, odmawiał wymieniania jego imienia w czasie nabożeństw. Zatrzymany po odprawieniu nabożeństwa w cerkwi św. Ducha w Wilnie, po internowaniu w krakowskim klasztorze Kamedułów, został zmuszony do wyjazdu z Polski.

Restrykcje spotkały także Smaragda. Wprawdzie nie trafił za kraty, ale metropolita go suspendował. Pretekstem do zawieszenia była kilkudniowa nieobecność Łatyszenki w eparchii, gdyż czuwał u łoża umierającego ojca. Pomimo złożenia odwołania egzarcha podtrzymał swoją decyzję.

Na kolejnym soborze biskupów, jaki odbył się w tym samym miejscu 14 czerwca 1922 roku, metropolita Jerzy, arcybiskup Dionizy oraz biskup Aleksander zdecydowali o zwróceniu się o przyznanie autokefalii do Patriarchatu w Konstantynopolu. Tym razem zjazd odbył się bez udziału przeciwników usamodzielnienia się polskiego prawosławia. Dla udowodnienia swej propolskiej orientacji arcybiskup Jerzy zrzekł się obywatelstwa rosyjskiego oraz ukraińskiego.

Pogrzeb zastrzelonego popa był uroczystością państwową. W kondukcje obok duchowieństwa prawosławnego szli premier Władysław Sikorski, minister oświecenia publicznego i wyznań religijnych Maciej Rataj, był też obecny adiutant prezydenta Rzeczypospolitej. Salwami armatnimi oddano zmarłemu honory wojskowe.

Na tymczasowego zarządzającego metropolią prawosławną został wyznaczony przyjaciel Jerzego – Dionizy, arcybiskup wołyński i krzemieniecki. On też w następnych dniach rozpuścił plotkę, że zamiarem zabójcy było uśmiercenie wszystkich biskupów prawosławnych obecnych na soborze i tylko szczęśliwy zbieg okoliczności przeszkodził w realizacji tego zamiaru. Dionizy nawoływał swych podwładnych do uczestniczenia w procesie Pawła Łatyszenki, na którego już czeka stryczek.

Jakoż rozpoczęty miesiąc później proces odbywał się w trybie doraźnym, gdyż zamach na egzarchę zakwalifikowano jako zabójstwo z premedytacją wysokiego urzędnika z powodu sprawowania przez niego funkcji państwowych. Za takie przestępstwo groziła kara śmierci przez powieszenie. Prokurator przedstawił ofiarę – metropolitę Jerzego jako tego, który lojalnie pojmował swe obowiązki wobec Rzeczypospolitej.

Oskarżony Smaragd nie przyznał się do winy, choć nie zaprzeczył, że dokonał zabójstwa metropolity Jerzego, którego uważała za kata prawosławia: *Cerkwi groził rozłam, postanowiłem uwolnić ją od metropolity skumanego z Polakami.*

Odmówił składania wyjaśnień w języku polskim, poprosił sąd o wymierzenie mu kary śmierci. Pragnął umrzeć jako męczennik za wiarę.

Obrońca Łatyszenki, lwowski adwokat Głuszkiewicz, walczył o jedno – aby jego klient nie był sądzony w trybie doraźnym. Jedyne rozwiązanie na zmianę sytuacji prawnej oskarżonego widział w wykazaniu, że pilnie wymaga on badania przez biegłych lekarzy psychiatrów. Co do motywów czynu, mecenas pozostawił to jako „sprawę otwartą, którą historia osądzi”.

Sąd po naradzie uznał, że istnieją wątpliwości co do stanu umysłowego oskarżonego, wobec czego należy go poddać obserwacji lekarskiej, a sprawę przekazać do rozpatrzenia w trybie zwykłym. Jak napisał reporter sądowy, pogrążony w modlitwie oskarżony (przygotowywał się na śmierć) zrazu nie pojawił, co mu zakomunikowano. Ze zdziwieniem patrzył na poruszoną publiczność, szczęśliwych krewnych, którzy szlochając, rzucali się sobie w ramiona, i groźne miny zwolenników zamordowanego egzarchy.

To, że darowano mu życie, dotarło do niego wraz z pytaniem sędziego, czy zrozumiał treść postanowienia.

Drugi proces zaczął się 23 września i trwał cztery dni. Oskarżycielem był prokurator naczelny Kazimierz Rudnicki.

Smaragd wrócił z obserwacji psychiatrycznej z diagnozą, że nie był w stanie pokierować swoim postępowaniem wskutek chorobliwego rozstroju, nazwanego przez biegłych stanem psychopatycznym.

Salę rozpraw zapełnili głównie Rosjanie i Ukraińcy. Na korytarzu czekali na wezwanie w charakterze świadków dostojnicy Cerkwi prawosławnej w Polsce. Jeśli ktokolwiek z publiczności myślał, że będzie to proces o zwykłe morderstwo, musiał zmienić zdanie po wystąpieniu oskarżyciela publicznego. Prokurator nie ukrywał –

sprawa ma tło polityczne, obnażające rozłam wśród duchowieństwa prawosławnego w Polsce.

Pierwsi świadkowie, Jan Szałecki i Piotr Strzałkowski z ministerstwa wyznań, uświadomili sędziemu, że Cerkiew prawosławna nie ma jednego zwierzchnika. Składa się z kościołów narodowych, które działają na zasadzie autonomii. Na czele każdego z nich stoi metropolita lub patriarcha. Metropolici i biskupi spotykają się na soborach, na których ustalają wszelkie kwestie dogmatyczne i organizacyjne. 14 czerwca 1922 roku na takim właśnie soborze biskupów uchwalono niezależność Cerkwi w Polsce. Jak twierdził świadek Strzałkowski, ta autokefalia została uznana przez patriarchę rumuńskiego.

Mecenas Głuszkiewicz od razu zgłosił sprzeciw: patriarchy w Rumunii nie ma i nigdy nie było. Następnie tak przesłuchiwał przedstawicieli ministerstwa wyznań, że w końcu musieli przyznać: metropolita Jerzy, dążący do uzyskania zgody biskupów na autokefalię, uwięził opornych z pomocą polskiego rządu.

Starannie przygotowany do obrony adwokat przedstawił dokumenty. Oto w maju 1922 roku arcybiskup wezwał swych podwładnych duchownych do klasztoru w Poczajowie, gdzie zwykle odbywały się sobory. Wcześniej usunął dwóch niewygodnych dla siebie biskupów: władkę pińskiego Pantelejmona zamknął w klasztorze, a władkę bielskiego Sergiusza wysłał do Czech. Pozostał jeszcze problem z władkami Eleuterym i Włodzimierzem, którzy z góry odmawiali podpisu, twierdząc, że rozstrzygnięcie sprawy autokefalii winno należeć do soboru cerkiewno-narodowego.

Tak więc nie było ani jednomyślności, ani pełnego składu, zatem autokefalia nie mogła zostać przyjęta...

– *A na jakiej podstawie prawnej osadzano w klasztorze opornych biskupów?* – zapytał świadka Strzałkowskiego adwokat.

– *Metropolita wymagał od rządu tylko udzielenia brachium saeculare. Tak się to nazywa w prawie kanonicznym, kiedy władza świecka przychodzi Kościołowi z pomocą, celem wykonania jego wyroków.*

Mecenas: – *Na mocy jakiej ustawy rząd uważał się za uprawnionego do udzielenia metropolicie brachium saeculare?*

Świadek przyznał, że nie wie.

Prokurator powołał jeszcze świadków na okoliczność, że oskarżony miał chorobliwy uraz do metropolity, wcale niewynikający z przyczyn dogmatycznych. Takie zeznanie złożył sekretarz osobisty metropolity, który słyszał, jak jego chlebodawca kilkakrotnie mówił o Smaragdzie, że *od etakowo czeławieka można wsiewo ożidat*.

Następnemu świadkowi, również pełniącemu u metropolity funkcję kielejnika, arcybiskup opowiadał o swym śnie, w którym ginął z ręki nieobliczalnego, fanatycznego mnicha.

Że morderstwo było popełnione z premedytacją, potwierdziła współpasażerka oskarżonego z pociągu do Warszawy, której Łatyszenko pokazał ukryty pod płaszczem rewolwer i zwierzył się, że jedzie załatwić pewne porachunki.

Kiedy przyszła kolej na świadków obrony, przedstawili Smaragda jako mnicha spokojnego i pracowitego, w pełni oddanego sprawom Cerkwi. Z natury skryty, zarówno sukcesy, jak i porażki przeżywał samotnie. O jego niezwyklej pobożności świadczył w oczach świadków fakt, że kilkakrotnie zemdłał podczas nabożeństw, w trakcie których doznawał modlitewnej ekstazy.

Czasem, gdy tracił przytomność, miał widzenia. Świadek Winiuk, służący kościelny, który był razem z Łatyszenką skazany na powieszenie przez bolszewików (tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności udało im się uniknąć wykonania wyroku) opowiadał w sądzie, że kiedy jego współtowarzysz niedoli dowiedział się o ułaskawieniu, upadł bez przytomności na podłogę. W tym stanie przywoływał matkę, bo wydawało mu się, że ona stoi w progu.

Nadmierna wrażliwość oskarżonego nie przeszkadzała w studiowaniu zagadnień religijnych. Potwierdził to świadek senator Kasperowicz, który często prowadził z archimandrytą Smaragdem takie dysputy.

Nie zawsze dotyczyło to wielkich myślicieli, twórców koncepcji filozoficznych. Świadek Wiaczesław Bogdanowicz, również senator

Rzeczypospolitej, zeznał, że Łatyszenko bardzo przeżywał aresztowanie przeciwnego autokefalii biskupa Włodzimierza.

Bogdanowicz, pochodzący z rodziny prawosławnego duchownego, został senatorem z listy Bloku Mniejszości Narodowych. Jego trwające prawie dwie godziny zeznania były nieprzerwanym łańcuchem oskarżeń przeciw tym dostojnikom cerkwi, którzy zgadzali się z poczynaniami rządu polskiego i pragnęli oderwania się od Moskwy. Rząd II RP, chcąc osiągnąć swój cel, wybrał drogę wskazaną przez metropolitę Jerzego, który dziwił się, że Naczelnik Piłsudski nie może sobie dać rady z opozycją.

*– Niech bierze przykład ze mnie – mówił Jerzy. – Ja pozbyłem się wszystkich wrogów.*

W istocie, usuwał biskupów z eparchii, więził ich w klasztorach, deportował. W szeregach męczenników prawosławia znaleźli się m.in. biskupi Eleazar, Włodzimierz, Pantelejmon.

*– Można mieć wielki podziw dla twardości charakteru nieboszczyka Jerzego Jaroszewskiego – powiedział świadek – ale nie można powiedzieć, żeby ten z carsko-cerkiewnej szkoły wyrosły pasterz był odpowiednim dla rządu polskiego narzędziem prowadzenia polityki w obcym środowisku prawosławnym. W rezultacie mamy obecnie autokefalię na papierze i anarchię w rzeczywistości. Jest cerkiew rządzona przez następcę i przyjaciela Jerzego, władkę Dyonizego, ale jest masa wiernych prawosławnych, którzy tęsknym okiem zerkają w stronę patriarchy Tichona w Moskwie. A przecież prawosławnych Rosjan jest w Polsce niewielu; lwia część obywateli tego wyznania to Białorusini i Ukraińcy, którzy mają jak najmniej podstaw do tęsknoty za synodem moskiewskim. Musieliśmy narobić wiele błędów, ażeby podłoże dla takich sentymentów wytworzyć.*

Świadek archimandryta Filip mówił o intrygach władzy Dionizego w usunięciu Smaragda z funkcji rektora seminarium w Chełmie. Zwierzchnik namówił kilku liczących na awanse profesorów uczelni, aby spreparowali na Łatyszenkę skargę do ministra oświaty. Zrobili to, licząc na awanse. Ale ponieważ pomówienie rektora było nie



dość mocne, władca Dionizy wykorzystał to, że elaborat tłumaczono z rosyjskiego na polski, i dopisał kilka drastycznych fragmentów. Profesorowie przekładu już nie czytali, wszak nie znali języka polskiego. Metropolita Jerzy, mając spreparowaną podkładkę, wystąpił do ministerstwa o odwołanie Smaragda.

Inni świadkowie obrony, jak np. władca Włodzimierz, na pytanie, co może powiedzieć o życiu zmarłego metropolity, powtarzali jak mantrę:

– *Arcybiskup Jerzy stanął przed sądem Najwyższego. Niech On mu będzie sędzią, ja nic nie powiem.*

Natomiast świadek archimandryta Tichon w reakcji na zdziwienie mecenasa, że głęboko wierzący Smaragd mógł targnąć się na taki czyn jak zabójstwo biskupa, czyn nie tylko grzeszny, ale kładący krzyż na wszystkie jego dążenia do służby kościelnej, odrzekł:

– *Smaragd myślał, że można nawet zgubić duszę swoją, byle tylko zbawić kościół.*

– *Trudno mi oprzeć się pokusie – zaczął mowę obrońcą mecenas Tadeusz Wróblewski – przedstawienia historycznego już epizodu naszej wileńskiej martyrologii katolickiej, jako paraleli do tragedii, będącej przedmiotem obecnej rozprawy.*

Sprawa, do której odwoływał się obrońca, wyglądała następująco: Po wygnaniu biskupa wileńskiego Adama Krasińskiego i śmierci jego następcy prałata Bowkiewicza w 1866 roku wielkorsządcą wileński uznał za możliwe zaprowadzenie w diecezji rządów całkiem nie po Bożemu.

Na stanowisko szefa mianowany został, z pominięciem przepisów kanonicznych, były misjonarz Piotr Żyliński. W towarzystwie kompanów – nowo kreowanych prałatów Niemekszy i Tupalskiego – ustanowił tryumwirat, który w ciągu 15 lat z pomocą posłusznej rządowi reszty kapituły samowolnie rządził diecezją wileńską, a wkrótce i mińską.

Żyliński pilnie strzegł wprowadzenia języka rosyjskiego do seminarium katolickiego, a także na nabożeństwach. Dodatkowo

usunął język polski w obrzędowej księdze, a uczniom gimnazjum nakazał rozdać rosyjski „rimsko-katolickiej” przewodnik. Nie mógł się z tym pogodzić dziekan wileński ksiądz Stanisław Piotrowicz i nie tylko ostentacyjnie spalił ową książkę, ale jeszcze rzucił klątwę na występnych prałatów za gorszący, niemoralny sposób życia.

– *I oto, wysoki sędzie... –* adwokat zawiesił głos, by bardziej skupić na sobie uwagę publiczności – *wkrótce nastąpił odruch dziecka ludu... Wychowanek prałata Edwarda Tupalskiego, niejaki Jurek, oburzony do głębi postępowaniem swego opiekuna, zamordował go w sposób okrutny... Jaki z tego morał? Ludzie się zmieniają, a Nemezys dziejowa powraca.*

Mecenas uprzedził prokuratora, że wbrew jego przewidywaniom zarzuci zasłonę na charakter i życie prywatne zmarłego metropolity. Nie wyliczy też błędów politycznych ofiary. Niech to oceni historia.

Ale musi przypomnieć, co zostało ustalone w śledztwie: metropolita Jerzy, kiedy był władzą mińskim, pełnił funkcję prezesa miejscowego Związku Narodu Rosyjskiego, a jego zaufany obecny metropolita Dionizy, kiedy był władzą krzemienieckim, przewodził temu Związkowi w Poczajowie i wydawał znane każdemu Polakowi „Poczajewskie Listki”. Propagowały one wśród grekokatolików w Galicji wschodniej prawosławie.

– *Psychologicznie, to cudowne nawrócenie –* zauważył z sarkazmem obrońca – *może być podobne do nawrócenia apostoła Pawła. Jednakże Smaragd nie wierzył w nawrócenie swego zwierzchnika, gdyż wiedział o nim dużo więcej niż inni archimandryci.*

Wiedział na przykład, że metropolita Jerzy dlatego tak chętnie przyjął propozycję osiedlenia się w Warszawie od polskiego rządu, gdyż we Włoszech odsunęli się od niego rosyjscy emigranci. Dowiedzieli się bowiem, że ten mianowany przez arcybiskupa Eulogiusza administrator kościołów greckowschodnich przybył do Bari w towarzystwie znanego przyjaciela Rasputina, rozpustnego kniazia Żewakina. Na wieść o ich orgiach wierni przestali dawać na tacę. Tylko wyjazd do Warszawy mógł być ratunkiem przed ubogą

egzystencją emigranta. Aby trafić do Polski, administrator Jerzy nazwał się fałszywie biskupem mińskim, a z Mińska rzekomo musiał uciekać, gdyż eparchia znalazła się poza granicami Polski. W rzeczywistości przed wyjazdem do Włoch był arcybiskupem charkowskim.

Smaragda musiała oburzyć uzurpacja stanowiska prowincjonalnego metropolity w Polsce przez arcybiskupa Jerzego. Wiedział, że w Cerkwi Wschodniej tytuły metropolity, arcybiskupa i biskupa nie dają prawa do żadnej jurysdykcji we wspólnocie duchownych. Dlatego od soboru 30 stycznia 1922 roku arcybiskup Jerzy był jedynie władką z tytułem warszawskiego metropolity, z prawem noszenia białego kłobuka, ale przestał być egzarchą patriarchy. O tym, kto będzie metropolitą wszystkich cerkwi prawosławnych w Polsce, decydowało przyjęcie przez rząd polski projektu statutu. Ale do tego nie doszło. Wobec tego warszawski władka uzurpował sobie „samodzierżawie” w habcie mniszym. Smaragd podejrzewał, że był on na usługach Rosji bolszewickiej i za podszeptem swych mocodawców wkradł się w łaski rządu polskiego.

*– Przyjdzie czas, że rozgoryczenia, będące podstawą tej sprawy, zatrą się i ulegną zapomnieniu – kończył swą mowę mecenas Wróblewski. – Przykro jednak będzie, jeżeli kiedyś, pogodzony z ustrojem Polski przyszły metropolita Cerkwi Wschodniej w Polsce, wezwany do załagodzenia sporów i umocnienia poczucia państwowości polskiej w jego owczarni, odpowie słowami arcybiskupa wileńskiego Makarego. Ten późniejszy metropolita moskiewski, na pismo generał-gubernatora Potapowa, wzywające go, aby pomógł rządowi umocnić w wierze niedawno „przyłączonych” do prawosławia katolików i unitów, odmówił, przypominając, że „administracja rosyjska organizowała i nawracała, stosując policyjny przymus. Kto tak nawracał, ten niech i umacnia!*

27 września 1924 roku sąd skazał Pawła Łatyszenkę (święceń i imienia duchownego pozbawiono go zaraz po zbrodni) na 12 lat ciężkiego więzienia.

Jakiś czas potem gazety podały, że skazaniec zrzekł się apelacji. Całość kary odbył w więzieniu na warszawskim Mokotowie. Po

wyjściu na wolność, bardzo schorowany, wyemigrował do Czechosłowacji i tam zmarł kilka tygodni później.

Nowym metropolitą został arcybiskup Dionizy, który doprowadził do uzyskania autokefalii od patriarchatu w Konstantynopolu.

## **Bibliografia**

„Kurier Warszawski” – wyd. z 20 marca, 18 kwietnia, 4 maja 1923 r.; wyd. z 23 września 1924 r.

M. Bendza, *Droga Kościoła prawosławnego w Polsce do autokefalii*, Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku 2006.

L. Okręt, *Półtora roku sali sądowej*, Warszawa 1925.

*Kto był kim w II Rzeczypospolitej*, red. nauk. J. Majchrowski, Warszawa 1994.

*Mowy sądowe*, zebr. i oprac. Szymon Gelernter, Warszawa 1925.

W Galicji Wschodniej pojawili się anarchiści. Ich guru, Nestor Machno, podczas rewolucyjnego wiecu w rodzinnym Hulajpolu<sup>[5]</sup> ogłosił mieszkańcom utworzenie ich własnej republiki. Został oskarżony o przygotowywanie w porozumieniu z Rosją Sowiecką zbrojnego powstania w Galicji Wschodniej, w celu odłączenia tego regionu od Polski.

## Batko z Hulajpola

**Oskarżony: Nestor Machno,  
zarzut: przygotowywanie zbrojnego powstania**

*Niski, krępy, o twarzy jakby z gruba ciosanej, silnie wystających kościach policzkowych i głęboko osadzonych bystrych oczach. Przed sądem stał z głową odkrytą, ale na wszystkich fotografiach nosi dodającą mu wzrostu barankową, wysoką czapę – tak opisuje oskarżonego Nestora Machno sprawozdawca sądowy dziennika „Rzeczpospolita” w numerze 325 z listopada 1923 roku.*

Proces był głośny, bo 32-letni Nestor Machno oraz jego towarzysze, Iwan Chmara zwany „Czarną Chmarą” i Jakub Domaszenko, a także kochanka Halina Kuzmienko, zostali oskarżeni o przygotowywanie w porozumieniu z Rosją Sowiecką zbrojnego powstania na terenie Galicji Wschodniej, by oderwać tę dzielnicę od Polski. Do aresztu trafili z obozu w Strzałkowie dla jeńców w wojnie polsko-bolszewickiej.

Machno przyszedł na świat w Hulajpolu, na południu Ukrainy, gdzie niańki w bogatych chutorach zamiast bajek opowiadały dzieciom o nieustraszonych Kozakach Siczy Zaporoskiej. Mały Nestor niańki nie miał, jego rodzice byli bezrolnymi chłopami, ale gdy ledwo odrósł od ziemi i przestał pasać krowy, chciał być tak

waleczny i wolny jak XVI-wieczni siczanie. Choć używanie nazwy Kozaków zaporoskich było uznawane za obrazę majestatu carskiego, on zbierał o nich informacje, a miał ku temu sposobność, terminując w lokalnej drukarni. Tam też poznał anarchistów – wzięli go pod swoje skrzydła, zapłacili za naukę.

Z dyplomem nauczyciela Nestor Machno poszedł na wieś w okolicach Hulajpola edukować dzieci i kształtować je po swojemu, w myśl idei anarchizmu. W przełożeniu na codzienne życie miało to oznaczać likwidację państwa, czyli podatków i armii (a zatem i poborów do wojska na 15 lat).

Ktoś doniósł władzom o nieprawomyślnym młodym nauczycielu – Machno z wilczym biletem trafił pod policyjny dozór. Wtedy, pamiętając o sławie Siczy Zaporoskiej, utworzył bandę do napadów na urzędy i majątki ziemskie. Za zagrabione pieniądze hulał ze swymi towarzyszami, bo jak powiadał żartem, zobowiązywała go do tego nazwa rodzinnej miejscowości.

Miał 17 lat, gdy w Hulajpolu w wyniku rewolucyjnych wydarzeń 1905 roku powstał Związek Ubogich Chłopów. Odpowiadał mu program tej anarcho-komunistycznej organizacji: grabienie majątku bogatych. Wchodził do banku lub innej instytucji finansowej i żądał otwarcia sejfu i wydania mu pieniędzy. W razie oporu, strzelał. W 1907 roku, w czasie napadu na urząd podatkowy, położył trupem trzy osoby. Został skazany na śmierć, ale wyrok zamieniono na 20 lat katorgi, w niezdejmowanych z nóg łańcuchach.

Po 10 latach za kratami wolność przyniosła mu rewolucja lutowa 1917 roku. Był już świadomym anarchistą, dzięki poznanym na zesłaniu ideologom tego kierunku. Kiedy pojawił się w rodzinnym Hulajpolu, na rewolucyjnym wiecu ogłosił mieszkańcom utworzenie ich własnej republiki. Twierdził, że państwo to wyzysk, a urzędnicy są darmozjadami. W ich republice będą rządziły lokalne wspólnoty, czyli ludowe wiece.

Z estrady zniesiono go jako batkę (ojca narodu) na rękach. Nazajutrz w Hulajpolu w miejsce rozgonionej administracji i samorządów ziemskich powstały rady oraz dobrowolne komuny

chłopsko-robotnicze. Machno powołał też powstańczą armię, utrzymywaną przez chłopów. W miarę terytorialnego rozszerzania władzy atamana rosła w siłę Powstańcza Armia Rewolucyjna; wkrótce miała już 100 tysięcy szabel i bagnatów.

Ale czasy były niespokojne nie tylko na południu Ukrainy. Bolszewicy ustanowili swoją republikę ze stolicą w Charkowie. Równocześnie powstała narodowa Ukraińska Republika Ludowa, na czele z Centralną Radą, którą popierały Cesarstwo Niemieckie i Austro-Węgry. W wyścigu o zawładnięcie południem Ukrainy, w tym Hulajpołem, zwyciężyli w 1918 roku Niemcy.

Machno poprosił Lenina o pomoc w utrzymaniu jego republiki. Dostał ją i doszło do zamachu stanu, ale władzę w Hulajpolu przejęła armia innego samozwańczego hetmana – Pawła Skoropadskiego. Batko ze swymi żołnierzami musiał podjąć partyzancką wojnę. Zasłynął jako bardzo operatywny dowódca, wynalazca taczanek (krytych wozów wyposażonych w ciężki karabin maszynowy). Pod koniec 1918 roku, korzystając z wycofania się Niemiec i Austro-Węgiek z wojny, zdobył Jekaterynosław i poszedł na Kijów. Wtedy docenił go ataman Symon Petlura i wsparł bronią w ostatecznym rozprawieniu się ze Skoropadskim.

Nestor Machno miał jeszcze jednego konkurenta do władzy na południu Ukrainy – atamana Grigoriewa, już w nimbie mołojcejskiej sławy, bo ograbił odeskie banki. Rozprawił się z nim w ten sposób, że zaprosił go na poczęstunek i zastrzelił przy stole. Przejął armię Grigoriewa i duże pieniądze wroga. Po raz kolejny ułożył się z czerwonymi w 1920 roku, kiedy jego republikę zajęła armia Denikina.

Gonił carskie pułki aż do Moskwy. I jeszcze wspaniałomyślnie wyekspediował do wygłodzonej stolicy Rosji 80 wagonów ziarna pszenicy. Ale Lenin nie okazał mu wdzięczności. Wódz rewolucji pamiętał, że w 1920 roku Machno odmówił wysłania swojej armii – 60 tysięcy bagnatów i szabel – na front polski, co niewątpliwie pomogłoby w zdobyciu Warszawy. Po wypędzeniu „białych”, generał Michaił Frunze zaatakował wojsko Machny. Niespodziewający się agresji, dowódcy armii anarchisty z Hulajpola oraz 20 tysięcy ich

żołnierzy zostali rozstrzelani w stepie. Machno w odwecie zabił wielu bolszewickich komisarzy, ale po ogłoszeniu go wrogiem Kraju Rad, okrucieństwo bolszewików dotknęło też jego rodzinę: brat został zamordowany, jego żonie obcięto piersi. Musiał uciekać.

Ranny, jesienią 1921 roku z setką najwierniejszych druhów przeszedł zieloną granicę z Rumunią. Nie czuł się tam bezpiecznie; w każdej chwili mógł być wydany Rosji, gdzie niechybnie byłby rozstrzelany, choćby za publiczne oświadczenie, że nie uznaje bolszewickiego prawa. 11 kwietnia 1922 roku wraz z kilkunastoma najwierniejszymi towarzyszami: atamanem „Czarną Chmarą”, adiutantem Jakubem Domaszenko i osobistym sekretarzem Adolfem Krasnowolskim oraz życiową partnerką Haliną Kuzmienko, stanął na polskiej granicy. Przewieziono ich do obozu dla internowanej armii Petlury w Strzałkowie.

Moskwa bezskutecznie żądała natychmiastowego wydania atamana.

Akt oskarżenia machnowców powstał w oparciu o doniesienia Adolfa Krasnowolskiego. Osobisty sekretarz wysłany przez uwięzionego Machnę do Misji Rosyjskiej w Warszawie najpierw odwiedził polską prokuraturę. Zawiadomił organy ścigania, że podsłuchał rozmowę batki z jego ludźmi. Snuli plany wydostania się z obozu i wywołania zbrojnego powstania w Galicji Wschodniej, w celu odłączenia tego regionu od Polski. Miało to się odbyć przy pomocy Misji, dla której przywiózł od Machno napisane szyfrem listy. Z uwagi na ich poufność, batko podpisał je jako „towariszcz Igrek”.

Krasnowolski zdradził, gdzie jest schowany klucz szyfru (pod podłogą w celi atamana), dzięki czemu prokurator przeczytał poufną korespondencję. Oto jej fragment:

*Do odpowiedzialnych przedstawicieli Sowieckich Republik Rosji i Ukrainy. Po otrzymaniu ostatnich waszych żądań, chcemy jeszcze omówić kwestie środków pieniężnych, potrzebnych na urządzenie powstania w Galicji. Uważamy za zakończone pertraktacje dotyczące dostarczenia nam koni oraz karabinów, po przejściu przez druty obozu. Na przedsięwzięcie to trzeba nam na razie 50 mln*



*marek polskich. Dalej będziemy brać od burżuazji. Mam przygotowanych ludzi w Rumunii i Transylwanii. Wy musicie przerzucić mi wojsko. Kuzmienko spotka się z wami w Warszawie. Trzeba, aby wyjechała potem do Charkowa i Moskwy, i tam w więzieniach wskazała naszych ludzi. Będą mi potrzebni. Jeśli nam ufacie, dajcie nam możliwość znalezienia się na koniach z bronią w ręku. Spieszcie się, by nas oswobodzić, byśmy się wydostali z zadrutowania. Oczekujemy odpowiedzi. Za Grupę: Machno, Chmara i Domaszenko.*

W innym liście do Maksymowicza i Abotlina, przedstawicielei republik Ukrainy i Rosji, Machno jako Komendant Rewolucyjnego Powstania Armii Ukraińskiej deklaruje, że w razie wojennego starcia sowieckich republik z burżuazyjną Europą, on wstąpi do oddziałów sowieckich.

Misja działała na zwłokę. Jej szef Maksymowicz kilka razy domagał się od uwięzionego autora korespondencji jaśniejszego wyłożenia sprawy. Tymczasem przekazał przez Krasnowolskiego 100 tysięcy marek polskich.

Sekretarz Machny po powrocie do Strzałkowa o wszystkich swych działaniach doniósł komendantowi obozu. Kilka dni później policja zrewidowała celę ukraińskiego atamana i znalazła u niego 50 tysięcy mkp. Miały te same numery, co przywiezione z Warszawy przez Krasnowolskiego.

Można było sporządzić akt oskarżenia.

Przed sądem główny oskarżony nie przyznał się do spisku. Mówiąc o sobie per ataman Machno, wytknął prokuratorowi, że zarzucanie przywódcy ludu ukraińskiego knowania z Sowietami jest absurdalne. On zawsze czuł wstręt do bolszewików, co udowodnił w 1920 roku, gdy stojąc na czele swojej armii, z pogardą odrzucił propozycje Sowietów uderzenia na tyły wojsk polskich. W strzałkowskim obozie jenieckim jako człowiek pozbawiony wolności był zainteresowany wyłącznie kontaktem z rządem polskim. Poza tym nie mógłby porozumiewać się z Rosją, gdzie trwa sądowy proces przeciwko setkom jego oficerów.

Oskarżenie opierało się, jak twierdził, na pomówieniach „tej ciemnej jednostki” Krasnowolskiego, który okazał się człowiekiem sprzedajnym, a ponadto notorycznym kłamcą. Surowa dyscyplina w Strzałkowie wykluczała możliwość prowadzenia rokowań konspiracyjnych. Co dwie godziny kontrolowano celę, w której przebywał. Żadnych listów do Misji Sowieckiej nie pisał.

W podobnym tonie wypowiedzieli się pozostali oskarżeni. Zwłaszcza Kuzmienko przysięgała, że o oderwaniu od Polski Galicji pierwszy raz usłyszała na sali sądowej. Owszem, będąc w Warszawie u lekarza, udała się do Misji, ale tylko po to, aby dowiedzieć się o losy dowódcy Armii Krymskiej.

Tylko jeden dziennikarz – z „Kuriera Warszawskiego” – uznał, że warto odnotować to wyjaśnienie. Publiczność czekała na przesłuchanie Krasnowolskiego.

Stanął za barierką pewny swej bezkarności z powodu prokuratorskiej ochrony. Nie patrzył na swego niedawnego zwierzchnika.

*– Z Nestorem Machno spotkałem się w Bukareszcie – zaczął – gdzie pracowałem jako szofer w prywatnej wypożyczalni samochodów. On pewnego dnia wynajął tam autobus, ze mną za kierownicą. Do wozu weszło kilkanaście osób, sami Ukraińcy. Jechaliśmy 20 kilometrów, aż skończyła się benzyna. Chciałem wracać choćby pieszo do Bukaresztu, ale Machno zagroził mi pistoletem. Stanęliśmy na rozstaju dróg w pobliżu targowiska i gdy tylko pojawiła się furmanka, rekwirowaliśmy ją, a związanego woźnicę wrzucało się do rowu.*

Tymi podwodami, jak opowiadał Krasnowolski, jechali całą noc w kierunku polskiej granicy. Zabłądzili i ujęła ich policja rumuńska. Udało się im zbiec z aresztu i na granicy polskiej zostali odstawieni do obozu dla Sowieców w Strzałkowie. Krasnowolski zamierzał stamtąd uciec, ale żeby batko go nie zdekonspirował, udawał, że chce mu pomóc w pertraktacjach z Ukraińską Misją w Warszawie. Machno dał mu zaklejoną kopertę z poufnym listem. Miał ją oddać Maksymowiczowi, sekretarzowi Misji. Przed ucieczką ze Strzałkowa

poinformował o wszystkim komendanta obozu. W Warszawie listy Machny po uprzednim sfotografowaniu przez polską policję dostarczył do poselstwa ukraińskiego.

– *Kiedy w Strzałkowie doszło do aresztowania Nestora Machny, świadek pozwolił, aby również jemu założyli kajdanki. Nie ujawnił się ze współpracą z władzami polskimi. Dlaczego?* – zapytał Franciszek Paschalski, obrońca głównego oskarżonego.

– *Nie chciałem się rozłączać z głównym oskarżonym.*

– *A czemuż to?*

– *Ponieważ jako Polak patriotą mogłem przysłużyć się ojczyźnie. Słyszałem, jak Machno mówił coś do Haliny Kuzmienko o Galicji. A wiadomo: gdzie on się pojawi, tam wszczyna bunty, przeto domyśliłem się, że będzie chciał urządzić powstanie na Rusi Czerwonej.*

– *Czy świadek składał podanie o powrót do Rosji?*

– *Tak.*

– *A przedtem o powrót do Rumunii?*

– *Tak.*

– *Czyli gdzie stanę, tam moja ojczyzna... O, przepraszam.* – Adwokat ze złośliwym uśmiechem ukłonił się w stronę stołu sędziowskiego: – *To zbyteczny komentarz.*

A zwracając się do Krasnowolskiego, zapytał:

– *Kiedy świadek powziął postanowienie o zdemaskowaniu atamana Machno?*

– *Już w areszcie rumuńskim.*

– *Jako Polak patriotą?*

– *Tak.*

– *W takim razie w jakim celu starał się pan o pozwolenie wyjazdu na stałe do Rosji?*

– *Chciałem pozyskać zaufanie batki.*

Prokurator: – *Nazywa pan ojcem człowieka, który, jak tu zeznawał świadek Karol Kindle, repatriant z Ukrainy, rąbał szablami nagie kobiety.*

Krasnowolski: – *Mnie przy tym nie było.*

Kolejne pytanie oskarżyciela publicznego dotyczące postępowania atamana Machno na Ukrainie zostało przez sąd uchylone. O tym, że oskarżony był w swej samowolnie utworzonej republice ze stolicą w Hulajpolu jedynowładcą, informował sąd kapitan Kruk-Strzelecki, przedstawiciel Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, który przed wojną 1920 roku był szefem wywiadu polskiego na terytorium Ukrainy. Kapitan oświadczył, że człowiek, który siedzi na pierwszym miejscu ławy oskarżonych, był wówczas taką potęgą, że kiedy polskie wojsko wkraczało na Ukrainę, przed naczelnym dowództwem powstało pytanie, z kim się sprzymierzyć: z Petlurą czy z Machno. I gdyby nie fakt, że tego drugiego nie było wówczas w guberni podolskiej, raczej z nim zawarto by porozumienie.

– *A gdyby w roku 1922 zaistniała potrzeba wykonania takiej dywersji, czy Nestor Machno mógłby być pomocny stronie polskiej?*  
– zapytał świadek mecenas Paschalski.

– *W tym czasie – odpowiedział dyplomatycznie kpt. Kruk-Strzelecki – Polski Sztab Generalny, wierny zawartym układom, stał na gruncie traktatu ryskiego i ze stanowiska tego zejść nie chciał. Ale zdawaliśmy sobie sprawę, że Machno był jedynym człowiekiem, około którego po rozbiciu Petlury i innych organizacji bolszewickich mogłaby się skupić cała Ukraina.*

– *Polityka to układy, tam nie ma jak w ewangelii św. Mateusza, gdzie napisano: „Niech wasza mowa będzie tak, tak, nie, nie” – zauważył kolejny świadek, major Czarnocki, komentując pomruk publiczności, kiedy zeznawał. – Myśmy w pewnej chwili sami zawarli ciche zawieszenie broni z bolszewikami, aby mogli zlikwidować próbę restauracji, symbolizowaną przez Wrangla. Tego wymagała polska racja stanu. Być może Polacy, przebywający wtedy na*

*Ukrainie, uznali, że wydaliśmy ich na pastwę bolszewików. Ale taka była konieczność.*

Następnie za barierką dla świadków stanęli porucznik Błoński i prokurator Kaduszkiewicz, członkowie komisji badającej podstawy internowania w Strzałkowie poszczególnych osób, m.in. Nestora Machny. Oskarżony zakomunikował im, że gotów jest podjąć się w Bolszewii dywersji, jeśli rząd polski udzieli mu poparcia. Domagał się widzenia z naczelnikiem Piłsudskim.

Nadkomisarz Piatykiewicz, do którego dotarł Krasnowolski, aby pokazać listy Machno do Misji Sowieckiej, na pytanie obrońcy, co sądzi o realności zamachu stanu na terenie Galicji, odpowiedział z wahaniem:

*– Prawdopodobnie oskarżony chciał wyprowadzić w pole Sowieców, ale jestem przekonany, że gdyby sprzyjały ku temu warunki, wywołałby powstanie na Rusi Czerwonej.*

Wystąpienie prokuratora pod koniec procesu było naszpikowane refleksjami natury historiozoficznej.

*– Nie jest dla oskarżenia obojętne, czy mamy tu do czynienia z bandytą, ideowcem, grasantem czy anarchistą – akcentował, wskazując na Nestora Machno. – I czy wydarzenia, które sądzimy, zdarzyły się na wschodzie czy zachodzie. Anarchizm wschodu to rebelia, anarchizm zachodni jest intelektualny. Cały dorobek historyczny Ukraińców świadczy o ich skłonnościach do szukania łatwego łupu, dzikiej swobody i niechęci do wszystkiego, co tchnie wysiłkiem lub kulturalną pracą. Ukraina jest kolebką zastępów różnych atamanów, którzy pod pozorem obrony jakiejś idei przebiegali ten kraj krwawym szlakiem, powodowani jedynie żądzą łupu i dzikiej swobody.*

*Kim jest Machno? Czy daleko odbiegł od swoich historycznych poprzedników? W 18. roku życia skazany na śmierć, zesłany w drodze łaski na Sybir, wypływa w czasie rewolucji jako symbol buntu i negacji obowiązującego systemu. Twierdzi, że nienawidził bolszewików, gdyż zabili jego rodzinę. Nie mógł więc wchodzić*

*z nimi w konszachty. Czemuż zatem trzykrotnie sprzymierzał się z nimi, czy to przeciwko Wranglowi, czy Denikinowi, czy w ogóle przeciw Białej Armii?*

*W Strzałkowie przeżywał tragedię. Wódz, na którego skinienie ginęli ludzie, przywykły do rozkazywania, umiłowany ataman czarnego chłopstwa, zamienia się w szarego więźnia. Ale jeszcze wierzy, że wchodzenie w międzynarodowe układy jest łatwe, że wystarczy skreślić na kartce szyfrem kilka słów. Dostają takie listy naczelnik polskiego państwa i ministrowie. On chce uwolnienia i dyktuje warunki. A kiedy sztab propozycję odrzuca, Machno zwraca się do Misji Sowieckiej. Pisze... – Prokurator wyciągnął ze swej teczki jeden z sekretnych listów oskarżonego: – Jesteśmy w stanie podporządkować się Sowiетom. Dotychczasowe nasze nieporozumienia to tylko tarcia między dwoma jednakowymi ideologiami. Co się tyczy zamiaru polskich władz oddania mnie pod sąd, to proces może im przynieść tylko hańbę.*

Mowa oskarżycielska zakończyła się wnioskiem o odesłanie podsądnych do Rosji sowieckiej.

Sędzia oddał głos obrońcy Nestora Machno. Mecenas Paschalski był znany z ozdabiania swoich wystąpień akademickimi dywagacjami. Tak działo się i tym razem:

*– Ten proces zmusza adwokata do wkroczenia na grunt całkowicie obcy wymiarowi sprawiedliwości. Bo trzeba zderzyć dwie racje: prawników, którzy dążą do ustalenia prawdy, i prokuratora uwzględniającego interes państwa.*

*Dla pracowników służby politycznej dotarcie do prawdy dla państwa niekorzystnej jest dopiero początkiem pracy – zauważył mecenas. – Ich zadaniem jest tę prawdę odpowiednio przeświecić, czujność przeciwnika uspić lub zmylić. Dlatego ustawa postępowania karnego pozwala urzędnikom państwowym odmawiać odpowiedzi na pewne pytania, o ile ustalenie prawdy na sali sądowej mogłoby państwu zaszkodzić. Właśnie taka sytuacja występuje w tym procesie.*

*Niczym na suchego przestrzeń oceanu – obrońca zacytował Stepy Akermańskie Mickiewicza – wkraczamy na bezmiar wschodu, o którym najwybitniejsi pisarze polityczni Europy Zachodniej mówią, że jest czymś nieodgadnionym, sfinksem.*

*Rzadko bowiem sądzi się w Polsce człowieka, który jak Machno w czasach Rosji carskiej został skazany na karę śmierci za napady anarchistyczne, drugi raz podobny los spotkał go za czasów samozwańczego hetmana Skoropadskiego, wreszcie był wyjęty spod prawa przez komisarza Trockiego.*

Machno w swoim wywodzie oświadczył – co skwapliwie przypomniał mecenas Paschalski – że jako dyktator „Gulajpolszyny” jest przedstawicielem rewolucyjno-powstańczej armii. W jakim państwie? Tego już nie sprecyzował, bo dla niego to była kwestia nieistotna, bez znaczenia. W swojej republice zaniechał granic i dawnych praw, zlikwidował więzienia. Twierdził bowiem, że to tylko niepotrzebny spadek po okresie niewolnictwa jednych ludzi u drugich. I wszystko to zastąpił krótką karabinową salwą, „skracającą męki winowajcy” – jak powiadał. Adwokat przywołał te kontrowersyjne słowa oskarżonego.

Obrońca dalej podawał w wątpliwość istnienie samego spisku, czyli zakusów oskarżonego, by oderwać Ruś Czerwoną od Rzeczypospolitej. I przekonywał zgromadzonych, że samo mówienie o takich zamiarach, obmyślanie i naradzanie się nie oznacza jeszcze spisku. Na dowód przywołał znaczenie samego słowa. I poświęcił mu dłuższą chwilę ze swego wystąpienia. Polski „spisek” zestawiał z rosyjskimi odpowiednikami *zagawor* i *jedinogłasje*. Analizując te niuanse znaczeniowe, sięgał do najlepszych źródeł i odwoływał się do najznakomitszych autorytetów językoznawstwa – cytował za słownikiem Lindego.

Adwokat dowodził następnie, że ten pomysł na spisek nie miał najmniejszych szans na zrealizowanie go przez Machnę w Strzałkowie. Więźnia ślącego listy do Misji Sowieckiej porównywał natomiast do Zagłoby składającego w darze szwedzkiemu królowi Niderlandy.

Mecenas Paschalski dobitnie podkreślał w swoim wystąpieniu kwestię przynależności państwowej oskarżonego. I uznawał ją za kluczową w tej sprawie. Mówił:

*– Z polskiego punktu widzenia oskarżony jest obywatelem rosyjskim, którego władzą są panowie Lenin i Trocki. Gdy nota sowiecka zwraca się do rządu polskiego o wydanie Machny, domaga się wydania swojego obywatela. Wątpliwy jest tytuł prawny polskiego sądu do zajmowania się osobą oskarżonego, wątpliwe są postawione mu zarzuty. Ale gdyby rząd polski, miast rozpatrywać sprawę Machny, wydał go Sowietom bez wszystkich wstępnych formalności, byłby on rozstrzelany za usiłowanie zorganizowania spisku podejmowanego w porozumieniu ze Sztabem Polskim. Chociaż Sztab to porozumienie odrzucił.*

I słuszność byłaby raczej po stronie Rosji. Wszak Machno zwracał się do polskiego Sztabu Generalnego z najdalej idącymi ofertami akcji dywersyjnej na Ukrainie. Wiedział, że nie jest człowiekiem, do którego burżuazyjny sztab może mieć nadmierne zaufanie, i dlatego proponował w listach: *Jeżeli nie chcecie wysłać na Ukrainę mnie, wyślijcie dwóch moich ludzi z mojami odezwaniami, a mnie i moją żonę zatrzymajcie jako zakładników.*

*– Pan prokurator twierdził – mecenas szarmancko uklonił się w stronę oskarżyciela publicznego – że w pewnej chwili Machno zwątpił w możliwość współdziałania z rządem polskim, doszedł do przekonania, że jego koncepcji walki z bolszewikami nie da się przeprowadzić, i dlatego nawiązał kontakt z Misją Sowiecką...*

Było inaczej – przekonywał adwokat sędziów.

A mianowicie: Machno wysłał do sowieckiego poselstwa swego parlamentariusza Krasnowolskiego, głównego świadka oskarżenia, o którym nadkomisarz Piatykiewicz wydał opinię, że nie był to orzeł defensywy. Po co go tam wysłał? Aby się dowiedzieć o losie Ukraińców, których proces rozgrywał się w Kamieńcu Podolskim. Rosja Sowiecka wówczas sądziła 83 machnowców. Nie wiadomo, ilu z nich zostało rozstrzelanych. W każdym razie, o paradoksie, przychodzi Krasnowolski do Misji Sowieckiej w Warszawie. Dostaje



pisemną odpowiedź na list atamana i zawozi ją do Strzałkowa. Gdyby nawet przyjąć, że cytowana w akcie oskarżenia korespondencja jest pisana przez Nestora Machno (czemu zaprzecza zarówno on, jak i biegli grafolodzy), to inicjatywa przedłużania rozmów nie pochodziła od oskarżonego, ale od przedstawicielstwa dyplomatycznego Rosji. Misja Sowiecka – niewątpliwie z dużym międzynarodowym doświadczeniem w zakresie wywiadu – zdecydowała się zlikwidować swego wroga, kompromitując go przed rządem polskim. Czyż może być bardziej subtelna gra – unicestwić jednego wroga rękoma drugiego?

*– Nie da się ustalić – twierdził adwokat – na czyich usługach pozostawał Krasnowolski i czy pobierał od Misji większe sumy pieniędzy do własnej kieszeni. W każdym razie stroną zaczepną jest ciągle Misja, jej szef nalegał, aby Machno szczegółowiej skonkretyzował swoją ofertę. Ale w kwestii uwolnienia więźnia nie dał mu żadnej konkretnej odpowiedzi.*

Do dywersji na Rusi Czerwonej nie doszło, bo dojść nie mogło. Machno obiecywał bolszewikom gruszki na wierzbie, traktując je jako towar wymienny za uzyskanie wolności. Ceremonia wysyłania not czy listów była prowadzona dlatego, że Machno też grał. Był przecież osamotniony, bez swego wojska. Obawiając się Sowietów, chciał się zabezpieczyć, uzyskując od Misji kompromitujące ją dokumenty. W razie czego zamierzał je oddać do politycznego wyzyskania polskiemu Sztabowi Generalnemu. Zapłatą miało być wypuszczenie z obozu dla jeńców.

Przegrał dzięki mało inteligentnemu Krasnowolskiemu.

Mecenas zakończył swą mowę apelem do sędziów:

*– Na tym procesie nie zyskuje państwo polskie, jedynie i wyłącznie cieszyć się może poselstwo sowieckie, które zniszczyło naszymi rękami autorytet Machny i z możliwego przyjaciela, czyniło niewątpliwego wroga. Tej dyplomatycznej grze należy raz wreszcie położyć kres. Jako prawnik i Polak czujący w Rosji niebezpieczeństwo upraszam Wysoki Trybunał o uniewinnienie oskarżonego.*

Nestor Machno w ostatnim słowie powiedział:

*– Przekroczyłem granicę Polski, licząc na gościnność bratniego narodu polskiego. I nastąpiła wielka historyczna pomyłka, znalazłem się w ławie oskarżonych. Wierzę, że to nieporozumienie zostanie przez sąd sprawiedliwie rozważone.*

Wyrokiem z 1 grudnia 1923 roku Sąd Okręgowy w Warszawie uniewinnił wszystkich oskarżonych.

Nazajutrz w dzienniku „Rzeczpospolita” ukazał się komentarz do zakończonego procesu:

*Gdyby Machno został skazany, państwo polskie straciłoby wielki atut na wypadek wojny. Natomiast wielki sukces odniosłyby sowieci, których intencją jest pogrozić męża zaufania całej Ukrainy i rzucić go na kolana.*

Uniewinniony Nestor Machno potajemnie wyjechał do Francji. Nigdy już nie wrócił na Ukrainę, nie odbudował swojej atamańskiej potęgi. Na obczyźnie pracował jako introligator, a Halina Kuzmienko, która została jego żoną, była praczką w hotelu. Zmarł na gruźlicę w 1934 roku.

Dziś na Ukrainie Machno znajduje się w panteonie wielkich i zasłużonych dla ojczyzny Kozaków. Raz w roku, 24 sierpnia, w dniu odzyskania niepodległości przez Ukrainę, w Hulajpolu jest organizowany hucznie „Dzień niezależności z Machno”. Występują znane nad Dnieprem zespoły estradowe, a także poeci, którzy czytają machnowskie teksty i inicjują polityczną dyskusję.

## **Bibliografia**

„Gazeta Poranna 2 grosze” – wyd. z 2 grudnia 1923 r.

„Rzeczpospolita” – nr 326, 327, 328, 330 z 1923 r.

*Mowy sądowe* [mec. Paschalski], zebr. i oprac. Szymon Gelernter, Warszawa 1925.

W. Poliszczuk, *Gorzka prawda. Zbrodnicość OUN-UPA*, 1996.

Mimo traktatu ryskiego sowiecka Rosja dążyła do przesunięcia granicy na wschodzie. Na terenie tych części Ukrainy i Białorusi, które zostały przy Polsce, kręciło się wielu bolszewickich agitatorów i dywersantów. Byli powiązani z terrorystami w głębi kraju. Polskie służby specjalne chętnie wymieniały złapanych zamachowców na oskarżonych o szpiegostwo więźniów Stalina. Był to jedyny sposób na uratowanie życia skazanych na śmierć Polaków.

## Łuk triumfalny dla zdrajców

**Oskarżony: st. przod. Józef Muraszko, zarzut: zabójstwo więźniów Bagińskiego i Wieczorkiewicza**

W południe 29 marca 1925 roku starszy przodownik Urzędu Śledczego Komendy Powiatowej w Stołpcach Józef Muraszko przyjechał konno z dwoma posterunkowymi na komisariat, aby złożyć meldunek o przemieszczaniu się w pobliskich wsiach dywersantów z Bolszewii. Był zmoknięty i niewyspany, gdyż przez całą dobę w pobliskiej wsi Kuczkuńki siedział w krzakach na czatach.

Od chwili ataku sowieckich dywersantów na Stołpce w nocy z 3 na 4 sierpnia 1924 roku – kiedy to zniszczono komendę policji, podpalono dworzec kolejowy i budynek starostwa oraz zdewastowano i ograbiono sklepy, a na koniec uwolniono z miejscowego więzienia 150 działaczy Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi – dla policjantów ze Stołpców nastąpił czas wzmożonego czuwania.

Muraszko dowiedział się od dyżurnego aspiranta, że za pół godziny przyjedzie specjalny pociąg z Warszawy wiozący oficerów Bagińskiego i Wieczorkiewicza, skazanych na karę śmierci za zamachy terrorystyczne. Na granicy z Sowietami będą wymienieni na dwóch polskich więźniów przetrzymywanych w Kraju Rad. Po

tamtej stronie już czeka orkiestra wojskowa i powiewają czerwone sztandary.

Bardzo podniecony tą wiadomością, przodownik policji pojechał na stację, gdzie konwoju wypatrywał starosta stołpeckiego powiatu. Policjant zapytał, czy może się z nim zabrać do granicznego Kołosowa. Starosta się zgodził i Muraszko w pełnej gotowości oczekiwał na peronie lokomotywy z jednym wagonem, w którym jechali Bagiński i Wieczorkiewicz z eskortą. Polskie władze reprezentował Wilhelm Kulikowski, prezes Delegacji Rzeczypospolitej Polskiej do Spraw Repatriacji.

Im bliżej było do nadejścia specjalnego pociągu, tym więcej gapiów otaczało Muraszkę. Słyszał nieprzychylnie rządowi okrzyki, złorzeczenia, że oddaje się Sowietom na tłusty wikt zdrajców, których należało w Polsce rozstrzelać, bo i tak za kilka dni wrócą tu nocą, aby szpiegować i podkładać bomby. Sam też był oburzony.

Ale fala krwi uderzyła mu do głowy, gdy zobaczył konwojowanych w oknie wagonu. Uśmiechali się ironicznie na widok połatanych mundurów granicznej policji. Bagiński miał na sobie wojskową kurtkę z miniaturką krzyża Virtuti Militari. Muraszko wiedział, że na krzyżu jest napis „Honor i Ojczyzna”...

Pociąg przejechał ledwo trzeci kilometr za Stołpcami, gdy w wagonie rozległy się dwa strzały – jeden po drugim. Bagiński upadł na twarz, a Wieczorkiewicz osunął się na podłogę; spod palców jego ręki, którą przyciskał do boku, obficie wypływała krew.

– *Kto strzelał?! –* krzyknął Kulikowski.

– *Ja, proszę mnie aresztować –* odezwał się Muraszko, podając na rozwartej dłoni rewolwer.

Nerwowo, w szybkich słowach wyjaśniał, wskazując na rannych:

– *Sprzedali swoje państwo i teraz odjeżdżają do naszych wrogów po najwyższe godności. I jeszcze śmiać patrzeć ze wzgardą na nas, co w nędzy i krwawym trudzie służymy Polsce, choć nigdy niczego prócz marnej śmierci w tej służbie się nie doczekamy. A nasz rząd wysyła ich po nagrodę, aby mogli kiedyś przyjść do Polski na czele czerwonych dywizji.*

– *Zaszkodził pan Polsce.* – Prezes Kulikowski stanowczym głosem przerwał słowotok zabójcy.

– *To oddajcie mi rewolwer, sam się zastrzelę!* – Policjant Muraszko szarpał za bluzę konwojenta, chcąc mu wyrwać broń.

Obezwładniono go.

Pociąg został cofnięty do Stołpców, gdzie już czekał na peronie lekarz. Ranni oficerowie zmarli w drodze do szpitala. Zabójca przewieziony do aresztu zażądał, aby żona przyniosła mu wszystkie gazety, jakie prenumerował.

29-letniego Muraszkę bardzo interesowała polityka. Kiedy wczesną wiosną 1923 roku na Kresy dotarła wiadomość o zamachach bombowych na lokale wojskowych komend uzupełnień w Częstochowie, Białymstoku i Krakowie, twierdził, że to skutek prowokacji politycznej. Oskarżał o to działaczy PPS, Żydów i socjalistów.

Nie zmienił zdania, gdy 24 maja ktoś podłożył bombę w sieni biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego i na skutek eksplozji stracił życie jeden z profesorów.

A kiedy w listopadzie tłum na krakowskim rynku<sup>[6]</sup> podstępnie rozbroił wierne Piłsudskiemu wojsko i w wyniku starcia zginęło 14 żołnierzy, a 110 uczestników rozruchów zostało rannych, Muraszko jako winowajców wskazywał piłsudczyków, chcących obalić rząd Witosza.

Ale najbardziej wstrząsnął młodym policjantem wybuch 13 października w Cytadeli Warszawskiej. Eksplozja była tak silna, że runęły dachy kilkudziesięciu domów budowanego w pobliżu osiedla oficerskiego i zadrżały kopuły kościołów po drugiej stronie Wisły. Nad Cytadelą wyrósł ogromny grzyb czarnego dymu, a po chwili na ziemię runęła lawina pogruchotanych cegieł i kamieni. 30 żołnierzy zginęło, setki rannych przewieziono do szpitali.

Jeszcze tego samego dnia premier Wincenty Witos stwierdził, że *po próbach terroru przez rzucanie bomb w różnych miastach Polski*

*i zamachach na pociągi, wybuch w Cytadeli jest nowym, jaskrawym wyrazem bezwzględnej walki z państwowością polską.*

Na najbliższym posiedzeniu sejmu Stanisław Stroński, poseł Narodowej Demokracji i redaktor antypiłsudczykowski dziennika „Rzeczpospolita”, wygłosił z mównicy te słowa:

*– Wysoka Izbo. Czytaliśmy w jednym z pism lewicy, że eksplozja w Cytadeli nastąpiła na skutek rozkładu chemicznego amunicji. Natomiast rząd widział w tym tragicznym wydarzeniu zbrodniczą rękę. Ale czyją? Tego się nie dowiedzieliśmy, choć nie jest przypadkiem wielki napływ komunistów do Warszawy po zajęciach na Górnym Śląsku. Jak w tej sytuacji posłowie Koła Żydowskiego mogą twierdzić, że rząd swym oświadczeniem chciał pobudzić społeczeństwo do rozruchów przeciwko Żydom!?* (Głosy w ławach dla mniejszości narodowych: – *Tak jest, tak jest!*).

Wystąpieniu posła towarzyszyło buczenie z ław posłów PPS. Stroński kilka tygodni wcześniej ledwo się wykaraskał z procesu o obrazę w „Rzeczpospolitej” Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. Napisał:

*Pan Piłsudski wraz z lewicą, Żydami i Niemcami idzie drogą bezprawia, przez hańbę nieufności ze strony większości posłów polskich, ku śmieszności i upokorzeniu, na które zasłużył.*

Nazajutrz po sejmowym wystąpieniu w „Rzeczpospolitej” ukazał się wstępniak naczelnego, w którym ostrzegał, że każde zaburzenie porządku w Europie uaktywnia międzynarodowy ruch komunistyczny, mający także w Polsce oddanych towarzyszy. Dlatego zbrodniczego zamachu w Cytadeli nie należy pod żadnym względem uważać za katastrofę żywiołową, przypadek, skutek „dymku z papierosa”.

*To jest bezecna, łotrowska, terrorystyczna prowokacja żywiołów wywrotowych, zwrócona przeciwko obecnemu rządowi. Ponieważ rząd dobrowolnie nie upadł, przeto opozycja przystąpiła na całej linii do action directe*[\[7\]](#).

Inny redaktor gazety, Bolesław Bator, wskazywał:

*Tu już nie idzie o pokój wewnętrzny w Polsce, ale o wytrzymałość bariery polskiej, czy będzie dość mocna, żeby prawo kanibalów nie ogarnęło Europy. Niestety, nasz aparat państwowy jest zmontowany pośpiesznie, z silnym wpływem działania przypadku, a nieraz i silnymi skazami partyjności. Probierzem tej niedoskonałości są przede wszystkim Kresy Wschodnie. Po pierwszych czterech latach gospodarki polskość straciła tam więcej, aniżeli w poprzednim 150-letnim okresie niewoli.*

Prasa piłsudczykowska bardzo krytycznie oceniła odezwę wydaną przez Witosa. *Rząd, nie czekając na ukończenie śledztwa, nadał sprawie charakter polityczny – pisał Witold Giełżyński w „Kurierze Polskim” – w celu wzmocnienia swej zachwianej pozycji parlamentarnej.*

Wkrótce potem minister spraw wewnętrznych Władysław Kiernik zawiadomił parlamentarzystów w sejmie, że została wykryta komunistyczna organizacja szpiegowsko-dywersyjna, która dążyła do obalenia rządu. Zatrzymano 10 osób, a wśród nich oficerów polskiego wojska – porucznika Walerego Bagińskiego – oraz Antoniego Wieczorkiewicza z Centralnej Szkoły Zbrojmistrzów. Mają oni związek z wybuchem w prochowni Cytadeli.

Propiłsudczykowski „Kurier Poranny” zareagował na tę informację komentarzem:

*Nawet najbardziej naiwni nie uwierzą rządowi, że drożyznę, pustkę w skarbcu i spadek marki wywołali jacyś tajemniczy spiskowcy. Orędzie rządu, który wszystkie ujemne objawy życia państwowego przypisuje sabotażowi, jest wysoce niepoważne. To nie zamaskowany spiskowiec, ale obszarnik i kapitalista, nie płacący podatków paskarz żerujący na nędzy mas pracujących są prawdziwymi sprawcami ciężkiego położenia państwa. A tamto w Cytadeli to nieszczęśliwy wypadek; wybuch mógł nastąpić wskutek samorodnych związków chemicznych, których mózg ludzki nie jest w stanie przewidzieć ani im zapobiec.*

Artykuły prasowe nie powstrzymały prokuratora wojskowego przed oskarżeniem Bagińskiego oraz Wieczorkiewicza o świadome

działanie w terrorystycznej organizacji.

Na rozprawę obu oficerów w warszawskim Wojskowym Sądzie Okręgowym publiczność wpuszczano wyłącznie za biletami.

Nazwiska oskarżonych budziły sensację, gdyż swego czasu należeli do Polskiej Organizacji Wojskowej – matki Legionów (Bagiński z tego tytułu otrzymał krzyż *Virtuti Militari*), służyli też w milicji ludowej.

Akt oskarżenia opierał się na zeznaniach policyjnego konfidenta Józefa Cechnowskiego[8], członka siatki terrorystycznej w Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. Jednakże ten rzekomo skruszony terrorysta (przed moralnym przełomem policjanci aresztowali go w Częstochowie z bombą w teczce, którą, jak twierdził, wiozł dla Bagińskiego i Wieczorkiewicza), okazał się w czasie procesu niewiarygodny, gdyż wyszła na jaw jego natura prowokatora. Proponował swym towarzyszom zorganizowanie jakiegoś zamachu (wszystko jedno jakiego), a bomby chciał sam dostarczyć. W mieszkaniu miał cały arsenał.

Mimo wielu rażących sprzeczności w zeznaniach świadka koronnego w kwietniu 1924 roku sąd wojskowy uznał oskarżonych za winnych celowego uszkodzenia dróg żelaznych i zniszczenia za pomocą wybuchów budynków kilku instytucji rządowych. Od zarzutu spowodowania eksplozji w Cytadeli zostali uniewinnieni, gdy się okazało, że w tym czasie obaj oskarżeni siedzieli już w więzieniu skazani za inne zamachy terrorystyczne. Sąd doszedł do przekonania, że Bagiński i Wieczorkiewicz byli na usługach Rosji sowieckiej.

Jednomyślnie zostali za to skazani na śmierć przez rozstrzelanie.

Nazajutrz Stanisław Cat-Mackiewicz, naczelny redaktor wileńskiego „Słowa”, oskarżył gabinet Witosa o wywieranie nacisków na władze sądownicze. Stwierdził, że rząd ponosi odpowiedzialność za przedwczesne wywołanie tego procesu, dzięki czemu *być może ocalił od oskarżenia wiele figur komunistycznych tym bardziej*



*niebezpiecznych, bo ściśle współpracujących z sowieckim wywiadem.*

*Proces terrorystów – skomentowała wyrok „Rzeczpospolita” – wykazał, że o ile wiadomo, gdzie się zaczyna POW, nie można wiedzieć, na czym kończy. Sama lewica nie ma wiedzy, jak daleko zachodzi w praktyce radykalizm poszczególnych jej członków.*

Przebieg procesu, a zwłaszcza jego finał, wzburzył środowiska prawnicze, a także większość posłów. Do zbadania sprawy Bagińskiego i Wieczorkiewicza powołano sejmową komisję śledczą z przewodniczącym Adamem Pragierem, posłem PPS. Jej prace zakończyły się stwierdzeniem, że komunistyczna siatka terrorystyczna, do której mieli należeć obaj oficerowie, to policyjna prowokacja i humbug nadgorliwego w tropieniu komunistów komisarza.

Na wniosek Pragiera prezydent Wojciechowski skorzystał z prawa łaski i wyroki śmierci zamienił na dożywocie.

Prawdopodobnie obydwaj oficerowie siedzieliby za kratami do wybuchu II wojny (kiedy to otwarto zakłady karne), gdyby nie uchwała Rady Ministrów z 11 marca 1925 roku o wymianie więźniów między Polską a Rosją i Ukrainą. Podstawą prawną takich decyzji był traktat pokojowy w Rydze.

Rząd RP zgodził się na wymianę Walerego Bagińskiego i Antoniego Wieczorkiewicza – pragnących przyjąć obywatelstwo rosyjskie, na aresztowanych przez NKWD księdza Bolesława Ussasa (polskiego eksperta w mieszanej komisji reewakuacyjnej) oraz Józefa Łaszewicza (sekretarza b. Konsulatu Generalnego RP w Tyflisie<sup>[9]</sup>), którym Sowieci wytoczyli procesy karne. Informacja, kiedy więźniowie zostaną eskortowani do granicy, była utajniona.

Muraszko dowiedział się o tym pół godziny przed przyjazdem pociągu do Stołpców.

29-letni Józef Muraszko o wyglądzie zabiedzonego chłopca stanął przed Sądem Okręgowym w Nowogródku pod zarzutem zabójstwa popełnionego z premedytacją.

Wdowy po zamordowanych zażądały tytułem odszkodowania za straty moralne i materialne 7400 złotych. (Stary, przedwojenny złoty wart był mniej więcej tyle, co obecne 20 zł).

Pierwszy dzień procesu (a trwał on trzy dni) upłynął na składaniu wyjaśnień przez oskarżonego. Nie przyznał się do rozmyślnego popełnienia zabójstwa, twierdził, że gdyby je planował, nie pozostawałby do południa w odległych o kilkanaście kilometrów od Stołpców Kuczunach, narażając się na spóźnienie, uzależnione od dostarczenia podwozy w niewłaściwym czasie, od błotnistej i grząskiej drogi czy jakiegoś wypadkowego zdarzenia, które tak łatwo przytrafić się może policjantowi pozostającemu na służbie. Nie uzależniałby swej jazdy w jednym wagonie z więźniami od otrzymania na to w ostatniej chwili pozwolenia, którego przecież mógł nie uzyskać. Łatwiej było zastrzelić przed odejściem pociągu.

Oskarżony dużo mówił o swych odczuciach, kiedy dowiedział się z gazet, że skazani na śmierć oficerowie Wojska Polskiego znajdują życiową wygodną przystań w Sowietach. Uważał to za głęboko niesprawiedliwe i niebezpieczne; polski rząd hodował w ten sposób na swoją zgubę szpiegów.

*– Do bolszewików czuję nienawiść od dawna – wyznał – gdyż walcząc w roku 1917 w szeregach „białych”, widziałem gwałty i rozboje „czerwonych” na niewinnej ludności cywilnej. Jako żołnierz korpusu generała Dowbora-Muśnickiego chodziłem na wywiady. Na moich oczach bolszewicy mordowali schwytanych żołnierzy polskich. Dlatego po rozwiązaniu korpusu zaciągnąłem się jako ochotnik do regularnych już wtedy wojsk polskich i z własnej woli wstąpiłem do policji na Kresach, bo tam było najwięcej bolszewickich band. Chciałem ich dopaść, zabić.*

*– Ale oskarżony zabił polskich oficerów – przypomniał sędzia.*

Grube łzy spływały Muraszce po twarzy, gdy dygocząc na całym ciele, tłumaczył:

*– Byłem oburzony wiadomością o wysadzeniu przez dwóch komunistów Cytadeli Warszawskiej i o zamachu bombowym na Uniwersytet. Śledziłem w gazetach ich losy i kiedy dowiedziałem się*

*o skazaniu na karę śmierci przez rozstrzelanie, odczułem ulgę. Pomyślałem tylko, że szkoda kuli dla takich zbrodniarzy, lepsza byłaby szubienica. A kiedy po jakimś czasie gazety podały, że prezydent Rzeczypospolitej ułaskawił ich i obaj skazani pojedą do Rosji, nie mieściło mi się to w głowie.*

*W drodze do granicy obserwowałem twarze tych zbrodniarzy. Widziałem, z jaką pogardą patrzą na otoczenie, jak się cieszą, że za chwilę będą wśród swoich. – Niedoczekanie wasze – ta myśl drażniła mi mózg jak świder. Przysunąłem się bliżej konwojowanych, bo miałem ochotę chwycić ich za głowy i uderzyć jedną o drugą. Wtedy poczułem w kieszeni pistolet. Strzeliłem nie celując, jakby w omroczeniu i do dziś nie mogę sobie przypomnieć, co było dalej.*

*– Czy oskarżony żałuje swego czynu?*

*– Nie. Zabiłem wrogów swej ojczyzny; zemściłem się za wszystkie krzywdy, wyrządzone przez nich Polsce. Jako Polak i katolik nie mogłem postąpić inaczej.*

*Zaczął się przesłuchanie świadków.*

*Wilhelm Kulikowski zeznał, że podczas jazdy do granicy aspirant policji politycznej szepnął mu na ucho, czego dowiedział się od Wieczorkiewicza. Skazany miał powiedzieć, że przygotowanie do wysadzenia Cytadeli to robota Bagińskiego.*

*Dwa wystrzały Muraszki zrobiły na świadku wrażenie trzasku łamanego patyka. Z zabójstwem więźniów skojarzył to dopiero wówczas, gdy młody policjant ze Stołpców powiedział głośno:*

*– Zabiłem zdrajców, biorę to na swoją odpowiedzialność, nie mogłem dopuścić, aby nas zgubili, oni znają najważniejsze tajemnice wojskowe.*

*– Co się po tym wszystkim stało z księdzem Ussasem i konsulem Łaszewiczem? – zapytał sędzia.*

*– Nie wrócili do Polski, są w rosyjskim więzieniu.*

*Wielu świadków charakteryzowało oskarżonego jako wielkiego patriotę. Ksiądz Antoni Kuklewicz, który poznał się z Muraszką*

w 1920 roku, gdy był proboszczem w powiecie sejneńskim, widział, z jakim poświęceniem i energią ten legionowy żołnierz organizował partyzanckie oddziały dla obrony granic Polski. Świadek słyszał wówczas z ust Muraszki, że nie jest Polakiem ten, kto nie potrafi w każdej chwili umrzeć za swoją ojczyznę.

Ci, co znali Muraszkę bliżej, nie kryli jednak, że współpraca z tym policjantem nie była łatwa.

Jan Markiewicz, komendant posterunku w Zbuczynie, przyniósł do sądu wykaz posterunków, do których w ciągu trzech lat musiał karnie przynosić Muraszkę wskutek jakichś wybryków podwładnego. Te przewinienia to np. zastrzelenie Żydówce kozy na ganku, oblanie atramentem twarzy pijanego chłopca w knajpie czy zabicie proboszczowi psa. A także brutalne, aż do powstania ran, ogolenie głowy dezercerowi z wojska.

*– Muraszko robił na mnie wrażenie nie całkiem normalnego – twierdził świadek. – Ciągłe mówił, że temu lub owemu należy strzelić w łeb. Jako policjant był bardzo odważny. Ale zawsze chciał postawić na swoim. Na przykład w sierpniu 1923 r. domagał się urlopu, a nie otrzymawszy zgody, zaczął płakać i biegać po gabinecie, rwać włosy, krzyczeć, wreszcie rzucił się na ziemię. Zachowywał się tak nienormalnie, że odesłałem go do szpitala psychiatrycznego w Wilnie, skąd został wypisany po paru dniach obserwacji.*

Świadek uważał Muraszkę za dobrego, ofiarnego funkcjonariusza, ale nienadającego się do awansu ze względu na brak psychicznej równowagi.

Również Marian Koziulewski, naczelnik Urzędu Śledczego w Nowogródku, twierdził w sądzie, że główną wadą oskarżonego był brak zrównoważenia. Kilka miesięcy przed zabójstwem Muraszko na uczynioną mu wymówkę, że nie zdążył wykonać w krótkim czasie służbowego polecenia, wybuchnął tak gwałtownie, że trzeba było zabrać mu rewolwer. Innym razem, kiedy okazało się, że niesłusznie podejrzewał naczelnika o otwarcie jego prywatnego listu, uznał się niegodnym noszenia munduru i próbował samobójstwa.

Bronisław Borowski, kierownik oddziału gospodarczego Komendy Powiatowej w Stołpcach, zeznał, że na kilka dni przed zabójstwem Bagińskiego i Wieczorkiewicza Muraszko przyszedł do niego z „Kurierem Porannym” i wileńskim „Słowem” w ręku – były w nich artykuły krytykujące wymianę więźniów między Polską a Sowietami.

– *Oskarżony był bardzo zdenerwowany – wspominał świadek. – Chodził po korytarzu i coś mamrotał do siebie. Nie dziwiliśmy się jego oburzeniu, nam też to się nie podobało, ale nie wtrącamy się do wielkiej polityki. Tu na granicy mamy inne zadania.*

Muraszko żył wymianą zakładników. Jak zeznał starszy przodownik policji w Baranowiczach Edward Myszkowski, który spacerował z oskarżonym po peronie w oczekiwaniu na pociąg z więźniami, jego młodszy kolega nieustannie drażył temat terrorystycznych zamachów bombowych, o co oskarżano Bagińskiego i Wieczorkiewicza.

– *Nazywał ich nikczemnikami. A jednocześnie oburzał się na wymianę, uważając ją za bezcelową ze względu na to, że w Rosji, aby mieć pretekst do wyciągnięcia z polskich więzień swoich szpiegów i dywersantów, aresztuje się niewinnych Polaków.*

Wszyscy świadkowie stanowczo zaprzeczali sugestii prokuratora, że oskarżony dopuścił się zabójstwa z czyjegoś polecenia. Muraszko od miesięcy nie opuszczał okolic swego posterunku, czatując na bandytów zza wschodniej granicy. Również w noc poprzedzającą zabójstwo nie zmieniał planów. Postarał się tylko, aby na następną wyprawę przydzielono mu więcej żołnierzy. O przejeździe Bagińskiego i Wieczorkiewicza przez Stołpce wcześniej nie wiedział.

Sąd przesłuchiwał także świadków powołanych przez obronę celem pokazania, że wiadomości o okrutnym traktowaniu rodaków przez władze sowieckie podczas bolszewickiej inwazji pozostawiły w umyśle Muraszki głęboki ślad.

Świadek Jerzy Szyrkiewicz przebywał w Rosji sowieckiej cały okres porewolucyjny. Opowiadał Muraszce, że żaden Polak nie był tam pewny dnia ani godziny. Każdy lada chwila mógł być bez

powodu porwany, aresztowany, osądzony, a nawet zgładzony przez jedną z agend reżimu: czerezwyczajkę miejscową, czerezwyczajkę lotną, tzw. *osobny otdiel*, albo też przez sąd rewolucyjny. Wystarczyło podejrzenie o przestępstwo, niczym nie udokumentowana denuncjacja, ażeby zostać skazanym na śmierć. Na przykład w 1922 roku w Humaniu ośmiu Polaków otrzymało takie wyroki za to, że wciągnięci w rozmowę przez prowokatora, przytaknęli mu, że dobrze byłoby, gdyby Trocki został zabity.

Również dla usprawiedliwienia grabieży prywatnych majątków rząd bolszewicki urządzał częste prowokacje, za które karał kaźniami oraz kontrybucją nakładaną na całą miejscową ludność.

Ci mniej odporni psychicznie, poddani takiemu bezprawiu, ulegali w końcu manii prześladowczej, dostawali obłądu. Ale wszystko to bladło wobec katuszy, jakie przechodził człowiek pozbawiony wolności.

*– Skazany na więzienie za rzekomy sabotaż – zeznał świadek Szyrkiewicz – zostałem wepchnięty do celi trzy metry na dwa, gdzie już było 40 mężczyzn. Leżeliśmy piętrami na narach, w przejściach. Załatwialiśmy się do wiadra, które po wylaniu odchodów służyło zarazem do noszenia zupy. Latem 1921 roku podczas epidemii dezynterii wydawano tylko pół szklanki wody dziennie, ludzie konali z pragnienia. Katowanie podczas przesłuchania było na porządku dziennym. Bez sądu rozstrzeliwano nie tylko burżujów, ale i robotników. Tak stracił życie Antoni Janicki zwrotniczy kolejowy, były członek PPS. Egzekucji masowych było bardzo dużo – w okolicach Humania liczba skazanych Polaków dochodziła do kilkuset, nie licząc zakładników wywiezionych w głąb Rosji, których los jest nieznan.*

Kolejny świadek – Aleksander Pietkiewicz, więzień bolszewików wymieniony niedawno na granicy za skazanego obywatela ZSRR, zeznał przed sądem, jakimi opowieściami raczył Muraszkę w Stołpcach: Od 1923 roku siedział w więzieniu na Łubiance z wyrokiem śmierci. Dostał się tam na skutek prowokacji w knajpie, gdzie po wypiciu szklanki wódki przeklinał rząd Sowietów. Miał powód – bolszewicy rozstrzelali jego ojca, a brata żywcem zakopali.

W czasie przesłuchania, które oprawcy nazywali badaniem, przytrzaszkiwano mu w drzwiach palce rąk. Teraz jest kaleką.

– *Widziałem prowadzonych na śmierć, byli spętani drutem kolczastym. Egzekucja odbywała się pod płotem. Tak straciła życie Aniela Jackiewiczówna, która zrzekła się prośby o łaskę i padła rozstrzelana z okrzykiem: „Niech żyje Polska!”. Pamiętam, że kiedy prowadzili Iwanowskiego, jego żona zamknięta w celi rzuciła się do okna, wołając przeraźliwie: „Tolek, Tolek!”. Czekała wrzasnął: „Kakoj tam czort Tolek, stupaj białogwardiejec, polskaja morda”. I wystrzelił w kierunku zrozpaczonej kobiety. Straciła życie.*

*Muraszko słuchając tego, tak się trząsł z przejęcia, że na chwilę stracił przytomność – powiedział świadek na koniec swego zeznania.*

Wielu informatorów oskarżonego policjanta pochodziło z okolic Lidy, miasta na Białorusi, od 1921 roku w granicach Polski. Podczas wojny bolszewickiej byli świadkami pastwienia się nad Polakami.

Świadek Wincenty Czajkowski widział, jak patrol Budionnego zamordował katolickiego proboszcza, który jechał bryczką. Ściągnięto duchownego z ekwipażu, kazano mu się rozebrać do naga i odejść kilka kroków naprzód. Z tej odległości komisarz bolszewicki wystrzelił dwukrotnie do księdza, a gdy ten upadł, dobił go, zadając ciosy szablą. Polskiego żołnierza, który towarzyszył księdzu, też zarąbano.

Mieszkanca Lidy Emilia Hancewiczowa opowiedziała o tragicznym losie jej męża, który został aresztowany pod zarzutem sabotowania polecenia bolszewickiego komisarza. *Po wyjściu bolszewików – zeznała – rozkopaliśmy wspólne groby, do których zbrodniarze wrzucali swoje ofiary; wszystkie miały ślady torturowania. Wśród kilkudziesięciu trupów rozpoznałam mego Stasia.*

Inna chłopka, Antonina Bałaszewicz, była świadkiem zamordowania przez czerwonoarmistów w pobliżu jej obejścia 18 Polaków. Przez kilka dni w nocy dochodziły do niej krzyki i jęki, choć nikt nie strzelał. Ale po zmierzchu nie wolno było wychodzić z chałupy. Tajemnica wyjaśniła się po rozkopaniu świeżo poruszonej

ziemi. Znalezione tam trupy powiązane drutem. Wszyscy mieli wytrzeszczone oczy, wręcz „wysadzone z orbit”. Nie ulegało wątpliwości, że ofiary zostały zakopane żywcem.

Na temat międzynarodowej wymiany więźniów z Rosją sowiecką wiele wiedział świadek Bronisław Barylski, prezes Związku Byłych Zakładników. Mimo podpisanej umowy strona rosyjska nie respektowała uzgodnień. Kiedy w styczniu 1920 roku jako przedstawiciel rządu polskiego wyprawił z Moskwy pociąg z polskimi zakładnikami, po powrocie na kwaterę został aresztowany. Na rozkaz czerezwyczajki pociąg cofnięto od granicy i wypuszczono do Polski tylko kobiety z dziećmi. Większość zakładników ponownie trafiła do sowieckich więzień, gdzie ich rozstrzelano.

Aresztowanym członkom Związku Byłych Zakładników nikt nie przedstawił aktu oskarżenia, nawet nie starano się o pozory procesu sądowego.

*– Byliśmy przygotowani na śmierć, bo czerezwyczajka skazywała zaocznie – zeznał Barylski. – 30 czerwca 1920 roku trzech spośród nas, najmłodszych, jeszcze chłopców, zamordowano w Moskwie. Pozostała siódemka miała być rozstrzelana w Warszawie, po jej zajęciu przez wojska bolszewickie. Na szczęście zdarzył się cud nad Wisłą.*

Barylski powrócił do kraju w 1921 roku na mocy traktatu w Rydze i od razu stanął na czele reaktywowanego Związku Byłych Zakładników. Od tej chwili stale asystował przy wymianie więźniów na granicy polsko-rosyjskiej.

*– Polacy nieraz miesiącami jechali do kraju. Zamiast żywych zakładników dostarczano nam z Rosji trupy. Natomiast z naszej strony zdrajcy, szpiegzy, komuniści, w asyście towarzyszących im rodzin, stawali na granicy syci, odświętnie ubrani. Jeszcze na polskiej ziemi rozwijali czerwoną płachtę, śpiewając „Międzynarodówkę”, odgrażali się, że wkrótce wrócą. Muraszko bardzo to przeżywał.*

Biegli eksperci odrzucili sugestię obrońców – Mariana Niedzielskiego<sup>[10]</sup> i Stanisława Szurleja, że oskarżony ma



nadwerężony układ nerwowy. Uznali Józefa Muraszko za zdrowego na umyśle.

Sąd udzielił głosu prokuratorom.

*– Organy ścigania dołożyły wszelkich starań na poznanie wszystkich szczegółów zabójstwa – oświadczył podprokurator Marcin Kaduszkiewicz – gdyż komunistyczna propaganda usiłuje wyzyskać zabójstwo Wieczorkiewicza i Bagińskiego przeciwko rządowi polskiemu, przypisując mu milczące przyzwolenie na ten zbrodniczy czyn. Jest to insynuacja. Józef Muraszko, przodownik policji państwowej, funkcjonariusz organów wykonawczych władzy, specjalnie powołanych do strzeżenia praworządności i porządku publicznego w państwie, wyłącznie z własnej woli przekreślił dwoma strzałami postanowienie Rady Ministrów o międzynarodowej wymianie więźniów.*

Podprokurator przypominał, że pięć lat wcześniej doszło do podobnego tragicznego incydentu w Łapach, kiedy to żandarmi eskortujący wydalanych z Polski delegatów sowieckich zamordowali ich tuż przed przekroczeniem granicy. Ale wówczas władze państwowe dopiero się tworzyły. I nie było pokojowego paktu z Sowiecami. W 1925 roku wykonywanie wyroków na własną rękę jest samowolą, bezprawiem.

*– Czyż nie zakrawa na ironię – oskarżyciel publiczny odniósł się do szeroko omawianych podczas procesu motywów zbrodni – że funkcjonariusz policji z nienawiści do bolszewizmu, którego treścią jest gwałt i bezprawie, dopuszcza się czynu stanowiącego najjaskrawszy wyraz bezprawia? Smuci mnie przeświadczenie oskarżonego, że jego zachowanie jest godne patrioty, ale jeszcze bardziej to, że w tym przekonaniu nie jest on odosobniony. Pewien odłam społeczeństwa uważa, że postąpił słusznie, skorygował błędną decyzję polskiego rządu. Muraszko dokonując zbrodni, czuł to poparcie.*

Myśl swego przedmówcy kontynuował prokurator Kazimierz Rudnicki:

– *Polska musi żyć i rządzić się prawem, a nie nastrojami nierozważnych szaleńców... Ponieważ tak wiele w tej sali mówiono o emocjonalnej naturze Muraszki, dziwię się, że ta uczuciowość nie przypominała mu na chwilę przed strzałami o czekających przy barierce granicznej Łaszkiewicz i Ussasie. Ich serca biły w takt kół zbliżającego się pociągu. Nie przypuszczali, że za chwilę ręka Muraszki oderwie ich od tej barierki i zaprowadzi z powrotem do więzienia.*

Mecenas Marian Niedzielski zaczął mowę obrończą od stwierdzenia, że na granicy polsko-sowieckiej powstał stragan, gdzie trwa handel wymienny ludźmi. Głowa za głowę. Tyle że stamtąd przychodzą blade cienie ofiar czerezwyczajki, a z naszej strony przekracza graniczny kordon zadowolony zastęp komunistów oraz dywersantów. Dufnych, że po wypoczynku w Moskwie i otrzymaniu tam sowitej zapłaty wrócą potajemnie do Polski, by dalej prowadzić wrażą, podstępłą robotę.

– *Dlaczego dwa strzały niepozornego funkcjonariusza, strzały tak ciche, iż według określenia jednego ze świadków przypominały trzask łamanego kijka, rozległy się jak grom po całej Polsce?* – zapytał adwokat.

I zaraz sam odpowiedział:

– *Bo małe Stołpce leżą na wielkiej drodze z Warszawy do Moskwy, na trakcie, po którym niejednokrotnie w dziejach chadzali nasi królowie, by nową sławą okryć polskie sztandary. Tamtędy pędziły niezliczone kibitki, wywożąc na Sybir kwiat polskiej młodzieży. Na tym szlaku dobrze znano Rosję i rosyjskiego człowieka, niebezpieczeństwo tej zachłanności, która od wieków czyhała na byt naszego narodu.*

*Dziś na tym samym szlaku Rosja sowiecka ustawiła łuk triumfalny na przyjęcie polskich zdrajców i sprzedawczyków.*

Choć wystąpienia mecenasa słuchano w ciszy i skupieniu, on i tak od czasu do czasu podnosił głos, by dodać swym słowom wyrazistości.

*– Dzieje się rzecz potworna – obecne wyroki sądów polskich, skazujące za najcięższe zbrodnie przeciw ojczyźnie, stały się glectami do uzyskania zaległego żołdu i zaszczytów po przekroczeniu triumfalnej bramy w Moskwie. A rozkaz bezpiecznego i wygodnego przeprowadzenia przez granicę zdrajców ojczyzny otrzymała policja państwowa. I to zadanie było nad wyraz bolesne i upokarzające: mieli się przyczynić do nagrodzenia zdrady.*

Adwokat przypomniał, co przeżył i widział Józef Muraszko w Rosji sowieckiej, gdy w roku 1917 walczył w szeregach „białych”. Młody żołnierz nabrał przekonania, że naczelnym zadaniem komunizmu jest narzucenie krwawego reżimu całemu światu, a przede wszystkim Polsce. Tak sobie tłumaczył zalew połowy kraju przez Czerwoną Armię w 1920 roku i późniejszą dywersyjną robotę bolszewików na terenie II RP czy hojne finansowanie ruchu komunistycznego w Polsce. Wieczorkiewicza i Bagińskiego postrzegał jako zdrajców, pragnących ściągnąć na jego ojczyznę zagładę – wrogą ideologię. Widział w swej wyobraźni Polskę już opanowaną przez bolszewizm.

Mowa obrończa mecenasa Niedzielskiego sięgnęła apogeum katastrofizmu, kiedy przedstawiał swego klienta jako mesjasza widzącego „domorosłych, czy też importowanych, Apfelbaumów rozpierających się na Zamku Królewskim i na Wawelu; Kościoły na Jasnej Górze i przy Ostrej Bramie zagarnięte na kluby i sale tańca; rzeź generałów i oficerów; krzyże zasługi zdarte z walecznych piersi bohaterów Wilna i Lwowa, Ossowa i Radzymina”. W przekonaniu adwokata Muraszko sięgnął po pistolet prawem namaszczonego do wymierzenia kary za rabunek i mord „sowieckiej hordy”... Na koniec mecenas zwrócił się do sędziów:

*– Wasz, panowie, wyrok będzie głosem litościwej matki ojczyzny, która teraz powinna przycisnąć do kochającego łona tę rozpaloną, szaloną, pełną nienawiści i kochania głowę Józefa Muraszki. Utulić, ukoić, zrozumieć i przebaczyć...*

Sędzia ogłosił godzinną przerwę, publiczność wyproszono z sali. Ale nikt nie opuszczał gmachu, wszyscy czekali na mowę drugiego

obrońcy: złotoustego mecenasa Stanisława Szurleja, notabene podobnie jak poprzedni adwokat, członka Stronnictwa Narodowego.

Mecenas zaczął od ukłonu w stronę sędziów.

*– Panowie, gdy słuchałem prokuratorów, odnosiłem wrażenie, że oskarżyciele publiczni pozwalają nie jednego szeregowego policjanta, lecz całe społeczeństwo polskie. Oskarżony był tylko strzałą, która wypadła z napiętego łuku. Wybiegł przed innymi i jednym ruchem ręki, która zrosła się z bronią w walce z czerwonym niebezpieczeństwem, wydał wyrok.*

*Bo wszyscy przeżywali grozę wybuchu w Cytadeli i zamach na warszawskim uniwersytecie. I wszyscy powszechnie oburzali się na zbrodniarzy. Muraszko wiedział, skąd oni przyszli, bo zbyt dobrze znał bolszewików. Ale tego, że do szajki należał polski oficer odznaczony orderem Virtuti Militari, nie mógł przewidzieć. Czyj umysł mógłby to znieść spokojnie, czyje serce nie zalałaby gorycz? Nie ma wątpliwości, że Muraszko działał w stanie afektu. Może nie doszłoby do tego, gdyby nie przypadek, który go postawił oko w oko ze zdrajcami i kazał mu przeciąć drogę ich życia. Tej próby nie wytrzymał. Lecz nie on ją wywołał, to los podbiegł ku niemu.*

Mecenas, jak przystało na świetnego mówcę, po przedstawieniu okoliczności zabójstwa zszedł z wysokiego tonu, teraz był bardziej w roli oskarżyciela ofiar.

*– Nie należy zapominać – zwrócił się do sędziów – ilu by zginęło na podstawie denuncjacji Bagińskiego i Wieczorkiewicza. Wszak oni pracowali w oddziale 11, wiedzieli dużo i mieli swoje porachunki.*

Ostatnie pół godziny mowy obrońcy było patriotyczną inwokacją w stylu romantyków. Pisma, które wspierały Narodową Demokrację, jak: „Gazeta Warszawska”, „Kurier Poznański”, „Gazeta Poranna 2 Grosze” czy wychodzące we Lwowie „Słowo Polskie”, przedrukowały tę część wystąpienia w całości:

*Wrogowie nasi mówią, że ojczyzna to fantom, słowo bez treści. Ale dla nas Ojczyzna – to pieśń wigilijna w grudniowy wieczór pod iskrzącym niebem, to wierzby płaczące przy polskiej drodze, to żołnierz w marszu z pieśnią o wojence, to Święty Boże w wiejskim*

*kościół, dzika grusza na rozstaju i Zamek nad Wisłą, na który zadumane dziecko Powiśla patrzy, to opowieści zimowych wieczorów w małych izdebkach o tem, co było dawno... Nie wydrze się takiej Ojczyzny z serc naszych, nie wmówi się w nas, że zamiast wąskiego pojęcia Ojczyzny jest wielki ogólnoludzki ideał braterstwa międzynarodowego. Nam kazań o braterstwie międzynarodowym mówić nie potrzeba, bo ojcowie nasi walcząc o wolność, rozwłóczyli swoje kości po wszystkich pobojuwiskach świata. Bolszewizm u nas jest obelżywą groźbą i dlatego na jego krwawe czyny odpowiedzią była krew przez Muraszkę przelana. Szedł on – człowiek czysty, ofiarny z poświęceniem własnym na obronę nie siebie, ale swego narodu. I szedł w zgodzie z narodem. A usunął zdrajców, terrorystów. Jakież tu cel ma kara? A może i cienie zabitych tej kary nie chcą. Wszak on uwolnił ich od dalszej zbrodni i dalszej hańby. Nie ma bowiem straszniejszej rzeczy jak wynarodowienie. Żyć w Polsce i z Polski, polskie przez wieki nosić nazwisko, a potem rzucić jej na pożegnanie bomb kilka. Ten pociąg ze Stołpc to jak ostatnia nić łącząca zdrajców z Polską – pociąg idzie, nić się skraca, wkrótce się urwie i dwaj Polacy o polskich nazwiskach pozostawią za sobą ojców swoich groby i wszystko, w co ci ojcowie przez wieki wierzyli, odejdą od nich mową, obyczajem, wspomnieniami i dzieciom swoim będą kłamać jakąś historię nowego kraju, a na swoje dzieje plwać będą.*

*A jeśli wam, polscy sędziowie, zabójstwa przebaczyć nie wolno – Muraszce przebaczy Polska.*

24 października 1925 roku Sąd Okręgowy w Nowogródku ogłosił wyrok, mocą którego uznano Józefa Muraszkę winnym zabójstwa w stanie silnego wzruszenia psychicznego i skazano na 2 lata więzienia. „Kurier Warszawski” w nr. 330 z 1925 roku podał pełne uzasadnienie tego wyroku, które brzmiało jak obrona oskarżonego.

## **Bibliografia**

„Gazeta Poranna 2 Grosze” – wyd. z 21–24 października 1925 r.

„Gazeta Warszawska” – wyd. z 24–25 października 1925 r.

„Kurier Polski” – wyd. z 30 marca 1925 r.

„Kurier Poranny” – wyd. od 24 marca do 5 października 1925 r.

„Kurier Poznański” – wyd. z 21–24 października 1925 r.

„Robotnik” – wyd. z 25 października 1925 r.

„Rzeczpospolita” – nr 284 z 1924 r.; nr 282, 285, 286 z 1925 r.

„Słowo Polskie” – wyd. z 25 października 1925 r.

Stenogram z 71 posiedzenia sejmu i dyskusji sejmowej o wybuchu w prochowni warszawskiej Cytadeli 16 października 1923 roku.

Kolejne zmiany gabinetu nie powstrzymały kryzysu gospodarczego, który wkrótce stał się światowym. Po stołecznych ulicach krążyli młodzi mężczyźni z kawałkiem tektury na plecach, na której napisano „Przyjmę każdą pracę”. Dla zapelnienia pustego skarbcza rząd zaczął się wyzbywać akcji w dużych fabrykach, m.in. w sławnych za granicą z dobrej jakości swych produktów Zakładach Lniarskich w Żyrardowie. Pakiet większościowy kupił Francuz Marcel Boussac, właściciel koncernu bawełnianego. Dyrektorem zakładów żyrardowskich uczynił Gastona Koehlera-Badina, Niemca ze szwajcarskim paszportem, organicznie nienawidzącego Polaków.

Boussac okradał polską fabrykę. Żyrardowskie zakłady musiały kupować we francuskich przedsiębiorstwach „króla bawełny” surowiec po zawyżonych cenach i zaciągać tam lichwiarskie kredyty. W tej strategii chodziło o zniszczenie polskiego konkurenta, a więc i załogi.

## Nazywam się Blachowski...

**Oskarżony: Julian Blachowski, zarzut: zabójstwo dyrektora Zakładów Lniarskich w Żyrardowie Gastona Koehlera-Badina**

– *Nie mogę zapomnieć słów jednego ze świadków, że po śmierci dyrektora Koehlera nieszczęsny Żyrardów odetchnął* – zauważył już na początku rozprawy Leon Berenson<sup>[11]</sup>, obrońca Juliana Blachowskiego, kiedy ustalał z sędzią listę kolejnych osób do przesłuchania.

Wyznanie mecenasa, znanego obrońcy w procesach politycznych II RP, ujawniło osobliwość tego procesu, tylko pozornie podobnego do innych, gdzie na ławie oskarżonych siedzi zabójca ujęty na gorącym uczynku.

42-letni Julian Blachowski, wychodząc rankiem 26 kwietnia 1932 roku z mieszkania na warszawskiej Ochocie, powiedział służącej, że idzie załatwić dla córki i syna kolonie. Liczył na to, że bezpłatne skierowania z opieki społecznej dostanie po protekcyjnym telefonie Zofii Praussowej, działaczki PPS. Blachowski był od kilku tygodni bezrobotny.

Partyjna koleżanka odmówiła, tłumacząc, że lista dzieci została już zamknięta. Rozgoryczony Blachowski chciał interweniować u premiera Aleksandra Prystora, znajomego z czasów carskiej katorgi, ale straż nie wpuściła go do budynku Rady Ministrów. W desperacji postanowił rozmówić się w sprawie zwolnienia go z pracy w Zakładach Lniarskich Żyrardów z urzędującym w Warszawie prezesem – dyrektorem generalnym fabryki Gastonem Koehler-Badinem. Już w zetknięciu z wartownikiem okazało się, że nie ma szans na wejście do gabinetu.

Dyrektora zresztą nie było – poszedł na kawę do pobliskiej restauracji „Ziemiańskiej”. Blachowski też tam wstąpił – na jedną setkę, gdyż dopadł go ostry atak wrzodów żołądka. Od pewnego czasu tylko w taki sposób uśmierzał ból. Alkohol wypił na stojąco przy barze, kątem oka obserwując Koehlera zatopionego w lekturze dziennika „Berliner Börsen-Courier”. Wyszedł na ulicę. Ale myśl, że człowiek mogący odwrócić jego los jest na wyciągnięcie ręki, nie dawała mu spokoju. Postanowił poczekać na dyrektora na ulicy i poprosić o ponowne rozpatrzenie jego sytuacji.

Kwadrans przed godziną czternastą elegancko ubrany Gaston Koehler-Badin opuścił lokal. W ten ciepły wiosenny dzień wracał do biura pieszo; w pewnej chwili zatrzymał się przed witryną sklepu jubilerskiego. I wtedy zaszedł mu drogę krępy mężczyzna z rozwianą na wietrze płową czupryną.

– *Nazywam się Blachowski, Julian Blachowski, pan dyrektor powinien pamiętać moją sprawę...*

Koehler-Badin wyczuł od intruza alkohol. Wściekłość, że ktoś taki próbuje się do niego zbliżyć, odebrała mu mowę.



– *Uprzejmie proszę pana dyrektora o wstrzymanie w Żyrardowie eksmisji mojej żony z mieszkania służbowego przy fabryce.*

Nadal nie było reakcji. Blachowski powtórzył więc prośbę po francusku.

Bliski apopleksji Koehler odzyskał głos:

– *Weg !*<sup>[12]</sup> – krzyknął.

Nie zdążył odepchnąć na bok interesanta, gdy huknął strzał. To Blachowski wyciągnął z kieszeni płaszcza browning i strzelił dwa razy. Prezes największej w Europie fabryki Iniarskiej zdołał jeszcze przejść kilka kroków i padł martwy na chodnik. Zabójca rzucił broń na bruk i zastygł bez ruchu. Nie bronił się, kiedy nadbiegający rotmistrz kazał mu podnieść ręce. Bliski utraty przytomności powtarzał jak automat:

– *Zabiłem drania. Musiałem to zrobić... Musiałem. Możecie mnie aresztować, nazywam się Blachowski, uciekać nie będę.*

Z bram zaczęli wychodzić ukrywający się przed strzelającym przechodnie. Ktoś z pobliskiej apteki wezwał karetkę pogotowia ratunkowego. Ktoś inny zebrał łuski po nabojach. Kiedy lekarz stwierdził zgon w wyniku rany postrzałowej serca, na ulicy zrobiło się cicho. Ściśnięci w krąg ludzie patrzyli w milczeniu na zmarłego. Za ich plecami dwóch stójkowych wprowadzało do zatrzymanej taksówki ślaniającego się na nogach mordercę. „Na pierwszy komisariat” – wydali polecenie kierowcy.

Do tego momentu życie Juliana Blachowskiego było godne urodzonego w niewoli Polaka patrioty. Miał zaledwie 16 lat, gdy wstąpił do nielegalnego Narodowego Związku Robotniczego. Szybko zyskał sławę bezwzględności wobec zaborcy. Kiedy organizacja wydała wyrok śmierci na prowokatora carskiej ochrony o przezwisku „Garbaty”, zastrzelił go bez wahania. Brawurowo odważny, przechowywał w swoim warszawskim mieszkaniu broń sprowadzaną z zagranicy i przewoził ją do konspiracyjnych punktów.

Kiedy dostał zadanie poszukania sojuszników NZR w Żyrardowie, nawiązał konspiracyjne kontakty z robotnikami miejscowej fabryki

Iniarskiej. W sierpniu 1908 roku wypatrzył go szpicel w Warszawie na ulicy Karowej. Blachowski niósł wraz z kolegą tajne gazetki, w kieszeni kurtki miał rewolwer. Torturowany, nikogo nie wydał. Odrzucił propozycję współpracy z *ochraną*.

Ciężko pobitego, z wyrwanymi paznokciami, wrzucono go do aresztu kryminalnego, gdzie siedzieli polityczni – członkowie Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy oraz Polskiej Partii Socjalistycznej. Musiał pokonać ich nieufność, bo Narodowy Związek Robotniczy, do którego należał, to była przybudówka endecji. Z czasem towarzysze „spod celi” uznali go za swojego, a jeden z nich, niejaki Baraniecki z SDKPiL, nawet mu się zwierzył, że rok wcześniej miał go zlikwidować. Tylko areszt uniemożliwił mu wykonanie zadania.

19-letni Blachowski został skazany na cztery lata katorgi, a po jej odbyciu – na dożywotnie zesłanie. Matka błagała go, aby napisał do cara prośbę o ułaskawienie. Może imperator ulituje się nad młodym wiekiem skazanego. Blachowski odrzucił upokarzającą propozycję. Podzielił los syberyjskich zesłańców.

W skutej lodem guberni irkuckiej zakochał się w Ksawerze Kurowskiej, córce zesłańca. Wzięli ślub. Zesłanie przedłużyło się o dwa lata, gdyż Blachowski usiłował wydostać się na wolność z grupą więźniów, których namówił do ucieczki. Zostali złapani.

Kiedy wybuchła rewolucja październikowa, był już wolny, ale nie śpieszył się do kraju. Porwała go idea państwa robotników, z zapalem odbierał fabryki ich właścicielom „krwiopijcom”. Dopiero coraz bardziej rozpowszechniający się terror bolszewików uświadomił mu, że walczy o nie swoją sprawę. I że za wahanie, gdzie jest jego miejsce, może zapłacić głową. Powrócił do Polski. Był rok 1918.

Odnalazł byłych członków Narodowego Związku Robotniczego, którzy dając mu sezonową pracę, namawiali, aby wstąpił do ich nowej, już legalnej organizacji – Narodowej Partii Robotniczej. NPR od początku rozdzierały konflikty między propiśsudczykowską lewicą a ciężącymi ku prawicy ugrupowaniami chadeckimi. Blachowskiemu

to przeszkadzało; rozstał się z dawnymi towarzyszami z konspiracji i wraz z żoną przyjął legitymację Polskiej Partii Socjalistycznej.

Mieli już dwoje dzieci i ciągle brakowało im pieniędzy. On zarabiał niewiele, ponadto cierpiał na przywiezioną z Syberii chorobę wrzodową żołądka. Ksawera zatrudniła się w zakładach żyrdowskich jako tzw. prządka mokra. Bardziej katorżniczej roboty w fabryce nie było.

PPS pomogła im wygrzebać się z upodlającego dna. Blachowski awansował w zakładach na kierownika biura wypłat zapomóg dla bezrobotnych, jego żona dostała posadę higienistki. Mogli się przeprowadzić do służbowego mieszkania. Długo się nim nie nacieszyli, bo wkrótce wybuchła wojna polsko-bolszewicka i Blachowski zgłosił się do wojska. Nie mógł iść na front, gdyż wywiad wojskowy dowiedział się o jego współpracy z bolszewikami w czasie rewolucji; został skierowany na tyły, do sortowania mundurów.

Zdemobilizowany po zwycięskim odparciu armii Budionnego, wrócił do Żyrardowa, ale tam już nie czekało na niego urzędnicze biurko. Widoków na znalezienie innej pracy nie było. Na początku 1923 roku Blachowski wyjechał z grupą Polaków ze Śląska do Francji, aby fedrować w kopalni węgla. Jednakże nie wytrzymał morderczej roboty z powodu powtarzających się ataków wrzodów żołądka – francuski sztygar nie miał zrozumienia dla choroby Polaka. W październiku 1923 roku Blachowski wrócił do kraju. Dostał najgorzej płatną robotę tkacza w żyrdowskiej fabryce. Obok niego codziennie uruchamiał przęśła Paweł Hulka-Laskowski, początkujący pisarz, redaktor niezależnego „Echa Żyrardowskiego”, pierwszej gazety w tym mieście. Zaprzyjaźnili się.

To pod wpływem tego człowieka w Blachowskim odezwał się dawny społecznik. W samym kombinacie nic nie znaczył, ale na mieście stał się coraz bardziej rozpoznawalny. Razem z Hulka-Laskowskim organizowali kursy oświatowe dla robotników, wspierali ich, kiedy pastwił się nad nimi niemiecki majster.

Pod koniec roku 1924 Blachowski wystartował z listy PPS do rady miejskiej Żyrardowa. Dostał najwięcej głosów, co zapewniło mu fotel przewodniczącego. Czekał go też awans w pracy. Przesiadł się za biurko księgowego w biurze obrachunkowym. Jeszcze nie wiedział, że nad fabryką gromadzą się czarne chmury.

W roku 1923 właścicielem żyrardowskich zakładów zostało francuskie konsorcjum Comptoir de l'Industrie Cotonnière, należące do „króla bawełny” Marcela Boussaca. Francuzi kupili pakiet większościowy od polskiego rządu cztery lata wcześniej. Ale wybuchła wojna polsko-bolszewicka i kontrahent przestał interesować się produkcją wyrobów lnianych w Polsce.

Ciesząca się międzynarodową sławą z powodu wysokiej jakości swych produktów, fabryka została odbudowana ze zniszczeń wojennych za państwowe pieniądze. Kiedy ruszyła produkcja, dostało w niej pracę blisko 10 tysięcy osób. I wtedy Boussac upomniał się o Żyrardów. Jego plany zniszczenia polskiego konkurenta były aż nadto czytelne – konsorcjum domagało się zgody na przywóz z Francji płótna wartego 120 mln franków, co oznaczałoby zalanie nim polskiego rynku. Polski rząd (z premierem Antonim Ponikowskim) nie mógł na to przystać. Handlowe pertraktacje nabrały tempa, kiedy w 1923 roku do władzy doszła koalicja PSL „Piast” i Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej z premierem Wincentym Witosem i Władysławem Kucharskim jako ministrem przemysłu i handlu. 30 października 1923 roku Marcel Boussac kupił fabrykę w Żyrardowie, spłacając udział Polski symboliczną kwotą 3580 dolarów. Straty skarbu państwa wyniosły ponad 500 tysięcy ówczesnych dolarów.

Po upadku rządu Witosa PPS zażądała w sejmie postawienia ministra Kucharskiego przed Trybunałem Stanu; posądzano go o wzięcie dużej łapówki od francuskich kontrahentów. Wniosek nie uzyskał wymaganej większości, zabrakło kilku głosów.

W tym czasie w fabryce rozbijano młotkami maszyny tkackie. Boussac nie był zainteresowany produkcją lnianych obrusów i pościeli. Chciał na polskim rynku upłynnić swoje marnej jakości

bawełniane towary, przywożone potajemnie z Francji. Żeby znalazły kupca, pieczętowano je znakami firmowymi żyrardowskich zakładów.

Ograniczona produkcja prowadziła do masowych zwolnień załogi. Na żyrardowskich ulicach przesiadywało coraz więcej bezrobotnych, niektórzy zaczęli żebrać. Zapomóg odmawiano nawet tkaczom z kilkudziesięcioletnim stażem w fabryce. W kasie nie było pieniędzy. Boussac bardzo wysoko oprocentowaną pożyczkę na kupno surowca dla swego konsorcjum spłacał zyskami polskiej fabryki.

Rada Miejska Żyrardowa miała wiele spraw do dykcji zakładów. Układanie się z „królem bawełny” należało do obowiązków przewodniczącego. Blachowski nie mógł liczyć na solidarne poparcie radnych, reprezentujących różne opcje polityczne. Stosunek poszczególnych partii w Żyrardowie do poczynań Boussaca był różny. Pepeesowcy odnosili się krytycznie, chadecy ugodowo, a endecy obsesyjnie szukali wśród personelu Żydów i Niemców, których oskarżali o wrogie nastawienie do Rzeczypospolitej. Trudno też było Radzie dogadać się z rozdrobnionymi związkami zawodowymi w fabryce. Najwięcej sporów wywoływała kwestia strajków. Istniały powody, aby je ogłaszać, ale z drugiej strony z takich akcji korzystała dykcja, bo w czasie przestojów można było strajkujących zwalniać dyscyplinarnie, bez odszkodowania. Boussac miał tajną grupę prowokatorów, którzy zachęcali robotników do odejścia od krosien. Ci, którzy posłuchali, otrzymywali wilczy bilet na terenie całego kombinatu.

Na początku kwietnia 1926 roku dyrektorem zakładów żyrardowskich został Gaston Koehler-Badin, Niemiec ze szwajcarskim paszportem. Uważał, że park maszynowy w fabryce należy unowocześnić, a załoga powinna zostać zredukowana do minimum. Już w pierwszym roku jego rządów wymówienie dostało trzy tysiące robotników. Kiedy okazało się, że nie ma pełnej obsługi krosien, Koehler kazał przyjmować nieletnich, rzekomo na naukę zawodu. Wszyscy terminujący, mimo że pracowali bez zapłaty, byli zwalniani po trzech miesiącach, a na ich miejsce zatrudniano nowych uczniów. Trwało też „oczyszczanie” załogi z miejscowych fachowców. Zastępowali ich Niemcy.

Blachowski walczy o fabrykę. Razem z prezydentem miasta Edmundem Orlikiem i Pawłem Hulką-Laskowskim publikuje na łamach „Robotnika” – pisma PPS – raport pt. *Przyczyny i skutki obecnego upadku Żyrardowa*. Memoriał wysyła do rządu. Zabiega o audiencję u samego marszałka Piłsudskiego.

Gaston Koehler stara się skompromitować swego przeciwnika. Z pomocą przekupionych ludzi w Radzie Miejskiej rozpoczyna po Żyrardowie wieści, że Blachowski dostał większe mieszkanie służbowe i znaczną podwyżkę. Trudno jest dementować takie fałszywki, puszczane na zasadzie „jedna pani drugiej pani”. Przewodniczącego Rady najbardziej boli posądzenie o to, że zdradził robotników. Zaczyna topić troski w alkoholu. Koehler sprytnie wykorzystuje słabość przeciwnika. W Żyrardowie mówi się, że Blachowski uśmierza wódką wyrzuty sumienia po tym, jak sprzedał się dyrekcji zakładów.

Pije coraz więcej, opuszcza się w pracy. Jego żona skarży się na męża przewodniczącemu partii, do której należą. W rezultacie PPS nie wystawia kandydatury Blachowskiego w nadchodzących wyborach do Rady Miejskiej.

Utrącenie przeciwnika z prestiżowej funkcji społecznej, odebranie mu mandatu, pozwala Koehlerowi rozprawić się z „wichrzycielem” na terenie fabryki. Wkrótce Blachowski dostaje wymówienie. Załatwia to dyrektor Waśkiewicz, prawa ręka naczelnego. Zredukowany musi opuścić służbowe mieszkanie. To wszystko zwała się na Blachowskiego z mocą kamiennej lawiny. Załamany szuka pracy w Warszawie. Bezskutecznie, jest apogeum kryzysu. Po stołecznych ulicach krążą młodzi bezrobotni mężczyźni – na ich plecach, na kawałku tektury widnieje napis: „Przyjmę każdą pracę”.

Nikt nie chce Blachowskiemu podać pomocnej ręki. Usadowieni na ważnych stanowiskach ludzie Piłsudskiego, których znał jeszcze z czasów konspiracji, odwracają się od bezrobotnego, choć dla nich znalezienie mu pracy byłoby sprawą jednego telefonu.

W czasie przesłuchania Blachowski powtarzał, że zabił dyrektora z powodu nieludzkiego traktowania pracowników zakładów.

– *Ja go nienawidziłem – wyjaśniał – nie z pobudek osobistych. To była reakcja człowieka wyzyskiwanego, szykanowanego, który zmuszony jest myśleć o tym, co go otacza. Osobisty uraz miałem do dyrektora Waśkiewicza. Wszyscy robotnicy go nienawidzili. Moje zwolnienie było na skutek jego wniosku.*

Mówił prawdę. Kiedy tylko trumna z ciałem Gastona Koehlera-Badina odjechała do Berlina, na frontowej ścianie zakładów ktoś nocą wypisał olejną farbą: „Dyrektor Koehler siedzi w niebie i woła Waśkiewicza do siebie!”.

Ambasador francuski w Polsce złożył ostry protest. Notę podobnej treści wysłała do polskiego rządu ambasada szwajcarska. Koehler był obywatelem Szwajcarii, ale do Żyrardowa został desygnowany przez francuskie konsorcjum, a ponadto był mężem zaufania kapitału francuskiego w Polsce.

Nie udało się znaleźć sprawców złośliwych napisów na fabrycznych murach.

Rozpoczęty 24 października 1932 roku w Sądzie Okręgowym w Warszawie proces zabójcy jest opóźniony z powodu wyłamania drzwi do sali rozpraw przez napierającą publiczność. Stanowią ją głównie delegacje robotnicze z Żyrardowa. Przyprawdzonemu z aresztu oskarżonemu towarzyszą znani adwokaci Leon Berenson, członek PPS, i socjalista Henryk Gacki<sup>[13]</sup>. Powodów cywilnych reprezentuje mecenas Jan Nowodworski.

Reporter wychodzącego w Łodzi „Głosu Porannego” przygląda się Blachowskiemu: *Kwadratowa głowa, grubo ciosane rysy, zacięte usta, małe, błyszczące oczka.* Wśród publiczności jest żona oskarżonego, ubrana na czarno. Obok niej siedzą syn, uczeń gimnazjalny, oraz córka, pensjonarka.

Jest wielu dziennikarzy. Irena Krzywicka tłumaczy się przed czytelnikami „Wiadomości Literackich”, skąd ona, literatka, na sali sądowej. Otóż postrzega ona sytuację, w jakiej znalazł się Julian Blachowski, na kształt leja, a raczej piekielnych kręgów, niczym w *Boskiej Komедii* Dantego. Najwyższy krąg – rozległy, mglisty, mało

rozpoznany – to gigantyczny francuski koncern bawełniany Marcela Boussaca. Krąg węższy zajmuje Żyrardów, a w nim największy kombinat włókienniczy na wschodzie Europy. Aktualnie drobna kolonia francuska prowadzona w dość tajemniczych celach – dla zysków czy rozmyślnych strat? Trzeci krąg – to dom oskarżonego, gdzie przy pustym stole spracowana, cierpka żona i ponury, z głową wspartą na rękach mąż „nerwowo przeżuwiający wędzidło swego życia”. Raptem rozlega się suchy trzask wystrzału. Mała figurka odrywa się od mglistego tła górnego kręgu, zapada w nicość. A na samym dnie leja jest więzienie.

Po pierwszej rozprawie dziennik „Ilustrowana Republika” przytacza wyjaśnienie złożone przed sądem przez Blachowskiego.

Prokurator: – *Niech pan powie krótko, dlaczego pan zabił?*

Oskarżony: – *Nie zabiłbym Koehlera, gdybym go nie spotkał w danej chwili.*

– *Czy odebrano panu prawo posiadania broni z powodu nadmiernego picia alkoholu?*

– *Z pistoletem to było nieporozumienie. Pewnego dnia byłem na przyjęciu u rejenta w Żyrardowie. Służąca, która mnie nie знаła, weszła do pokoju w chwili, kiedy gospodarz udał się na dół, do kancelarii, a ja przekładałem rewolwer z jednej kieszeni do drugiej. Ona cichcem doniosła policji na mnie, że będąc w stanie nietrzeźwym, wyciągałem broń.*

– *Czy pan stale nosił przy sobie rewolwer?*

– *Czasami zostawiałem go w domu.*

Do tej relacji sprawozdawca „Ilustrowanej Republiki” dołącza swój komentarz:

*Blachowski mówił w sądzie dużo i bezładnie. Plątał się w szczegółach. Śmiesznie drobna w tej lawinie tragedii sprawa eksmisji ze służbowego mieszkania nie schodziła mu z ust. Widać było, że nie rozumie samego siebie.*

Krzywicka też się zastanawia, dlaczego oskarżony zabił Koehlera. Nienawiść? Nie, Blachowski prawie nie znał głównego dyrektora,



a jeśli nienawidził, to raczej swego bezpośredniego zwierzchnika Waśkiewicza. *Jakże szerniała mu twarz – zauważyła pisarka – gdy zobaczył go w sądzie.*

Protest przeciwko metodom stosowanym w fabryce żyrdowskiej?

– *Ależ w postępkach Blachowskiego nie było nic z premedytacji, ze świadomej woli – dowodzi Krzywicka. – Powiedział dzieciom, że wróci na obiad o drugiej, i o tej właśnie godzinie popełnił zbrodnię. Na wieczór umawiał się ze znajomym.*

A może, jak przypuszczał prokurator, była w tym chęć zwrócenia na siebie uwagi, odegrania jakiejś roli, choćby za cenę dalszego swego losu? I to nie. Gdyby tak było, oskarżony zgrywałby się w sądzie na męczennika. A on po prostu nie umiał odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zabił.

Istotnym powodem zbrodni była psychoza, jaka panowała w Żyrdowie – wyrokuje Krzywicka, którą nie obchodzi procedura sądowa.

*Zabójcza toksyna wytwarzana przez Koehlera i jego zauszników doprowadziła do najwyższego napięcia nerwowości w Żyrdowie. Blachowski był tylko najczulszym, najsprawniejszym zakończeniem nerwowym olbrzymiego zbiorowego organizmu obdarzonego wspólnym tętnem i wspólną gorączką, wspólnym stosunkiem do świata. W większości rodzin żyrdowskich przy krosnach pracował dziadek, ojciec i syn. Wtargnięcie obcych, niszczenie przez nich Zakładów jako konkurenta dla fabryk francuskich wywołało zbiorową psychozę. Obłąd strachu i niepokoju ogarnął wszystkich.*

Następnego dnia sąd przesłuchuje 26 świadków. Lista ta będzie uzupełniona w trakcie procesu.

Żona oskarżonego swoje psychiczne wsparcie dla męża potwierdza oświadczeniem:

– *Nie wiem, czybym nie zrobiła tego samego, co Julian.*

– *Niech świadek nie wygłasza sentencji, tylko mówi do rzeczy – zwraca jej uwagę przewodniczący składu sędziowskiego.*

Jan Olpiński, komisarz Warszawy, który w roku 1923 był prezydentem Żyrardowa, przedstawia trudności we współpracy władz municypalnych z francuskimi zarządcami zakładów. Dyrektor Koehler nie widział potrzeb dorosłych mieszkańców, którzy w dziewięćdziesięciu kilku procentach byli zatrudnieni „przy Inie”. Za nic miał bezpieczeństwo pracy. Elektromontera Jarkiewicza poraził prąd, mimo to nie dostał gumowych rękawic. Przed wejściem do fabryki utworzył się głęboki rów z wodą. Należało go zakopać i ułożyć chodnik, bo już raz ktoś o mało co się nie utopił. Koehler odpowiedział, że na takie zbytki nie ma pieniędzy.

– *Pan Julian Blachowski – zeznaje świadek Olpiński – jako prezes Rady Miejskiej pomagał mi w utarczkach z przedstawicielem obcego kapitału. Ale nie był w stanie powstrzymać narastającej w mieście beznadziei. Kiedy zostałem komisarzem rządu dla Warszawy, co raz przychodzili do mego gabinetu dawni znajomi z Żyrardowa z prośbą o podratowanie w biedzie lub załatwienie jakiegokolwiek pracy. Wśród tego rodzaju interesantów pewnego dnia znalazł się Blachowski.*

Adwokat Berenson: – *Czy pan komisarz pomógł mu?*

– *Nie byłem w stanie.*

– *A czy mógłby pan wyjaśnić, jaką rolę odgrywał w bezdusznym traktowaniu pracowników Koehler, a jaką jego zastępca Jan Waśkiewicz?*

– *Waśkiewicz był narzędziem swego pryncypała. Jego zausznikiem. I wykonawcą nawet najbardziej absurdalnych dyrektyw.*

Również świadek Dzikiewicz, były urzędnik zakładów żyrardowskich twierdzi, że Waśkiewicz na polecenie Koehlera „traktował pracowników jak bydło”.

Kolejny świadek, Sołtan, były minister spraw wewnętrznych i wojewoda warszawski, zeznał, że poruszony biedą w Żyrardowie zwołał specjalne posiedzenie Rady Ministrów, która uchwaliła fundusz odżywiania głodującej ludności tego robotniczego miasta. Takie wsparcie – jakkolwiek jednorazowe – było niezbędne z uwagi

na zarazę komunizmu w Żyrardowie, która rozszerzyła się z powodu nędzy. A do Warszawy było niebezpiecznie blisko...

– *Blachowski* – zastrzegł się świadek – *aczkolwiek wysunięty na stanowisko przewodniczącego Rady Miejskiej ze stronnictwa radykalnego, nie był komunistą, lecz prawdziwym społecznikiem.*

Potem przez salę rozpraw przetoczył się pochód tkaczy. Na prośbę tych świadków obawiających się restrykcji od zarządców fabryki sprawozdawcy sądowi nie ujawniali w gazetach ich nazwisk.

Robotnik oznaczony jedynką zeznał, że Koehler-Badin nie lubił ludzi starych, a także grubych kobiet; jeśli w czasie obchodu ktoś taki wpadł mu w oko, kazał natychmiast go zwolnić. Dostawał przy tym ataku wściekłości, rzucał tym, co akurat miał pod ręką, nie bacząc, że mógłby człowieka zabić. Wystraszone tkaczki chowały się pod maszynami.

Robotnik nr 2 przedstawił postać naczelnego dyrektora jako groźne monstrum, które w czasie obchodu hal fabrycznych bez słowa, wskazując palcem na robotnika stojącego przy krosnach, wydaje na niego wyrok. Raz jest to stary, siwowłosy tkacz, który tkwi przy tej maszynie prawie pięćdziesiąt lat i nosi sumiaste wąsy, co nie podoba się naczelnemu, kiedy indziej znów dziewczyna o krzywych nogach albo inna, ze śladami ospy na twarzy. Są skreśleni, jutro dostaną z kadr zwolnienie, bo dyrektor esteta nie lubi brzydoty.

Robotnik nr 3 przytacza zasłyszaną odpowiedź Koehlera na prośbę wyrzuconego robotnika o zasiłek. „Najpierw 80 procent z was musi wymrzeć”.

Robotnik nr 4 mówi o ciężarnej robotnicy, która dźwigając belę materiału, dostała krwotoku i zemdlała. A że Koehler właśnie przechodził przez halę, zaciągnięto kobietę do ubikacji i zostawiono tam bez pomocy.

– *Zeznania świadków* – podsumowuje Irena Krzywicka – *są wykrzyczane, wyjęczone, wybełkotane, ale to prawda niewątpliwa. Trzy czwarte ludności Żyrardowa jest bez pracy. Ci, którzy jeszcze ją mają, są sterroryzowani, traktowani jak bezpańskie psy, zależni od kaprysu szefa, w każdej chwili zagrożeni redukcją.*

Trzeci dzień procesu. Sprawozdawcę „Kuriera Porannego” niepokoi wygląd Blachowskiego, który ma twarz nabrzmiałą, oczy przekrwione, przyśpieszony oddech. Oskarżony kręci się niespokojnie, głowa z lekka mu drży. Widać, że bardzo przeżywa zeznania robotników.

A mecenas Henryk Gacki chciałby jeszcze rozszerzyć listę świadków o 26 nowych nazwisk.

– *Na okoliczność?* – pyta sędzia.

– *Tego procesu nie można prowadzić tylko pod kątem zatargu dwóch ludzi* – odpowiada adwokat. – *Nowi świadkowie stwierdzą, że Julian Blachowski nie żywił żadnej osobistej urazy do Koehlera. Strzały do ofiary spowodowane były zasadniczym konfliktem, który wybuchł między działaczem socjalistycznym a przedstawicielem międzynarodowego, wojującego kapitalizmu. Na dzisiejszą rozprawę skierowane są oczy całego społeczeństwa, które chce się dowiedzieć, kto był sprawcą nędzy i głodu Żyrardowa.*

Sąd zwraca uwagę adwokatowi, że jego zachowanie jako obrońcy jest niedopuszczalne. Rozprawa sądowa to nie wiec, twierdzenia o walce „międzynarodowego kapitalizmu” ze „światem pracy” są nie na miejscu.

W sukurs koledze spieszy mecenas Berenson, który nie tylko popiera wniosek o powołanie nowych świadków spośród załogi zakładów, ale też wnosi o poinformowanie o tej decyzji dyrekcji fabryki. Jeśli się tego nie zrobi, wielu wezwanych nie stawi się na rozprawę w obawie przed restrykcjami pracodawcy.

Prokurator jest przeciwny rozszerzeniu listy świadków.

Natomiast mecenas Jan Nowodworski występujący z powództwem cywilnym, w imieniu rodziny zabitego protestuje przeciwko eksponowaniu nędzy Żyrardowa i wojującego kapitalizmu.

– *Kwestia biedy proletariatu polskiego nic nas nie obchodzi, proces ma rozpatrzyć zbrodniczy czyn Juliana Blachowskiego i zdecydować, jakie poniesie za to konsekwencje. Nic więcej.*

Sąd uwzględnia wniosek obrony.

Zeznania nowych świadków są bulwersujące.

Tkacz Zimny opowiada, że Koehler po fajrancie stał przy wartowni i wrywał wychodzącym do domu robotnikom papierosy z ust. Nie można było spokojnie załatwić swojej potrzeby w latrynie, bo naczelny wchodził tam bezszelestnie w gumowych butach i sprawdzał, czy ktoś się nie ukrył, aby nie pracować. Doszło do tego, że szpiegowani wywiercili w drzwiach ustronnego miejsca dziurki, aby sprawdzać, kto nadchodzi.

Tkacz Rybkowski, który pracuje w zakładach 35 lat i jest prezesem towarzystw „Mężowie katolicy” oraz „Trzeźwość”, zeznaje, że udręczeni ludzie modlili się do Boga, „aby koniec stał się z Żyrardowem”. Znikąd nie było pomocy. Inspektorzy pracy żyli z dyrekcją za pan brat, łatwo było ich przekupić zaproszeniem na obiad w resursie, po którym rezygnowali z kontroli. Świadek Tomaszewska, urzędniczka w dziale księgowym, potwierdza, że w księgach buchalteryjnych fabryki figuruje konto nazwane „W i I”, co znaczyło Waśkiewicz i inspektorzy. Co miesiąc jest obciążone sumą 1500 zł.

Powołany przez obronę starosta w Płocku Józef Klotz, którego ojciec i siostra nadal pracują jako tkacze w zakładach, jest przekonany, że w Żyrardowie rządzi mafia:

*– Zarząd fabryki organizuje ludzi do tajnego zbierania wiadomości o robotnikach, ich zainteresowaniach politycznych. Siostra dawała mi do zrozumienia, abym o nic, co się wiąże z Koehlerem ją nie wypytywał, bo bezpieczniej jest milczeć.*

Mec. Berenson: *– Wiele tu na sali sądowej słyszeliśmy o psychicznym terrorze panującym w Zakładach. Czy nadal się utrzymuje?*

Świadek: *– Mam wrażenie, że po zabójstwie nastąpiło niewielkie odprężenie.*

*– Czy pana siostra bałaby się zeznawać?*

*– Może odpowiem nie wprost, posługując się pewnym przykładem. Spotkałem wczoraj Koźmińskiego, jednego z wicedyrektorów w fabryce. Wiedział, że jestem powołany na*

świadka. Ni stąd, ni zowąd zagadnął mnie, czy mam krewnych w Zakładach. Kiedy opowiedziałem o tym siostrze, wpadła w panikę. Zobaczysz, płakała, dotrą do mnie i zredukują. Pocieszałem ją, że nie zorientują się, wszak nosi nazwisko męża, którego przezornie nie podałem Koźmińskiemu. To jej nie uspokoiło.

Dramatycznie wypadło zeznanie świadka Zalewskiego, byłego wicedyrektora zakładów, który na prośbę Waśkiewicza podpisał dla kadr wnioski o usunięcie Blachowskiego.

Prokurator: – *Jak by pan zdefiniował sposób bycia dyrektora Koehlera? Czy można potwierdzić opinie robotników, że był to człowiek bezwzględny i brutalny?*

– *Brutalny, to mało powiedziane. On był po prostu sadystą. W obecności Koehlera nikt nie miał odwagi zatelefonować nawet po karetkę pogotowia. Choćby nie wiem jakie nieszczęście zdarzyło się w rodzinie pracownika, w godzinach pracy nie wolno mu było odejść od maszyny. Wszyscy byli inwigilowani, donosicielstwo kwitło, bo dostawało się za to premię. Koehler zamierzał kupić aparaty podsłuchowe i założyć je we wszystkich pomieszczeniach fabryki, aby wiedzieć, co mówią o nim robotnicy. Nie zdążył.*

*Miał tyle na sumieniu, że bał się o swoje życie. Drzwi do jego gabinetu były podwójne, te drugie otwierały się dopiero po uruchomieniu przez dyrektora specjalnego przycisku.*

Oskarżenia nieludzkich zarządców fabryki powtarzają się, znudzeni dziennikarze odkładają na bok pióra. Ożywią się, kiedy za barierką dla świadków stanie neurolog z kasy chorych, u którego leczył się Blachowski.

– *Zauważyłem u tego pacjenta – zeznaje lekarz – jakieś wewnętrzne wzburzenie, opanowywane ogromnym wysiłkiem. Chory nie współpracował w leczeniu, na pytania odpowiadał niechętnie. W moim gabinecie był kilka razy, ostatni raz w przeddzień zabójstwa. Zaprzeczał, kiedy pytałem, czy pije, wspominał tylko o bezsenności.*

– *Panie doktorze – ripostuje oskarżony – przecież ja nie mogłem szczegółowo opowiadać o sobie, bo warunki, jakie panują w kasie chorych, ten straszliwy tłok, nie pozwalały na dłuższą rozmowę.*

Mecenasa Berensona interesuje co innego.

– *Od jak dawna – pyta świadka – stan nerwów pana Blachowskiego był taki zły?*

– *Od dłuższego czasu – odpowiada neurolog.*

Jeszcze pytanie oskarżonego: – *Czy nie mówiłem doktorowi, że nurtuje mnie myśl o samobójstwie?*

– *Nie pamiętam.*

O odebraniu sobie życia Julian Blachowski wspomina w swym pamiętniku, który został znaleziony w jego mieszkaniu podczas rewizji i włączony do akt. Autor skarżył się w nim na bezsenne noce wypełnione rozmyślaniami nad tragedią mieszkańców Żyrardowa, wyzyskiwanych i gnębionych przez obcy kapitał. Wyrzucał też sobie brak silnej woli, aby wyzwolić się z nałogu picia alkoholu.

Czwartego dnia procesu przed barierką dla świadków stanęło kilku dobrze ubranych przedstawicieli dyrekcji zakładów. Z pasją przedstawiali swych chlebobawców Marcela Boussaca i Koehlera jako mężów opatrnościowych Żyrardowa.

Według nich francuski koncern uratował Zakłady Lniarskie w Żyrardowie, które ongiś zasilają swymi towarami olbrzymi rynek rosyjski, ale zostały zrujnowane w czasie wojny. Kiedy II RP przejęła fabrykę, nie udało się powstrzymać nadchodzącego bankructwa. Pod zarządem państwowym fabryka przynosiła straty i wegetowała bezradnie. Dlatego odstąpiono ją koncernowi francuskiemu.

– *Wprowadziliśmy nowe porządki, na wzór zachodni, firma „Żyrardów” została zeuropeizowana – chwalili się dyrektorzy. – Maszyny w halach produkcyjnych musiały iść na szmelc, bo były przestarzałe, wymagały obsługi nadmiernie dużej załogi. Co do tego ostatniego problemu – zastosowano lokaut, po czym przyjęto z powrotem znacznie mniej pracowników. Przeżytkiem okazał się też rozbudowany system wsparcia socjalnego dla mieszkańców Żyrardowa. Zarząd fabryki pozostawił dotacje tylko dla domu starców, innych świadczeń kontrakt nie przewidywał.*

Świadek Waśkiewicz, którego nazwisko kilkakrotnie padało w czasie zeznań robotników, wyjaśniał, jak wyglądało zwolnienie Blachowskiego.

– Oskarżony pracował w biurze obrachunkowym, które po redukcji części załogi zlikwidowano. Prosił mnie o pozostawienie go w fabryce. Żaden z wicedyrektorów nie chciał go przyjąć. Kilkakrotnie zwracałem się do naczelnego, aby pozwolił wziąć Blachowskiego do mego biura. Dyrektor Koehler w końcu się zgodził, ale postawił warunek: urzędnik ma być w osobnym pomieszczeniu, bez styczności z innymi biuralistami. Blachowskiemu powierzyłem kontrolę robotników; informowano mnie, że nie wykonuje swej pracy należycie. Zmieniłem zakres obowiązków, dałem mu sporządzanie listy płac. Księgowość skarżyła się na niedotrzymywanie terminu.

Dyrektor Waśkiewicz szczegółowo opisywał swoje kontakty z podwładnym. Wspominał, że gdy kilkakrotnie wzywał go na rozmowę dyscyplinującą, on skarżył się na kłopoty ze zdrowiem, mówił, że zbyt często zagląda do kieliszka, bo tylko to pomaga mu na bolesne wrzody żołądka. I za każdym razem kajał się i obiecywał wziąć w garść. Niestety, jak twierdził Waśkiewicz, Blachowski słowa nie dotrzymywał, a kolejne upomnienia nie przynosiły efektów. Wreszcie był zmuszony wręczyć mu wymówienie. Następnego dnia w jego dyrektorskim gabinecie zjawiała się żona oskarżonego, błagając o ostatnią szansę dla męża. Pod wpływem nalegań kobiety Waśkiewicz cofnął wymówienie. Niedługo jednak Blachowski mógł się cieszyć z przywrócenia do pracy, jego energia szybko się wyczerpała, co zbiegło się z drugą redukcją. Wiedział, że tym razem zwolnienie jest pewne. Wymeldował się więc ze służbowego mieszkania i przyrzekł lada dzień oddać klucze. Dyrektor podkreślił, że osobiście, i w drodze wyjątku, załatwił u naczelnego odprawę dla zwalnianego...

– Myślałem, że mam to już z głowy – kontynuował – kiedy kilka dni później przyszła do mojego biura pani Ksawera Blachowska. Prosiła o pozostawienie jej w mieszkaniu, gdyż zdecydowała się męża opuścić. „Mam dosyć tego wszystkiego”, mówiła



rozgoryczona, „już tyle upokorzeń z jego powodu zniosłam, dłużej nie mogę. Mąż na kolanach wielokrotnie mi przyrzekał, że się wreszcie pozbiera, zadba o rodzinę, nie dotrzymał słowa”.

– *Wszystko przekręcone!* – W tym momencie przerwała Waśkiewiczowi żona oskarżonego. – *O żadnych pretensjach do męża nie mówiłam.*

Mecenas Nowodworski, reprezentujący rodzinę zamordowanego, korzysta z obecności świadka, aby go zapytać, czy urzędujący w Warszawie dyrektor Koehler często przyjeżdżał do Żyrardowa.

– *Mniej więcej raz na tydzień.*

– *Czy urzędnicy mieli z nim wówczas styczność?*

– *Nie. Naczelnny rozmawiał tylko z zarządem.*

– *Podobno był brutalny dla robotników?*

– *To niemożliwe, dyrektor Koehler z tkaczami nie rozmawiał z zasady.*

– *A gdyby jakiś robotnik zwrócił się do niego, czy byłby przyjęty?*

– *Nie wiem. Nikt z załogi z czymś takim nie występował.*

– *Czy to prawda, jakoby „Żyrardów” miał sprowadzać towary francuskie i przestemplowywać je swoim znakiem firmowym?*

– *Pierwszy raz o czymś takim słyszę.*

Do przesłuchania włącza się z pytaniem mecenas Berenson:

– *Czy panu wiadomo, że zarząd Zakładów chciał wyeksmitować z fabrycznego placu szkołę zawodową?*

– *Pan dyrektor Marcel Boussac nie widział potrzeby utrzymywania takiej placówki.*

Proces dobiega końca. Nim zabierze głos prokurator, do publiczności dociera informacja, że 250 robotników żyrardowskiej fabryki na 10 minut odeszło od maszyn tkackich, aby w ten sposób zademonstrować poparcie dla oskarżonego.

– *W tej sali sądowej odbywają się jakby dwa procesy. Jeden Blachowskiego, drugi Żyrardowa – zaczyna swą mowę prokurator*

i z góry uprzedza: interesuje go jedynie sprawa Blachowskiego. Dlatego zeznania świadka Tomaszewskiej o przekupionych inspektorach pracy uznaje za opowieść mistrzyni rondla, która raczy się wiadomościami przyniesionymi z magla. Aczkolwiek nie zaprzecza, że wśród urzędników mogli się zdarzyć ludzie nieuczciwi, to jednak zarzuty korupcji nie zostały udowodnione. Zamordowany dyrektor był trudnym przełożonym, co wynikało z preferowania przez niego wyższej, zachodniej kultury pracy. Nie sposób jednak nie dostrzec ogromnej dysproporcji między tym, co mu zarzucano, a faktami. Blachowski został pasowany przez świadków obrony na symbol nędzy żyrardowskiej. Złego dokonali wyboru.

W trwającej osiem godzin mowie oskarżycielskiej prokurator ostrzega sąd, aby rozprawa nie stała się okazją do *jakiejsz rozgrywki społecznej czy politycznej, nie wiadomo, w jakim celu*. Prokurator przypomniał, że jeden ze świadków – ważna figura w samorządzie miasta, prezydent Żyrardowa – powiedział, że zabójstwo Koehlera jest słuszną karą, a ręka Blachowskiego to tylko ślepe narzędzie.

Blachowski nie okazał skruchy. Kreowanie go na mściciela krzywd robotników jest bezzasadne. Motywów morderstwa należy szukać w zniekształconej psychice podsądnego, który ma widoczne objawy neurastenii, argumentuje oskarżyciel. Alkohol doprowadził oskarżonego do kompletnego upadku duchowego. W rzadkich chwilach trzeźwości szukał winnego sytuacji, w jakiej się znalazł, i w swojej chorej głowie doszedł do wniosku, że to Koehler jest przyczyną wszystkich jego nieszczęść. Postanowił go zabić. Pielęgnował tę myśl, chodząc po Warszawie z rewolwerem w kieszeni.

Właśnie ze względu na stan psychiczny oskarżonego prokurator nie żąda kary w górnych granicach widełek za zabójstwo z premedytacją.

Obrońca Blachowskiego w swej mowie zwraca uwagę na szczególną atmosferę Żyrardowa, w której zrodził się przestępczy czyn. Jeśli śmierć naczelnego dyrektora wprowadziła uspokojenie wśród mieszkańców, jak to zeznał jeden ze świadków, to co musiało się dzieć za życia tego despoty!?

Adwokat kończy swe wystąpienie (w dużej mierze poświęcone dywagacjom prawnym, chce bowiem uchronić swego klienta od zarzutu morderstwa z premedytacją, za co grozi kilkanaście lat więzienia) refleksją:

*– Podczas procesu robotnicy chodzili do kościoła modlić się za Blachowskiego. Dziś mam jedno życzenie – aby ci sami robotnicy pomodlili się za panów sędziów...*

Oskarżony w ostatnim słowie prosi sąd, aby mu pozwolił wrócić kiedyś do społeczeństwa.

Wyrok zapadł w przeddzień święta zmarłych 1932 roku. Julian Blachowski został skazany na 5 lat więzienia. Sąd przychylił się do zdania obrony, że oskarżony działał pod wpływem silnego wzruszenia duchowego. Sąd apelacyjny obniżył karę do 4 lat. Skazanemu została przywrócona renta niepodległościowa za udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Również w tym czasie, z inicjatywy prezydenta Żyrardowa Edmunda Orlika, ambasador ZSRR Władimir Antonow-Owsiejenko złożył żonie Blachowskiego propozycję uwolnienia męża poprzez wymianę więźniów i wyjazd do Związku Radzieckiego. Ksawera Blachowska odmówiła, a męża w ogóle o tym nie poinformowała.

Blachowski miał za kratami opinię więźnia niebezpiecznego, o cechach przywódczych („pod celą” szanowano go, choć nie grypsował). Był przetrzucany z jednego zakładu karnego do drugiego, ostatecznie umieszczony w więzieniu o zastrzonym rygorze we Wronkach. Nie poddawał się, pisał skargi do Ministerstwa Sprawiedliwości, Związku Byłych Więźniów Politycznych. Robotnicy żyrardowskich zakładów o nim nie zapomnieli, choć sytuacja w przedsiębiorstwie znacznie się poprawiła. Jeszcze w trakcie procesu został zwolniony dyrektor Waśkiewicz, który natychmiast wyjechał cichcem z miasta, nie zdradzając, dokąd się udaje. Również kilku cudzoziemców znanych z bezwzględności wobec pracowników opuściło Polskę.

Bojowi tkacze zawiązali komitet, który zabiegał o przedterminowe zwolnienie więźnia. Pod petycją podpisało się 7 tysięcy żyrardowian

z przedstawicielami władz miasta włącznie. Prośbę o ułaskawienie wysłała do prezydenta Ignacego Mościckiego także żona Blachowskiego. 13 lutego 1934 roku prezydent zawiesił skazanemu resztę kary.

Być może nie byłoby tej łaski, gdyby nie wyszło na jaw, że Marcel Boussac, posiadacz większościowego pakietu akcji Żyrardowskich Zakładów Lniarskich, od lat okradał fabrykę i państwo. Oszustwo wykryli polscy udziałowcy firmy, nagłaśniając całą sprawę w sejmie, a także w prasie. Jak podaje poznański „Dwutygodnik Ilustrowany”, żyrdowskie zakłady musiały kupować we francuskich przedsiębiorstwach Boussaca bawełnę po zawyżonych cenach i zaciągać tam lichwiarskie kredyty, oprocentowane na 30 procent w skali rocznej. Sprawa trafiła do sądu, który w 1936 roku orzekł, że Boussac wyprowadził z fabryki 23 mln zł, bez uiszczenia podatków. Fiskus obliczył zaległości w tej mierze na przeszło 2 mln zł.

29 listopada 1936 roku rząd II RP, po pokonaniu wielu perturbacji dyplomatycznych, wykupił zakłady z rąk francuskich. Do fabryki wrócił inżynier Władysław Szrednicki, który jako zarządca państwowy odbudował ją po I wojnie światowej. Przedsiębiorstwo szybko podnosiło się z upadku. Niestety, wkrótce wybuchła II wojna światowa.

A co się działo u Juliana Blachowskiego?

Po wyjściu z więzienia wyjechał z rodziną do Pińska, a następnie do Wilna, gdzie znalazł zatrudnienie w biurze pośrednictwa pracy. Przeszedł skuteczną operację żołądka, przestał pić. Niemal w przeddzień wybuchu wojny wrócił do Żyrardowa. Był na liście gestapo do egzekucji, ale udało mu się uciec do Warszawy. Po dwóch latach ukrywania się, wpadł w czasie łapanki. Prawdopodobnie jego szczątki leżą w masowej mogile w Palmirach.

## **Bibliografia**

„Głos Poranny” – nr 294–301 z 1932 r.

„Ilustrowana Republika” – wyd. z 1 listopada 1932 r.; wyd. z 25 października 1932 r.

„Kurier Warszawski” – wyd. z 25 kwietnia 1932 r.; 30 października 1932 r.

„Kurier Poranny” – nr 293 z 1932 r.

„Naprzód” – wyd. z 25 października 1932 r.

„Tajny Detektyw” (Ilustrowany Tygodnik Kryminalno-Sądowy) – wyd. z 3 maja 1932 r.

„Wiadomości Literackie” – wyd. z 13 listopada 1932 r.

L. Berenson, *Z sali śmierci. Wspomnienia obrońcy politycznego*, Warszawa 1929.

**Podział Ukrainy pomiędzy Polskę i ZSRR (mocą traktatu ryskiego) zrodził wśród miejscowych nacjonalistów hasło „Lachy za San”. Polacy niechętni do opuszczania swych ojcowizn, usłyszeli groźbę „Smert Lachom!”. Nie były to słowa rzucane na wiatr. Członkowie podziemnej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów walczyli o niepodległą Ukrainę od Donu aż po zachodnią Małopolskę. Ich legitymacją miały być zamachy na polskich decydentów. Pierwszą ofiarą stał się Tadeusz Hołówko, naczelnik Wydziału Wschodniego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zamordowany w uzdrowiskowym Truskawcu.**

15 czerwca 1934 roku na ulicy Foksal w Warszawie został zastrzelony Bronisław Pieracki, minister spraw wewnętrznych. Do zabójstwa przyznała się UWO – Ukraińska Organizacja Wojskowa. W podziemnej prasie nacjonalistów ukazał się komunikat: *Czyn naszego bojowca uderzając w lackiego ministra okupanta, uderzył w system gnębielskiego panowania Lachów nad narodem ukraińskim Ziemi Zachodniej Ukrainy.*

Następnego dnia po zabójstwie Piłsudski wezwał do siebie premiera Kozłowskiego i zarządził utworzenie w Berezie Kartuskiej obozu odosobnienia dla osób zagrażających bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu.

O zlecenie zamordowania ministra prokurator oskarżył najwyższego zwierzchnika UWO Stepana Banderę i 12 innych osób.

## Smert Lachom

**Oskarżony: Stepan Bandera i in., zarzut: zlecenie zabójstwa ministra Bronisława Pierackiego**

W letnie popołudnie 15 czerwca 1934 roku minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki postanowił zjeść obiad w Klubie

Towarzyskim przy ulicy Foksal w centrum Warszawy. To była ulubiona restauracja członków rządu i posłów z największego ugrupowania parlamentarnego BBWR. Tego dnia zapowiedzieli się premier Leon Kozłowski i minister opieki społecznej Jerzy Paciorkowski.

Pieracki był wożony bez ochroniarza, w kabriolecticie z odkrytym dachem. Tego dnia służbowy samochód zatrzymał się kilka metrów od wejścia do Klubu; idącemu ministrowi z daleka kłaniał się portier.

Niespodziewanie do Pierackiego zbliżył się młody mężczyzna w jasnym gabardynowym płaszczu z kartonową paczką w ręku. Jak napisano w „Kurierze Codziennym” – *miał wygląd inteligenta*.

Portier widział, że ten człowiek grzebie w paczce, jakby czegoś w niej szukał. W pewnej chwili zrezygnował i spod płaszcza wyciągnął rewolwer.

Suchym trzaskiem odbiły się o mury kamienic trzy krótkie strzały. Pieracki upadł na ziemię, morderca rzucił się pędem w kierunku Nowego Świata, strzelając do usiłujących go zatrzymać przechodniów. Goniący go policjant został zmylony przez przechodnia (wspólnika zamachowca?), który poinformował go, że napastnik pobiegł w odwrotnym kierunku. Funkcjonariusz z wartowni pobliskiej ambasady japońskiej wskoczył na stopień samochodu ministra, nakazując kierowcy ściganie mordercy. Ale ten już przepadł w bramie kamienicy przy ulicy Okólnik. Porzucił tam swój płaszcz (z niebiesko-żółtą kokardką w kieszeni), kapelusz i paczkę, w której tkwił nierozbrojony ładunek wybuchowy.

Minister zmarł podczas operacji w Szpitalu Ujazdowskim. Miał 35 lat.

Ogłoszono żałobę narodową. W „Kurierze Codziennym” ukazał się żałobny anons towarzyszy broni zamordowanego ministra z okresu obrony Lwowa. Wezwali do gremialnego udziału w pogrzebie: *bo obrażono Boga, zabijając człowieka, obrażono ojczyznę, zabijając ministra Rzeczypospolitej, obrażono honor armii, zabijając pułkownika Wojsk Polskich*. Autorzy nekrologu złożyli ślubowanie: *Twardą stopą zgnieciemy ciemne siły, które wetknęły*

*skrytobójczą broń do ręki nikczemnego zabójcy, rozpalimy mroczne zaułki, w których wylęgła się zbrodnia.*

Nad trumną (pogrzeb odbył się w Warszawie, ciało złożono do grobu w Nowym Sączu) przemawiał premier Kozłowski:

*– Czynniki odpowiedzialne za ład i porządek w państwie uczynią wszystko, aby wykryć i ukarać winnych – obiecał. – Karząca dłoń sięgnąć musi nie tylko do bezpośrednich, ale i pośrednich sprawców zbrodni.*

Ofiarę zamachu awansowano pośmiertnie do stopnia generała brygady i odznaczono Orderem Orła Białego. Nazwa ulicy Foksal została zmieniona na imienia Pierackiego.

Bronisław Pieracki, towarzysz frontowy Piłsudskiego z czasów walki z Ukraińcami o Lwów, był masonem, a także członkiem organizacji „Honor i Ojczyzna”, troszczącej się o poziom moralny korpusu oficerskiego.

Dla Marszałka wskoczyłby w ogień. Na kilka miesięcy przed zamachem majowym usiłował skompromitować konkurującego z Piłsudskim Władysława Sikorskiego, namawiając go do zamachu wojskowego. Generał zwietrzył zasadzkę i nie podjął tematu.

Adiutant Marszałka Mieczysław Lepecki w swych pamiętnikach wspomina Pierackiego jako oficera, którego cechowały wielki spokój, zimna krew i chłodna bezwzględność.

*Jego twarz harmonizowała z zaletami charakteru. Była to twarz nieruchoma, na której wewnętrzne uczucia nie ryły żadnych śladów; wąskie usta zdradzały zaciętość i upór, a oczy o przenikliwym spojrzeniu – rozum.*

Maria Dąbrowska na wieść o śmierci Pierackiego napisała w *Dziennikach*: *Wredna to była postać – klerykał i bigot, szkodnik społeczny.*

Skąd taka zajadłość u refleksyjnej pisarki? Bo Dąbrowska bywająca na rządowych salonach nasłuchiwała się o kumoterstwie ministra. Mówiono, że ulegał swojej siostrze Wandzie Parylewiczowej i o co tylko go poprosiła, załatwiał, korzystając ze



swych koneksji. Że mąż Parylewiczowej – rejonowy sędzia w małej Muszynie, wyłącznie wysoko postawionemu szwagrowi zawdzięczał awans na sędziego sądu apelacyjnego w Tarnowie. Ale inne kumoterstwa Parylewiczowej chyba działały się za plecami ministra.

Jej proces, kilka miesięcy po tragicznej śmierci brata, ujawnił szeroką skalę przestępczych działań tej operatywnej kobiety. Ciągłe powołując się na Bronisława Pierackiego lub kolegów z gabinetu premiera, obiecywała za pieniądze interwencje w urzędach, uzyskanie przychylnych wyroków w sprawach karnych, ułaskawienia lub odroczenia wykonania kary. Wielu sędziów małopolskich zawdzięczało jej nominacje na wyższe stanowiska, wielu synów majątnych rodziców dzięki łapówce danej Parylewiczowej wymigało się od powołania do wojska. Zuchwałość sędziny nie miała granic – potrafiła latami nie płacić rachunków w sklepie, proponując w zamian załatwienie czegoś w Warszawie. Nie działała sama. Miała naganiaczkę klientów – Hildę Fleiszer, Żydówkę z Tarnowa.

W sprawie kierownika państwowej instancji bankowej skazanego na 3 lata za nadużycia, Parylewiczowa skierowała do właściwego sędziego list jako Maria Pieracka, matka Bronisława. W liście prosiła w imieniu syna o odroczenie wykonania kary wobec urzędnika będącego rzekomo kuzynem rodziny.

Wpadła, kiedy ponownie podszywając się pod swą teściową, wysłała list do Sławoja Składkowskiego z prośbą o ułaskawienie kuzyna, skazanego za defraudację. Premier zlecił zbadanie sprawy i okazało się, że list wyszedł spod ręki Wandy Parylewicz. Odbył się proces, ale oskarżona nie doczekała wyroku, zmarła w areszcie na zapalenie płuc.

Jak twierdzi Mieczysław Lepecki, Piłsudski bardzo przejął się śmiercią Pierackiego. Zwłaszcza że miał osobiste traumatyczne doświadczenie z zamachowcem. W 1921 roku o mało co nie stracił życia na międzynarodowych Targach Wschodnich we Lwowie. Właśnie wchodził z wojewodą lwowskim do limuzyny, gdy padły cztery strzały. Szczęśliwie kula drasnęła tylko rękę gospodarza. Dwóch policjantów obezwładniło zamachowca. Okazał się nim

Stepan Fedak, 20-letni Ukraińiec, student prawa, syn poważanego adwokata we Lwowie. W czasie wizyty Naczelnika Państwa w osobistej rozmowie prosił o amnestię dla kilku skazanych młodych Ukraińców. Uzyskał od Piłsudskiego obietnicę „przyjrzenia się sprawie”.

W kieszeniach zamachowca poza browningiem znaleziono sztylet i paszport; po zabójstwie zamierzał uciec do Berlina. Fedak przyznał w czasie przesłuchania, że jest członkiem Komitetu Ukraińskiej Młodzieży i w przygotowaniu zamachu pomogło mu pięciu byłych ukraińskich wojskowych.

– *Siedząc w tę tragiczną czerwcową noc 1934 roku w pokoju obok gabinetu Marszałka – wspominał Lepecki w swej książce – słyszałem głośną rozmowę, jaką Piłsudski swoim zwyczajem prowadził z samym sobą – słyszałem bicie pięścią w stół i przejmujące słowa nagany. Marszałek dopiero o wpół do piątej rano poszedł do sypialni.*

Następnego dnia po zabójstwie na ulicy Foksal, Piłsudski wezwał do siebie premiera Kozłowskiego i zarządził utworzenie w Berezie Kartuskiej obozu odosobnienia dla osób zagrażających bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu. Bezpośredni wpływ na tę decyzję miały dochodzące z miasta opinie, że winę za śmierć ministra spraw wewnętrznych ponosi Obóz Narodowo-Radykalny. Zamach miał być odwetem za delegalizację ONR przez władze, co nastąpiło pięć dni przed tragedią na ulicy Foksal. Doszło wtedy nawet do zdemolowania przez 150-osobową falangę redakcji i drukarni endeckiej „Gazety Warszawskiej”. A dwa dni przed zamachem władze w rewanżu za napady na lokale PPS i Bundu zamknęły drukarnię, w której odbijano „Sztafetę”, prasowy organ Obozu Narodowo-Radykalnego. Znaleziona kokardka w kolorach narodowych Ukrainy (w Małopolsce Wschodniej takie znaki rozpoznawcze nosili członkowie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów), miała być umyślnie podrzucona, by zmylić ślady.

Jak podaje Lepecki, na jego uwagę, że zamachu mogła dokonać prawica, Piłsudski wybuchnął: *Prywislancy, ja was każę ze skóry obdzierać, ja każę nie żałować nikogo.*

Na początku śledztwa pojawiło się wiele wątpliwości odnośnie do okoliczności i przebiegu zamachu. Namieszały gazety, powołujące się na rzekomo wiarygodnych świadków.

PAT (Polska Agencja Telegraficzna) podała, że sprawca był niskiego wzrostu, ubrany w czapkę cyklistówkę i sportowe ubranie. Miał wąsy przystrzyżone po angielsku. Dziennik „Robotnik” opisał mordercę jako wysokiego, ogorzałego, młodego blondyna o bujnej czuprynie w jasnym, zielonkawym płaszczu.

Pojawiły się różne dane dotyczące osoby, która wskazała pościgowi mylny kierunek ucieczki mordercy. Raz był to wojskowy w oficerskim mundurze, to znów cywil, a w „Robotniku” opublikowano oświadczenie naocznego świadka o trzech osobnikach: *Na przodzie biegł jeden z rewolwerem w ręku, dwaj inni również z bronią, podążali za nim. Do ministra strzelali ukryci za drzewami ogródka, otaczającego Klub.* Już w dniu zamachu do aresztu trafiło 600 podejrzanych osób.

„Gazeta Polska” oświadczyła na pierwszej stronie:

*Na pewno jutro odżegnają się od nieznanego zbrodniarza wszystkie stronnictwa polityczne. Gdy wyjaśnione zostanie, gdzie tkwią korzenie mordy, na jakim fermencie wezbrała zbrodnia – trzeba będzie chore miejsce organizmu społecznego wypalić białym żelazem. Pora, by wiedzieli i pamiętali o tym wszyscy – okres nieodpowiedzialności w dziejach Polski skończył się.*

Zakładając, że morderca nie był z Warszawy, śledczy przejrzeni listę gości w stołecznych hotelach i noclegowniach. Idąc tym tropem, trafili do schroniska dla bezdomnych, gdzie jeden z lokatorów rozpoznał kapelusza zabójcy. Jakiś młody mężczyzna skorzystał tam z dachu nad głową tylko na jedną noc – rano 15 czerwca wyszedł na miasto, zostawiając w portierni swój dowód osobisty na nazwisko Włodzimierza Olszańskiego. Dokument tożsamości okazał się sfałszowany.

Jeśli zamachowiec jest związany z OUN – wnioskowali śledczy – mógł uciec do Wolnego Miasta Gdańska, gdzie była ekspozytura tej organizacji. Wysłany tam policjant dowiedział się o pewnym

Ukraińcu, który przed godziną z rekomendacji szefa OUN odpłynął z narzeczoną do Świnoujścia. Warszawa kanałami dyplomatycznymi zażądała od Niemców zatrzymania podejrzanych i ich ekstradycji. Adolf Hitler się zgodził i dwoje Ukraińców, Mykoła Łebed (miał dokumenty na nazwisko Skiba) oraz Daria Hnatkiwska zostali, jak podał „Kurier Bydgoski”, zawróceni do Polski.

Łebed był poszukiwany za OUN-owski napad w 1932 roku (notabene nieudany) na urząd pocztowy w Gródku Jagiellońskim. W Warszawie mieszkał przez miesiąc, do 15 czerwca 1934, jako Lubomir Swarzyszewski. Towarzyszyła mu 19-letnia Hnatkiwska, także legitymująca się fałszywym nazwiskiem.

Aby prześledzić krok po kroku zachowanie tej pary w ostatnich tygodniach życia Pierackiego, policja ogłosiła dla informatorów nagrodę w wysokości 100 tysięcy złotych. Okazało się, że Łebed często jeździł do Krakowa i odwiedzał tam ukraińskiego studenta chemii UJ Jarosława Karpyńecia. Rewizja w sublokatorskim pokoiku młodego mężczyzny ujawniła, że zajmował się produkcją bomb dla Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. W nieopróżnianym od tygodni koszu na śmieci leżała blaszka pasująca do otworu w pirotechnicznym ładunku (do wmontowania zapalnika), który miał przy sobie zabójca ministra.

W pomieszczeniu znaleziono też kalichlorek używany w zapalnikach bomby. Dostarczaniem śmiertelnośnego materiału zajmował się Łebed.

Członek OUN Karpyniec przyznał się do wyprodukowania bomby dla zamachowca w Warszawie. Znał jego prawdziwe nazwisko – Maciejko. Ale ta informacja przyszła za późno. Zabójcy udało się zbiec szlakiem kurierskim OUN do Czechosłowacji, a stamtąd do Argentyny. Nie pomogły listy gończe.

Śledztwo zataczało coraz szersze kręgi. Aresztowano wielu ukraińskich nacjonalistów oskarżanych o podżeganie do mordowania Polaków. Wreszcie za kratki trafił Stepan Bandera, prowindyk krajowej egzekutywy OUN. Z przechwyconego archiwum organizacji (tzw. archiwum Senyka) wynikało, że decyzja

o przeprowadzeniu zamachu w Warszawie zapadła wiosną 1933 roku; za jego zorganizowanie odpowiedzialny był Łebed. Miał się w ten sposób zrehabilitować za nieudany napad rabunkowy w Gródku Jagiellońskim.

Jesienią UWO oficjalnie przyznała się do zabójstwa Pierackiego, jako „kata narodu ukraińskiego”. W podziemnej prasie nacjonalistów ukazał się komunikat:

*15 czerwca bojowiec UWO zabił w Warszawie Bronisława Pierackiego, ministra spraw wewnętrznych polskiego rządu okupacyjnego na ziemiach Ukrainy Zachodniej. Czyn naszego bojowca uderzając w lackiego ministra okupanta, uderzył w system gnębielskiego panowania Lachów nad narodem ukraińskim Ziemi Zachodniej Ukrainy.*

Dzięki zasobom archiwum Senyka (418 oryginalnych dokumentów i 2055 fotografii), śledczy mogli się zorientować, jak przebiegały przygotowania do aktu terrorystycznego na ulicy Foksal.

Nie od razu przywódcy rozstrzygnęli, na kogo „padną czarne gałki”. Łebed tropił premiera i kilku ministrów. Ostatecznie wytypowano Pierackiego. Główny odpowiedzialny za zamach już od 15 maja przebywał w Warszawie, tym razem ukrywał się pod nazwiskiem Lubomir Świerczyński. Była z nim narzeczona Daria Hnatkowska, działająca w organizacji jako łączniczka.

Na zabójcę wytypowano 21-letniego Hryhorija Maciejko. Narzędziem zbrodni miała być bomba wyprodukowana przez Karpyńecia. Aby spowodować detonację, należało zgnieść szklaną rurkę, w której znajdował się wybuchowy roztwór kwasu azotowego, cukru i piorunianu rtęci. Użycie tego ładunku oznaczało śmierć nie tylko ofiary, ale i sprawcy. Na wszelki wypadek, gdyby do eksplozji nie doszło, Maciejko został więc wyposażony w rewolwer.

Kim był morderca? Synem bezrolnych chłopów, którego rodzice wysłali do Lwowa na terminowanie w warsztacie rzemieślniczym wuja. Pozbawionego rodzinnego ciepła młodego Ukraińca szybko

przygarnęła penetrująca rewiry biedaków nacjonalistyczna organizacja Stepana Bandery.

Maciejko zaczął konspiracyjną robotę od rozpowszechniania broszur. Robił to jeszcze na tyle nieporadnie, że wkrótce został złapany przez policję z dowodami w ręku. Kiedy wpadka się powtórzyła, wsadzono go, jako recydywistę, za kratki.

15 lutego 1934 roku Maciejko wychodzi na wolność i wraca do warsztatu wuja. Nadal wieczorami spotyka się z bojówką OUN, dostaje pseudonim „Honta”. Jest już pełnoprawnym członkiem organizacji, którą kieruje Koroszczyń podlegający Kaczmarowskiemu. To podwładny Bohdana Pidhajnego, a od Pidhajnego już tylko jeden szczebel do prowidyka Bandery, który osobiście decyduje, kogo wyznaczy do akcji terrorystycznej.

Dlaczego namaścił na zabójcę półalfabetę spod Lwowa? Bo było wiadomo, że Maciejko posłusznie wykona rozkaz. Już raz się skompromitował, organizacja mogła wydać na niego wyrok śmierci, ale ulitowali się i teraz będzie miał okazję odkupić swoje winy. Do wpadki sprzed dwóch lat doszło w następujących okolicznościach: Maciejko szedł rano po bułki do lwowskiej piekarni, kiedy usłyszał nagle strzały i znalazł się obok uciekającego człowieka. Przechodnie wołali: „łap bandytę”, więc on bez namysłu schwytał uciekiniera i oddał go w ręce posterunkowego. Wieczorem dowiedział się od towarzyszy, że tragicznie pokrzyżował plany ich wiernego bojówkarza Myczyka, który na rozkaz UWO zabił niejakiego Berezyńskiego posądzonego o zdradę tajemnic organizacji. Myczyk został skazany na 15 lat, ale udało mu się uciec z więzienia i pozostałby na wolności, gdyby nie napatoczył się Maciejko.

Bandera osobiście zaopatrzył Hryhorija Maciejkę w fałszywy dowód osobisty i punkt po punkcie wtajemniczył w akcję. Pomocy w ucieczce z Warszawy po zabójstwie miała mu udzielić Kateryna Zaryćka.

Prokurator oskarżył Stepana Banderę i Mykoła Łebeda o zlecenie Hryhorijowi Maciejce zabicia ministra Pierackiego oraz o udzielenie zabójcy pomocy w wykonaniu zbrodniczego czynu. W sumie zarzuty

otrzymało 12 osób, m.in. konstruktor bomby Jarosław Karpyneć, Mykoła Kłymyszyn (był łącznikiem pomiędzy członkami OUN biorącymi udział w przygotowaniu zamachu), Bohdan Pidhajny (zaopatrzył mordercę w rewolwer), Kateryna Zaryćka i Daria Hnatkiwska (pomagały Maciejce w ucieczce z miejsca zbrodni do Jasin w Republice Czechosłowackiej). Bandera pseudo „Baba”, „Lis”, „Mały Rych”, karierę w nielegalnej od 1920 roku organizacji rozpoczął jako 19-letni student rolnictwa. W 1928 roku pod zarzutem spiskowania w OUN został aresztowany wraz ze swym ojcem, księdzem grekokatolickim. Po wyjściu na wolność jeszcze dwa razy go zatrzymywano, ale szybko wypuszczano z braku dowodów winy. Od połowy 1932 roku był już zastępcą prowidyka krajowego, a rok później miał pełnię władzy. Rządził samowładnie i dyktatorsko. Jego akcje terrorystyczne, sposób ich przeprowadzania, zdradzały osobowość człowieka lubującego się w okrucieństwach.

Bohdan Pidhajny był kierownikiem referatu bojowego, czyli referatu śmierci. Na rozkaz Bandery wyczyścił rewolwer (z którego kilka tygodni wcześniej zginął we Lwowie Jakub Baczyński, członek OUN oskarżony przez towarzyszy o to, że donosił na nich polskiej policji) i przyniósł na lwowską Górę Straceń, gdzie czekał gotowy do drogi Maciejko.

W chwili aresztowania przy Pidhajnym znaleziono 44 naboje. Z dumą wyliczał narzędzia zbrodni i środki śmiertelnego rażenia, jakie zgromadził w magazynie swej organizacji. Były to nie tylko rewolwery i ładunki wybuchowe, także kulomioty, arszenik itd.

Kateryna Zaryćka, 21-letnia studentka lwowskiej politechniki, należała w organizacji do tzw. kobiecej rozwidki, czyli wywiadu przy referacie bojowym. Doświadczona terrorystka precyzyjnie wykonywała powierzone jej zadania. Jej chlubą było wysadzenie w powietrze zakładów graficznych we Lwowie, gdzie drukowano gazety zwalczające OUN. Zrobiła rekonesans, a następnie podłożyła w newralgicznym miejscu paczkę, która po kwadransie eksplodowała.

Brała też udział w przygotowaniach zabójstwa Jakuba Baczyńskiego. Wyprowadziła swego rówieśnika z domu, kłamiąc, że

Mykoła Łebed zachorował na serce i prosi, aby go odwiedził. Bojowiec, który miał po drodze zastrzelić konfidenta, za wcześnie zszedł z posterunku i Baczyński tego dnia ocalał. Stracił życie tydzień później z ręki Łebeda. Notabene na swoim procesie w Warszawie Łebed przyznał, że posądzenie Baczyńskiego o to, że jest konfidentem, okazało się już po jego śmierci niezasadne.

Proces ukraińskich zamachowców rozpoczął się 18 listopada 1935 roku i trwał do połowy stycznia roku następnego. Akta śledztwa zawierały 255 tomów, a samo odczytywanie aktu oskarżenia zajęło prokuratorowi dwa dni. Przesłuchano 160 świadków.

O procesie pisały wszystkie wychodzące w Polsce gazety, choć aż 60 dziennikarzy nie otrzymało biletów wstępu na salę rozpraw ze względu na brak miejsc.

Sprawozdawca „Kuriera Bydgoskiego” był zaskoczony niepozornym wyglądem groźnego Bandery:

*Niskiego wzrostu, szczupły, mizerny, ma cofnięty podbródek i ostre rysy. Wyraz twarzy zdecydowanie nieprzyjemny, oczy biegające, z lekkim zezem. Na początku trzeba było siłą wynieść go z sali i uspokoić na korytarzu, bo się awanturował, że nie podlega polskim prawom, z ławy oskarżonych pozdrawiał swoich ziomków okrzykiem: Sława Ukraini!*

Po przerwie na pytanie sędziego, czy zna język polski, odpowiedział twierdząco. Przytaknął, że jest obywatelem polskim. Ale będzie odpowiadał tylko po ukraińsku (*ja budu odpowiadaty tilki w mowie ukraiński*), domagał się tłumacza. Sędzia nie zgodził się, gdyż tylko w województwach wschodnich Rzeczypospolitej dopuszcza się język ukraiński w urzędach.

*12 oskarżonym grozi kara śmierci – napisał PPS-owski „Robotnik” w przeddzień procesu – ale prawdopodobnie do tego nie dojdzie, bo rząd polski zawarł porozumienie z umiarkowanymi przedstawicielami mniejszości ukraińskiej (Wasył Mudry został nawet wicemarszałkiem sejmu) i stwarzanie męczenników byłoby zbyteczne.*

Sprawozdawca sądowy pośpieszył się z oceną. Powinien był najpierw wysłuchać, co miał w tej kwestii do powiedzenia prokurator.



A ten, jak sam stwierdził, bez żadnych złudzeń widział w oskarżonych wrogów polskiej państwowości.

Prokurator Zieliński zaczął oskarżycielską mowę od apelu do obrońców, aby *ta sprawa była omawiana możliwie bezuczuciowo, bez wtrącania elementów nie wynikających z czysto prawnego jej rozpoznania*. Przedstawianie w polskim sądzie bolączek i pretensji społeczności ukraińskiej nie może zatrzeć piętna zabójstwa z inicjatywy nielegalnej OUN. Zatem, jak zaznaczył, oskarżenie będzie się odnosiło wyłącznie do istoty działania sprawców.

*...chyba że – znany z zaczepnych wystąpień prokurator Zieliński na chwilę dał się ponieść temperamentowi – panom obrońcom przyświecają jeszcze inne cele? Może na przykład strona przeciwna chciałaby skorzystać z okoliczności tego procesu, by wszcząć na sali sądowej dyskusję polsko-ukraińską? Pokusić się na agitację polityczną? A to całe żmudne postępowanie dowodowe jest tylko pretekstem do rozegrania innych batalii, zgodnie z tezą propagandowej broszury OUN: „Nie dopuścimy, by na ziemiach ukraińskich znajdujących się pod okupacją polską zapanował spokój”.*

Oskarżyciel przeszedł do pytania:

*– Gdzie jest sprawca? Nie ten bezpośredni, któremu udało się uciec, a był tylko narzędziem, ale inicjator zamachu.*

Wbrew pierwszym pogłoskom, że mordu mogła dokonać endecja, oskarżyciel publiczny od początku nie miał wątpliwości: to OUN po dwóch latach przygotowań w biały dzień zabiła na ulicy ministra spraw wewnętrznych. Ale długo trzeba było czekać na jakiegokolwiek enuncjacje w tej sprawie ze strony ukraińskiej organizacji. Dopiero gdy zostały zebrane niepodważalne dowody, Stepan Bandera nie zaprzeczył, że wydał rozkaz zastrzelenia przedstawiciela polskiego rządu. Od jego decyzji – najwyższego zwierzchnika OUN i UWO na Polskę – nie było odwołania; jedyne, co należało ustalić, to kto konkretnie powinien zginąć w zamachu. Typowano dwie osoby: ministra oświaty i spraw wewnętrznych.

Prokurator przemawiał dwa dni, a w tym czasie sprzyjające BBWR gazety pokusiły się o przedstawienie okoliczności powstania OUN i UWO.

„Kurier Bydgoski” przypomniał, że podział Ukrainy pomiędzy Polskę i ZSRR zrodził wśród miejscowych nacjonalistów hasło „Lachy za San”. A skoro Polacy nie byli chętni do opuszczania swych ojcowizn, usłyszeli groźbę: „Smert Lachom”. I nie były to czcze słowa. Mordowano polskich nauczycieli, a także urzędników podczas napadów na urzędy pocztowe i banki. Administracja polska na zbrodnie odpowiadała terrorem. Członkowie podziemnej OUN deklarowali walkę o niepodległą Ukrainę od Donu aż po zachodnią Małopolskę. Jej legitymacją miały być zamachy na polskich decydentów. Pierwszą ofiarą był Tadeusz Hołówko, naczelnik Wydziału Wschodniego MSZ zamordowany w uzdrowisku Truskawiec.

„Kurier Codzienny”, wyliczając terrorystyczne akcje OUN, przypomniał o rzuceniu bomby w 1929 roku w grupę przedszkolaków na placu zabaw pod lwowskim sądem. Oskarżony o tę zbrodnię bojownik Tereszczuk, zapytany na procesie przez sędziego, dlaczego chciał zamordować niewinne dzieci, wyznał: *Mnie moje życie milsze niż lackie bękarty.*

W drugim dniu sądowej rozprawy prokurator Zieliński wskazał mocodawców Bandery i jego towarzyszy. Wyjaśnił, skąd się wzięli: Kiedy w latach 1919 i 1920 po rozgromieniu armii ukraińskiej jej żołnierze wrócili do Polski o nieustalonych jeszcze granicach, ci, którzy musieli złożyć broń, zmówili się, że choć już bez mundurów, podejmą nową próbę walki. I tak zrodziła się Ukraińska Organizacja Wojskowa UWO. Ale nadzieja na przyszłą wojnę ustała. Wówczas rzucono hasło, by wobec rządów ententy i Rady Ambasadorów (międzynarodowy organ wykonawczy kończący wojnę traktatem wersalskim) zademonstrować niezadowolenie pojedynczymi strzałami. Padły pierwsze trupy. Polskie władze bezpieczeństwa sięgnęły po winnych i wtedy pułkownicy oraz generałowie, którzy spisek ukartowali, uciekli na Zachód. Nie mieli nic, nie umieli nic, poza wspomnianiem wojny. Za nimi pozostały zbrodnie, przed nimi

pustka. Kontynuowanie UWO miało być treścią ich życia. Wyszli im naprzeciw tacy, jak główny prowindyk OUN Jewhen Konowalec. Aby mieć środki na utrzymanie, przedstawił siedzącym za granicą pułkownikom i generałom program pociągającej ułudy: budowę niepodległości i samodzielności ukraińskiego narodu.

– *Może być piękniejsza idea?* – zapytał prokurator.

Ale żeby to się stało, trzeba było stworzyć organizacje spiskowe. A te kosztują. Pieniądzy szukano więc w kontaktach z obcymi agenturami, w grabieży polskich ambulansów, rabunku gmachów pocztowych i skarbowych, zabijając pocztylionów, posterunkowych, urzędników i interesantów. Lecz zdobytych funduszy ciągle było za mało.

Wtedy zwrócono się do ukraińskich emigrantów w Ameryce. Ci dawali na fundusz bojowy, ale chcieli mieć dowody, że ich pieniądze nie idą na marne. Należało się wykazać. Najlepszą legitymacją była lista zabitych. Z pomysłem zabicia Pierackiego wyszedł Bandera, jednak decyzja zapadła za granicą.

– *Dlaczego OUN zamordowała ministra?* – pytał oskarżyciel.

Nie spodziewał się odpowiedzi, na sali sądowej zalegała niezmacona cisza. Sam więc odpowiedział:

– *Jest w użyciu tej organizacji pewne słowo, dziwny termin: kapitalizacja. Często powtarza się w aktach Senyka. Kapitalizować, czyli wyciągać korzyści. Krwawe koło terroru to jest takie przedsiębiorstwo ludzi rzeźni. Nie będzie trupów, przedsiębiorstwo znajdzie się na brzegu przepaści – finansowe źródło w Ameryce zacznie wysychać. Dlatego raz po raz trzeba dla emigrantów za Wielką Wodą urządzić coś spektakularnego. Strzały na Foksal powinny otworzyć sejfy z dolarami.*

Prokurator zażądał dla głównych oskarżonych kary śmierci.

Wyroki ogłoszono 13 stycznia 1936 roku. Bandera, Łebed, Karpyneć, Kłymyszyn i Pidhajnyj zostali skazani na śmierć z zamianą na mocy amnestii na karę dożywotniego więzienia. Hnatkiwską skazano na 16 lat, a Zarycką – na 8 lat więzienia.

Wrzesień 1939 roku przyniósł im wolność.

Karpyneć zginął w walce z Sowietami. Łebed i Bandera po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej proklamowali niepodległość Ukrainy. OUN przekształciła się w Ukraińską Powstańczą Armię UPA.

## **Bibliografia**

„Gazeta Lwowska” – wyd. z 19 listopada 1935 r.; z 14 stycznia 1936 r.; z 18 grudnia 1938 r.; z 21 grudnia 1938 r.

„Goniec Warszawski” – wyd. z 17 listopada 1935 r.

„Ilustrowana Republika” – wyd. z 26 maja 1936 r.

„Kurier Bydgoski” – wyd. z 17 czerwca 1934 r.; od 18 listopada 1935 r. do 13 stycznia 1936 r.

„Kurier Codzienny” – wyd. z 16 czerwca 1934 r.

„Robotnik” – wyd. z 16 czerwca 1934 r.

„Warszawski Dziennik Narodowy” – wyd. z 18 grudnia 1935 r.

A. Garlicki, *Bereza, polski obóz koncentracyjny*, Warszawa 2008.

W. Poliszczuk, *Gorzka prawda. Zbrodnicość OUN-UPA*, 1996.

- [1] Powszechne (po raz pierwszy z udziałem kobiet), równe, tajne, bezpośrednie i proporcjonalne.
- [2] Endecka prasa sugerowała w czasie zaprzysiężenia Narutowicza, że jest on Żydem, bo ma na imię Gabriel.
- [3] **Franciszek Paschalski (1889–1940)** – podczas I wojny światowej działacz Stronnictwa Narodowo-Radykalnego. W II RP współpracownik Marszałka. Wolnomularz, założyciel Unii Narodowo-Państwowej w 1922 r. Laureat Złotego Wawrzynu Polskiej Akademii Literatury.  
Jako adwokat bardzo dbał o piękną formę swych sądowych wystąpień. Często wpadał w patos. Raz jeden tylko, gdy występował w imieniu rodziny zamordowanego prezydenta Narutowicza, odrzucił barokowe ornamentacje. Uznał, że taką tragedię należy opisywać językiem jak najprostszym.  
Po zamachu majowym całkowicie pochłonęła go służba Piłsudskiemu. Został posłem i odtąd rzadko zakładał togę adwokacką. W połowie sierpnia 1939 r., wobec zbliżającej się wojny, Paschalski wyjechał do Paryża. Następnie, uciekając przed Wehrmachem, przeniósł się do Księstwa Monako. Tam zmarł w listopadzie 1940 r.
- [4] **Maurycy Urstein (1872–1940)** – polski psychiatra i neurolog pochodzenia żydowskiego, autor wielu prac z dziedziny psychiatrii sądowej, m.in. *Przestępczość a psychoza* (wyd. w 1933 r.); zmarł w warszawskim getcie.
- [5] Hulajpole (Hulajpołe) – miasto na Ukrainie.
- [6] O krwawych zamieszkach w Krakowie więcej w rozdz. „Płacz starego wachmistrza”, s. 272.
- [7] *Action directe* (franc.) – działanie bezpośrednio, otwarty atak.
- [8] W lipcu 1925 roku trzech komunistyczni terroryści: Władysław Hibner, Władysław Kniewski i Henryk Rutkowski zostali skazani na śmierć za zamach na Cechnowskiego, w trakcie którego zginął policjant. Wszyscy trzech zostali straceni na stokach Cytadeli.
- [9] Tyflis – dziś Tbilisi, stolica Gruzji.

- [10] **Marian Niedzielski (1884–1953)** – słynął z tego, że mowę obrończą wygłaszał z pamięci, bez zaglądania do akt prokuratorskich cytował stamtąd całe akapity. Za sądowe krasomówstwo odznaczony Złotym Wawrzynem Akademickim. W czasie okupacji hitlerowskiej uczestniczył w pracach podziemnej adwokatury polskiej. Po wojnie był obrońcą w procesach wytaczanych przez komunistów przedwojennym wojskowym. W ostatnich latach życia specjalizował się w prawie wekslowym i czekowym. Został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.
- [11] **Leon Berenson (1882–1941)** – polski prawnik żydowskiego pochodzenia, w latach 1905–1908 bronił przed carskimi sądami rewolucjonistów z PPS i SDKPiL, m.in. Feliksa Dzierżyńskiego. Znajomość z przyszłym szefem Czeki pomogła mu w 1918 r. uwolnić z moskiewskiego więzienia Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego. U zarania II RP Berenson był dyplomata w Waszyngtonie i Charkowie. Później wrócił na salę sądową, występował we wszystkich omal wielkich procesach politycznych m.in. był obrońcą w procesie brzeskim. Zapamiętano go, jak tuż przed wygłoszeniem mowy siadywał samotnie w bufecie sądowym, stukał palcami po stole i coś tam jeszcze cyzelował. Przemawiając, nie spuszczał oczu z sędziów, kontrolował ich reakcje. Jeśli dostrzegł, że mu nie dowierzają, przedstawiał te same argumenty w innej formie. W 1938 r. Polska Akademia Literatury w uznaniu jego talentu uhonorowała go Złotym Wawrzynem. Berenson z każdego procesu, w którym brał udział, sporządzał rodzaj diariusza ozdobionego zabawnymi karykaturami – wspominał prokurator Rudnicki. Cały ten zbiór przepadł w czasie okupacji. Po wybuchu wojny koledzy radzili mu opuścić Warszawę, dostarczyli potrzebne dokumenty. Odmówił. Jesienią 1940 r. gestapowcy po zrabowaniu z mieszkania mecenasa antyków zawlekli go do getta. W kwietniu 1941 r. zmarł tam na atak serca.

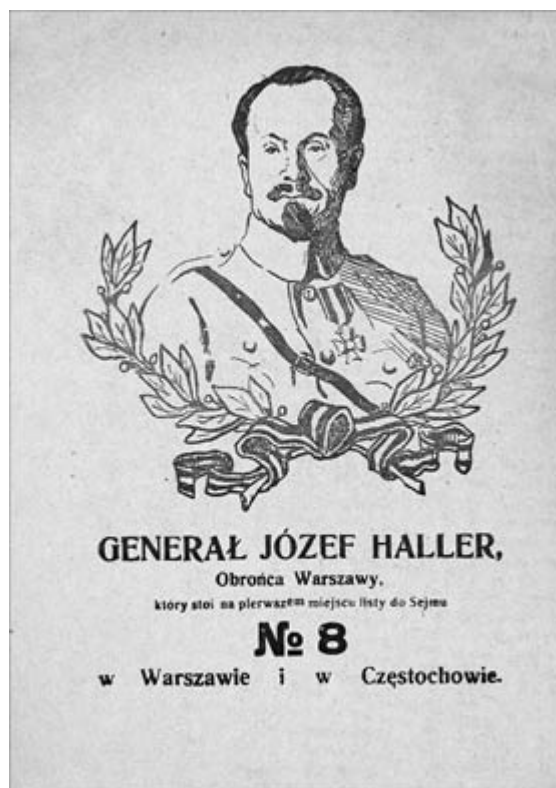
[12] *Weg!* (niem.) – Precz!

[13] **Henryk Gacki (1896–1963)** – obrońca w wielu procesach związanych z polityką lat 20. i 30. Podczas okupacji za aktywność w podziemiu pepesowskim zapłacił torturami na Pawiaku i uwięzieniem na Majdanku, a potem w obozach koncentracyjnych w Gross-Rosen i Flossenburgu. W pierwszych latach PRL był Prokuratorem Sądu Najwyższego, następnie Najwyższego Trybunału Narodowego, który sądził zbrodniarzy hitlerowskich. Był wiceprzewodniczącym Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym. Awanse skończyły się w grudniu 1948 roku, gdy usunięto go z PPS (partia połączyła się z PPR), której był wierny od 16. roku życia. Ciężko odchorował tę sytuację. Zwolniony wkrótce ze stanowiska prokuratora SN, wrócił do zawodu adwokata i wykonywał go do końca życia. Polityka już go nie pociągała, chociaż w 1957 roku został zrehabilitowany, z zaliczeniem partyjnego stażu. Zmarł nagle 5 stycznia 1963 roku w drodze do sądu na rozprawę swego klienta.



*Zmiana warty przed Belwederem. Józef Piłsudski podczas przeglądu podchorążych ze szkoły w Ostrowi Mazowieckiej, 30 listopada 1929 roku.  
Fot. Biblioteka Narodowa*





*Józef Haller, przeciwnik Gabriela Narutowicza, poseł z listy Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej. Fot. Biblioteka Narodowa*



*Józef Piłsudski i prezydent Gabriel Narutowicz podczas spotkania w Belwederze, rok 1922. Fot. Wacław Saryusz Wolski, Biblioteka Narodowa*



*Dzień przed zamachem, prezydenta Narutowicza odwiedził kardynał Aleksander Kakowski. Portret pochodzi z 1925 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Gmach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie – miejsce zamachu na prezydenta Gabriela Narutowicza. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Eligiusz Niewiadomski, zabójca prezydenta Narutowicza. Fot. Biblioteka Narodowa*



*Kazimiera Hłakowiczówna – to na jej rękach zmarł prezydent Narutowicz.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Marszałek sejmu Maciej Rataj z żoną. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*

# **OBWIESZCZENIE**

Niepoczytalna ręka dokonała dnia 16 grudnia ohydneho mordu na osobie Najwyższego Dostojnika Rzeczypospolitej Pana Prezydenta Narutowicza. Sprawca został ujęty i poniesie zasłużoną karę.

Obowiązki Prezydenta Rzeczypospolitej objął zastępczo w myśl artykułu 40 Konstytucji Marszałek Sejmu p. Maciej Rataj.

**Wszystkie władze nadal sprawują swe funkcje.**

Powiadamiając o powyższem ludność Rzeczypospolitej, wzywam wszystkich do zachowania bezwzględne go spokoju i powagi, potrzebnych w chwili tak ciężkiej próby dla Państwa.

MINISTER

**(--) L. DAROWSKI**

Kierownik Ministerstwa Spraw  
Wewnętrznych.

Warszawa, dnia 16 grudnia 1922 r.

Institute Liberte Warszawa-1922-12-16-24

*Obwieszczenie po śmierci prezydenta Gabriela Narutowicza.  
Fot. Biblioteka Narodowa*



*Złożenie zwłok prezydenta Gabriela Narutowicza do grobu w katedrze św. Jana w Warszawie, 22 grudnia 1922 roku. Fot. za: Marek Ruszczyk, Strzały w Zachęcie, 1987, Wikimedia Commons*



*Sarkofag zamordowanego prezydenta. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Gabriel Narutowicz po złożeniu przysięgi na urząd Prezydenta. Fot. za:  
Marek Ruszczyk Strzały w Zachęcie, 1987, Wikimedia Commons*

P R O T O K Ó Ł

2 posiedzenia Zgromadzenia Narodowego  
w dniu 11 grudnia 1922 r.

Początek posiedzenia o godz. 12 m. 15 w poł.

Przewodniczący Marszałek Sejmu Maciej Rataj otwiera posiedzenie i zaprasza na sekretarzy p. Senatora Stefana Kopsińskiego i p. posła Serwacego Niedbalskiego.

Przewodniczący wzywa Sekretarza p. Kopsińskiego do wprowadzenia na salę nowoobranego Prezydenta.

Przewodniczący zapytuje nowoobranego Prezydenta czy przyjmuje urząd , a po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi odbiera od niego przysięgę według roty, przepisanej w art. 54 Konstytucji.

Przewodniczący stwierdza fakt przysięgi, zarządza odczytanie protokołu , a skonstatowawszy brak protestu, rozwiązuje Zgromadzenie.

PRZEWODNICZĄCY ZGROMADZENIA  
NARODOWEGO

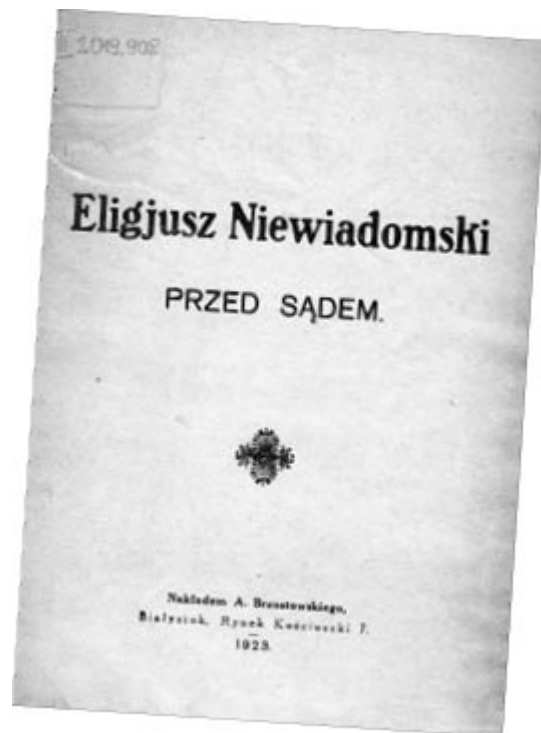
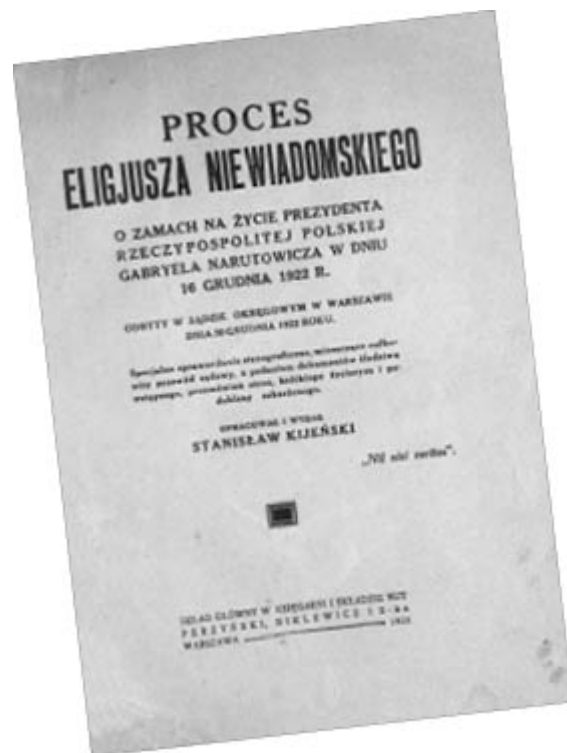
SEKRETARZE:

*Stefan Niedbalski*  
*S. Kopsiński*

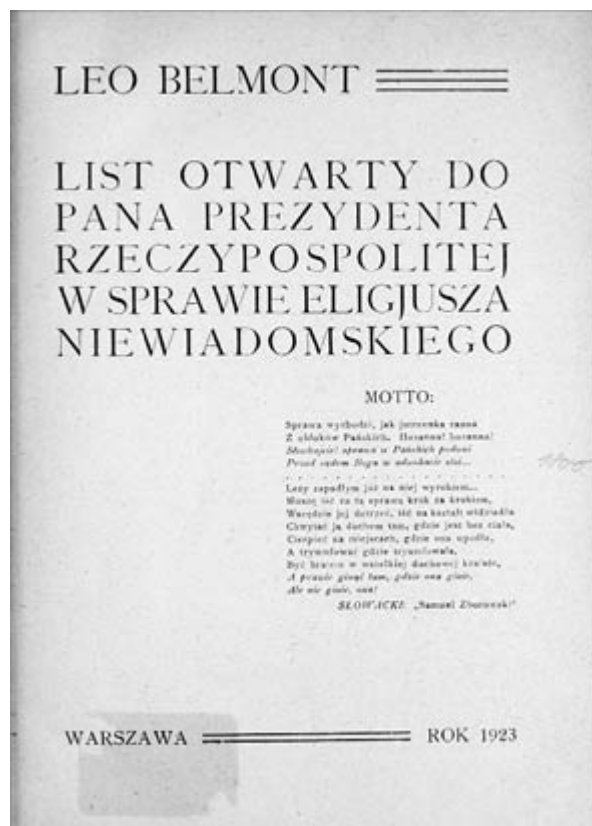
*M. Rataj*

Protokół posiedzenia Zgromadzenia Narodowego z 11 grudnia 1922 roku  
powierającego urząd Prezydenta Gabrielowi Narutowiczowi.  
Fot. Wikimedia Commons





Publikacje na temat procesu Niewiadomskiego. Fot. Biblioteka Narodowa



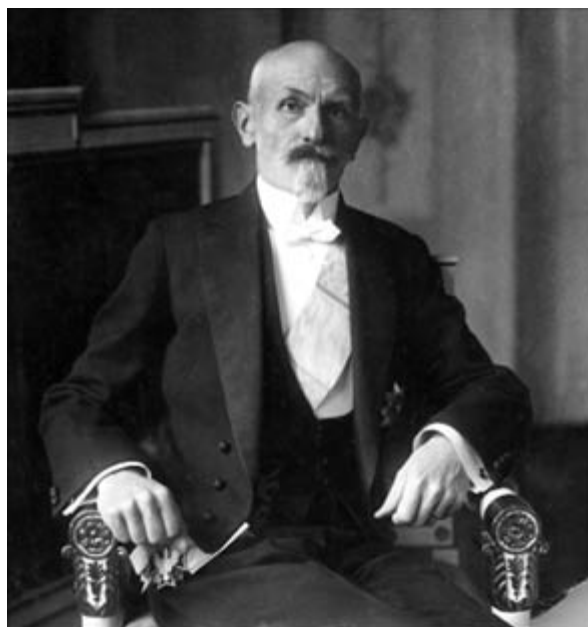
*List otwarty Leo Belmonta w sprawie Niewiadomskiego. Fot. Biblioteka Narodowa*



*Mecenas Franciszek Paschalski. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Prezydent Gabriel Narutowicz w swoim gabinecie. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Prezydent Stanisław Wojciechowski nie skorzystał z prawa łaski. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Metropolita prawosławny Dionizy Wałedyński w asyście duchownych przed cerkwią na warszawskiej Pradze. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Jerzy, metropolita warszawski i całej Polski, zamordowany 8 lutego 1923 roku. Fot. Wikimedia Commons*



*Wnętrze dolnej cerkwi św. Eliasza i św. Hieronima w świątyni św. Jana Klimaka w Warszawie. W centrum widoczny marmurowy anąłoj – nagrobek metropolity Jerzego. Fot. Adrian Grycuk, Wikimedia Commons, CC BY-SA 3.0 pl*



*Smaragd (Łatyszenko) w czasie procesu w 1924 roku. Fot. Marian Fuks, Wikimedia Commons*



*Metropolita Eleuteriusz z członkami rady eparchialnej. Fotografia z przełomu lat 20. i 30. XX wieku. Fot. za: G. Shlevis, Pravoslavnye khramy Litvy, Vilnius 2005, Wikimedia Commons*



*Biskupi prawosławni podczas obrad. Widoczni od prawej: arcybiskup poleski Aleksander Inozemcow, metropolita Dionizy Waledyński, arcybiskup wileński Teodozjusz Fieodosijew, arcybiskup grodzieński Aleksy Gromadzki. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Rosyjski biskup prawosławny Pantelėjmon, rok 1916. Fot. Wikimedia Commons*



*Patriarcha moskiewski i całej Rusi Tichon, początek XX wieku.  
Fot. Michael Golz, Wikimedia Commons*

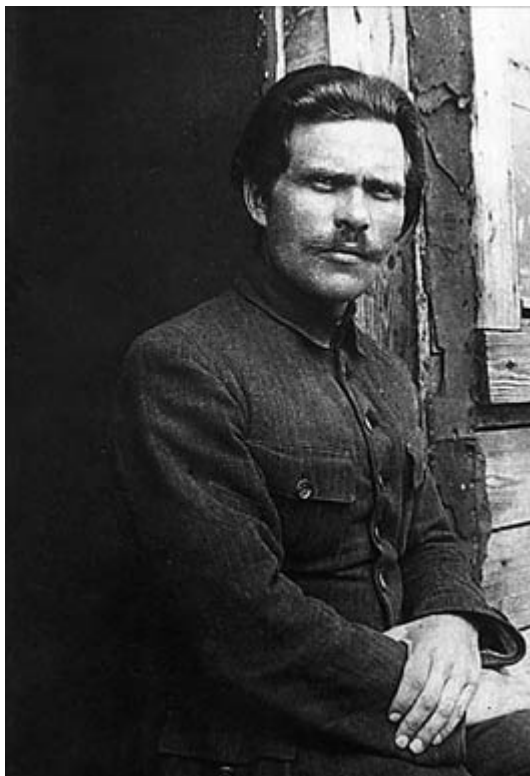




*Patriarcha Tichon, lata 20. XX wieku. Fot. Wikimedia Commons*



*Metropolita Dionizy w stroju pontyfikalnym. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Nestor Machno, oskarżony o przygotowywanie zbrojnego powstania w Galicji Wschodniej, którą chciał odłączyć od Polski. Fot. Wikimedia Commons*



*Paweł Skoropadski, inny samozwańczy hetman. Fot. Wikimedia Commons*



*Obóz jeniecki w Strzałkowie, lata 1914–1915. Fot. Fotopolska, Neo & Siloy*



*Ataman Symon Petlura, rok 1919. Fot. za: Henryk Mościcki, Jan Cynowski, Historia XX wieku, Warszawa 1934, Wikimedia Commons*



*Obóz jeniecki w Strzałkowie, rok 1916. Fot. Fotopolska, Neo & Siloy*



*Policjant Józef Muraszko, zabójca terrorystów Bagińskiego i Wieczorkiewicza. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Radca Ministerstwa Spraw Zagranicznych Wilhelm Kulikowski (tyłem) w rozmowie z sekretarzem Poselstwa ZSRR w Polsce Nikolajewem podczas wymiany więźniów politycznych pomiędzy Polską a ZSRR w Stołpcach, listopad 1932 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Proces Józefa Muraszki odbył się w Sądzie Okręgowym w Nowogródku.  
Fot. Biblioteka Narodowa*



*Oskarżony Józef Muraszko eskortowany z więzienia na salę rozpraw, Sąd Okręgowy w Nowogródku, sierpień 1925 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Marian Niedzielski i Stanisław Szurlej, adwokaci biorący udział w procesie Muraszki, w otoczeniu dziennikarzy przed gmachem sądu w Nowogródku.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Świadkowie w procesie Muraszki oczekujący na rozprawę. Widoczni od lewej: ksiądz Kazimierz Bukraba, rabin Majerowicz oraz duchowny prawosławny Gorbacewicz, sierpień 1925 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Grupa dziennikarzy przed sądem w Nowogródku podczas procesu Muraszki. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Rodzina więźnia Ellerta na stacji w Stołpcach, oczekująca na wymianę więźniów politycznych pomiędzy Polską a ZSRR, listopad 1932 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Wymiana więźniów politycznych pomiędzy Polską a ZSRR w Stołpcach.  
Ksiądz Antoni Skalski z matką na stacji kolejowej, listopad 1932 roku.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Rodzina repatrianta Werycha w poczekalni stacji w Stołpcach podczas wymiany więźniów, listopad 1932 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*





*Adwokaci Stanisław Szurlej (z prawej) i Marian Niedzielski podczas procesu Muraszki. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Delegacja Czerwonego Krzyża podczas wymiany więźniów politycznych pomiędzy Polską a ZSRR w Stołpcach, listopad 1932 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Pomnik na grobie poległych funkcjonariuszy Policji Państwowej w Stołpcach. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Demonstracja bezrobotnych przy pl. Kercelego w Warszawie, kwiecień 1926 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Adwokat Leon Berenson. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Grupa starszych mieszkanek Żyrardowa, wrzesień 1934 roku.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Mieszkańcy Żyrardowa przed plakatami informacyjnymi, wrzesień 1934 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Paweł Hulka-Laskowski, przyjaciel Juliana Blachowskiego. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Walne zebranie akcjonariuszy zakładów w Żyrardowie, luty 1934 roku.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Pociąg na dworcu w Warszawie. Widoczny jest wagon, w którym znajduje się trumna ze zwłokami zabitego dyrektora zakładów w Żyrardowie Gastona Koehlera-Badina, 30 kwietnia 1932 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*

# REPUBLIKA

## Dyrektor Zakładów Żyrardowskich zamordowany.

### Zabójstwa dokonał urzędnik firmy, który został niedawno zredukowany.

Warszawa, 26 kwietnia. Długo w godzinach 1-3 popołudnia w tymczasowej siedzibie sądu w Warszawie, w sali 10, odbył się proces o zabójstwo dyrektora zakładów żyrardowskich, Hanka Kuchara.

Zadaniem sądownictwa było ustalenie, czy Kuchara zamordowano w celu ukarania go za przestępstwa, które popełnił w Warszawie z przyczyn, że był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

Z tego czasu obowiązki wydziału czyni do Żyrardowa, przejechał jednak, przejechał w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

Kuchara nie miał na sobie żadnych przedmiotów, które mogłyby świadczyć o przestępstwie, które popełnił w Warszawie z przyczyn, że był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

Zabójstwo zostało wykonane przez Kuchara z przyczyn, że był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

Kuchara nie miał na sobie żadnych przedmiotów, które mogłyby świadczyć o przestępstwie, które popełnił w Warszawie z przyczyn, że był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

W tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

Kuchara nie miał na sobie żadnych przedmiotów, które mogłyby świadczyć o przestępstwie, które popełnił w Warszawie z przyczyn, że był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

## Morgan i Rockefeller zachwiani.

### Również największy koncern naftowy „Shell-Dutch” w przededniu katastrofy.

#### Afera króla nafty Deterdinga.—Przekupywał premierów wielu państw i wydawał ogromne sumy na popieranie ruchu emigracyjnego rosyjskich.

Berlin, 26 kwietnia. I Nowego Jorku, amerykański wieloletni, do czasu z wyjątkiem, który był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

W charakterze przewodniczącego rady nadzorczej Royal Dutch i zastępcy prezesa dyrekcji London & Albany Bank, który był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

Jak wiadomo, Deterding, który był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

W tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

## Anglia zrywa z Sowietami,

### a Stany Zjednoczone nawiązują z nimi stosunki dyplomatyczne i handlowe.

London, 26 kwietnia. W imieniu Głównego Urzędu ds. Handlu, który był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

W imieniu Głównego Urzędu ds. Handlu, który był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

W imieniu Głównego Urzędu ds. Handlu, który był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

W imieniu Głównego Urzędu ds. Handlu, który był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

## Funt znów spada.

### Bank angielski kupuje dewizy.

Nowy Jork, 26 kwietnia. Na giełdzie londyńskiej, który był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

Na giełdzie londyńskiej, który był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

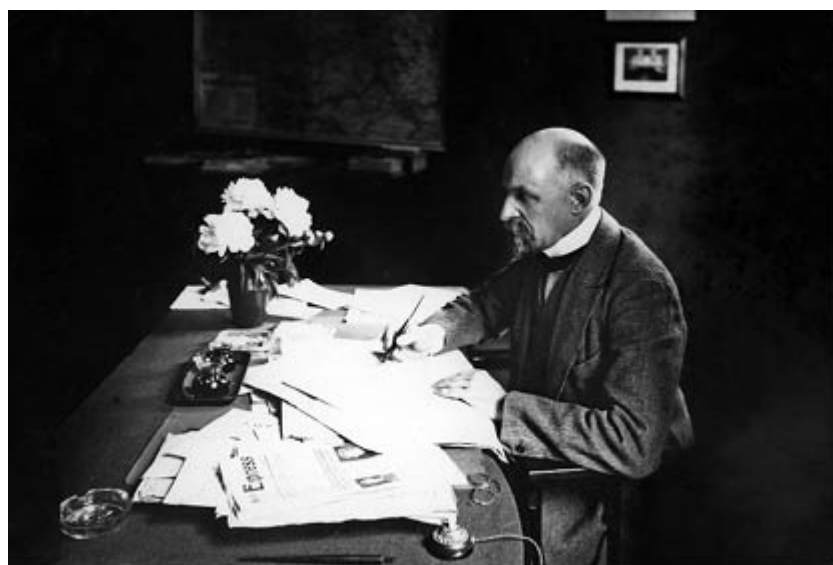
Na giełdzie londyńskiej, który był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

Na giełdzie londyńskiej, który był on obserwowany przez policję, w tym celu, aby wykonać swoje obowiązki w zakładach żyrardowskich od 10. 1931 roku.

Łódzki dziennik „Ilustrowana Republika” z 27 kwietnia 1932 roku o zabójstwie dyrektora zakładów w Żyrardowie. Fot. Biblioteka Cyfrowa Regionalia Ziemi Łódzkiej



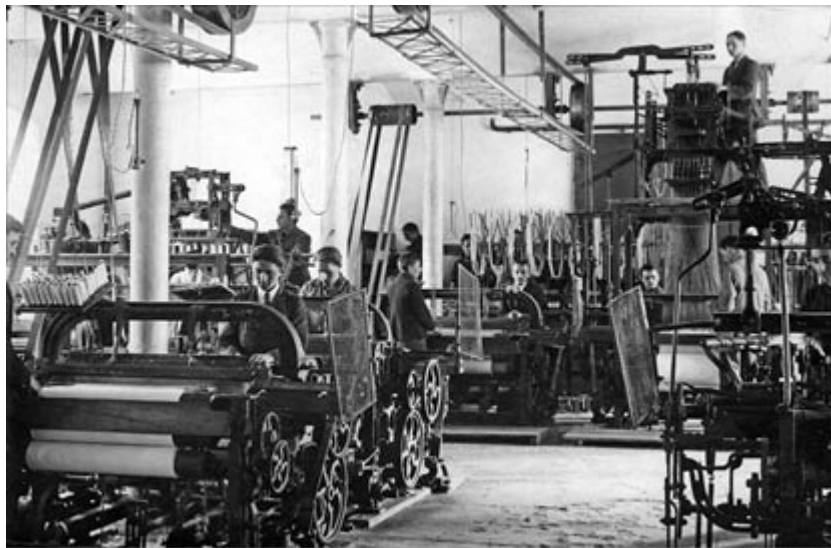
*Proces Blachowskiego śledziła także publicystka i pisarka Irena Krzywicka. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Jeden ze świadków w procesie, były minister spraw wewnętrznych Władysław Sołtan. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Proces Juliana Blachowskiego oskarżonego o zabójstwo Gastona Koehlera-Badina przed Sądem Okręgowym w Warszawie. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Praca w zakładach w Żyrardowie, rok 1934. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*





*Tkaczki w żyrardowskiej fabryce, rok 1934. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Ówczesny prezydent Żyrardowa Edmund Orlik. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*

# GŁOS PORANNY

DZIENNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY I LITERACKI

Redakcja: Piotrkowska 101. Telefon 144-44, 177-77. Redaktor naczelny: dr Andrzej Kozłowski. Cena 20 groszy. Administracja: Piotrkowska 70. Telefon 222-22. Tel. nocny 144-44. Nr konta P.K.O. 46155 i 64.730

## Sąd nad Żyrardowem

Dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych Julian Błachowski, zabójca dyrektora Koehlera

Wstrząsający akt zabójstwa dyrektora Koehlera, który po ataku na niego Błachowski, wywołal w społeczeństwie wielkie wrażenie. Żyrardowski sąd powołal do rozprawy Błachowskiego i oskarżonych go. Błachowski, który w tym czasie był w więzieniu, został wywieziony do Żyrardowa, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych. Błachowski, który w tym czasie był w więzieniu, został wywieziony do Żyrardowa, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych.

### Straty na ulicy

Doła 25 kwietnia do gniazda wieszaka, w którym znajdował się dyktando, wywołal wstrząs i klęka ulicowa. Koehler, który w tym czasie był w więzieniu, został wywieziony do Żyrardowa, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych.

### Widmo eksmisji

Błachowski przysięgł się wina i wyznał, że w tym czasie był w więzieniu, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych.

### Przebieg choroby

Błachowski, który w tym czasie był w więzieniu, został wywieziony do Żyrardowa, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych.

### Pamiętnik Błachowskiego

W pamiętniku Błachowskiego, który w tym czasie był w więzieniu, zostało opisanego jego życie i myśli.

### Tragiczne dzieje czwórki

Wstrząsający akt zabójstwa, który w tym czasie był w więzieniu, został wywieziony do Żyrardowa, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych.

### Karpiński powrócił!

Stambul—Lublin w 10 godzin 10 minut. Karpiński, który w tym czasie był w więzieniu, został wywieziony do Żyrardowa, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych.

### Sowiccy przenoszą

centralę propagandy zagranicznej. Sowiccy, którzy w tym czasie byli w więzieniu, zostali wywiezieni do Żyrardowa, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych.

### Wieniec od mars. Piłsudskiego

na brązowy pęk. Piłsudski, który w tym czasie był w więzieniu, został wywieziony do Żyrardowa, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych.

### Wieniec od mars. Piłsudskiego

na brązowy pęk. Piłsudski, który w tym czasie był w więzieniu, został wywieziony do Żyrardowa, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych.

Wstrząsający akt zabójstwa, który w tym czasie był w więzieniu, został wywieziony do Żyrardowa, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych.

Doła 25 kwietnia do gniazda wieszaka, w którym znajdował się dyktando, wywołal wstrząs i klęka ulicowa. Koehler, który w tym czasie był w więzieniu, został wywieziony do Żyrardowa, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych.

Błachowski przysięgł się wina i wyznał, że w tym czasie był w więzieniu, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych.

Błachowski, który w tym czasie był w więzieniu, został wywieziony do Żyrardowa, gdzie dzisiaj zasiądzie na ławie oskarżonych.

W pamiętniku Błachowskiego, który w tym czasie był w więzieniu, zostało opisanego jego życie i myśli.

„Głos Poranny” z 24 października 1932 roku o procesie Błachowskiego. Fot. Biblioteka Cyfrowa Regionalia Ziemi Łódzkiej



*Proces bojówkarzy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), sprawców napadu na pocztę w Gródku Jagiellońskim przed Sądem Okręgowym we Lwowie. Oskarżeni na sądowej sali rozpraw pod strażą funkcjonariuszy policji. Siedzą od lewej: Dmytro Danyłyszyn, Wasyl Biłas i Markijan Zurakowskyj, grudzień 1932 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*

**Wypożyczanie piśmi i sprzedawcy jest nadzuciem**  
 Dziś specjalny dodatek: „KURIER CODZIENNY-RODOWI”  
 Dziś koszt opr. 20242.

Dziś koszt w krajach: **25 gr.**  
 Dziś koszt opr. 20242.

**ILUSTROWANY KURIER CODZIENNY**

**Minister spraw wewn. Pieracki zamordowany.**

Redaktor: Marjan Ojrowski  
 Kraków, Winiopole 1. 1.

**ODDZIAŁY:**

KRAKÓW: ul. Winiopole 1. 1. KATOWICE: ul. Ściegielskiego 10. WARSZAWA: ul. Żelazna 10. WILNO: ul. Żelazna 10. ŁÓDŹ: ul. Żelazna 10. BIAŁYSTOK: ul. Żelazna 10. SUWAŁKI: ul. Żelazna 10.	WARSZAWA: ul. Żelazna 10. KATOWICE: ul. Ściegielskiego 10. WILNO: ul. Żelazna 10. ŁÓDŹ: ul. Żelazna 10. BIAŁYSTOK: ul. Żelazna 10. SUWAŁKI: ul. Żelazna 10.
---	--

Rok XXV. Kraków, niedziela 17 czerwca 1934. Nr. 168.

# Skrwawione ręce...

**tajemnica wzgórza Świętojurskiego we Kłowie**

Wskazywanie na wzgórze Świętojurskie, położone na północnym zachodzie od Kłowa, jako miejsca zamordowania ministra spraw wewnętrznych i policji, a także dowodzenia przez niego, w tym miejscu, na cmentarzu przy kościele św. Józefa, w Kłowie, 17 czerwca 1934 r., 11 osób, w tym: 1) Marjan Ojrowski, 2) Józef Białas, 3) Józef Białas, 4) Józef Białas, 5) Józef Białas, 6) Józef Białas, 7) Józef Białas, 8) Józef Białas, 9) Józef Białas, 10) Józef Białas.

„Ilustrowany Kurier Codzienny” z 17 czerwca 1934 roku. Fot. Małopolska Biblioteka Cyfrowa

**Tam, gdzie zamordowany został Ap. min. G. Pieracki.**

**INFORMATOR DO KRAKOWA**  
 Hotele, Restauracje, Kioski.

Wskazywanie na wzgórze Świętojurskie, położone na północnym zachodzie od Kłowa, jako miejsca zamordowania ministra spraw wewnętrznych i policji, a także dowodzenia przez niego, w tym miejscu, na cmentarzu przy kościele św. Józefa, w Kłowie, 17 czerwca 1934 r., 11 osób, w tym: 1) Marjan Ojrowski, 2) Józef Białas, 3) Józef Białas, 4) Józef Białas, 5) Józef Białas, 6) Józef Białas, 7) Józef Białas, 8) Józef Białas, 9) Józef Białas, 10) Józef Białas.

„Ilustrowany Kurier Codzienny” z 18 czerwca 1934 roku wskazuje miejsce zamordowania ministra Pierackiego. Fot. Małopolska Biblioteka Cyfrowa



*Uroczystości pogrzebowe ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego w Warszawie. Kondukt żałobny na Krakowskim Przedmieściu, 18 czerwca 1934 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Pogrzeb Bronisława Pierackiego w Nowym Sączu, czerwiec 1934 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Nekrolog w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” z 18 czerwca 1934 roku.  
Fot. Małopolska Biblioteka Cyfrowa*



*Leon Kozłowski, premier rządu II Rzeczypospolitej w latach 1934–1935.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Adiutant Marszałka Mieczysław Lepecki. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Tadeusz Hołówko, naczelnik w MSZ, zamordowany w Truskawcu przez ukraińskich nacjonalistów. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Podjezrzani o zabójstwo Hołówki, Jan Jabłonowski i Jan Piątkowski,  
rok 1931. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*





*Jewhen Konowalec, przewodniczący Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Fot. za: „Światowid”, maj 1936 roku, Wikimedia Commons*

# REPUBLIKA

ŁÓDŹ, WTOREK, 14 STYCZNIA 1936 ROKU. CENA NUMERU 15 GROSZY. Nr 13

## Sytuacja w Europie

**Łódź, 14 stycznia**

Energię wyrażenia Władzy Bryt. w Dworku zmniejsza zapowiedź zamknięcia interesów. Od czasu wstąpienia do władzy w Wielkiej Brytanii, podjęto stałe zadanie. Nierozwiązane kwestie międzynarodowej i wojennej polityki Niemiec dotychczas dotyka. Prasa wyraża nadzieję, że interesy te będą szybko rozwiązane, zwłaszcza w dziedzinie polityki, a także w dziedzinie polityki, a także w dziedzinie polityki.

Niemieci jednak Liga zapowiedziła, że nie będzie się wycofywać. Władze niemieckie mogły sobie pozwolić na Olsztyn, skoro przeszła ona być zainteresowana ich własnych interesów, ale rząd niemiecki nie wycofał się z tego.

Dotychczasowa sytuacja w Europie, nie jest powściągliwa. Władze niemieckie nie wycofały się z tego. Władze niemieckie nie wycofały się z tego.

Dotychczasowa sytuacja w Europie, nie jest powściągliwa. Władze niemieckie nie wycofały się z tego. Władze niemieckie nie wycofały się z tego.

Dotychczasowa sytuacja w Europie, nie jest powściągliwa. Władze niemieckie nie wycofały się z tego. Władze niemieckie nie wycofały się z tego.

## Trzej ukraińcy skazani na śmierć Banderze, Lebedowi i Karpyńcowi zamieniono karę śmierci na dożywotnie więzienie

Warszawa, 14 stycznia.

Sąd okręgowy ogłosił dziś wyrok w sprawie trzech ukraińskich banderowców, którzy wzięli udział w zamordowaniu króla Rumunii. Trzej ukraińcy skazani na śmierć Banderze, Lebedowi i Karpyńcowi zamieniono karę śmierci na dożywotnie więzienie.

Przez ten wyrok sąd ogłosił, że Banderze, Lebedowi i Karpyńcowi zamieniono karę śmierci na dożywotnie więzienie. Przez ten wyrok sąd ogłosił, że Banderze, Lebedowi i Karpyńcowi zamieniono karę śmierci na dożywotnie więzienie.

## Reforma podatku obrotowego uchwalona

**Nowe stawki ubezpieczeń emerytalnych - Zaopatrzenie dla odznaczonych „Krzyżem Niepodległości“**

Warszawa, 14 stycznia.

Sejmik Rady Ministrów przyjął dziś projekt ustawy o reformie podatku obrotowego. Nowe stawki ubezpieczeń emerytalnych - Zaopatrzenie dla odznaczonych „Krzyżem Niepodległości“.

Projekt ustawy o reformie podatku obrotowego. Nowe stawki ubezpieczeń emerytalnych - Zaopatrzenie dla odznaczonych „Krzyżem Niepodległości“.

## Władza Brytania ma do wzięcia do siebie samą Europę

Władza Brytania ma do wzięcia do siebie samą Europę. Władza Brytania ma do wzięcia do siebie samą Europę.

Władza Brytania ma do wzięcia do siebie samą Europę. Władza Brytania ma do wzięcia do siebie samą Europę.

„Ilustrowana Republika” z 14 stycznia 1936 roku o wyroku dla zabójców Bronisława Pierackiego. Fot. Biblioteka Cyfrowa Regionalia Ziemi Łódzkiej



## NA KOLANA!

Rzeczpospolitą usiłovali rozsadzić nie tylko wrogowie z zewnątrz. Kotłowało się też w polskim rządzie. (Trzydzieści zmian gabinetu w ciągu ośmiu lat niepodległej Polski). W 1923 roku kraj był wstrząsany krwawymi starciami wojska z robotnikami. Do dziś historycy spierają się, czy te powstania były wyłącznie następstwem katastrofalnej sytuacji gospodarczej (wzrastające bezrobocie, spadek produkcji przemysłowej, hiperinflacja), czy zostały przygotowane przez pułkowników Piłsudskiego, zamierzających przejąć władzę nawet za cenę zamachu stanu (do czego doszło trzy lata później).

## Płacz starego wachmistrza

**Oskarżeni: 57 członków PPS, zarzut: zamach stanu / zorganizowanie krwawych zamieszek w Krakowie**

Listopad roku 1923. Pod Wawelem spadł pierwszy śnieg. Zewsząd słyhać narzekania: nie można kupić nawet worka węgla, w sklepach puste półki, brakuje tak podstawowych towarów, jak mąka czy mięso. Raj dla spekulantów, zwłaszcza że w całym kraju szaleje hiperinflacja. Marka polska jest tańsza od papieru, na którym się ją drukuje.

Od sześciu miesięcy Polską rządzi koalicja nazywana popularnie Chjeno-Piastem. Tekę premiera dzierży – już po raz drugi – chłopski lider Wincenty Witos.

PPS ogłasza strajk powszechny. Wieczorem 5 listopada w Domu Robotniczym w Krakowie, gdzie na spotkanie z delegatami strajkujących przyjechał poseł PPS Zygmunt Marek, odzywa się telefon od szefa miejscowej policji. Uprzedza on, że nazajutrz nie pozwoli na żadne zgromadzenia, nawet w zamkniętym lokalu. Jest to zarządzenie wojewody Gałęckiego, akceptowane przez ministra spraw wewnętrznych.

Delegaci postanawiają nocować w budynku. O świcie pod Dom przychodzą setki ludzi; jest dużo kolejarzy. Wszyscy usiłują przebić się przez kordon wojska i policji. Robotnicy śpiewają *Międzynarodówkę: Wyklęty, powstań ludu ziemi! Powstańcie, których dręczy głód! Ściągnięci z koszar żołnierze stoją naprzeciw z bronią u nogi.*

Ci z protestujących, którzy są najbliżej wojskowych, wołają do nich: – Będziecie do nas strzelać!? Odpowiedź mundurowych zdradza ich zakłopotanie: – Czego wy od nas chcecie? Jesteśmy tacy jak wy!

Dowódca kompanii jest bardzo zdeterminowany. W ostatniej chwili przed wydaniem rozkazu użycia broni powstrzymuje go major Wacław Kostek-Biernacki, zaufany Piłsudskiego, który jak potem ironizowano, przypadkowo przyjechał z Warszawy. Wdzięczni robotnicy wynoszą majora na rękach w bezpieczne miejsce. Oni sami się nie rozchodzą.

Następnego dnia na ulicach stoją już silne kordony policji i wojska. Zarówno robotnicy, jak i żołnierze w milczeniu okopują się na swych pozycjach. Nagle od strony Hotelu Krakowskiego z niewiadomej ręki padają strzały. Kilkudziesięciu cywili wbiega do hotelu, aby szukać snajpera. Tymczasem na mundurowych najeżdża jakiś chłop wozem wyładowanym kapustą. Są ranni.

Na dźwięk strzałów żołnierze, którzy mieli broń złożoną w kozły, biegną do arsenału, ale robotnicy są szybsi. Zabierają karabiny,

wołając, że tak im kazał Piłsudski. Na ulicy Basztowej kolejarze rekwirują samochód pancerny „Dziadek”.

Na demonstrantów ruszają cwałem ułani 8 pułku imienia ks. Józefa Poniatowskiego. Konie ślizgają się na mokrym bruku, przewracają w pędzie, łamią nogi. Zewsząd słychać strzały. Na bruku krew i pierwsze śmiertelne ofiary: rotmistrzowie Bochenek i Łukasiewicz oraz porucznik Zagórowski.

Do wieczora straci życie – po obu walczących stronach – 29 mężczyzn. Przeszło 200 zostanie rannych. Zginie 37 koni.

Ostatecznie strajk zostanie wygaszony, kiedy nazajutrz do Krakowa przyjedzie generał Lucjan Żeligowski, zaufany człowiek marszałka Piłsudskiego. W porozumieniu z postami PPS zdecydowano o zwrocie broni do magazynów wojskowych i przystąpieniu robotników do pracy.

Ogólne straty Rzeczypospolitej z powodu wstrzymania ruchu kolejowego, zepsucia towaru, wypłaconych odszkodowań, m.in. na skutek przerwania łączności pocztowej – wyceniono na 9,5 miliarda polskich marek.

Pogrzeb oficerów miał uroczystą oprawę – trumny stały na lawetach, grała orkiestra wojskowa, a przed kościołem Mariackim odśpiewano requiem. Spuszczaniu trumien do grobów towarzyszyły salwy honorowe.

Pochówek zabitych robotników odbył się w ciszy, bez udziału oficjeli. Gazety PPS-owskie zwróciły się z apelem do swych czytelników o datki pieniężne na rzecz pozbawionych żywicieli rodzin cywilnych ofiar strajku.

Miesiąc później rząd Witosa został odwołany.

Przedtem w sejmie odbyła się burzliwa debata na temat przyczyn krakowskiej tragedii. Jeszcze nie znano wyników śledztwa.

Poseł endecji Stanisław Stroński, naczelny redaktor rządowego dziennika „Rzeczpospolita”, zaczął od potępienia z mównicy sejmowej dziennikarskiej relacji z wypadków krakowskich w organie PPS „Naprzód”. Cytował fragmenty artykułu i nie pozwolił sobie

przerwać, choć wyprowadzały go z równowagi głośne komentarze z prawej i lewej strony sali posiedzeń.

– *Takiego krwawego, a równie podniosłego dnia, jak 6 listopada – czytał – nigdy jeszcze prastary krakowski rynek nie zapisał w swych dziejach. (Okrzyki z prawej strony sali: „Hańba!”). Doigrały się władze wojskowe i cywilne, przekonały się, że nie wystarcza rozporządzać karabinami, kawaleriami, autami pancernymi, aeroplanami. Wszystkie te krwawe narzędzia militarizmu okazały się zabawką wobec wystąpienia robotników, którzy na strzały odpowiedzieli strzałami. Proletariat Krakowa stanął ofiarnie do walki o prawo przebywania na ulicy. Władza, jakby jej rozum odjęło, chciała generalny strajk otoczyć tajemniczością przez usunięcie mas pracujących z centrum miasta i mimo wiadomego z góry oporu postawić na swoim. (Głos na lewicy: „Święta prawda!”).*

– *Wysoka Izbo – Stroński ostentacyjnie, z obrzydzeniem, cisnął egzemplarz gazety na podłogę – gdzie istnieje prawo przebywania na ulicach kilkudziesięciotysięcznego tłumu? (Głos na lewicy: „W konstytucji”).*

*A czy nie istnieje prawo zapewnienia przez władze bezpieczeństwa publicznego, jeśli tłum jest uzbrojony? (Wrzawa na lewicy). Wydarzenia 6 listopada nazwano bitwą między żołnierzem polskim a, nie śmiem powiedzieć, robotnikiem polskim, właściwsze byłoby określenie: uzbrojonym winowajcą. (Poseł Rudziński z PPS: „Kim? Powtórz pan!”. Okrzyki w ławach Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”). W odezwie PPS o krakowskim strajku powiedziano, że wywołała go polityka drożyzny i paskarstwa (Głos na lewicy: „Tak jest!”). I dlatego socjaliści domagają się ustąpienia rządu Witosa.*

*Wysoki sejmie. Dlaczego ten rząd ma ustąpić? Czy społeczeństwo naprawdę uważa, że w parlamentarnym państwie wojskowy prezes Rady Ministrów generał Sikorski więcej jest wart aniżeli prezes Witos, który stał na czele Rządu Jedności Narodowej w chwili oswobodzenia kraju spod najazdu bolszewickiego? (Wrzawa na lewicy, oklaski na prawicy). Czy poseł Wojciech Korfanty, który po 20 latach walki z uciskiem pruskim odzyskał Górną*

*Śląsk? Społeczeństwo nie uwierzy panom z PPS, że jakiś sekretarz ambasady w czasach wielkiej wojny jest bardziej powołany do kierowania polską polityką aniżeli Roman Dmowski, który podpisywał Traktat Wersalski.*

*Nie spełniłbym swojego obowiązku, gdybym w imieniu stronnictwa, do którego należę, nie powiedział, że społeczeństwo z najgłębszą czcią odnosi się do tych żołnierzy, którzy na ulicach Krakowa pełnili swój narodowy obowiązek. (Oklaski na prawicy, posłowie wstają. Okrzyki: „Niech żyje armia!”). I że targnięcie się na życie polskiego żołnierza uważa za świętokradztwo. (Wrzawa na lewicy, słyhać głosy: „Mów za siebie!”).*

Niezrażony Stroński ciągnął dalej:

*– W zdarzeniach krakowskich ujrzeliśmy wyraźny przebłysk tego, co się dzieje w Rosji, widmo rozstroju, przed którym od 5 lat się bronimy. Dlatego, wysoki sejmie, nie dla odwetu i nie dla pomsty, ale wobec przelanej krwi żołnierza polskiego (Głosy na lewicy: „Tylko żołnierza!?”), sprzeciwiamy się wszelkiej miękkości w dochodzeniu prawdy i ukaraniu prawdziwie winnych. Żądamy sprawiedliwości.*

Następnie zabrał głos poseł Norbert Barlicki, prezes Klubu Polskiej Partii Socjalistycznej.

*Dostało się premierowi Witosowi, który stanął przed posłami, rozkładając bezradnie ręce, nie umiał odpowiedzieć, co będzie jutro, ale miał odwagę zagrozić, że będzie zapelniał więzienia. Ostre słowa oskarżenia skierował poseł pod adresem Wojciecha Korfantego, jednego z przywódców Chrześcijańskiej Demokracji za ruszenie z pałkarzami przeciwko robotnikom, i endeka Romana Dmowskiego, starego ugodowca, który występując w carskich dumach, traktował Polskę jako kochankę oddaną Rosji bez zastrzeżeń, a teraz frymarczy z Witosem przeciwko klasie robotniczej.*

Niespełna rok później w Sądzie Okręgowym w Krakowie zaczął się proces sprawców listopadowej tragedii. W ławach oskarżonych posadzono 57 osób. Między innymi posła na sejm z ramienia PPS Jana Stańczyka, byłego posła tej partii Zygmunta Klemensiewicza

i działacza PPS Władysława Hofmana. Wszystkim postawiono zarzuty popełnienia zbrodni podżegania do zabójstwa i ciężkiego uszkodzenia ciała, a ponadto do buntu i gwałtu publicznego. Powołano dwustu kilkudziesięciu świadków.

Wdowy po zastrzelonych oficerach reprezentował m.in. znany adwokat Stanisław Szurlej. Oskarżonych broniło sześciu adwokatów, prym wiódł Eugeniusz Śmiarowski z Warszawy.

Nikt z oskarżonych nie przyznał się do winy. Śmiało patrzyli w oczy siedzących naprzeciw oskarżycieli posiłkowych – żołnierzy, którzy zostali kalekami po postrzeleniu ich przez strajkujących. Poseł Stańczyk twierdził, że wyłączną winę za tragedię ponosi rząd i to premier z ministrami powinni siedzieć na ławie oskarżonych z powodu wydania nierozumnych zarządzeń: o militaryzacji kolei, wyprowadzaniu przeciw ludowi wojska i policji, oraz zakazie odbywania zgromadzeń.

Oskarżeni odmówili odpowiedzi na pytania sędziego. Proces toczył się głównie w oparciu o zeznania świadków, wezwanych na wniosek oskarżyciela publicznego.

Ktoś słyszał pod Domem Robotniczym (wówczas Kasa Chorych) na ulicy Juliana Dunajewskiego, jak mężczyzna w kolejarskim mundurze rzucał obelgi na żołnierzy i cieszył się, że „będą ich krajać po kawałku, aż zdechną”. Inny świadek, wojskowy, zeznał, że gdy czekał na komendę, podeszło do niego dwóch fałszywie uśmiechniętych robotników. Poczęstowali papierosem i kusili, aby poddał się bez wystrzału. Kiedy odmówił, przyłożyli mu rewolwer do piersi i zdarli odznaki z munduru, zabierając karabin. A wraz z nim „honor w tej broni zamknięty”.

Współpracujący z policją świadek Urzędowski, któremu udało się 5 listopada wmieszać w tłum wiecujących, zeznał, że poseł Stańczyk instruował robotników, aby po dalsze dyspozycje zwrócili się do mężów zaufania i słuchali ich, *bo tu nie może być żadnej prowizorki*.

– *Widać poseł liczył się z przelewem krwi następnego dnia* – skomentował zeznania świadka prokurator.



Inny konfident o nazwisku Wojnarowicz opowiadał, że 6 listopada poseł Stańczyk zagrzewał robotników do walki słowami: *To jeszcze nie koniec boju, wojewoda będzie wisiał*. Słyszał to również świadek Kostecki. On też obciążał oskarżonego Klemensiewicza, który miał na wiecu 5 listopada zapewniać zebranych, że *jutro nie będzie już w Krakowie rządowej policji, tylko straż robotnicza*. I wzywał zgromadzonych do stawienia się o godzinie dziewiątej dnia następnego na ulicę Dunajewskiego.

Świadek Warchałowski widział, jak Władysław Hofman, stojąc na beczce przed Domem Robotniczym, wołał do tłumu, że czas stoczyć z rządem walkę ostateczną, bo *tu nie chodzi już o poparcie strajku kolejarzy, ale o obalenie obecnego rządu i zastąpienie go robotniczo-włściańskim*.

Jako ostatni zeznawał wachmistrz Jurowski, legionista, który przeszedł ze swoim pułkiem wiele frontów. Stary żołnierz zapłakał, kiedy musiał wyznać, że na ulicy Dunajewskiego bracia Polacy przyłożyli mu do piersi rewolwer i odebrali to, co miał najdroższego i najświętszego – wysłużony w bojach karabin.

Krakowski proces był wielką szermierką słowną godnych siebie przeciwników. Naprzeciwko stanęli złotouści mówcy sądowi tamtych lat: Stanisław Szurlej jako pełnomocnik wdów po zastrzelonych: rotmistrzu Łukasiewiczu i Bochenku oraz Eugeniusz Śmiarowski, obrońca oskarżonych.

Ten pierwszy, endek, patron wielu młodych warszawskich adwokatów, miał w bufecie Sądu Apelacyjnego w Warszawie na placu Krasińskich swój stolik, przy którym siadały największe adwokackie tuzy, jak: poseł Stronnictwa Narodowego dziekan Jan Nowodworski, radykał Eugeniusz Śmiarowski, socjalista Leon Berenson czy komunista Teodor Duracz<sup>[1]</sup>.

Jeśli rozprawiali o ciekawych kazusach prawniczych, startujący dopiero w tym zawodzie mecenas przysłuchiwali się ożywionej dyskusji swych patronów na stojąco. Grupa wiernych warszawskich uczniów mistrza stawiała się też na krakowskim procesie.

Eugeniusz Śmiarowski z kolei zasłynął jako obrońca polityków lewicy. W czasie zaborów brał to na swoje barki, pracując w kancelarii Stanisława Patka. Był adwokatem *pro bono* członków Organizacji Bojowej PPS oraz SDKPiL, a w 1916 roku należał do sygnatariuszy „Deklaracji Stu”, w której znane postaci życia publicznego żądały od władz zaborczych odbudowy niepodległej Polski. Podczas wojny polsko-bolszewickiej wstąpił na ochotnika do wojska (w wieku ponad 40 lat i mimo poważnej choroby wątroby) i skutecznie domagał się udziału w walkach frontowych. W roku 1922 został wybrany posłem z listy PSL „Wyzwolenie”, ale po zamachu majowym wycofał się z życia politycznego. Był obrońcą w wielu głośnych procesach politycznych, m.in. lidera Bundu – Henryka Erlicha, przywódców „Hromady” czy w procesie brzeskim centrolewicowej opozycji.

– *Panowie sędziowie!* – Mecenas Szurlej jak zwykle modulując głos (od forte do piano), zaczął od krzyku. – *Nikt z oskarżonych nie przyznał się do winy, więc ci, których z karabinem schwytano, to nie zabójcy, to stróże porządku, oni tylko pilnowali, aby karabiny nie wpadły w niepowołane ręce. Skłonni bylibyśmy w to uwierzyć, gdyby nie jedna przeszkoda – pomordowani. A gdy są pomordowani, muszą być mordercy. Zapewne nie wszyscy są na tej sali, bo choć poczet oskarżonych liczny, to jednak wojowników było jeszcze więcej, skoro za jednym parkanem, spoza którego zastrzelono rotmistrza Bochenka, zbirów było pięciu. Jeżeli zabrano przeszło 300 karabinów, z pewnością wszystkie były czynne... W uporczywym wypieraniu się przestępstwa leży potępienie zbrodni. To nie tylko strach, to jeszcze i wstyd. Po chwilowym upojeniu przyszło u sprawców rozczarowanie, bo nie mając o kogo ani o co ze swoim bohaterstwem się oprzeć, musieli się cofnąć i wstydić. I to jest zwycięstwem prawdy.*

Już na początku swej mowy adwokat odniósł się do powtarzanych plotek, że za krakowskim starciem robotników z wojskiem stał sam Piłsudski, mający na pieńku z Witosem. To dlatego wśród strajkujących niespodziewanie pojawił się przyjaciel Marszałka (późniejszy komendant Brześcia), major Kostek-Biernacki.

– *Szukając węzła, który łączy oskarżonych – zauważył mecenas Szurlej – odrzucić musimy wszelką ideę, a w szczególności związaną z nazwiskiem wodza, którego imię wywoływano wraz z salwą do ułanów. Wywoływali je ci, którzy chcieli się nim posłużyć w złej wierze, nie w hołdzie, lecz jako nikczemny podstęp wojenny. Liczono słusznie na to, że pod osłoną tego nazwiska ułani, sądząc, że są nim, jak płaszczem okryci, dadzą się wciągnąć w zasadzkę. I tak się stało. Rażeni kulami, spadali z koni martwi na bruk z oczyma szeroko otwartymi, jakby zdziwieni pytać chcieli: „Wodzu naczelny, a któż to twojego nadużył nazwiska?”. Ale on milczał.*

Mecenas zdecydowanie odrzucił ekonomiczny motyw krwawego powstania.

– *To nieprawda – oświadczył – że głód popchnął masy do strajku. Jesienią 1923 roku cierpiało w Polsce nędzę trzy czwarte jej obywateli, ale wśród robotników najlepiej opłacany był maszynista kolejowy, on brał więcej pensji niż „burżuj” oficer, do którego strzelano.*

– *Zresztą, popatrzcie na oskarżonych – Adwokat zwrócił się do publiczności. – Czy tak wygląda nędza?*

*W Krakowie chodziło o co innego. O odwołanie rządu. Garstka terrorystów powodowana walką partyjną wiedząc, że w tłumie przeważają instynkty najpierwotniejsze, chciała sparaliżować maszynę państwową, wstrzymać dowóz żywności, przerwać komunikację. A to dlatego, że nie podoba się jej gabinet Witosa.*

Szurlej tłumaczył rozporządzenia rządu jego „położeniem przymusowym”. Trzeba było powołać strajkujących do wojska, aby nie dopuścić do rozruchów. Zakazać zgromadzeń i manifestacji, ponieważ PPS ogłosiła strajk powszechny. Kiedy druga strona odpowiedziała na to eskalacją buntu, rząd wysłał na demonstrantów wojsko i policję. Siły porządkowe zostały przywitane strzałami. A dlaczego przywódcy PPS nie nakazali rozejść się tłumowi? Widocznie nie chciano uspokojenia.

Mecenas przypomniał krwawe łyzy świadka wachmistrza Jurowskiego, któremu robotnicy przyłożyli do piersi rewolwer

i odebrali broń:

*– I zachwiał się w tej chwili stary wachmistrz we wszystkich swych wierzeniach. Więc któż jest jego wrogiem i kim on? Na froncie bił w niego kulą wróg, a tu w domu śle mu kulę brat. Wobec tych pytań stary bezbronny żołnierz rozplakał się jak dziecko.*

*Nie płacz! – Adwokat zwrócił się w stronę świadka. – To nie do ciebie strzelał brat. To Rzeczpospolita została rzucona na bruk. To nie żołnierze, to ona po bruku we krwi i poniżeniu pełzała, a rozszalały tłum bił kulami w to spełnienie obowiązku, w ten honor munduru, we wszystkie cnoty Rzeczypospolitej, aby je krwią splamić, w błoto wrzucić i zdeptać.*

Podniósłszy emocje publiczności aż do powały, mecenas umiejętnie skierował je na głównego oskarżonego, posła Stańczyka:

*– Ty żeś to, pośle polski – zapytał – mord żołnierza polskiego nazwał zwycięstwem? To było zwycięstwo, ale anarchii nad prawem, partii nad państwem. A główne dowody waszej winy są na cmentarzu.*

Na potwierdzenie, że przywódców PPS nie otrzeźwiły nawet trupy zamordowanych żołnierzy leżących na bruku, mecenas przedstawił komentarz, jaki ukazał się w lewicowym dzienniku „Naprzód”. Z tekstu wynikało, że policja pierwsza oddała ogień do cywilów, wielu wojskowych zginęło od kul nieorientowanych w sytuacji policjantów, których sprowadził z Kielc i Lublina wojewoda Gałęcki. Nawet w zamieszczonym w tym numerze dziennika nekrologu redakcja wskazała winowajcę: *W niezawinionej walce bratobójczej padł robotnik polski w obronie prawa do życia. Jako ofiary systemu rządowego położył życie żołnierz polski, syn ludu w mundurze. Poległym cześć.*

Szurlej uprzedził sędziów, że gdyby doszło do uniewinnienia, wezmą na swoje sumienia rozprzestrzenienie się zła po całym organizmie polskiego społeczeństwa. niesprawiedliwy wyrok może też spowodować katastrofę ekonomiczną – zagranica straci do Polski zaufanie i nie da pożyczki.

W drugim dniu wygłaszania mów przez strony procesowe mecenas przedstawił sądowi roszczenia swych klientek: – *Przychodzę domagać się zadośćuczynienia za śmierć jej męża, a że ustawa każe mi to ocenić w pieniądzach, więc żądam zapłaty za drogę z pogrzebu ofiary do domu, gdzie czekał na nią syn. Ile? Może się to zmieści w kosztach biletu kolejowego, a może i nie zmieści w skarbach całego świata.*

Mecenas Śmiarowski, obrońca oskarżonych, zaczął swoje wystąpienie od refleksji, że po raz pierwszy w życiu wnosi obronę przed sądem przysięgłych, co było jego marzeniem w czasach zaborów. Ta radość miesza się z niepokojem, czy zdoła przemówić do obywatelskiego sumienia przysięgłych, niczym prócz dobrej woli i poczucia prawdy z prawem nie związanych.

– *Nie będę przed wami otwierał trumien pomordowanych – uprzedził. – Zarówno tych, co zostali pochowani przy biciu w dzwony z udziałem kleru i z całym wielkim ceremoniałem kościelnym, jak i tych, co im tego blasku wielkiego pogrzebu odmówiono. Chcę wam, sędziowie przysięgli, dać rzeczową analizę wypadków 6 listopada, bo dotąd takiej tu nie przeprowadzono. A wasz werdykt może wyrzucić skazanych raz na zawsze poza nawias życia.*

Mecenas uświadamiał przysięgłym, że wolno im podpisać się pod wyrokiem tylko wtedy, kiedy będą mieli absolutną, niezłomną pewność winy tego, którego osądzają.

– *Musicie widzieć karabin w jego ręku, musicie widzieć go za krzakiem czy w wylocie bramy, mierzącego do żołnierzy i obraz ten powinien być tak żywy, tak jasny, jakbyście wówczas byli jego bezpośrednimi świadkami.*

*Ale materiał ze śledztwa nie daje takich dowodów. Oskarżyciele podsuwają dowody zastępcze, które mają zagłuszyć wątpliwości. „Chcecie więcej dowodów?” – mecenas cytował swego kolegę Szurleja. – „Idźcie na cmentarz, tam je znajdziecie!”* Co za demagogia, nie dajcie się panowie przysięgli nabrać na patos tych słów. *Odrzućcie wszelką politykę, która jest przekleństwem wymiaru*

*sprawiedliwości. Nie należy szukać winy, a odpowiedzialności. Nie ulegajcie sugestii, że od skazującego wyroku zależy otrzymanie pożyczki zagranicznej. Ja wiem, że można sprzedać lub wydzierżawić monopol tytoniowy, koleje państwowe, ale żeby dla pożyczki zagranicznej prehandlować sumienia obywatelskie, to wydaje mi się rzeczą nie do wiary!*

Następnie słynny obrońca polityków lewicy wdał się w polemikę z prokuratorem, który przypomniał, że akt oskarżenia jest skierowany przeciwko przywódcom Polskiej Partii Socjalistycznej. To oni mieli zorganizować w Krakowie zamach na państwo i armię. I doprowadzić do obalenia rządu Witosza.

*– Insynuacje, niegodne prawnika insynuacje! – krzyczał adwokat. – PPS od chwili powstania miała na swych sztandarach wypisane hasło niepodległego państwa polskiego. Dlatego 6 listopada rewolucja zatrzymała się nagle, u progu wojny domowej, a tłumy uzbrojone w zdobytą na wojsku broń otrzymały rozkaz spokojnego rozejścia się do domów. Tak postanowili ci, którzy teraz siedzą na ławie oskarżonych: Klemensiewicz, Hofman, Stańczyk. Oni nie odpowiadają za to, co wzburzyło tłum i pchnęło do rewolty – drożyznę i szalejące spekulacje. Winien jest rząd. Nieudolny, który jako jedyną pociechę dla strajkujących miał ową smutnej sławy odpowiedź ministra spraw wewnętrznych: „Będzie gorzej”. Rząd, który nie szukał ze strajkującymi porozumienia. A stojących na forpoczcie kolejarzy potraktował jak wrogów, których trzeba unicestwić drogą terroru, militaryzacji i sądów doraźnych, gdzie jedyną sankcją jest kara śmierci.*

Mecenas nie miał wątpliwości. Tłum – jak palny materiał pod działaniem pierwszej iskry – wybuchnął, gdy od strony policji padły pierwsze wystrzały, a ofiarami zostali dwaj robotnicy. Broń znalazła się w rękach tłumu, już w tej chwili niepoczytalnego, niewstrzymywanego przez nic i nikogo, rozwścieczonego śmiercią swoich towarzyszy, oszalałego strachem przed nowymi ofiarami. I kiedy ujrzano zbliżający się oddział wojska, karabiny niemal same zaczęły strzelać. Do tego, co się stało, nie trzeba było przywódców, bo tłum przechwycił inicjatywę.

Pod koniec wielogodzinnej mowy adwokat znów zwrócił się do sędziów przysięgłych:

*– Pójdziecie wkrótce do sali narad i powrócicie stamtąd z waszym werdyktem. Jak dzwon zabrzmie on po całej Polsce. Niech nie będzie to dzwon żałoby nad nowymi mogiłami ani tryumfalnej zemsty; ale spokojny i łagodny dzwon wieczorny, obwieszczający wytchnienie po dniu pełnym znoju i walk, obwieszczający zapomnienie, które w tej sprawie jest równoznaczne ze sprawiedliwością.*

Ledwo mecenas Śmiarowski po złożeniu głębokiego ukłonu w stronę ławy przysięgłych wrócił na swoje miejsce, z prawa do repliki skorzystał mecenas Szurlej.

*– Kto mówił, że przyszliśmy tu zemsty szukać? – zaczął wyraźnie zirytowany pointą wystąpienia kolegi po fachu. – Kto słyszał, że żądamy odwetu? Sąd wymierzy karę sprawiedliwą, a jeśli wyda się ona wam zbyt surową, pozostanie jeszcze prośba o przebaczenie. A pani rotmistrzowa Bochenek, w imieniu której tu stoję, już dziś przebacza. Zemsty ani odwetu nie żąda. Ale chce wiedzieć, dlaczego i z czyich rąk jej mąż zginął. Więc nie zasłaniajcie winowajców trumnami zabitych w tłumie. I nie straszcie nas. Tak, jak mój kolega mecenas Woźniakowski – notabene w czyim imieniu przemawiał, nie wiem, bo o żadnym oskarżonym nie wspominał, który ostrzegł przysięgłych: „Na razie jest zawieszenie broni, ale gdy wydacie wyrok zasądający, zawieszenie zostanie zerwane”.*

W większości gazet relacje z procesu zostały opatrzone komentarzem odredakcyjnym, sugerującym, jaki powinien być wyrok.

Rządowa „Rzeczpospolita” (miał w niej udział Ignacy Paderewski, pierwszy premier II RP) nazwała wypadki krakowskie bolszewickim przewrotem w Polsce:

*Zbrodniarze strzelali do oficerów, rannych dobijano nożami. Nie stało się to przypadkowo. Ta sama PPS, której ludzie z woli Piłsudskiego zagarnęli tyle stanowisk oficerskich, a nawet nieznane dotychczas w Polsce niegeneralskie marszałkowstwo, obecnie rzuca*

*hasło: śmierć oficerom. Oto, do czego PPS doprowadziła Polskę, a będzie jeszcze gorzej, jeśli nie nałożymy jej żelaznego kagańca.*

W „Gazecie Porannej”, organie Narodowej Demokracji, o krakowskich krwawych wydarzeniach napisano jako o *zbrodni dokonanej przez czerwony motłoch, podjudzany przez postów PPS Marka i Bobrowskiego*. W opinii komentatora gazety, masakrę żołnierzy zorganizowano na zimno, bez powodu, z nienawiści do obecnego rządu. Obudzono najdziksze instynkty tłumu, zmobilizowano i wysunięto na czoło najgorsze szumowiny. „Nie bójcie się, nie będą strzelać”, zapewniali agitatorzy. I rzeczywiście, wojsko nie strzelało. Zresztą nie miało czym. Uzurpujący sobie monopol na walkę o niepodległość socjaliści – na których z woli Piłsudskiego posypało się tyle orderów, bajecznych karier, wreszcie dóbr materialnych – podstępnie podeszli mundurowych hasłem „nasz marszałek Piłsudski” i zabrali im karabiny. Teraz wzburzona opinia oczekuje od rządu stanowczości i bezwzględności. Winnych należy szukać nie tylko w masach robotniczych Krakowa. Znacznie większą odpowiedzialność ponieść powinni przywódcy socjalistyczni, którzy popchnęli uzbrojone tłumy w żołnierskie szeregi.

Podobnie wypowiadał się w związanym ze Stronnictwem Chrześcijańsko-Narodowym „Kurierze Warszawskim” Władysław Rabski, poseł Związku Ludowo-Narodowego: *Tu już nie pomoże żadne powoływanie się na liche zarobki robotników i wyzysk Lewiatanów, tu jest mord zorganizowany, krew ułanów polskich, tu jest spółka z bolszewikami.*

Zbliżony do PPS „Przegląd Wieczorny” starał się natomiast uświadomić sędziom, że strajkujący strzegli w Krakowie porządku. *Zbrojne oddziały robotnicze postanowiły utrzymać w ryzach żywioł rabunku, zawsze skory do wykorzystania niepokojów politycznych. To budzi powszechnie uznanie.*

W podobnym tonie ocenił sytuację „Kurier Poranny”, nieformalny organ PPS, PSL „Wyzwolenie” i skupionych w wielu drobnych ugrupowaniach liberalno-demokratycznych działaczy o rodowodzie legionowo-peowiackim.



Opisano entuzjastyczne powitanie posłów PPS przez wielotysięczny tłum strajkujących pod krakowskim pomnikiem Mickiewicza: *Parlamentarzyści zawiadomili zgromadzonych o przyjęciu przez rząd Chjeno-Piasta (w innym miejscu gazety nazwany Chjeno-Szczuje) wszystkich postulatów strajkujących. Posła Marka tłum podniósł do góry. Zarządzono składkę na rzecz wdów po zabitych robotnikach. Potem wiwatowano na cześć marszałka Piłsudskiego. Okrzyki trwały nieprzerwanie ponad 10 minut.*

Tę samą demonstrację „Rzeczpospolita” przedstawiła jako „kiereńszczyznę”. (Od Aleksandra Kiereńskiego, premiera Rządu Tymczasowego w Rosji po rewolucji lutowej). *Polska jak zgniłe jabłko sama spada na podolek Sowietów* – napisał w swym felietonie naczelny redaktor Stanisław Stroński.

„Rzeczpospolitą” wsparła „Gazeta Warszawska”. W opinii tego endeckiego dziennika socjaliści wydali w Krakowie wojnę państwu polskiemu. Korzystając z hańbiącej nieudolności komendy wojskowej, dokonali rzezi oddziałów wojskowych z imieniem Józefa Piłsudskiego na ustach. Do ostatecznego rozbestwienia socjalistów przyczynił się rozkaz dowództwa wojskowego strzelania ślepych nabojami, co zapewniało tłumom bezkarność.

Na PPS, jako sprawcę wypadków krakowskich, wskazywała też „Gazeta Poranna”:

*Dla ludzi obiektywnych, niezainteresowanych winą Stańczyka, Marka i Bobrowskiego, nie ulega wątpliwości, że zbrodnia krakowska nie była czymś nagłym, nieoczekiwanym żywiołem. Była zorganizowana. Kto ją zorganizował? Społeczeństwo pamięta, że po rzezi krakowskiej prasa socjalistyczna pisała o tym jak o wielkim tryumfie PPS.*

W przeddzień ogłoszenia wyroku redaktor Stroński jeszcze raz na łamach swej gazety zachęcał sędziów do surowego orzeczenia. Już sam tytuł komentarza *Zbrodnia* ujawnił intencje autora. Naczelny „Rzeczpospolitej” napisał:

*Przez 5 miesięcy, od chwili objęcia władzy państwowej przez rząd większości polskiej, dzień w dzień bez wytchnienia szalała bezprzykładna wicherzycielska i niewygasająca żagiew podburzań stronnictw skrajnej lewicy pod przewodem PPS. Nieokiełzana żądza władzy pchnęła tę partię na drogę otwartej zbrodni, gwałtu i rozruchów, mordowania bratobójczego żołnierzy polskich. Doświadczenia wszystkich krajów, które obroniły się przed klęską rozstroju, nakazują bezwzględne zgniecenie buntu i zbrodni. Polska także musi pójść tą drogą, jeśli nie chce utonąć w zawierusze, wywołanej przez zbrodniarzy bezmyślnie pracujących dla innych.*

Sędziowie przysięgli wydali werdykt uniewinniający. Zażalenie prokuratora pozostało nieuwzględnione i wyrok stał się prawomocny.

Związany z Narodową Demokracją Adolf Nowaczyński, stały felietonista „Rzeczpospolitej”, napisał nazajutrz po ogłoszeniu wyroku:

*Stało się. Iluż takich Marków będzie się teraz tłukło po całej Polsce, organizując antyrządowe wiece, iluż czerwonych Stańczyków będzie grzmiało z trybun, ilu Bobrowskich będzie groziło starostom czy wojewodom szubienicznym stryczkiem.*

Szubienic nie było, ale rząd Witosa musiał ustąpić.

## **Bibliografia**

„Dziennik Poznański” – wyd. z 9–12 listopada 1923 r.

„Gazeta Poranna” – wyd. z 20 listopada 1923 r.

„Kurier Polski” – wyd. listopad–grudzień 1923 r.

„Kurier Poranny” – wyd. z 12 listopada 1923 r.

„Kurier Warszawski” – wyd. z 18 kwietnia 1923 r.

„Przegląd Wieczorny” – wyd. z 12 listopada 1923 r.

„Robotnik” – wyd. z 14 listopada 1923 r.

„Rzeczpospolita” – nr 306, nr 307, nr 312, nr 325 z 1923 r.

Stenogram wystąpienia w sejmie posłów Stanisława Strońskiego i Królikowskiego 13 listopada 1923 r.

T. Dąbal, *Powstanie krakowskie. Polska w październiku i listopadzie r. 1923 w świetle faktów i dokumentów*, Wydawnictwo Państwowe Białorusi, Mińsk 1925.

F. Kalicka, *Powstanie Krakowskie 1923 r.*, Warszawa 1953.

E. Śmiarowski, *Mowy obrończe 1920–1925*, Warszawa 1926.

**Nocą 26 września 1926 roku grupa mężczyzn w oficerskich mundurach wdarła się do mieszkania posła Jerzego Zdziechowskiego akurat złożonego chorobą. Poseł z ramienia endecji był ministrem skarbu i sprzeciwiał się nadmiernym wydatkom rządu na wojsko. Pałkarze dotkliwie pobili Zdziechowskiego, zdemolowali mieszkanie. Bardzo opieszale prowadzone postępowanie prokuratorskie nie doprowadziło do sprawców.**

Tadeusz Dołęga-Mostowicz – dziennikarz chadeckiej „Rzeczpospolitej”, która po przewrocie majowym krytykowała obóz władzy – w felietonie pt. *Rozluźnione fundamenty armii* skomentował brak efektów śledztwa w sprawie napaści na sprzeciwiającego się Piłsudskiemu ministra.

*Ile to mieliśmy napadów uzbrojonych oficerów na publicystów i polityków? Ile razy oficer na trzeźwo lub po pijanemu użył szabli czy rewolweru wobec bezbronnego obywatela? Ile aktów terroru, hańbiących mundur oficerski, burd po knajpach i kabaretach zanotowały kroniki? (...) Między kapłanów honoru i rycerskości po cichu wszedł, wślizgnął się cham. Wulgarny cham z cepem w pięści, co się w bandy zbiera, ludzi po nocach napada i bije bezbronnych do krwi, do utraty przytomności, a zemdlonych butem kopie.*

Wkrótce potem, gdy wracał z redakcji do domu, na ulicy Grójeckiej w Warszawie napadło na niego siedmiu zbirów. Jak napisano w „Rzeczpospolitej”, ogłuszonego ciosami dziennikarza napastnicy wrzucili do samochodu i w podwarszawskich Jankach obili kijami, krzycząc: *A nie będzie tak pisał o Marszałku! Dziś ty dostałeś, jutro inni.* Następnie wepchnęli ofiarę z kneblem w ustach do sadzawki. Dołęga-Mostowicz niechybnie by utonął, gdyby nie dostrzegł go chłop przejeżdżający w pobliżu furmanką. Wiele wskazywało na to, że oprawcy działali na zlecenie stołecznej policji. Auto komendanta zostawiło na piaszczystej drodze w Jankach ślady opon, znaleźli się też świadkowie, którzy rozpoznali ten pojazd. Jednakże prokuratura wojskowa umorzyła postępowanie z braku dowodów winy.

Marszałek Józef Piłsudski zdecydowanie dążył do wprowadzenia dyktatury. W wywiadzie dla „Gazety Polskiej” stwierdził: *Zanotować muszę ogromną swoją radość, że sądownictwo idzie mniej więcej tak, jak bym sobie życzył.*

Był to komentarz do toczącego się latem 1930 roku procesu Ukraińców podejrzanych o przynależność do nielegalnej Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Oskarżenie opierało się na sfabrykowanych materiałach tajniaków i prowokatora Jana Kozaka. W śledztwie podejrzanych torturowano; 23-letni Stefan Bojko został zakatowany.

Podczas rozprawy sądowej oskarżeni w pewnej chwili wstali z ławy, aby złożyć hołd pamięci zamordowanego. Policja rzuciła się na nich z pałkami. Sędziowie w pośpiechu opuścili salę, natomiast obrońca Teodor Duracz, a w ślad za nim inni adwokaci zaczęli osłaniać oskarżonych, przyjmując na siebie uderzenia. Proces zakończył się skazaniem członków nielegalnej organizacji – mimo braku dowodów – na wieloletnie wyroki.

Takie i im podobne działania spowodowały powstanie antysanacyjnej koalicji stronnictw, tzw. Centrolewu, którą utworzyły: Polska Partia Socjalistyczna, Polskie Stronnictwa Ludowe „Wyzwolenie” i „Piast”, Stronnictwo Chłopskie oraz Narodowa Partia Robotnicza.

29 czerwca 1930 roku Centrolew zwołał w Krakowie Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu. W przyjętej rezolucji uczestnicy zapowiedzieli walkę o „usunięcie dyktatury Józefa Piłsudskiego, aż do zwycięstwa” i powołanie rządu zaufania.

Piłsudski odpowiedział na to usadowieniem się w fotelu premiera (zajmowanym dotąd przez Walerego Sławka). Jako szef rządu udzielił serii wywiadów prorządowej „Gazecie Polskiej”, w których pomijał parlamentarzystami, przygotowując opinię publiczną do rozwiązania obu Izb:

*Proszę pana – mówił do dziennikarza – w Konstytucji jedno jest zupełnie wyraźne: poseł nie ma prawa rządzić. Tymczasem pan poseł tylko to właśnie chce robić. Pan poseł, to nikczemne zjawisko*

*w Polsce (...), cała praca w sejmie śmierdzi i zaraża powietrze wszędzie. (...) Zdaniem moim, w każdym urzędzie pana posła należy usuwać za drzwi; jeżeli zaś przy tym coś im dołożą, to także nie zaszkodzi.*

Kilka dni później na posiedzeniu Rady Ministrów Piłsudski postawił wniosek o rozwiązanie parlamentu. Doszło do tego 30 sierpnia na mocy decyzji prezydenta Ignacego Mościckiego. W kolejnym wywiadzie dla „Gazety Polskiej” Marszałek nazwał byłych posłów ścierwami. Wybory wyznaczono na listopad. Żeby były wygrane, musiał zniszczyć opozycję.

1 września szef MSW generał Felicjan Sławoj Składkowski przedstawił Piłsudskiemu listę 100 polityków przewidzianych do aresztowania i osadzenia w wojskowym więzieniu w Brześciu nad Bugiem. Marszałek własnoręcznie zielonym ołówkiem zaznaczył, kogo należy zamknąć w tej twierdzy.

## Widzę cmentarzysko moralne

**Oskarżeni: 11 parlamentarzystów opozycji,  
zarzut: przygotowywanie zamachu stanu**

*Wsiadłem do pociągu 3 klasy, jadącego w kierunku Tarnowa. Na jednej ławce w przedziale leżał już jakiś Żyd, ja się ułożyłem na drugiej, podłożywszy sobie pod głowę teczkę. Za ledwie pociąg ruszył, weszło do przedziału 4 mężczyzn. Jeden był w cywilnym ubraniu, drugi w mundurze komisarza policji, trzeci policjanta, a ostatni to żandarm wojskowy. Bardzo niedelikatnie wyprosilili Żyda za drzwi, a pan w cywilu nie przedstawiając się, pokazał mi klapę surduta i wezwał do natychmiastowego powstania z miejsca. Kiedy się zbytnio nie kwapiłem, powtórzył żądanie ostrym głosem. Następnie szybko przeprowadzili rewizję osobistą, zabierając mi*

*teczkę, pugilares, scyzoryk i listy prywatne, które miałem w kieszeni. Na stacji kolejowej w Podgórzu kazano mi iść tylną stroną peronu widocznie z obawy, by nas nie zauważyli podróżni. Podeszliśmy do auta. – Proszę wsiadać, bo użyję siły – uprzedził policjant. (...) Jechaliśmy w kierunku Warszawy. Mijając kolejne miejscowości, rozmyślałem: Tędy wiozł mnie w 1920 roku oficer przysłany przez Piłsudskiego upadającego pod brzemieniem klęski kijowskiej wyprawy. Tędy jechałem, aby przyjąć ciężar obowiązków budzenia uśpionego narodu dla ratowania państwa sprowadzonego przez Piłsudskiego na brzeg przepaści. Także dla ratowania samego Piłsudskiego, który wtenczas bezradnie opuszczał ręce. A dziś jego siepaki wiozą mnie nie wiadomo gdzie i po co – tak opisał (Moje wspomnienia) były premier Wincenty Witos, poseł PSL „Piast”, aresztowanie go w drodze z posiedzenia sejmku do rodzinnych Wierzchosławic.*

Byłego legionistę, posła PPS Adama Pragiera, aresztowano o trzeciej w nocy w jego mieszkaniu. Otworzył drzwi, bo usłyszał głos dozorczy domu. Ciec przyszedł z komisarzem i uzbrojonym w karabin żandarmem. Pragier przytomnie zażądał okazania mu nakazu aresztowania. Pokazano mu taki dokument, podpisany przez generała Sławoja Składkowskiego. Na dole czekał samochód z zasłoniętymi szybami.

Tej nocy z 9 na 10 września 1930 roku żandarmeria wojskowa i policja aresztowały jeszcze kilkunastu innych opozycyjnych polityków: z PPS – Norberta Barlickiego, Adama Ciołkosza, Stanisława Dubois, Hermana Liebermana, Mieczysława Mastka; z PSL „Wyzwolenie” – Kazimierza Bagińskiego i Józefa Putka; z PSL „Piast” – Władysława Kiernika i Wincentego Witos; z Narodowej Partii Robotniczej – Karola Popiela; ze Stronnictwa Narodowego – Aleksandra Dębskiego i Jana Kwiatkowskiego; ze Stronnictwa Chłopskiego – Adolfa Sawickiego, oraz pięciu posłów ukraińskich – Włodomyra Celewycza, Osipa Kohuta, Jana Leszczyńskiego, Dmytra Palijiwa i Aleksandra Wisłockiego. 26 września, po

rozwiązaniu Sejmu Śląskiego, do grupy zatrzymanych dołączył Wojciech Korfanty ze śląskiej chadecji.

W ciągu następnych tygodni aresztowano 84 byłych parlamentarzystów. Większość z nich знаła osobiście komendanta twierdzy Wacława Kostka-Biernackiego jeszcze z legionów. W czasie zaborów kilkunastoletni Biernacki jako członek Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej zdobył sławę niezwykle odważnego, wręcz skłonnego do brawury konspiratora. Uciekał z carskich kryminalów (w Lublinie kanałem ściekowym), podkładał bomby pod pociągi wiozące do Rosji polski majątek.

Wśród żołnierzy zyskał przydomek „Wieszateli”, bo osobiście wieszał chłopów odmawiających kontrybucji w Kieleckiem i na Lubelszczyźnie.

Kiedy jesienią 1930 roku został szefem oddziału specjalnego w wojskowym więzieniu śledczym w Brześciu, wyżywał się, poniżając i torturując aresztantów. Jak traktował swoich dawnych towarzyszy broni, z satysfakcją zdawał raport Piłsudskiemu:

*Bagiński usiłował być nieposłusznym i okazywał pewną arogancję, za co będzie ukarany. (...) Dębski (były wojewoda wołyński – HK) w czasie transportu wybił szybę w aucie, za co pójdzie do ciemnicy. Baćmaga w czasie drogi krzyknął, że wiozą „posła Baćmagę”, również będzie ukarany. Putek jest tak przestraszony, że chętnie sprzedałby siebie za zwolnienie. Kiernik prosił usilnie o (...) zwolnienie go od czyszczenia klozetów. Oczywiście odmówiłem. Lieberman ma mocno obity zadek, sprawa świeża, lecz sprzed więzienia. Teraz posłuszny i spokojny, niczym nie zdradza, że musi bardzo fizycznie cierpieć.*

Poseł Herman Lieberman, członek Trybunału Stanu, opowiedział w celi, co to była ta „sprawa świeża, lecz sprzed więzienia”. W czasie eskortowania go do Brześcia konwojujący oficerowie zatrzymali się w lesie pod Białą Podlaską. Witos cytuje w swoich pamiętnikach zwierzenia Liebermana:



*Zdarli ze mnie ubranie, rzucili twarzą na ziemię, okręcili mi głowę płaszczem i starali się skręcić mi kark. Szamotałem się, to rzucili się na mnie z kolanami i butami, bijąc w niesłychany sposób. Słyszałem, jak komisarz kazał bić po nerkach. Przy uderzeniach krzyczano: „To za Piłsudskiego, ty parchu Żydzie! To za Czechowicza!”.*

W przypadku tego drugiego nazwiska chodziło o wniosek Liebermana o postawienie przed Trybunałem Stanu ministra skarbu Gabriela Czechowicza, ponieważ ten niezgodnie z prawem wydał ze skarbu państwa 566 milionów złotych na kampanię wyborczą wspierającą Marszałka Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem.

W więzieniu ciężko pobitemu Liebermanowi oficer kazał wyszorować klozet kawałkiem gałganka. Witos, widząc, że jego towarzysz niedoli nie może ustać, chciał to zrobić za niego. Oficer już podnosił rękę, aby uderzyć byłego premiera, ale zrezygnował po słowach więźnia, że z godnością polskiego oficera nie licuje bicie bezbronnego.

Ten incydent w żadnej mierze nie wpłynął na dalsze upodlanie więźniów. Mimo mrozu na dworze cele nie były ogrzewane, w siennikach na pryzkach zaledwie garść słomy dawno startej na plewy, a za całe okrycie służył wytarty, brudny koc. *Wyglądał jak posypyany makiem, tyle że ten mak podskakiwał* – wspominał w swym pamiętniku Adam Pragier. Komendant celowo pozbawił osadzonych ciepłych ubrań, które zabrano im w chwili, gdy przekroczyli bramę brzeskiej twierdzy.

Dużo radości sprawiał wojskowym strażnikom widok byłego premiera wynoszącego kubek z odchodami. Witos tak zapamiętał pierwszą poranną pobudkę:

*Wśród niesłychanych wrzasków i wymyślań oficer kazał mi to wynieść i opróżnić. Zdębiałem. Sądząc, że to jakiś żart albo pomyłka, odsunąłem się na bok. Wobec groźby pobicia, a ciosy pięścią i kopniaki w tyłek były tam codziennym sposobem komunikowania się strażników z osadzonymi, skapitulowałem.*

Jeszcze gorsze były nocne alarmy. Oficerowie kopniakami zaganiali więźniów na rewizję osobistą. Polegała ona na tym, że

upatrzoną ofiarę, jak np. prezesa Narodowej Partii Robotniczej Karola Popiela, po rozebraniu do naga rzucono na stołek i tak długo bito metalowym prętem, dopóki maltretowany nie zemdłał. Podobnie zmasakrowano jedyne go uwięzionego w Brześciu endeka Aleksandra Dębskiego i Kazimierza Bagińskiego z PSL „Wyzwolenie”, niegdyś zakładającego z Piłsudskim związki strzeleckie w Galicji.

Witos wspominał, że któreś nocy wrzucono do jego celi zakrwawionego działacza UNDO (Ukraińskiego Zjednoczenia Narodowej Demokracji), Włodymyra Celewycza.

*– Proszę pana, ja jestem taki pokorny, staram się każde ich życzenie odgadywać, a oni mnie mimo to strasznie katuja, znieważają i poniewierają, cóż by dopiero było, gdybym się zachował inaczej. Jeśli pan może, niech prosi za mną, bym został w tej celi, może nie będą mnie bić przy panu –* błagał byłego premiera.

Komendant Kostek-Biernacki przygotował na użytek politycznych więźniów specjalny regulamin zabraniający siadać na pryzkach i podłodze od 5 rano do 21 wieczorem. A w celi nie było ani jednego krzesła. Nawet najbliżsi krewni zostali odcięci od aresztantów; ich paczki odsyłano. Kiedy umierała matka Putka, poseł nie dostał przepustki. Telegram o pogrzebie wrócił do nadawców z adnotacją, że takiego więźnia w twierdzy brzeskiej nie ma.

Zabroniono czytania jakichkolwiek książek poza broszurami o historii 156 wojskowych pułków armii II Rzeczypospolitej. Jediną rozrywką miały być szachy; jeszcze jedna złośliwość komendanta, swoisty mat, bo była to ulubiona gra Piłsudskiego.

Do kąpieli więźniowie nie chodzili przez wiele tygodni. Co kilka dni natomiast golono ich bardzo tępą brzytwą. I musieli niemal bez przerwy zamiatać podłogi oraz myć latryny. *Szczotki były tak urządzone, że czołgaliśmy się po ziemi* – wspominał Witos.

Kostek „Wieszatki” lubił straszyć swoje ofiary. Pewnego dnia kazał postawić na dziedzińcu twierdzy szubienicę. Z radością zacierał ręce, gdy służba doniosła mu, że Józef Putek wpadł

w histerię, wykrzykując: „To dla nas! Cóż my zrobimy?”. Po kilku dniach szubienicę rozebrano.

Maltretowani politycy nie wiedzieli, że w celach zainstalowano podsłuch. Komendant sporządzał dla Marszałka stenogramy nawet z najbardziej banalnej wymiany myśli; a nuż przydadzą się do wytropienia jakichś słabych punktów aresztowanych, pomocnych przy sporządzeniu aktu oskarżenia.

Nie wszyscy zamknięci w twierdzy okazali się niezłomni. Już po tygodniu Adolf Sawicki ze Stronnictwa Chłopskiego poprosił komendanta o rozmowę w cztery oczy, podczas której zaklinał się, że zawsze był wierny Marszałkowi, na dowód czego występuje ze swej partii i zgłasza akces do BBWR. Kostek-Biernacki, raportując o tym Piłsudskiemu, określił „zdrajcę” jako półinteligenta z twarzą „o podejrzanym wyrazie”. Podobny akces do sanacyjnego obozu zgłosił Józef Putek.

Choć aresztowania odbywały się w nocy i osadzeni w twierdzy zostali całkowicie odcięci od świata zewnętrznego, wieść o ich zniknięciu rozeszła się błyskawicznie. Po niespełna tygodniu działacze Centrolewu zorganizowali huczne wiece, na których protestowali przeciwko uwięzieniu opozycjonistów. Policja brutalnie rozpędzała manifestantów, wjeżdżając konno w tłum. W Warszawie zostali na śmierć zatratowani przez konie dwaj robotnicy, a 80 rannych odwieziono do szpitala.

Posłowie Centrolewu wystąpili w sejmie z interpelacją o torturowaniu uwięzionych w Brześciu. Premier rządu Walery Sławek oświadczył wówczas:

*– Zbadałem sprawę i stwierdzam, że sadyzmu ani znęcania się nie było. (...) Pozwolę sobie dać wyraz nadziei, że w przyszłości rząd nie będzie stawiany wobec konieczności używania środków surowych i bezwzględnych dla osadzenia zuchwałej anarchii.*

Posłuszna Piłsudskiemu „Gazeta Polska” w artykule *Plotki a prawda o stosunkach więziennych w Brześciu* napisała, że: *zatrzymani politycy spędzają czas na spacerach, ciekawej lekturze*

*i grze w szachy.* Gdyby w tym czasie był w Warszawie redaktor Wojciech Stpiczyński, uwięzieni politycy niechybnie zostaliby zwymyślani w wulgarny sposób. Na szczęście dla aresztantów, dziennikarz przebywał na kuracji we Włoszech.

Stpiczyński, naczelny redaktor „Głosu Prawdy”, z którego po połączeniu z innym dziennikiem powstała „Gazeta Polska”, był żarliwym admiratorem Piłsudskiego. Z tej miłości do Marszałka atakował bez pardonu członków rządu, przeznaczonych przez wielkiego samotnika w Sulejówku do usunięcia po przewrocie majowym.

Władysława Kiernika, ministra spraw wewnętrznych, nazwał „jaśnie wielmożnym kauzyperdą z Bochni czy Kiernozi cudem sprzed krutek sądowych na stolec ministerialny salwowanym”. Mariana Seyda, szefa ministerstwa spraw zagranicznych, „największym geniuszem współczesnego świata w dziedzinie głupoty politycznej”.

A rząd Witosa w całości określał jako rząd morderców i przestępców kryminalnych.

Jesienią 1930 roku po zakończonych wyborach do parlamentu, w których BBWR uzyskał bezwzględną większość w sejmie, więźniów brzeskich przewieziono do zakładu karnego w Grójcu, gdzie były o wiele lepsze warunki. Wkrótce potem wyszli na wolność za kaucją i oczekiwali na zbiorowy proces.

Zwycięski Piłsudski potrzebował zalegalizowania aresztowań, terroru i oszustw wyborczych. Prowadzeniem dochodzenia zajął się sędzia śledczy Jan Demant.

Kiedy powiedział z trybuny sejmowej, że powodem aresztowania posłów są popełnione przez nich kradzieże i oszustwa, a także strzały do policji i nawoływanie do nieposłuszeństwa władzom – nieliczna opozycja zaprotestowała hałaśliwie, bijąc w pulpity.

W PPS-owskim „Robotniku” napisano, że Demant wrócił do Polski dopiero po wojnie bolszewickiej; wcześniej był w Rosji zastępcą Łutowicza, komisarza sowieckiego do spraw polskich w Kazaniu, podlegającego komuniście Julianowi Leszczyńskiemu, członkowi

Biura Polskiego KC RKP(b)[2]. Pieniądze na drogę do kraju Demant dostał od Leszczyńskiego, który wszystko uzgadniał ze Stalinem.

Za tę publikację Stefan Stojanowski, redaktor odpowiedzialny „Robotnika”, stanął przed sądem.

Na procesie Demant wyjaśniał, że w Kazaniu zetknął się z tamtejszą grupą PPS.

*To była banda łotrów trudniących się rabunkiem – cytował zeznania powoda „Kurier Polski” – zajmowała się urządzaniem napadów terrorystycznych. Zarówno ja, jak i Łutowicz popadliśmy w niełaskę tej partii; na niego wydano wyrok śmierci, którego na szczęście nie wykonano, mnie udało się za pożyczone pieniądze wrócić do kraju”.*

Jan Demant zaprzeczał, że miał przyjazne kontakty z komunistami. Po powrocie do Polski – twierdził – będąc zastępcą sędziego śledczego w Białymstoku, wsadził do więzienia przeszło „50 grubych ryb komunistycznych”.

Prokurator zażądał roku więzienia dla Stojanowskiego. Skończyło się na półrocznym pobycie za kratami. Nie pomogła informacja w „Kurierze Warszawskim”, że wracający ze Związku Radzieckiego Demant legitymował się dowodem osobistym wydanym przez Leszczyńskiego, a nie przez przedstawiciela Rady Regencyjnej, która była do tego powołana.

W tym czasie został przygotowany akt oskarżenia 11 parlamentarzystów więzionych w Brześciu: Hermana Liebermana, Norberta Barlickiego, Adama Pragiera, Stanisława Dubois, Adama Ciołkosza, Mieczysława Mastka, Wincentego Witosa, Władysława Kiernika, Kazimierza Bagińskiego, Józefa Putka i Adolfa Sawickiego.

Nie było w nim zarzutów kryminalnych spreparowanych przez sędziego śledczego; dominowało oskarżenie o przygotowanie zamachu stanu, „w celu usunięcia przemocą członków rządu i zastąpieniu ich przez inne osoby”. Oskarżeni politycy mieli wywoływać w masach nastroje nienawiści do Marszałka. Na kongresie Centrolewu w Krakowie zarządzili marsz na Warszawę. Najście na stolicę udaremniły władze, aresztując organizatorów.

Proces – nazwany potocznie brzeskim, choć odbywał się w Warszawie – trwał 56 dni. Alfred Fiderkiewicz określił go w swych wspomnieniach komedią sądową, z góry ustawioną przez Piłsudskiego. Pierwsza rozprawa 26 października 1931 roku toczyła się w prawie pustej sali, bo rygorystycznie ograniczono wydawanie kart wstępu. Ludzie tłoczyli się na korytarzach sądowych, ale tam stały silne kordony policji.

Jedenastu więźniów brzeskich bronili najlepsi ówczesni adwokaci: Leon Berenson, Eugeniusz Śmiarowski, Jan Nowodworski, Ludwik Honigwill, Kazimierz Sterling, Stanisław Szurlej, Kazimierz Ujazdowski[3], Zygmunt Nagórski.

Żaden z oskarżonych nie przyznał się do winy.

Wincenty Witos powiedział m.in.:

*– Wysoki Sądzie, ja byłem prezesem tego rządu, który został przez zamach majowy obalony. Nie ja więc knułem zamachy, nie ja robiłem spiski, ja wraz z moim rządem stałem się ofiarą spisku i zamachu. My rewolucji nie chcieliśmy, bo ojczyzny na loterii wystawiać nie mieliśmy zamiaru. (...) Wierzyłem zawsze i wierzę, że w Polsce jest sprawiedliwość i prawo, równe dla wszystkich. Dlatego siedząc dziś na ławie oskarżonych, spodziewam się, że w Polsce przyjdą takie zmiany, gdy zasiądą tu ci, którzy naprawdę dokonali zamachu.*

Oskarżony Lieberman wyjaśniał:

*– Nie jest prawdą, że przygotowywałem rewolucję. Rewolucje robią masy, nie partie. Prawdą jest natomiast, że chciałem rząd Józefa Piłsudskiego usunąć. Chciałem go obalić przez rozpisanie nowych wyborów, które by pokazały, że większość społeczeństwa stoi za opozycją.*

*– Dlaczego przestałem być piłsudczykiem? – odpowiadał na pytanie swego adwokata oskarżony Kazimierz Bagiński, niegdyś jeden z najbardziej zaufanych ludzi Marszałka. – Bo widzę cmentarzysko moralne. Wszystko się łamie: ludzi, sumienia, charaktery.*

Podsądny przypomniał wydarzenie sprzed 10 lat, kiedy to z Julianem Poniatowskim, również posłem PSL „Wyzwolenie”, spoliczkowali redaktora Sadowicza z „Gazety Porannej”, organu Narodowej Demokracji – za to, że w tym brukowcu, potocznie zwanym „dwugroszówką”, wysunięto pod adresem Piłsudskiego zarzuty z jego życia prywatnego.

– *Weszliśmy do gabinetu redaktora – wspominał na sali sądowej Bagiński – zamknęliśmy drzwi i pokazując gazetę zapytaliśmy, Sadowicza, czy jest autorem tego artykułu. Kiedy potwierdził, dowiedział się, że jest szuja, i został uderzony w policzek. A teraz tak się dziwnie złożyło, że Sadowicz w swojej gazecie popiera Piłsudskiego, a ja zostałem skatowany w Brześciu – zakończył oskarżony.*

– *Pan prokurator zarzuca nam spiski, zamachy, rewolucje, a może nawet rzezie – zaczął swe wyjaśnienia Józef Putek z PSL „Wyzwolenie” – a przecież po krakowskim kongresie chłopci najspokojniej pojechali do domu rżnąć żyto i owies. Dla nowej szlachty w oficerskich mundurach, powstałej po zamachu majowym premier Witos był chamem, którego należy brać za mordę, jak to powiedział do mnie w Brześciu płk. Kostek-Biernacki. Przewrót majowy był wielkim politycznym oszustwem. Piłsudski uważa naród za idiotów, który podporządkuje się gwałtom i bezprawiu. Centrolew nie chciał rewolucji. Nie mógł nawet do tego dążyć, gdyż wtedy musiałby porozumieć się z komunistami, a tych się obawiał, jako agentów Bolszewii.*

Osiemnastu adwokatów wygłosiło mowy obrończe. Uzupełniali się wzajemnie.

Mecenas Jan Nowodworski powiedział:

– *Przed sądem stoją jako oskarżeni były premier rządu odrodzonej Polski, byli ministrowie i nieposzlakowani działacze polityczni. Zawinili, bo bronili prawa, łamanego przez obecną władzę. Proces ten kończy legendę o Piłsudskim. Marszałek miał wszelkie możliwości, aby naród nosił go na rękach i wszystko zmarnował.*

*Teraz chce zostawić na polu politycznym pustkę, a nad nią swoje dyktatorskie ja. Jeśli ktoś się sprzeciwi, niszczy go.*

*– A przecież – ciągnął tę myśl mecenas Zygmunt Nagórski – partie polityczne są u nas pochodniami, oświetlającymi drogę. Kongres krakowski nie był spiskiem, gdyż cechą spisku jest tajność, a tam ślubowano w blasku słońca, przysięgano na prawo i wolność. Byłoby w Polsce bardzo duszno, gdyby nikt nie mógł głośno powiedzieć prawdy. Skoro ani dygnitarze państwowi, ani donosiciele, nie powiedzieli Marszałkowi, że konstytucja nie jest ustawą haniebną, nie wszyscy posłowie to łajdacy i szuje, a naród polski nie składa się z samych idiotów, należało to wykrzyzczyć na krakowskim rynku.*

Do swoich kolegów dołączał mecenas Kazimierz Sterling, naświetlając istotę tej sprawy:

*– W tym procesie nie idzie o rząd, ale o sposób rządzenia. Walka o system nie jest zamachem na ustrój. Piłsudski sam przyznał, że nie da pracować żadnemu sejmowi. Prokuratorskie oskarżenie nie jest niczym uzasadnione. W Polsce nie znajdzie się człowieka, który by powiedział, że Witos jest winien i żaden wyrok nie zdoła tego zmienić. Nikt nie uwierzy, by chłopci robili rewolucję w ogóle, a co dopiero przed żniwami. Legalizować zamach majowy może tylko Bóg albo ci, którzy leżą w ziemi po utracie życia w walce. W czasie ostatniej zwycięskiej dla Piłsudskiego kampanii wyborczej, zamknięto do więzień kilkanaście tysięcy chłopów. Minister Składkowski publicznie oświadczył: dla niego źródłem prawa jest Marszałek Piłsudski. Ten kult dla jednostki to duch Wschodu.*

Mecenas Stanisław Benkiel skoncentrował się w swoim wywodzie na udowodnieniu prokuratorowi, że zarzut, jakoby posłowie PPS gromadzili broń, jest wyssany z palca. *Deprawację robi się z urzędu, w którym wychowuje się prowokatorów. Brześć pozostanie hańbą współczesnych dziejów Polski.*

Mecenas Rudziński, były prokurator, szczegółowo przeanalizował akt oskarżenia, aby stwierdzić, że *spreparowano go na wyrost, aby po obcięciu coś jeszcze z niego pozostało.*



– *Po co to zrobiono? – zapytał, zwracając się w stronę publiczności. I sam sobie odpowiedział: – Chyba po to, aby połamać sumienia świadków, a przed światem zademonstrować nędzę życia polskiego. W rezultacie wytworzyła się taka sytuacja, że podsądni zamiast się bronić, stali się oskarżycielami. Oskarżają Piłsudskiego, który przed laty walczył o wolność, ale potem się zmienił. W 1923 roku Marszałek mówił: jestem dumny ze swego narodu. W kilka lat później ten sam naród nazwał narodem idiotów. To samo zrobił z sejmem – najpierw twierdził, że wraz z powołaniem polskiego sejmu zrealizowało się marzenie ojców naszych, potem nazwał parlament domem publicznym i zbiorem ladacznic. Sejm zamienił w piekło upodlenia i udręczeń. Tak oto dyktator przekreślił legendę rycerza wolności. Dla utrwalenia dyktatury rozbija się stronnictwa polityczne, otwiera kasę państwową, nagina i łamie prawo. Ale i to nie wystarcza, jest jeszcze przygotowana katorga w Brześciu, a dla Kostka-Biernackiego, tego gorliwca w szarganiu i deptaniu godności ludzkiej, dziękczynna kawa w Belwederze. Tak oto dyktator zrobił z Polski moralne cmentarzysko.*

Mecenas Ujazdowski wskazywał na deprawację służb porządkowych i wojska.

– *Policja snuje się jak cień za każdym działaczem, ale gdy go draby napadają na ulicy, to jej nie ma. Mundur wojskowy jest dla ludności postrachem i odrazą. Trudno, by było inaczej, skoro oficerowie spełniają w Brześciu funkcję oprawcy.*

Niemal w każdym wystąpieniu obrońców pojawiała się krytyczna ocena przewrotu majowego.

Mecenas Antoni Landau określił wydarzenia roku 1926 jako szkołę barbarzyństwa:

– *Już w kilka dni po przewrocie mowa potoczna wzbogaciła się o wyrażenie: likwidowanie ludzi. To jest język zapożyczony od czczycy. Prokuratorzy sporządzali akt oskarżenia na rozkaz. Podobnie jak na żądanie biblijnej księżniczki żydowskiej przyniesiono na srebrnej tacy głowę św. Jana, tak oni przynieśli tu swoje dzieło: śmieszne oskarżenie o zbrodnie przeciw państwu.*

– *Sporządzone niedbale, z doskoku, bezceremonialnie* – dodał mecenas Szumański[4].

Z dowodami w ręku wykazał, że na 82 wypadki zacytowane przez prokuratora, 62 są sfalszowane. – *W procesach politycznych prokurator powinien być strażnikiem prawa. W obecnym, ta straż odsunęła się od fotela prokuratora i przesunęła na ławę oskarżonych. My objęliśmy tu honorową wartę.*

– *W normalnie rządzonym państwie taki proces nie byłby możliwy* – twierdził mecenas Jarosz. – *Dopiero po uwięzieniu polityków zaczęto szukać jakiegoś kompromitującego ich paskudztwa. Ruszyły zapytania do wszystkich prokuratorów, a gdy nic to nie dało, padło hasło: zamach stanu.*

Mecenas Berenson bezlitośnie obnażył mechanizm preparowania sprawy brzeskiej:

– *Oto chwyta się ludzi nocą, wywozi w nieznanym kierunku i w tajemnicy zamyka w twierdzy. Jest działanie z rozkazu, a nie wedle prawa. Zarzut przygotowywania zamachu stanu zostanie napisany później. Jeśli ktoś ma wątpliwości, to komentarz do sprawy brzeskiej znajdzie w wywiadzie prasowym Piłsudskiego z 14 września 1930 roku, czyli kilka dni po zamknięciu opozycyjnych działaczy. Pan premier powiedział: „Mógłbym wybrać co piątego lub co dziesiątego”. Miał na myśli przedstawioną mu przez gen. Sławoja Składkowskiego listę polityków do aresztowania. Czyli nie chodziło o konkretne zarzuty, tylko o postraszenie, że można wybierać „co piątego lub co dziesiątego”.*

Adwokat odwołał się do przewodniczącego: – *Dopóki prawo karania należy do sądu, nie może w tej sprawie zapaść wyrok skazujący. Jeśli hańbą Polski będzie Brześć, to niech tryumfem będzie sąd.*

Ostatni z listy obrońców, Eugeniusz Śmiarowski, przypomniał, jak w nocy z 12 na 13 maja 1926 roku Piłsudski stwierdził, że idzie po władzę pod hasłami honoru i męstwa, bo nie może być w Polsce niesprawiedliwości w stosunku do tych, którzy dla niej pracują.

A potem okazało się, że państwo polskie nadal jest dla łajdaków i szujów.

Adwokat zakończył wyznaniem:

*– Zabieram tu głos jako osiemnasty z rzędu i nie mam na tyle próżności, ażeby przypuszczać, że moje przemówienie mogłoby wpłynąć na ukształtowanie w sercach i umysłach panów sędziów poglądu na tę sprawę. My obrońcy jesteśmy przekonani: wszystko już zostało rozstrzygnięte.*

Nadszedł czas na ostatnie słowo oskarżonych.

*– Nie będę odpowiadał na pytania – uprzedził prokuratora oskarżony Lieberman. – Dlaczego pan Witos i ja nie przyznaliśmy się do winy i nie poszliśmy do więzienia z „Pierwszą Brygadą” na ustach. Nikt nie planował ani też nie chciał rewolucji. Przyznaję, byłem na kongresie w Krakowie, bo tam doszło do ważnego wydarzenia – połączyły się ludowe stronnictwa, zapominając sobie wzajemne urazy. Doszliśmy do przekonania, że naród należy prowadzić do ideałów Kościuszki, a nie wymyślać mu, że jest głupi, jak to robi wpatrzony w siebie rządzący Polską. Biada narodowi, który milczy, gdy są naruszane jego prawa. Dlategośmy wezwali jego przedstawicieli do Krakowa, aby powiedzieć prawdę.*

Wincenty Witos powiedział:

*– Nie wygłaszałem na zebraniach mego stronnictwa przemówień podburzających. Wbrew oskarżeniu, żadnego zebrania nielegalnego nie odbyłem. Natomiast prawdą jest, że jako przewodniczący kongresu krakowskiego poddałem politykę rządu ostrej krytyce zaznaczając, jaki los czeka każdą dyktaturę. Pan prokurator okazał się entuzjastą przewrotu majowego. Zapomniał o czymś – ten zamach zmusił żołnierzy do złamania przysięgi wojskowej i przyniósł śmierć setkom niewinnych ludzi.*

Jako następny zwrócił się z kolei do publiczności Józef Putek:

*– My wszyscy tu posadzeni w ławach oskarżonych byliśmy zaporą na drodze do zniszczenia prawa, dlatego postanowiono nas złamać. Ale nie udało się. Przed sądem przesunęła się Polska*

*rządzona i rządząca. Ta druga spowodowała w kraju spustoszenie moralne.*

Ostatni z oskarżonych, Adam Pragier, wygłosił swoiste memento:

*– Pan prokurator myli się sądząc, że ten proces utonie w morzu historii. Przeciwnie, przejdzie do historii jako przykład pogwałcenia prawa obywatela do własnego zdania.*

13 stycznia 1932 roku władze bezpieczeństwa w Warszawie zarządziły specjalne środki ostrożności. Od rana na ulicy Miodowej, gdzie w pałacu Paca mieścił się sąd okręgowy, rozstawiono zdwojone posterunki policji. Środkiem jezdni demonstrowała swą siłę policja konna. Wejście z ulicy Miodowej na dziedziniec pałacu zostało zamknięte.

Punktualnie o godzinie dwunastej przewodniczący Klemens Hermanowski zaczął odczytywać wyrok. Jak donosił sprawozdawca dziennika „Naprzód” – krakowskiego organu PPS, *sędzia początkowo zacinał się i jąkał, a dopiero później czytał wyrok równym głosem. Sędzia Stanisław Leszczyński (który, jak się później rozniosło, złożył od sentencji wyroku votum separatum, opowiadając się za uniewinnieniem wszystkich oskarżonych – HK) miał głowę pochyloną i przez cały czas czytania wyroku jej nie podnosił. Natomiast sędzia Rykaczewski wodził po sali ostrym wzrokiem.*

Adama Ciołkosza, Stanisława Dubois, Mieczysława Mastka, Adama Pragiera i Józefa Putka skazano na 3 lata. Herman Lieberman, Norbert Barlicki i Władysław Kiernik otrzymali wyrok 2 i pół roku więzienia, Kazimierz Bagiński dostał 2 lata, a Wincenty Witos półtora roku. Jedynie Adolf Sawicki ze Stronnictwa Chłopskiego został uniewinniony.

*Publiczność przyjęła wyrok w ponurem milczeniu – napisano w „Robotniku” – sąd zastosował kwalifikację art. 102 kodeksu karnego o przygotowaniach do spisku. Jest to artykuł rosyjskiego kodeksu, stosowany przez carskie sądy w latach 1905–1906 wobec członków PPS, oskarżonych o udział w rewolucji. W myśl tego artykułu dziesięciu oskarżonych zostało zasądzonych na ciężkie więzienie z zamianą na dom poprawy. Kara domu poprawy wynikała*

*z terminologii przewidzianej przez tzw. kodeks Tagancewa z 1903 roku, według którego orzekano w brzeskim procesie.*

Kiedy przewodniczący Hermanowski zamknął rozprawę, poseł Adam Ciołkosz krzyknął z ławy oskarżonych: „Niech żyje Polska Partia Socjalistyczna!”. Publiczność podchwyciła zawołanie, a równocześnie rozległy się okrzyki: „Niech żyje Polska!”. Dwie osoby zostały zatrzymane. Przed sądem tłumy witały wychodzących okrzykami: „Niech żyją!”. Posłowi Liebermanowi wręczono bukiet czerwonych piwonii, Witosowi róże. Policja zatrzymała dziewczynkę z kwiatkami przedzierającą się przez tłum w kierunku skazanych.

*Wiść o skazaniu byłych więźniów brzeskich obiegła Warszawę lotem błyskawicy – donosił „Robotnik” – na temat wyroku zarówno na ulicy, jako też w kawiarniach krążyły bardzo liczne komentarze, których ze względów cenzuralnych przytoczyć nie możemy.*

Nawet dziennikarze, którzy sprzyjali sanacji, jak chociażby Stanisław Cat-Mackiewicz, redaktor wileńskiego „Słowa”, poseł BBWR, krytykowali propagandowy charakter rozpraw. *Próby oskarżenia przywódców Centrolewu o przygotowanie zamachu stanu z użyciem gazów bojowych i granatów oraz nawoływanie do zgładzenia Piłsudskiego spełżyły na niczym – napisał w swojej gazecie.*

W sejmie wyrok sądu wywołał burzę. Posłowie klubów PPS, Stronnictwa ludowego („Wyzwolenia” i „Piasta”), Narodowej Partii Robotniczej oraz Chrześcijańskiej Demokracji zażądali powołania komisji nadzwyczajnej dla zbadania sprawy znęcania się nad więźniami osadzonymi w Brześciu.

Jednakże sanacyjna większość nie dopuściła do szerszej dysputy. Kiedy marszałek sejmu ogłosił, że przerywa dyskusję, w jego stronę poleciały ogryzki, rozległo się bicie w pulpity. Nic to nie dało. Sejm zajął się rozporządzeniem ministra sprawiedliwości znoszącym prawa więźniów politycznych.

W dyskusji poseł PPS Henryk Świątkowski zauważył pojednawczo, że więźnia politycznego należy traktować lepiej niż zwyczajnego, gdyż to, co w pewnym czasie uważane jest za

przestępstwo polityczne, za kilka lat może już nie być przestępstwem, lecz bohaterstwem. Dlatego rozporządzenie o zniesieniu praw więźniów politycznych należy wycofać.

Atmosferę podgrzał poseł Mordechaj Rozenberg z komunistycznej listy Jedność Robotniczo-Chłopska:

– *Proszę panów, w Polsce jęczy pod knutem dyktatury faszystowskiej 10 tysięcy rewolucyjnych więźniów politycznych wyrwanych z szeregów walczącego proletariatu – zaczął dramatycznie. – Nowy regulamin więzienny stworzył podstawy prawne dla ich fizycznego wytępienia. Świadczy o tym list więźnia politycznego Brygiera, osadzonego w Łucku. Chciałbym go przeczytać. (Okrzyki, wrzawa w sali posiedzeń).*

Marszałek: – *Proszę nie czytać.*

Poseł Rozenberg: – *To jest list, nie odezwa.*

Marszałek: – *A ja panu nie pozwalam.*

Rozenberg: – *Trudno, nie daje mi się przytoczyć materiału rzeczowego, oto jeszcze jeden dowód na to, że chcecie tępić masy pracujące. Sprawa więzienia w Łucku jest tego rodzaju, że błędnie przy niej sprawa brzeska.*

Marszałek: – *Przywołuję pana...*

W liście chodziło o to, że w więzieniu śledczym w Łucku politycznych więźniów nie tylko katowano, szcztu psami, ale i mordowano. Aresztowane kobiety funkcjonariusze rozbierali do naga; naigrywali się z nich, gwałcili. Jak podaje „Głos Chłopski”, z tego powodu w kilkudziesięciu zakładach karnych wybuchły strajki głodowe więźniów politycznych.

Wniosek posła Świątkowskiego upadł większością piłsudczykowskich głosów.

Tymczasem wyrok Sądu Okręgowego w Warszawie dla polityków osadzonych w twierdzy nad Bugiem czekał na apelację. Nieprawomocnie skazani przebywając nadal na wolności (po wpłaceniu kaucji), chętnie wypowiadali się w opozycyjnej prasie. Adam Pragier mówił:

*Nasz proces był potrzebny Piłsudskiemu dla usprawiedliwienia aresztu przywódców opozycji. Marszałek oczekiwał wyroków skazujących, bo to legitymizowało jego bezprawne działania. Nie przywiązywał uwagi do samej rozprawy: najwidoczniej liczył na to, że oskarżeni będą dowodzili, każdy z osobna i wszyscy razem, swojej niewinności. (...) Ten błąd psychologiczny sprawił, że wprawdzie myśmy wyszli z sali sądowej skazani, ale dyktatura została potępiona.*

PPS zorganizował w gmachu teatru „Ateneum” wielki raut na cześć więźniów brzeskich. Wśród rozbawionych gości krążył żart, że przyjęcie jest akademią dziękczynną urządzoną na cześć Piłsudskiego za to, że pomieścił więźniów w Brześciu nad Bugiem, a nie w Bugu pod Brześciem.

Według władz porządkowych raut był kolejną poważną manifestacją polityczną, odgrywającą rolę podobną do kongresu krakowskiego.

Sąd Najwyższy uchylił wyroki i skierował sprawę do powtórnego rozpatrzenia w innym składzie sędziowskim. Sąd Apelacyjny w Warszawie 20 lipca 1933 roku zatwierdził zaskarżone wyroki Sądu Okręgowego z tym, że zamienił karę domu poprawczego na więzienie, z jednoczesną utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych. Podobne stanowisko zajął 5 października 1933 roku Sąd Najwyższy.

W tym czasie nie było już w Polsce Witosa. Pod koniec września 1933 roku, jak pisze w swoich wspomnieniach, udał się na zagraniczną tułaczkę, nie chcąc wpaść w ręce siepaczy, którzy stworzyli piekło Brześcia i Berezy. Przyjaciele uprzedzali go, że może być zamknięty w celi ze ścianami pobielonymi wapnem zmieszonym z arsenikiem i żywy stamtąd nie wyjdzie. Zdecydował się na emigrację. Nocą potajemnie, z pomocą przewodnika – górala Krzeptowskiego, przeszedł na Słowację.

Tam 13 maja 1935 roku dowiedział się o śmierci Piłsudskiego.

Uważał, że niesłusznie zrobiono z tej śmierci tragedię narodową: *Sanacyjni spekulanci polityczni z jednej strony uniesieni pychą,*

*a z drugiej budujący swoje rządy na śmierci Piłsudskiego wyprawili mu pogrzeb kosztem milionów złotych, nie bacząc, że wydają grosz publiczny ubogiego państwa.*

Ze swego oddalenia Witos postrzegał, jak sanatorzy prześladowali księży, którzy ich zdaniem nie wykazali dostatecznej gorliwości w organizowaniu oprawy pogrzebu. Episkopat tłumaczył się, że były dzwony, wszędzie odprawiano nabożeństwa, a półtora tysięcy księży szło za trumną. Restrykcje trwały nadal. Nie uszło też na sucho chłopom, którzy nie stali z pochodniami wzdłuż trasy przejazdu konduktu pogrzebowego. Wielu z nich dostało się do więzienia.

Rząd rozwiązał izby ustawodawcze i rozpisał nowe wybory. Opozycja nie wzięła w nich udziału, sanacja wygrała. Witos twierdził, że wyniki zostały sfałszowane.

Z kraju uciekli też Bagiński, Kiernik, Lieberman i Pragier. Za wszystkimi zostały wysłane listy gończe. Rada Adwokacka skreśliła Pragiera i Liebermana z listy adwokatów.

W połowie 1935 roku podjęli starania o powrót do Polski.

## **Bibliografia**

„Gazeta Polska” – wyd. z 26 sierpnia, 14 września 1930 r.; 27. października 1931 r.

„Kurier Polski” – nr 153 z 1938 r.

„Naprzód” – wyd. z 14 stycznia 1932 r.

„Nowiny Codzienne” – nr 41 z 1933 r.

„Palestra” – nr 3 z 1957 r.; zeszyt 11 z 1968 r.

„Robotnik” – wyd. z 11 września 1930 r.; 18 grudnia 1930 r.; 4 stycznia 1931 r.; 14 stycznia 1932 r.

„Rzeczpospolita” – maj 1924 r.; wyd. z 27 września 1926 r.; październik 1931–styczeń 1932 r.



H. Comte, *Zwierzenia adiutanta. W Belwederze i na Zamku*, Warszawa 1976.

A. Fiderkiewicz, *Burzliwe lata: wspomnienia z lat 1928–1939*, Warszawa 1963.

S. Koper, *Afery i skandale Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 2011.

H. Lieberman, *Pamiętniki*, 1966.

K. Rudnicki, *Wspomnienia prokuratora*, Warszawa 1956.

W. Witos, *Moje wspomnienia*, t. 3, Paryż 1965.

*Proces 11 więźniów brzeskich*, Cieszyn 1932.

„Res Historica”, nr 32 z 2011 r.

*Sprawa brzeska 1930–32*, Katowice 1932.

*W Polsce stoją dziś przeciwko sobie dwa fronty: jeden narodowy, drugi międzynarodowy, utworzony przez Żydów komunistów – tak skomentowała proces Adama Doboszyńskiego, organizatora pogromu w Myślenicach, czołowa gazeta endecji „Myśl Narodowa”. Oskarżony na sali rozpraw pozdrowił prokuratora, podnosząc rękę z okrzykiem: „Heil!”. Wyjaśnił powody zaatakowania myślenickich Żydów: Ideom narodowym coraz bardziej szerzącym się w Najjaśniejszej brakowało nagłego wstrząsu, bodźca, który popchnąłby nacjonalizm w Polsce na właściwe tory. Ktoś musiał rzucić narodowi w twarz, że znajduje się nad przepaścią. On szukał drogi do wstrząsu sumień i wybrał pobicie Żydów w galicyjskim miasteczku, zniszczenie ich dobytku, podpalenie synagogi. Liczył na to, że po pogromie rozlegnie się krzyk tak doniosły, że usłyszy go cała Polska.*

## Nad przepaścią

### **Oskarżony: Adam Doboszyński, zarzut: zorganizowanie pogromu Żydów w Myślenicach**

Luty 1938 roku. Przed Sądem Przysięgłych we Lwowie staje Adam Doboszyński oskarżony o zorganizowanie pogromu Żydów w Myślenicach. Całe miasto żyje tym procesem. Gmach sądu otoczyli manifestanci, wznoszą okrzyki: „Uwolnić Doboszyńskiego!”. Doszło do starcia z policją. „Prosto z Mostu”, tygodnik Stanisława Piaseckiego o orientacji narodowo-katolickiej podaje, że dostępu do sali sądowej broni aż pięć kordonów policji.

Sędzia jest bardzo surowy dla tłumnie zgromadzonej publiczności – nie wolno w czasie rozprawy używać lornetek, do obserwowania twarzy oskarżonego, ani rozmawiać, choćby szeptem.

Przeganiani są gazeciarze roznoszący pachnący jeszcze farbą drukarską dodatek nadzwyczajny „Słowa Narodowego”. Pismo porównuje oskarżonego do idealistycznych bohaterów jego

ulubionych powieści Gilberta K. Chestertona. W swych publikacjach powtarzał za Chestertonem, że demokracja jest przeżytkiem.

To jest już drugi proces Doboszyńskiego. W pierwszym, który przed rokiem toczył się w Krakowie, zapadł wyrok uniewinniający. Chętnie czytany w środowisku krakowskich Żydów „Nowy Dziennik” w relacjach z tego procesu oburzał się, że oskarżony, wchodząc na salę sądową, pozdrowił prokuratora słowem *Heil*, unosząc rękę. Sąd Najwyższy uchylił wyrok i nakazał przenieść rozprawę do Lwowa.

Sprawozdawca procesu we Lwowie, redaktor Zbyszewski z „Prosto z Mostu” nie ukrywa swej sympatii dla organizatora pogromu myślenickiego. Ponowne odczytanie zarzutów: podpalenie synagogi, zdemolowanie mieszkania starosty i posterunku policji, przecięcie przewodów telegraficznych, uwięzienie strażnika miejskiego, zorganizowanie związku zbrojnego i dostarczenie mu broni, starcie ze strażą graniczną – opatruje uwagą, że prokurator czyni osobiste wycieczki w stronę Doboszyńskiego. Np. pozwala sobie sugerować, że podsądny cierpi na manię wyższości, może nawet jest to choroba psychiczna. (Czego biegli pierwszej instancji nie potwierdzili).

Poza tym prokurator ciągle przerywa oskarżonemu, uchyla jego pytania, grozi wydaleniem z sali.

Doboszyński, który wyglądem i manierami przypomina angielskiego lorda – jak twierdzi red. Zbyszewski – nie daje się sprowokować. Karnie milknie, kiedy sędzia Dysiewicz odbiera mu głos, po chwili kłania się uprzejmie w jego stronę i pyta: – *Czy mogę dalej mówić, panie przewodniczący?*

Lub: – *Czy mogę świadkowi zadać dalsze pytanie, panie przewodniczący?*

Publiczność, która weszła na salę rozpraw z kartami wstępu, wie, kim jest 32-letni oskarżony. To syn znanego w Krakowie prawnika, przedwojennego wydawcy, masona. Był w klasie maturalnej, kiedy wybuchła wojna polsko-bolszewicka. Poszedł na front jako ochotnik. Potem studiował na Politechnice Gdańskiej i w Szkole Podchorążych Saperów w Zegrzu. Miał już wtedy zdecydowane poglądy członka

Obozu Wielkiej Polski. Swoje credo polityczne zawarł w książce pt. *Gospodarka narodowa*. Życzliwa ocena Romana Dmowskiego sprawiła, że w 1935 roku Doboszyński wstąpił do Stronnictwa Narodowego. Wśród członków tej partii propagował korporacjonizm (podstawą rozwoju państwa i jego struktur winny stać się korporacje zrzeszające pracodawców i pracobiorców), którym był wówczas zafascynowany. W funkcji referenta propagandy okazał się tak skuteczny, że po roku Stronnictwo Narodowe na powiecie krakowskim rozrosło się z kilku oddziałów do 70, zrzeszając ponad dwa tysiące osób. Mianowano go prezesem tej partii na Kraków i okolice.

Wkrótce potem urządził słynny pogrom Żydów w Myślenicach.

Doboszyński pilnowany na ławie oskarżonych przez czterech policjantów nie wygląda na wystraszonego. Na pytanie sędziego, dlaczego zorganizował marsz bojówkarski, przypomina wydarzenia tzw. krwawej wiosny 1936 roku w Krakowie.

W nocy z 20 na 21 marca tego roku policja brutalnie spacyfikowała kobiecą załogę zakładów gumowych „Semperit”. Pięć robotnic zostało ciężko rannych. Odpowiedzią na te wydarzenia było ogłoszenie w Krakowie strajku powszechnego i zwołanie 20-tysięcznej manifestacji. Policja otworzyła ogień do demonstrantów. Zginęło osiem osób, a kilkadziesiąt zostało rannych. Do walk ulicznych dochodziło zresztą w całym kraju. Sanacyjny rząd odpowiedział na to zamykaniem przywódców rebelii w Berezie Kartuskiej.

Taki los czekał m.in. Wawrzyńca Sielskiego, posła na sejm, sędziego pokoju, działacza oddziału Stronnictwa Narodowego w powiecie konińskim. Kiedy przyjechała po niego policja, aby konwojować aresztanta do Berezy, towarzysze partyjni obwarowali się w jego dworku w Wyszynie i przez dwa dni nie pozwolili zabrać swojego przywódcy. Podczas ataku funkcjonariuszy Sielski został zastrzelony.

Czołowy teoretyk endecji Zygmunt Wasilewski, naczelny redaktor „Myśli Narodowej”, tak skomentował te tragiczne wydarzenia:

*Sytuacja stała się jasna. Stoją przeciwko sobie dwa fronty: jeden narodowy, drugi międzynarodowy, organizowany przez Żydów.*

*– Obiema rękami podpisuję się pod tą opinią – deklaruje Doboszyński w sądzie. – Dodam tylko, że międzynarodowe żydostwo wybrało sobie Kraków na centrum dowodzenia, a gen. Sławoj Składkowski (ówczesny minister spraw wewnętrznych i premier II RP – HK.) wzmacniał reżim sanacyjny tworzeniem kolejnych nowych kompanii policyjnych.*

Z wyjaśnień Adama Doboszyńskiego wynika, że ostatecznym impulsem do zorganizowania marszu na Myślenice stało się spotkanie z członkami Organizacji Młodzieży Niepodległościowej „Zarzewie”.

*– Uświadomiłem sobie – zeznaje – iż w całym kraju idee narodowe szerzą się coraz bardziej, jednakże brakuje nagłego wstrząsu, bodźca, który popchnie nacjonalizm w Polsce na właściwe tory. Gdy zło się panoszy, wówczas znajduje się jednostka, która odbiera sobie życie, aby zwrócić uwagę na źródło zła. Ja jestem Polakiem i katolikiem. Nie mogłem popełnić samobójstwa. Ale miara zła była przebrana i ktoś musiał rzucić narodowi w twarz, że znajdujemy się nad przepaścią. Szukałem drogi do wstrząsu sumień, zrobienia czegoś, co będzie krzykiem tak doniosłym, że usłyszy go cała Polska.*

Nie działał spontanicznie. Najpierw na spotkaniu Rady Powiatowej Stronnictwa rzucił pomysł utworzenia tzw. drużyn ochronnych, które by zabezpieczały wiece i zgromadzenia, a ponadto inwigilowały miejscowe komisariaty policji. Członkowie drużyn – młodzi narodowcy (musieli być członkami partii co najmniej od roku) byli przez Doboszyńskiego szkoleni na próbnym alarmach. Nie wtajemniczał ich w swoje plany marszu na Myślenice. Również zwierzchnie władze SN o niczym nie wiedziały. Miał trudności z podporządkowaniem się centrali.

12 czerwca sam pojechał rowerem z Krakowa do Nowego Targu, zatrzymując się po drodze w Myślenicach, Mszanie Dolnej i Stryszawie. W stolicy Podhala spotkał się z Władysławem Mechem,

członkiem SN, który upewnił go, że burmistrz jest wrogo nastawiony do nacjonalistów, foruje Żydów.

Przez następne 10 dni zastanawiał się, w które z galicyjskich miasteczek uderzyć. W końcu wybrał siedmiotysięczne Myślenice, miejscowość letniskową dla krakowian. Jako założyciel terenowych kół Stronnictwa poniósł tam klęskę, co ambicjonalnie bardzo przeżywał. Na rozprawie sądowej opisał Myślenice jako „pobojowisko ideowe”. Mieszkających tam Żydów traktował jak swych osobistych wrogów. Wprawdzie stanowili tylko 10 procent ludności, ale w ich rękach były: wyszynk, restauracje, wszystkie sklepy w rynku, piekarnie. Jedyne lekarz w Myślenicach był Żydem, podobnie jak jedyny adwokat. Obywatele wyznania mojżeszowego przeważali w Radzie Miasta.

Doboszyński był przekonany, że tamtejsi „chałatowi”, jak się wyrażał, są zdeklarowanymi komunistami.

22 czerwca zawiadomił drużyny ochronne w Tyńcu, Liszkach, Libertowie, Skotnikach, Korabniku, Ochodzy i Bukowie, by w konspiracji stawily się przed północą w jego majątku, Piekiełku, otoczonym lasem chorowickim. Przyjechało 70 osób. Doboszyński wyszedł do swych żołnierzy ubrany w kremową koszulę z wyszytym mieczykiem Chrobrego na ramieniu. Miał oficerskie buty i pas poprzeczny, na którym widniały symbole SN. Powiedział: „Idziemy na Myślenice”. Kilkunastu narodowców nie chciało brać w tym udziału, wrócili do domów.

Bocznymi drogami i leśnymi duktami szli cztery godziny. Tylko wódz był dobrze uzbrojony: w pistolet „Steyr” i rewolwer „Smith&Wesson” – obydwie z zapasową amunicją. Szeregowi dysponowali w sumie czterema karabinami z obciętą lufą. Ale każdy – zarówno najmłodszy 17-latek, jak i najstarszy, w wieku lat 60, zaopatrzył się w solidny kij, siekierę i metalowy pręt.

Po drodze przecięli druty telegraficzne łączące Myślenice z Krakowem, Dobczycami i Pcimiem. Do Myślenic dotarli nad ranem, o godzinie trzeciej trzydzieści. Na miejscu rozbili się na trzy grupy.

Pierwsza, dwudziestoosobowa pod dowództwem Doboszyńskiego, ruszyła na posterunek policji. Mieli broń. Na posterunku pełnił dyżur tylko jeden policjant, który spał na kozetce rozebrany do kalesonów. Dostał kijem w głowę. Nim się osunął na podłogę, usłyszał od Doboszyńskiego: „Żal mi pana, że pana tak haratnęli, jesteśmy narodowcami!”. Napastnicy zdemolowali pomieszczenie, zabrali 14 karabinów, 4 rewolwery i amunicję. Na koniec, opuszczając posterunek, rozbili telefon i maszynę do pisania, a jeden z uczestników uderzył rannego policjanta kilka razy gumową pałką, krzyząc: „Nie bij, skurwysynu, narodowców!”.

W tym czasie druga falanga zabrała się do niszczenia żydowskich sklepów na rynku. Kiedy Doboszyński przyszedł im z pomocą, zabronił bicia kupców. Towary miały być zwożone na środek rynku i tam podpalone. Zrozpaczeni handlarze przestali ratować swój dobytek, kiedy zobaczyli, co spotkało stawiającego się napastnikom piekarza Jude Berkowicza i jego czeladnika Leibe Weksberga. Obaj mężczyźni pobici kijami tylko cudem uniknęli śmierci.

Grupa trzecia miała podpalić bożnicę. Doboszyński zaopatrzył ją w butelkę z naftą, którą po zapaleniu mieli wrzucić do świątyni przez okno. Na szczęście żagiew spadła do przedsionka i zgasła po wypaleniu dziury w podłodze.

Dowódca miał w planach jeszcze jedną ofiarę tego ranka – starostę myślenickiego Antoniego Basarę. W dziesięciu poszli do jego domu. Wyważyli drzwi i porąbali siekierami cały dobytek. Z drewnianego budynku pozostały połamane deski. Starosta ukrył się wraz ze swoją gospodynią Kunegundą Turek w komórce obok kuchni. Kiedy narodowcy go tam znaleźli, twierdził, że Basara przebywa w Jordanowie, a on jest jego krewnym. Doboszyński uwierzył. Na odchodnym kazał przekazać panu staroście, że przyszli mu odpłacić za opiekę nad narodowcami.

Był już jasny czerwcowy poranek, kiedy banda kończyła wykonanie wyroku na miasteczko. Na rynku zawodziły Żydówki, usiłując cokolwiek uratować z pogorzelniska. Obok nich płątały się wyrwane z łóżek dzieci. Napastnicy wyważyli drzwi do nietkniętego dotąd sklepu z „mydłem i powidłem”. Po zrzuceniu towaru z półek

i rozdeptaniu go, zabrali lemoniadę, cukierki i bułki. Pożywili się, a resztę rozdali przechodniom.

Odchodząc, aresztowali strażnika miejskiego Władysława Święcha. Prowadzili go związanego trzy kilometry i dopiero w tej odległości od Myślenic puścili wolno. Porzucony w lesie nie miał szans na szybkie zaalarmowanie policji o pogromie.

Przy moście na Rabie, na szwadron Doboszyńskiego czekała furmanka. Dojechali w okolice Poręby i tam po sutym śniadaniu (wódz zadbał o prowiant) przygotowywali się do odparcia oddziałów pościgowych policji.

Do ataku doszło około godziny piętnastej. Doboszyński ustawił swoich ludzi w tyralierę, dał im broń. W strzelaninie dwóch narodowców zostało rannych, jeden z nich, Józef Pałka, zmarł kilka dni później w szpitalu. Narodowcy rozpierzchli się, przy dowódcy zostało dziesięciu najwierniejszych. Ruszyli w kierunku gór Łysiny; nadkładając drogi, aby ominąć wieś, dotarli do schroniska w Starych Wierchach. Adam Doboszyński wpisał się w książce pamiątkowej: *Inż. Adam Doboszyński z dziewięcioma narodowcami. W rubryce „przebieg wyprawy” umieścił zdanie *Walka o Wielką Polskę Narodową*. A w miejscu na korespondencję z nieobecnym gazdą schroniska poinformował: *Pozostaliśmy winni 3 zł 10 groszy, które wkrótce odeślę*.*

Kiedy dwie godziny później dotarł tam pościg policyjny, narodowcy byli już daleko, w lasach Zawoi. Posterunkowy Leon Pawłowski też się wpisał do książki pamiątkowej. W rubryce „przebieg wycieczki” górniolotnie poinformował: *Pościg za dywersją niszczącą żywotne siły państwa i osłabiające jego obronność, za złem, które ojczyznę zgubiło*.

Oddział Straży Granicznej dopadł bandę w Zubrzycy Dolnej. Znów doszło do strzelaniny, od kuli zginął towarzysz Doboszyńskiego, Józef Machno. Pozostali narodowcy uciekli. Sam Doboszyński ukrył się w szałasie na wzgórzu Policzne, tam donosił mu jedzenie syn Albina Kudzi, kierownika regionalnego oddziału Stronnictwa Narodowego.



Rano 30 czerwca Doboszyński został wytropiony przez oddział policyjny. Bronił się, ostrzeliwując, kula atakujących drasnęła go w przegub ręki. Kiedy zakładano mu kajdanki, ostrzegł mundurowych: – *W tej chwili jest was więcej, ale nie wiadomo, co będzie jutro.*

Po aresztowaniu organizatora myślenickiej wyprawy represje rządu Walerego Sławka, a bezpośrednio ministra spraw wewnętrznych Sławoja Składkowskiego, zostały skierowane na „gniazdo zła”, jak to określano w policyjnych raportach, czyli Zarząd Wojewódzki Stronnictwa Narodowego w Krakowie. Jego prezes dr Władysław Mech i wiceprezes Franciszek Jelonkiewicz trafili do Berezy Kartuskiej. Zarząd SN na powiat krakowski został rozwiązany jako zagrażający bezpieczeństwu państwa.

Procesy sprawców pogromu myślenickiego, decyzją sądu zostały rozdzielone. Najpierw byli sądzeni towarzysze Doboszyńskiego. (W sumie było ich 47). Ośmiu oskarżonych za niszczenie mienia żydowskiego skazano na pół roku pozbawienia wolności. Tyle samo mieli spędzić za kratami ci, którzy napadli na mieszkanie starosty. Trzech trafiło do więzienia na 20 miesięcy za uprowadzenie strażnika miejskiego, 21 otrzymało karę w zawieszeniu, zaś 11 uniewinniono.

Sąd apelacyjny oddalił zawieszenie w odbywaniu kary, uznał winę jednego z wcześniej uniewinnionych, a trzem innym podwyższył wyroki. Dodatkowo skazano na 10 miesięcy pozbawienia wolności dwóch oskarżonych, którzy ukrywali się przed wymiarem sprawiedliwości.

Lwowski proces Adama Doboszyńskiego zaczął się w lutym 1938 roku. Doboszyński, jak informował dziennikarz PPS-owskiego „Robotnika”, stawiał się, oskarżał rząd polski o tolerowanie w kraju „zarazy komunizmu i żydostwa”. Liczni świadkowie obrony nie wypowiadali się na temat przestępczych czynów organizatora pogromu Żydów. Ich zeznania miały być dowodem na prześladowanie narodowców w Myślenicach i okolicznych miejscowościach.

Sędziowie przysięgli usłyszeli o cichych namowach posterunkowego do atakowania członków Stronnictwa Narodowego, „żeby im się odechciało zajmować polityką”.

Jeśli ktoś przyczepił sobie mieczyk Chrobrego do klapy marynarki, nie mógł wziąć udziału w obchodach 3 Maja. Przy rozdawnictwie darów na powodzian endecy byli pomijani. Delegaci koła SN, którzy przyszli prosić starostę, żeby wybory na wójta przeprowadzono bez nacisku, usłyszeli arogancką odpowiedź: – *Sprawiedliwości się wam zachciewa!* Prezesa koła, grywającego wieczorami w chałupie na skrzypcach, karano mandatami po 25 zł za rzekome urządzenie publicznych zgromadzeń. Górala z Zawoi, oskarżonego przez Żyda, właściciela karczmy, o kradzież gorzałki, prowadzono w Boże Narodzenie trzy kilometry boso tylko w bieliźnie (został wyciągnięty z łóżka) na posterunek, w celu konfrontacji z rzekomo pokrzywdzonym. A gdy potem złożył zażalenie, skazano go na 6 miesięcy więzienia za obrazę władzy, której się dopuścił w owej skardze. W Skawinie przodownik policji zabraniał członkom SN chodzenia we dwójkę, bo to podpadało pod nielegalne zgromadzenie.

Zebrania narodowców rozwiązywano z absurdalnych przyczyn. Np. ze względu na to, że słomiany dach świetlicy grozi zawaleniem, choć dzień wcześniej bez problemów odbywały się tam spotkania członków Frontu Ludowego i Polskiej Partii Socjalistycznej.

Listy na poczcie w Nowym Targu do członków SN były otwierane, a gazety popierające Stronnictwo, jak „Orędownik”, choć puszczane przez cenzurę, policja konfiskowała... Kiedy Doboszyński wniósł skargę na takie postępowanie przodownika do starosty, nie dostał żadnej odpowiedzi.

Tłumiono różne przedsięwzięcia narodowców. Na przykład pannę Hallerównę, siostrę sławnego generała, spotkała przykrość za prowadzenie bezpłatnych kursów straganiarstwa na myślenickim rynku. (Chciała w ten sposób walczyć z zalewem kupców żydowskich). Posterunkowy zarzucił jej, że posługuje się na swych wykładach niecechowanym metrem. Pod karabinem zaprowadził

kobietę na posterunek, gdzie wobec braku przestępstwa, musiał aresztowaną puścić wolno. Wystraszonych interwencją policji kursantów nie dało się już namówić na dalszą naukę.

W prorzadowym dzienniku „Rzeczpospolita” raz po raz ukazywały się kłamliwe informacje mające na celu zohydzenie endecji. Pisano na przykład, że wszyscy członkowie koła Stronnictwa Narodowego w Dobczycach kilkakrotnie byli karani za kradzieże i inne przestępstwa pospolite. A w Stojowicach sekretarzem SN jest analfabeta, kieszonkowy złodziej.

Adam Doboszyński, zapytany przez sąd, dlaczego jego ludzie zniszczyli dobytek starosty Basary, wyjaśnił, że była to dotkliwa kara za szykanowanie narodowców. Podał przykład: kiedy krakowska Dyrekcja Kolei ogłosiła przetarg na kozuchy dla maszynistów i wygrali go myśleniccy kuśnierze znani z endeckich poglądów, starosta wymusił na zleceniodawcy wycofanie zamówienia.

Świadcowie oskarżenia – głównie policjanci i administracja – przedstawili sprawcę pogromu w jak najgorszym świetle.

Skupił wokół siebie kryminalistów, którzy pewni partyjnego poparcia mieszały ludziom w głowach. W rezultacie – jak twierdził komisarz policji w Myślenicach – 70 procent mieszkańców nie słuchało żadnych rozporządzeń, nic nie robiło bez przymusu, nawet świadków do sądu trzeba było doprowadzać siłą. Z poduszczenia działaczy Stronnictwa myśleniczanie pisali zażalenia na miejscową władzę do prokuratury, Ministerstwa Sprawiedliwości, Marszałka Piłsudskiego i Ligi Obrony Praw Człowieka.

Oczerniali starostę Basarę, uczciwego człowieka, który dla każdego miał zawsze dobre słowo i osobiście rozdawał buty bosym.

– *Ludność traktowała nas nienawistniej niż okupantów* – podkreślił komisarz Nowak.

– *Czemuż to pan przypisuje tę niechęć ludności do władz?* – zapytał sędzia.

Komisarz czując, że jako świadek oskarżenia się zagalopował, wszak mieszkający w Krakowie Doboszyński nie mógł mieć tak

wielkiego wpływu na mieszkańców Myślenic, odpowiedział wymijająco, że... to może reminiscencje po Jakubie Szeli, który sto lat temu w powiecie tarnowskim rznął panów...

Zeznawał też poszkodowany starosta Basara. Straty, jakie poniósł w czasie napaści narodowców, miały zostać podliczone w procesie cywilnym, więc tylko o tym napomknął, pragnąc przekonać przysięgłych, jak niesprawiedliwie endecy posądzali go o stronnnicze traktowanie partii politycznych w miasteczku.

Wicestarosta krakowski, Chrapowicki, zeznał, że zaalarmowany przez samorządowe władze, wybrał się raz na wieś na zebranie SN zwołane przez Doboszyńskiego. To nie były obrady członków SN, jak napisano później w skardze do wojewody, ale publiczna, niedozwolona agitacja. Zorganizowana sprytnie, bo chłopci słuchali agitacyjnej przemowy, stojąc na dworze, pod otwartym oknem. Świadek uznał, że ma do czynienia ze zgromadzeniem na świeżym powietrzu, zorganizowanym bez pozwolenia i kazał posterunkowemu rozwiązać zebranie.

*– Może okno było otwarte z powodu duchoty w izbie – zauważył obrońca Doboszyńskiego. – Wystarczyłoby po prostu kazać je zamknąć i na wszelki wypadek postawić w tym miejscu posterunkowego, aby odpędzał ciekawskich...*

Wicestarosta zaperzył się: przepis jest, żeby rozwiązać, zwłaszcza że ludzie przychodzili uzbrojeni. Wprawdzie tylko w kostury, ale kto wie, do czego mogłyby się przydać.

Wyjaśnił też sprawę konfiskaty endeckich gazet z kiosków. Stosowano ją w Myślenicach zgodnie z okólnikiem rządowym zezwalającym władzom na likwidowanie pism niebezpiecznych dla danego ośrodka. To, że cenzura puszczała „Orędownika” i „Głos Narodu”, jeszcze nie otwierało drogi do kolportażu. Zdaniem starosty, tym gazetom specjalnie zależało na podminowaniu Myślenic.

Ława przysięgłych we Lwowie ponownie uniewinniła Adama Doboszyńskiego od większości zarzucanych mu czynów. Za wtargnięcie do prywatnego mieszkania starosty sąd skazał

oskarżonego na 3 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności, z czego na poczet kary zaliczono czas przebywania w areszcie. Doboszyński miał wyjść na wolność 1 stycznia 1940 roku.

Jednakże już w lutym 1939 roku minister sprawiedliwości Witold Grabowski udzielił oskarżonemu kilkumiesięcznego urlopu zdrowotnego – do 12 września.

Wybucho wojna i więzień nie wraca do celi. Doboszyński idzie na front. Przedostaje się na Zachód, w kampanii francuskiej jest trzykrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Do Władysława Sikorskiego odnosi się z rezerwą, bo jak twierdzi, *generał opiera swój rząd na fundamentach niepolskich*. W marcu 1941 roku pisze list otwarty do Antoniego Słonimskiego:

*Pana zdaniem po tej wojnie przyjdzie zmierzch nacjonalizmów. Szanowny Panie, nacjonalizm, to po prostu uczucie przywiązania do własnego narodu i wynikające z tego konsekwencje. (...) Choćby miały zaniknąć wszystkie inne nacjonalizmy, dwa zostaną na pewno: angielski i żydowski. (...) Niestety, Bóg pchnął Polskę na drogę krwi i żelaza, i zmusił do stałego warowania na granicach. U nas stan potrzeby trwać będzie jeszcze bardzo długo, a z nim konieczność silnej władzy. Jeśli Pan nie lubi ludzi silnej ręki, to niech Pan do Polski nie wraca.*

Za ten list generał Sikorski zsyła Doboszyńskiego na 9 miesięcy na szkocką wyspę Bute, gdzie w katorżniczych warunkach są internowani myślący niepoprawnie oficerowie.

W 1946 roku Doboszyński pod przybranym nazwiskiem wróci do kraju. Nadal będzie przekonany o żydowsko-masońskich rządach nad światem i przeświadczony, że rząd lubelski postawił sobie za cel zniszczenie Polski. Nie ma już rodzinnego majątku. *Führer Doboszyński, wróg śmiertelny wolnej Polski demokratycznej, dzięki reformie rolnej stracił swoje włości na rzecz polskiego chłopca – napisze krakowski „Dziennik Polski”*.

Rok później zostanie aresztowany.

– *Stojący tu przed nami oskarżony Adam Doboszyński to odrażająca postać* – tak naczelny prokurator wojskowy Stanisław Zarako-Zarakowski zacznie w 1949 roku proces przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie. Zarako-Zarakowski będzie znany z wydawania surowych wyroków dla wrogów Polski Ludowej. Tydzień wcześniej, w sali obok, skarże za poglądy na 10 lat więzienia o zaostrzonym rygorze Kazimierza Pużaka, działacza PPS. (Wkrótce więzień umrze za kratami).

Osobliwie zabrzmiał odczytywany akt oskarżenia: główny zarzut to szpiegowanie na rzecz Niemiec jeszcze od czasów II RP. Ale minie już druga godzina prokuratorskiej mowy, a jeszcze nie padną żadne konkretne dowody przestępstwa. Będzie za to dużo epitetów.

– *Ten proces – zagrzmiał oskarżyciel publiczny – odsłania dzieje współczesnej Targowicy. Stawia pod pręgierz wyznawców obcych ideologii, którzy wyrzekli się własnej ojczyzny, od dawna przestali być Polakami, idąc na służbę obcych wywiadów, usiłowali pozbawić państwo polskie niepodległościowego bytu.*

Będzie mowa o tym, że oskarżony jeszcze przed wybuchem wojny propagował zbliżenie ideologiczne faszystowskich Niemiec i Polski. Z tego powodu przygotował książkę pt. *Gospodarka narodowa*. W listopadzie 1933 roku w czasie spotkania z rezydentem wywiadu niemieckiego w Polsce wręczył mu raport o rozłamie w Stronnictwie Narodowym. Wkrótce potem w Berlinie za pośrednictwem Aleksandry Tyszkiewiczowej – *herbowej ladacznicy, nałogowej narkomanki i zawodowej agentki niemieckiej* – został zwerbowany jako szpieg. To z polecenia swych berlińskich mocodawców w czerwcu 1936 roku, jako prezes zarządu powiatowego SN w Krakowie z bandą narodowców dokonał pogromu Żydów w Myślenicach. Po wybuchu wojny mundur żołnierza rzekomo walczącego z hitlerowcami, założył na polecenie agenturalnej centrali w Berlinie.

– *Wyczuwamy nić przyczynową pomiędzy tajemniczą śmiercią generała Sikorskiego a niemiecką robotą Doboszyńskiego* – zauważy prokurator Zarako-Zarakowski. I poinformuje, że

oskarżony przyznał się w śledztwie do przedstawionych mu zarzutów.

– *Czy oskarżony potwierdza swoje wyjaśnienia z śledztwa?* – zapyta wojskowy sędzia Franciszek Szeliński w pierwszym dniu procesu.

– *Nie* – padnie elektryzująca dziennikarzy odpowiedź. – *Wtedy zostały wymuszone torturami. Przez cztery doby byłem bez przerwy bity i męczony.*

Sędzia puści te słowa mimo uszu, będzie szczegółowo pytał o marsz na Myślenice. Przez cały dzień, jak gdyby proces dotyczył wydarzenia dawno już osądzonego.

– *Zostało udowodnione* – stwierdzi prokurator – *że oskarżony zwalczał przed wojną Front Ludowy.* (Koncepcja Frontu Ludowego partii komunistycznych z socjaldemokratycznymi została sformułowana w latach 1935–1938 przez Józefa Stalina – HK).

Doboszyński będzie się bronił. – *Nieprawda, to w ogóle nie wchodziło w moje partyjne kompetencje.*

Prokurator: – *Zasadniczym kierunkiem działalności oskarżonego w okresie wojennym było zwalczanie polityki Sikorskiego w stosunku do ZSRR. Od kogo i jakie dyrektywy oskarżony otrzymał w tej sprawie?*

– *Od nikogo* – padnie odpowiedź.

– *W śledztwie oskarżony zeznawał inaczej* – będzie się upierał prokurator. I zacytuje z protokołu przesłuchań: – *„Z początkiem 1939 roku otrzymałem z Paryża od nieznanego mi bliżej agenta wywiadu niemieckiego instrukcję, według której miałem pozostać w wojsku i zwalczać generała Sikorskiego. Następne kontakty z wywiadem niemieckim nawiązałem w lipcu 1940 roku”.*

– *Te zeznania były wymuszone. Nigdy nie szpiegowałem na rzecz Niemiec.*

Prokurator zwróci się do sądu: – *W związku z dalszymi prowokacjami ze strony oskarżonego wnoszę o powołanie jako świadka pułkownika Adama Humera, naczelnika Wydziału*

## *II Departamentu Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.*

Dziesiątego dnia rozprawy stawi się Humer.

– *Co obywatelowi podpułkownikowi wiadomo o sprawie podsądnego?* – zapyta oskarżyciel publiczny.

– *Organy bezpieczeństwa od dawna wiedziały, że Adam Doboszyński po przyjeździe do kraju spotyka się w konspiracji z grupą, która prowadzi wrogą działalność wobec państwa ludowego. Kiedy stało się oczywiste, że szykuje zamach na niektóre osobistości państwowe, postanowiliśmy go aresztować.*

– *Czy oskarżony dobrowolnie składał zeznania?*

– *Tak. Śledztwo było prowadzone pod moim nadzorem, ja sam go przesłuchiwałem. Doboszyński po złożeniu zeznań o swej współpracy z Niemcami powiedział: „Jestem szczęśliwy, że mogę po tylu latach zrzucić nareszcie z siebie zmorę, która mnie dławiała”.*

Prokurator zawnioskuje o powołanie na świadka posła Adama Polewkę, który jako komunista wypowie się na temat prohitlerowskiej działalności oskarżonego przed wrześniem 1939 roku.

Poseł określi marsz myślenicki jako *wielką dywersję hitlerowską przeciwko Frontowi Ludowemu, głośny strzał w plecy narodu polskiego.*

Po 11 rozprawach sędzia ogłosi zakończenie postępowania karnego. Głos zabierze prokurator Zarako-Zarakowski.

– *Już w siedemnastym wieku...* – oskarżyciel wyliczy długą listę zdrajców ojczyzny. Po kilku godzinach dojdzie w końcu do przedstawiciela „pasożytniczej klasy”, Adama Doboszyńskiego.

Zarako-Zarakowski zmieni nastrój. Będzie afektowanie recytować wiersz Broniewskiego *Bagnet na broń: Ze spuszczoną głową, powoli/ Idzie żołnierz z niemieckiej niewoli...*

– *I oto do szeregów uczciwych polskich żołnierzy* – prokurator podniesie głos – *wkręcił się niemiecki agent, zarejestrowany jako Doboszyński. Słuchając tego degenerata na sali sądowej,*



*odczuwałem obrzydzenie do człowieka, który mimo swoich zbrodni, bez jakichkolwiek moralnych skrupułów śmiało włożyć mundur polskiego żołnierza.*

I tak dalej, w tym stylu. Epitety, ani jednego dowodu. Pod wieczór prokurator zwróci się do publiczności:

*– Ten proces, obywatele, budzi optymizm, gdyż wycina się ze zdrowej tkanki narodu rakową narośl. Dla agenta obcego państwa żądam kary śmierci.*

Obrońca z urzędu Mieczysław Maślanko zacznie od słów, które sprawiają, że twarz Doboszyńskiego robi się szara jak popiół:

*– Na wstępie muszę podkreślić, że całkowicie zgadzam się z obywatelem prokuratorem. To jest proces nie tylko samego oskarżonego, ale i środowiska, z którego on się wywodzi i które zbankrutowało.*

Ostatnie słowo oskarżonego:

*– W tej chwili, w obliczu śmierci, której żąda dla mnie pan prokurator, jako wierzący katolik podtrzymuję całą mocą tę przysięgę: Na rany i mękę Chrystusa nie byłem nigdy w służbie niemieckiej, amerykańskiej ani żadnej innej. Ze względu na późną porę ograniczam się do prośby o wyrok oparty na prawie i sprawiedliwości.*

Sąd wojskowy wyda Adama Doboszyńskiego na karę śmierci.

Wyrok zostanie wykonany dwa tygodnie później, 29 sierpnia 1949 roku, strzałem w tył głowy. Nieznane będzie miejsce pochówku zamordowanego.

*Zbyt mocno został obrażony każdy uczciwy Polak w swym patriotyzmie, zbyt głęboko ludzie odczuli otchłań zaprzaństwa oskarżonego, by w sercu i umyśle mogli pogodzić się z innym wyrokiem – skomentuje karę śmierci ówczesna „Trybuna Ludu”. Wychodzący w Krakowie „Dziennik Polski” nazwie skazanego „führerem myślenickim”, „postacią pierwszej klasy międzynarodowego zaprzaństwa”, „faszystowskim polipem”.*

W niezwykłym tempie, bo w ciągu kilku tygodni nakładem wydawnictwa Książka i Wiedza zostanie wydany stenogram z procesu. (Bez wzmianki o redaktorze wydania). We wstępie anonimowy autor powtórzy jako swoje słowa prokuratora z mowy oskarżycielskiej: *To nie był proces jednego człowieka, zdegenerowanej jednostki, która za judaszowe srebrniki sprzedawała własny naród. To był proces całej warstwy społecznej, z której skazany się wywodził.*

Roman Bratny, który sąd nad Doboszyńskim będzie relacjonował dla tygodnika „Odrodzenie”, tak w *Pamiętnikach moich książek* wspomni to wydarzenie:

*Kiedy oskarżony głosem napiętym oświadczył, że przysięgając na krew i rany Chrystusa, jest niewinny, wówczas ja, dwudziestoparoletni sprawozdawca sądowy, przeżyłem szok. Nie, żebym nie wiedział nic o kulisach tej drugiej rzeczywistości, ale tu mój wróg – bo nienawidziłem Doboszyńskiego, czarnosecinnego[5] dowódcy myślenickiego pogromu, głupawego młodopolskiego naśladowcy Hitlera – więc mój wróg stanął raptem w pozycji sprawiedliwego.*

W maju 1989 roku w Okręgowej Radzie Adwokackiej w Warszawie odbędzie się dyskusja o etyce mecenasa Maślanki, który przyjął obronę Doboszyńskiego w przeddzień procesu, bez wnikliwego zapoznania się z aktami. Adwokat Tadeusz de Virion, stwierdzając, że śp. Adam Doboszyński stanął przed sądem pod całkowicie zmyślonym zarzutem współpracy z wywiadem niemieckim, na co nie było żadnych dowodów, podjął się analizy linii obrony oskarżonego:

Mecenas Maślanko ignorował nieprzyznawanie się jego klienta do winy w czasie procesu. Chcąc zapobiec wyrokowi śmierci, stworzył konstrukcję prawną, opartą na negowanych przez Doboszyńskiego faktach.

*– Poświęcono więc prawdę dla ratowania życia – zauważy Tadeusz de Virion – ale nie wiemy, czy był to stan wyższej konieczności, czy też współdziałanie z bezprawiem.*

W pamiętnym roku 1989 na skutek rewizji nadzwyczajnej profesora Adama Łopatki, pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, Adam Doboszyński zostanie pośmiertnie zrehabilitowany, jako ten, którego skazano za poglądy. Obrońcą z urzędu miał być mecenas Władysław Pociąg, ale względy proceduralne (powołanie przez rodzinę skazanego adwokata z wyboru) stanęły na przeszkodzie w wykonaniu tego obowiązku. Swą mowę opublikuje wkrótce potem w miesięczniku „Białe Plamy”.

– *Czy wolno odbierać życie w majestacie prawa – zapyta – jeśli oskarżony był czarnosecinnie? Czy wolno je odbierać poprzez wyrok sądowy tylko dlatego, że się oskarżonego nienawidzi?*

Prokurator Stanisław Zarako-Zarakowski zostanie przeniesiony do rezerwy w 1956 roku. Po zwolnieniu ze służby będzie dyrektorem Centralnego Zarządu Obrotu Produktami Naftowymi, a następnie, aż do emerytury, w 1968 roku, Centralnego Zarządu Ceł.

W 1991 roku został zdegradowany przez Lecha Wałęsę, bez odebrania odznaczeń. Uniknął odpowiedzialności za swoje czyny zarówno w PRL, jak i III RP. Zmarł w 1998 roku, został pochowany na Powązkach.

Pułkownik Adam Humer zwolniony z resortu w 1955 roku za stosowanie tortur w śledztwie, stanie z tego powodu przed sądem dopiero w roku 1994. Otrzyma wyrok 7,5 roku. Umrze podczas przerwy w wykonywaniu kary.

## **Bibliografia**

„Myśl Narodowa” – nr 52, grudzień 1934 r.

„Nowy Dziennik” – wyd. z 14 czerwca 1937 r.

„Orędownik” – wyd. z 16 czerwca 1937 r.

„Prosto z Mostu” – wyd. z 20 lutego 1938 r.

„Trybuna Ludu” – wyd. z 10 czerwca 1949 r.

„Warszawski Dziennik Narodowy” – wyd. z 15 czerwca 1937 r.

„Życie Warszawy” – wyd. z 10 czerwca 1949 r.

R. Bratny, *Pamiętnik moich książek*, Warszawa 1978.

N. Iwanow, *Zapomniane ludobójstwo. Polacy w państwie Stalina. „Operacja polska” 1937–1938*, Kraków 2014.

*Kto był kim w II Rzeczypospolitej*, red. nauk. J. Majchrowski, Warszawa 1994.

- [1] **Teodor Duracz (1883–1943)** – prawnik, działacz komunistyczny; członek PPS-Lewicy, Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (od 1918). Uwięziony w 1943 r. na Pawiaku, zginął zakatowany, ale nikogo nie wydał. Prokurator K. Rudnicki wspominał dowcip krążący wśród adwokatów, że Duracz w sprawie komunistycznej nie jest obrońcą, lecz dowodem. Jego prawdomówność i gruntowne analizy prawnicze sprawiały, że sędziowie nie sprawdzali materiału dowodowego. Zasłynął w wielu głośnych procesach osób oskarżonych o działalność komunistyczną. Bronił m.in. studenta Leona Toeplitza i jego 10 kolegów z Uniwersytetu Warszawskiego, członków Związku Młodzieży Komunistycznej w Polsce, oskarżonych o dążenie do obalenia ustroju przez zbieranie tajnych informacji i czytanie zakazanych pism. Adwokat płomienną mową przekonał sąd o niewinności sześciu spośród jedenastu oskarżonych. Toeplitza, syna Teodora – żydowskiego przemysłowca i radnego m. Warszawy – obronił przed wysokim wyrokiem; skazano go na 4 lata. Jak podaje IPN, Teodor Duracz był wieloletnim współpracownikiem wywiadu radzieckiego. W PRL pośmiertnie został wybrany patronem Centralnej Szkoły Prawniczej popularnie nazywanej „Duraczówką” – działającej w l. 1948–1953 (jej absolwenci po ukończeniu 2-letniego kursu zostawali sędziami i prokuratorami).
- [2] KC RKP(b) – Komitet Centralny Rosyjskiej Partii Komunistycznej (bolszewików).
- [3] **Kazimierz Cyprian Ujazdowski (1898–1942)** – już w 1914 r., będąc uczniem warszawskiego Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego, wstąpił do Narodowej Młodzieży Robotniczej, utworzył koło NMR w szkole i domagał się przywrócenia na lekcjach języka polskiego. Jako ochotnik uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej. W okresie międzywojennym, będąc radcą prawnym, wspierał swą wiedzą Chrześcijańsko-Narodowy Blok Pracy. Jako adwokat bronił w procesach politycznych lat 30. Często bardzo

skutecznie. W sprawie brzeskiej, jego mandant poseł Adolf Sawicki ze Stronnictwa Chrześcijańskiego, jako jedyny spośród oskarżonych został uniewinniony.

Od pierwszych dni okupacji działał w konspiracji, wydając nielegalną prasę. Został aresztowany podczas wykrycia podziemnej radiostacji w kościele Kapucynów przy ulicy Miodowej w Warszawie. Po kilkumiesięcznym śledztwie wywieziono go do obozu hitlerowskiego w Auschwitz-Birkenau i tam stracił życie 7 czerwca 1942 roku.

- [4] **Wacław Szumański (1882–1943)** – za czasów caratu adwokat „wywrotowców” z PPS. W II RP również był obrońcą w procesach politycznych, m.in. w brzeskim. Gdy w maju 1936 r. tekę ministra sprawiedliwości w rządzie Sławoja Składkowskiego objął wiceprokurator Witold Grabowski (zwolennik faszystowskiego programu Obozu Narodowo-Radykalnego), Szumański wystąpił przeciw niemu w liście otwartym. Zarzucał mu m.in. odbieranie sądownictwu niezależności i okrucieństwo stosowane w zakładach karnych. Domagał się ustąpienia z zajmowanego stanowiska. Spotkał go za to proces o zniesławienie.

Jako obrońca nie znał kompromisu. *W dniu, kiedy miał przemawiać w sądzie, jeszcze przed rozpoczęciem sesji był tak skoncentrowany na swym zadaniu, że odganiał każdego, kto się do niego zbliżył* – pisze w swych wspomnieniach prokurator Rudnicki.

Po wybuchu wojny Szumański został wywieziony do obozu w Oświęcimiu. Udało mu się uciec. Ale wbrew radom kolegów nie wyjechał na wieś, lecz nadal przebywał w Warszawie, chodził do kawiarni; w 1943 r. znów go aresztowano. Tym razem już nie wrócił. Zmarł zakatowany w Auschwitz w październiku tego samego roku.

- [5] Czarnosecinne – agresywne, skrajne, antysemickie i nacjonalistyczne zachowania (poglądy); od: „czarna sotnia” – jak w Rosji na początku XX w. nazywano bojówki policyjne,

potem także skrajnie reakcyjne organizacje głoszące hasła antysemickie i szowinistyczne.



*Wydarzenia w Krakowie doprowadziły do uwięzienia wielu znanych polityków w twierdzy brzeskiej. Na zdjęciu widok ogólny na most na Bugu w obrębie twierdzy w Brześciu. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Wincenty Witos, lata 20. XX wieku. Fot. Wikimedia Commons*



# OBWIESZCZENIE.

## OBYWATELE!

Rozlegają się nawoływania do strejku powszechnego.

Strejk taki nie prowadzi do poprawy bytu klasy pracującej, a odwrotnie – bezrobocie może jedynie pogłębić ciężkie jej położenie, nie mówiąc już o tem, że w takiej chwili nieodpowiedzialni ludzie złej woli mogą popchnąć masy do kroków nieszczęśliwych.

Powiadam wszystkim, że władza państwowa spełni swój obowiązek i, gdyby strejk wybuchł, zapewni zarówno bezpieczeństwo i spokój, jak i bezwzględną możliwość i wolność pracy. Jestem w posiadaniu wszystkich środków, jakie są do celu tego potrzebne.

Wszelkie bez wyjątku wiece i pochody pod otwartym niebem są zakazane.

Ludność Warszawy tylekrotnie w ciągu ostatnich lat wykazała swój patriotyzm, odwagę i poczucie państwowości, że i na ten raz, wierzę, moje wezwanie obywateli do spokoju odniesie pożądany skutek.

Warszawa, dn. 4 listopada 1923 r.

p. o. KOMISARZA RZĄDU  
na m. st. Warszawę

(-) **Jarmołowicz.**

Biuletyn Państwowy nr 2075 - 1.11.1923

*Obwieszczenie z 4 listopada 1923 roku wzywające do spokoju.  
Fot. Biblioteka Narodowa*



Generał Lucjan Żeligowski (3. od lewej) na konferencji inspektorów armii w Warszawie w 1926 roku. Widoczni także od lewej: gen. Mieczysław Norwid-Neugebauer, gen. Jan Romer, gen. Edward Rydz-Śmigły, gen. Aleksander Osiński. W drugim rzędzie od lewej: NN, mjr Aleksander Prystor, gen. Józef Rybak, gen. Leonard Skierski, gen. Tadeusz Piskor, płk. Tadeusz Kasprzycki. Fot. Internetowy Polski Słownik Biograficzny

Wielkość czcionki opłacona ryczą. ABCD

Cena numeru w Krakowie na przedpły 15.000 MK

PRENUMERACJA POCZTOWA  
W Krakowie czerwiec 300000  
Na prowincji .. 450000

# ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY

GENY OGŁOSZEŃ: ...

Rok XIV. Kraków, wtorek 6 listopada 1923. Nr. 279.

## Rząd domaga się odwołania strajku powszechnego. W razie likwidacji wszystkich strajków cofnie zarządzenia o sądach domowych.

(Telefogram od naszego korespondenta.)

**Narady rządowe.**

**Związki zawodowe podtrzymały decyzję strajkową. Strajk ma charakter polityczny — kieruje nim P. P. S.**

**Belchowska zajmuje saskie miasto.**

**Jakie oblicze przybierze rząd Stresemanna?**

**Epidemia przesileni gabinetowych w Niemczech.**

„Ilustrowany Kurier Codzienny” o strajku w Krakowie, 6 listopada 1923 roku. Fot. Małopolska Biblioteka Cyfrowa



„Ilustrowany Kurier Codzienny” z 9 listopada 1923 roku o krwawych zamieszkach w Krakowie, 6 listopada 1923 roku. Fot. Małopolska Biblioteka Cyfrowa

## Nowy dowódca D.O.K.V. (Kraków) gen. Lucyan Żeligowski.

Kraków, 9 listopada.

Gen. Lucyan Żeligowski, który objął w dniu wczorajszym władzę wodną w Krakowie, przybył do naszego miasta z obłokami brzozy wystraszony żołnierza i delinckim skywalem. Zapisany w Górnym piśmie 1919 r. żołnierzem przeprowadzającym dywersję polską z Turki do Wschodniej Małopolski, widział się



... (text continues in columns) ...

**Kasa chorych fortecą.  
Szczegóły ulicznych walk wirtokowych.**

„Ilustrowany Kurier Codzienny” z 10 listopada 1923 roku o wydarzeniach w Krakowie. Fot. Małopolska Biblioteka Cyfrowa

Cena numeru w Krakowie za prowincję **15.000 MK**

**ILUSTROWANY**

PREMIEROWA MIESIĘCZKA  
W Krakowie bez cła 300.000  
Na prowincji ... MK 400.000

# KURIER CODZIENNY

Rok XIV.                      Kraków, sobota 10 listopada 1923.                      Nr. 281.



Dnia 6-go listopada 1923 r. przy tłumieniu rozruchów zginęli następujący oficerowie i żołnierze bohaterskiego 8. pułku ułanów im. ks. Józefa Poniatowskiego, wstawionego w bojach o wolność Ojczyzny:

<p><b>Rotm. Lucyan Bochenek</b>  <b>Podpor. Miecz. Zagórowski</b>  <b>Kapral Józef Domoń</b>  <b>St. ułan Mikołaj Chodaczek</b>  <b>Uł. Teodor Antonow Łazowski</b>  <b>Uł. Józef Wierciński</b>  <b>i szofer z V. djonu samochodowego Teodor Łaptucha</b></p>	<p><b>Uł. Michał Korzeniowski</b>  <b>Uł. Stefan Dubanowski</b>  <b>Uł. Wasyl Piróg</b>  <b>Uł. Aleksy Kuźnik</b>  <b>Uł. Józef Moskwiał</b>  <b>Uł. Iwan Senedjak</b></p>
--	--

## NABOŻEŃSTWO ŻAŁOBNE

w obu obrządkach odbędzie się w piątek dnia 9-go listopada, w kościele garażonowym św. Piotra o godzinie 10-tej rano  
poczem nastąpi wyprowadzenie zwłok na miejsce wiecznego spoczynku.

Oficerowie i żołnierze 8 Pułku Ułanów im. ks. Józefa Poniatowskiego polegli podczas krwawych zamieszek w Krakowie, „Ilustrowany Kurier Codzienny” z 10 listopada 1923 roku. Fot. Małopolska Biblioteka Cyfrowa



*Jan Stańczyk (z lewej), jeden z oskarżonych w procesie sprawców tragedii w Krakowie. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Adwokat Teodor Duracz przed Sądem Okręgowym w Nowogródku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Stanisław Patek, adwokat, dyplomata oraz minister spraw zagranicznych.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*





*Redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” Stanisław Stroński. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



CZYSTY DOCHÓD PRZEZNACZONY NA WDOWY  
I SIEROTY PO POLEGŁYCH

N. I T. NOCZNICCY  
N. 524227.

# PRAWDA

O WYPADKACH KRAKOWSKICH  
W DNIU 6 LISTOPADA 1923 R.

*26. prorektor Karłowicz,*

MOWA POSŁA

DR. ZYGMUNTA MARKA

WYGŁOSZONA NA POSIEDZENIU  
SEJMU Z 16 LISTOPADA 1923 R.

*O tych wypadkach napisał ten  
artykuł p. t. „Bratobójcom”  
opublikowany w 47 N<sup>o</sup> „Wypuszczenia”  
w 1923 roku, Józef Nowicki;*

NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ RADY ROBOTNICZEJ  
DRUKARNIA LUDOWA W KRAKOWIE, DUNAJEWSKIEGO 5.

„Prawda o wypadkach krakowskich” wygłoszona w sejmie przez posła  
Zygmunta Marka. Fot. Biblioteka Narodowa



*Tadeusz Dołęga-Mostowicz, dziennikarz chadeckiej „Rzeczpospolitej”,  
lata 30. XX wieku. Fot. za: Józef Rurawski, Tadeusz Dołęga-Mostowicz,  
Warszawa 1987, Wikimedia Commons*



*Józef Piłsudski z Kasztanką. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Kongres Centrolewu w Krakowie. Przywódcy przemawiają pod pomnikiem Adama Mickiewicza, 29 czerwca 1930 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Felicjan Sławoj Składkowski. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Proces brzeski w Sądzie Okręgowym w pałacu Paca w Warszawie.  
W kularach sądowych stoją: oskarżeni Adam Pragier (1. od lewej)  
i Wincenty Witos (3. od lewej) oraz adwokat Aleksander Dębski  
(2. od lewej) i świadek obrony Józef Chaciński (4. od lewej).  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Wacław Kostek-Biernacki, rok 1911. Fot. Wikimedia Commons*



*Wacław Kostek-Biernacki, w 1930 roku komendant twierdzy brzeskiej, w latach 1932–1939 był wojewodą poleskim. Odpowiadał za nadzór nad miejscem odosobnienia w Berezie Kartuskiej. Stanisław Mackiewicz nazywał go „chorobliwym sadystą”. Na zdjęciu podczas jarmarku poleskiego, rok 1938. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Oskarżeni w procesie brzeskim: Kazimierz Bagiński, Wincenty Witos i Herman Lieberman (stoją od prawej) podczas przerwy w procesie.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



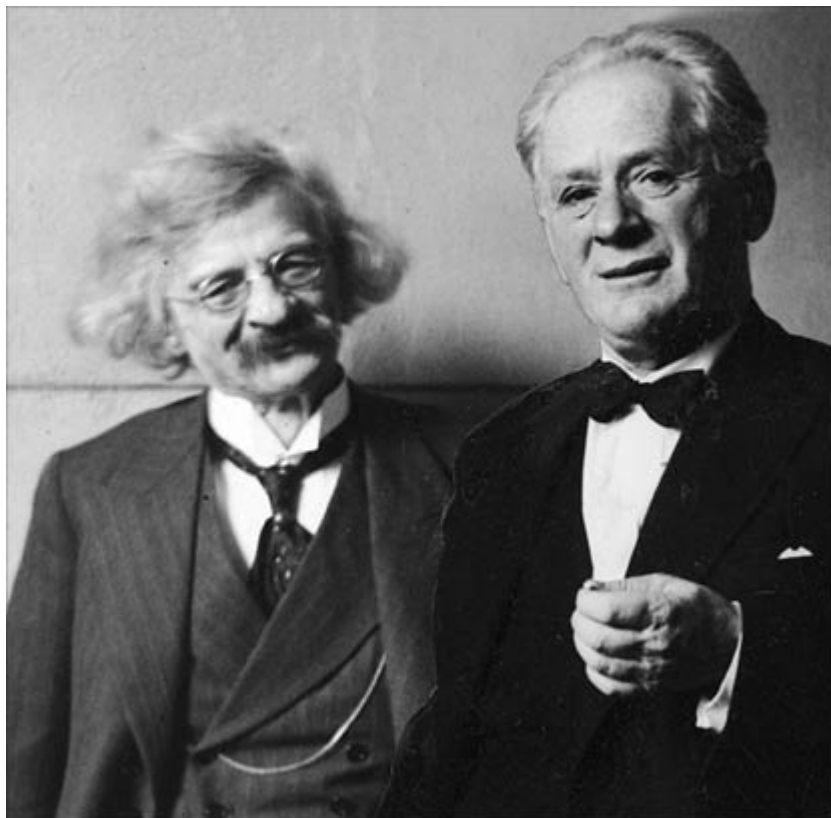
*Oskarżony Władysław Kiernik z rodziną przybywa na rozprawę w procesie brzeskim. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Adwokat Ludwik Honigwill w rozmowie z oskarżonymi: Józefem Putkiem, Kazimierzem Bagińskim, Norbertem Barlickim i Adolfem Sawickim podczas przerwy w procesie brzeskim. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Podczas procesu brzeskiego w kuluarach sądowych stoją, od lewej: oskarżony Kazimierz Bagiński, profesor Stanisław Kot, adwokat Mieczysław Jarosz, redaktor i wydawca „Dziennika Ludowego” we Lwowie Artur Hausner, generał Marian Kukiel i adwokat Stanisław Benkiel. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Oskarżony w procesie brzeskim Herman Lieberman (z prawej)  
w towarzystwie dziennikarza Jana Hieronimki w kuluarach sądowych.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*





*Przewodniczący składu sędziowskiego w procesie brzeskim sędzia Klemens Hermanowski w czasie rozprawy. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Oskarżony Wincenty Witos (z lewej) w towarzystwie swojego obrońcy Stanisława Szurleja. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Dziennikarze relacjonujący przebieg procesu brzeskiego w Sądzie Okręgowym w Warszawie przy ul. Miodowej 15, 26 października 1931–13 stycznia 1932 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Przyjęcie wydane na cześć oskarżonych w procesie brzeskim. Widoczni od prawej: Adam Ciołkosz, Józef Putek, Herman Lieberman, Wincenty Witos, Władysław Kiernik, Karol Popiel, Kazimierz Bagiński i Adam Pragier, dalszych osób nie rozpoznano.  
Na podium orkiestra, styczeń 1932 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



Nr. W.2333/33

Nr.S.O.VIII.LK.421/ 33

# List Gończy.

Prokurator przy Sądzie Okręgowym w Warszawie  
189 § 2 i 190  
w myśl art. ~~248~~ K.P.K., poszukuje zbiegłego Wincentego  
Witosa, syna Wojciecha i Katarzyny, lat 57,  
oskarżonego z art.97 w związku z art.95 K.K.  
rysopis zbiegłego: Wysoki, barczysty, duża twarz i głowa,  
grube rysy, brunet, uczesany z przedziałem na gładko, w  
sy lekko podkręcone do góry, twarz golona, rzucający się  
w oczy duży nos, mocne łuki brwi, nosi się z chłopską,  
chodzi w butach, bez krawata, barwa oczu ciemna, przy  
~~niektórych okazyjach~~ czytaniu nosi okulary, pali  
papierosy.

Ostatnie miejsce pobytu Gmina Wierzchosławice, pow.  
Tarnowski,

Osoby, którym wiadome jest miejsce zamieszkania zbiegłego,  
winny wskazać je Prokuratorowi przy Sądzie Okręgowym  
w Warszawie

Onia 22 grudnia 1933r.  
Prokurator  
Sekretarz

Prok. Wzór Nr. 46  
Druk. Dz. Pr. W. K. Warszawa Długa 52. 438-27.

List gończy wysłany 22 grudnia 1933 roku w poszukiwaniu Wincentego Witosa. Fot. Archiwum Akt Nowych



*Stragany na rynku w Myślenicach, rok 1936. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Grupa Żydów na ulicy w Myślenicach. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Rozruchy antyżydowskie w Myślenicach. Towary ze sklepów należących do Żydów miały być zwożone na rynek i niszczone. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



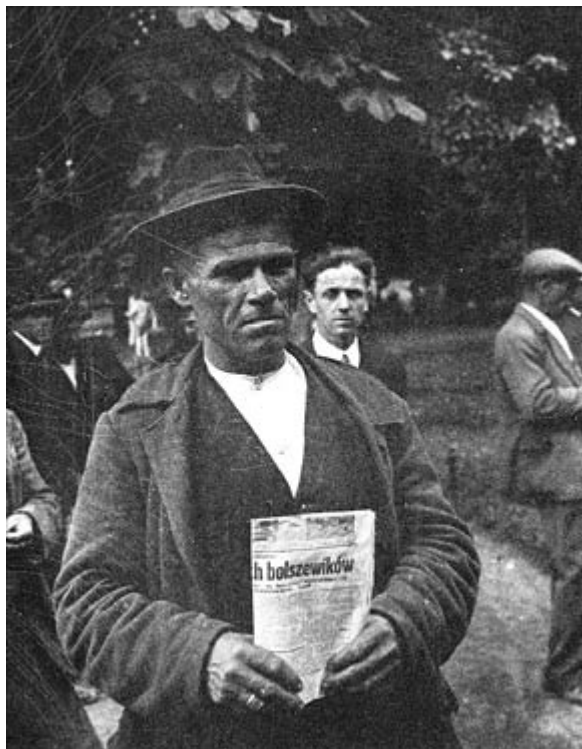
*Grupa oskarżonych, którzy pod wodzą Adama Doboszyńskiego zorganizowali pogrom Żydów w Myślenicach, tutaj na ławce w parku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Oskarżeni w procesie myślenickim, odpowiadający z wolnej stopy, w drodze do sądu. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Oskarżeni bojówkarze przed gmachem sądu. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Jeden z oskarżonych z gazetą w ręku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Sędziowie biorący udział w procesie przeciwko Adamowi Doboszyńskiemu. Widoczni m.in. Paweł Dysiewicz, Witold Frankel, Roman Michała, rok 1938. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*





*Prokuratorzy Olszewski i Olborek podczas procesu przeciwko Adamowi Doboszyńskiemu przed Sądem Przysięgłych we Lwowie, luty 1938 roku.  
Fot. L. Oberhard, Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Obrońcy oskarżonych w procesie przeciwko Adamowi Doboszyńskiemu przed Sądem Okręgowym w Krakowie. Widoczni m.in.: Bronisław Kuśnierz (1. z prawej), Adam Porowski (2. z prawej) oraz Oskar Stuhr.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Karol Przybylski, przewodniczący ławy przysięgłych w procesie przeciwko Adamowi Doboszyńskiemu przed Sądem Przysięgłych we Lwowie, luty 1938 roku. Fot. L. Oberhard, Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Starosta Antoni Basara (siedzi 2. z prawej) na uroczystości odznaczenia weterana powstania styczniowego Ludwika Nowakowskiego (siedzi pośrodku) Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta, rok 1938. Fot. E. Krysztoforski, Narodowe Archiwum Cyfrowe*



## CZUŁKI WROGA

**Coraz bliżej września 1939 roku. II Rzeczpospolitą penetrują wzdłuż i wszerz szpiegdy zwerbowani przez obu sąsiadów: Rzeszę i Związek Radziecki, którego władze nazywają Polskę „bękartem Wersalu”. Szczególnie aktywni są Niemcy; po wyjściu z kryzysu gospodarczego i objęciu władzy przez Hitlera szykują się do wojny. Mają swój przyczółek: Wolne Miasto Gdańsk i zdecydowanie więcej do zaoferowania zdrajcom z Polski.**

Wroga za zachodnią i wschodnią granicą Polski rozpracowuje II Oddział Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, zwany popularnie „Dwójką”. Jak twierdzi historyk Andrzej Pepłoński, skonfliktowane w obozie sanacji władze II RP, bagatelizowały zagrożenie wojenne. Po śmierci Józefa Piłsudskiego stworzona przez niego komórka wywiadowcza, która infiltrowała Niemcy, została praktycznie rozwiązana przez marszałka Rydza-Śmigłego. Centrala Oddziału II Sztabu Generalnego zachowywała się pasywnie wobec ponagających depesz kierowników placówek wywiadowczych w Niemczech o ustalenie zasad nawiązania łączności z agenturą na wypadek wojny. Aż do 1939 roku Polska widziała zagrożenie głównie na wschodzie.

Tymczasem 6 maja 1939 roku, dzień po słynnym wystąpieniu w sejmie ministra spraw zagranicznych Józefa Becka, który mówił, że Polska nie ulegnie niemieckim żądaniom dotyczącym gdańskiego korytarza (*My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest*

bezcenną. Tą rzeczą jest honor), głos zabrał gen. Bodenschatz, bliski współpracownik Hermana Goeringa.

*Polacy czują się pewni siebie, bo liczą na poparcie Francji i Anglii i na pomoc materiałową Rosji, ale mylą się. (...) Hitler nie myśli dziś o tym, by załatwić spór polsko-niemiecki bez Rosji. Były już trzy rozbiory Polski; zobaczycie czwarty!*

23 sierpnia 1939 roku podpisano w Moskwie słynny pakt Ribbentrop–Mołotow.

## Judaszowe srebrniki

### **9 oskarżonych, zarzut: szpiegostwo na rzecz Rosji**

Major WP Jan Haraszymowicz został podwójnym agentem w 1932 roku. Jak większość Polaków zwerbowanych przez wywiad niemiecki w czasie narastającego kryzysu ekonomicznego w Europie, połaskczył się na pieniądze. Oskarżony o defraudację w wojsku (pełnił funkcję płatnika w jednym z pułków w Poznaniu), sam zgłosił się do gdańskiej policji z propozycją udzielenia za 2400 złotych (przeciętna ówczesna płaca to 250 zł) informacji na temat swojej jednostki. Oferta nie została przyjęta od razu, kandydat musiał być sprawdzony. W międzyczasie wydalony z wojska Haraszymowicz otworzył w Warszawie warzywniak. Pod ten nowy adres otrzymał pewnego dnia wiadomość, że chętnie będzie widziany w szeregach Abwehry. „Ale nie mam na bilet do Gdańska” – odpowiedział. Zapewnili go – jeśli zdecyduje się na współpracę, zdejmą mu z głowy kłopoty finansowe.

Haraszymowicz działał pod pseudonimem „Hapke”. Był efektywnym naganiaczem kandydatów na szpiegów, typowanych wśród kolegów wojskowych. Nęcił ich wysokimi zarobkami. W ten sposób dogadał się z podpułkownikiem Horatschkiem z 7 Pułku

Strzelców Konnych z Poznania, którego osaczali wierzyciele. Niemcy zaproponowali pokrycie zobowiązań i dużą premię za szczegółowe informacje o jego jednostce. Horatschek podpisał zobowiązanie o współpracy i przyjął pseudonim „Kowalewski”.

Dyspozycyjność obu szpiegów przeszła oczekiwania niemieckich agentów. Na zlecenie Abwehry wykradli dokumenty Sztabu Generalnego przygotowywane na wypadek wojny z Niemcami. „Hapke” potrafił też zwerbować oficera Sztabu Generalnego, niejakiego Markowskiego, który zdradził dane o strukturze polskiej armii wraz z rejonami dyslokacji. Po wkroczeniu Niemców do Nadrenii w 1936 roku „Hapke” i Markowski poinformowali Abwehrę, że polskie plany mobilizacyjne nie uległy zmianie.

W 1938 roku „Hapke” został namierzony przez „Dwójkę” i oddany pod sąd. Otrzymał wysoki wyrok – 15 lat więzienia, ale wyszedł po roku, kiedy armia hitlerowska opanowała Polskę. W czasie okupacji nadal współpracował z Abwehrą, wydając na stracenie ludzi z podziemia. Zginął z rąk partyzantów.

W tym samym roku, kiedy zwerbowano majora Jana Haraszymowicza, gdańska Abwehra zyskała jeszcze jednego cennego konfidenta – porucznika Romana Wicherka. On również został wydalony z wojska za oszustwa finansowe i awanturniczy sposób bycia. Groził mu sąd, ale zdołał uciec do Wolnego Miasta Gdańska. Tam pierwsze kroki skierował do siedziby Abwehry i już na wejściu ujawnił nazwisko polskiego agenta w Berlinie. Nowi chlebodawcy zapewnili mu dobrą pracę tłumacza i lektora języka polskiego w gdańskim prezydium policji. Wicherek wciągnął do siatki szpiegowskiej żonę i córkę.

20-letnia Edyta Wicherkówna pojechała do Niepołomic koło Krakowa, aby pielęgnować swego dziadka złożonego chorobą. Niewiele jednak czasu spędzała przy łóżku starca. Dziewczyna zarywała noce na balowaniu w podwawelskim kasynie. Tam poznała większość dowódców 2 Dywizjonu Pociągów Pancernych. Umawiała się z nimi na randki. W sypialnianym zaciszu panowie pułkownicy okazywali się nieposkromionymi gadułami. Sprawozdania dla Niemców o zdobytych tajemnicach wojskowych panna wplatała

w treść listów do ojca. Jako królowa parkietu uwiodła nawet pewnego oficera, który okazał się agentem „Dwójki”. Wyznał jej miłość, a ona zaproponowała mu podjęcie pracy wywiadowczej na rzecz Abwehry.

Kontrwywiad przejmował jej korespondencję do Romana Wicherka na poczcie w Niepołomicach. Kiedy zgromadzono dostatecznie dużo dowodów na szpiegostwo, została aresztowana. Podczas przesłuchań bardzo obciążała ojca – prawdopodobnie chcąc go w ten sposób ukarać za opuszczenie matki.

Dzięki tym zeznaniom Romana Wicherka złapano podczas wykonywania zadań szpiegowskich w Gdyni. Na procesie głównym świadkiem oskarżenia była Edyta. Jej ojciec został skazany na 15 lat więzienia.

W galerii polskich szpiegów z okresu 20-lecia międzywojennego tylko nieliczni uniknęli sądu, niewykryci przez polskie służby specjalne. Takie szczęście miał niejaki Adamczyk, komendant posterunku żandarmerii w Tczewie. Jego wartość jako agenta wzrosła, gdy został przeniesiony do Inspektoratu Służby Granicznej w Poznaniu. Nie tylko dostarczał Niemcom cenne informacje wojskowe, ale i zwerbował kilku sierżantów. Jeden z nich podrobił klucz do sztabowej kasy pancерnej i sfotografował przechowywane tam tajne dokumenty. Fotokopie Adamczyk przekazywał Abwehrze.

Kiedy przeniesiono go do pracy w dowództwie Służby Granicznej, zdobywał dla Niemców informacje dotyczące polskiej agentury w przygranicznych rejonach niemieckich. Polskie służby specjalne nigdy nie trafiły na jego ślad. Dopiero po wojnie został ujęty i po udowodnieniu mu kolaboracji, również w czasie okupacji, skazany przez wojskowy sąd na rozstrzelanie.

Cennym kontaktem gdańskiej Abwehry, a konkretnie asa wywiadu podpułkownika Oskara Reile, był porucznik polskiej marynarki wojennej Waław Śniechowski. Służył najpierw na transportowcu „Willia”, który zaopatrywał jednostkę na Westerplatte, następnie na kontrtorpedowcach.

Do szpiegowania na rzecz III Rzeszy namówiła go Janina Festenburgowa, sekretarka biura Polskiej Macierzy w Gdańsku. Niezwykle operatywna, utworzyła całą siatkę szpiegowską. Wciągnęła do niej męża, urzędnika dyrekcji PKP, swoją matkę Annę Stockiewicz i siostrę Śniechowskiego Genowefę.

Porucznik był ważnym informatorem, bo znał uzbrojenie polskiej floty, układy minowe okrętów podwodnych, stan załóg i szyfry używane w marynarce wojennej. Wszystko to zdradził wrogim Polsce Niemcom, łącznie z systemem działania radiostacji na Oksywiu. Przekazał również nazwiska i charakterystyki dowódców okrętów podwodnych.

Wpadł po dwóch latach, gdyż kontrwywiad wytropił, że Festenburgowa spotyka się w kawiarni z oficerem niemieckiego wywiadu. Podejrzenia, że młoda, atrakcyjna kobieta jest szpiegiem III Rzeszy, zamieniły się w pewność, kiedy usiłowała zwerbować posterunkowego Witolda Jastrzębowskiego. Funkcjonariusz zameldował o tych zabiegach odpowiednim władzom. Agentka została zatrzymana, a podczas rewizji okazało się, że w pończosze miała ukryte tajne notatki. Została skazana na dożywocie. Cztery lata później, gdy na Polskę najechały hitlerowskie Niemcy, otworzyła się przed nią więzienna brama.

Porucznik Waław Śniechowski, aresztowany pod koniec 1934 roku, został w styczniu 1935 roku skazany przez sąd wojskowy na karę śmierci i stracony. Prasa warszawska i bydgoska zamieściły informacje o egzekucji tego szpiega. Sprawozdań z procesów szpiegów nie publikowano z zasady, bo rozprawy odbywały się z wyłączeniem jawności. Artykuły o surowych wyrokach, niekiedy opatrzone zdjęciem skazanego, zamieszczano natomiast na pierwszych stronach gazet – zapewne dla przestrogi.

Był też szpieg w spódnicy, Oskar Grot-Galewski, który w środowisku złotej młodzieży warszawskiej podawał się za hrabiego. Policja zainteresowała się nim, gdyż w nocnych lokalach, gdzie często balował, płacił dolarami lub guldenami gdańskimi. A uzależnione od narkotyków fordanserki przyznały w czasie przesłuchania, że kokainę mają od hrabiego.

Oskar Grot-Galewski został zatrzymany 25 kwietnia 1929 roku podczas przekraczania zielonej granicy między Polską a Wolnym Miastem Gdańskiem. Twierdził, że zablądził. Jak podaje „Kurier Czerwony”, w czasie rewizji pod podszewką płaszcza hrabiego znaleziono wojskowe plany i szkice. Ponieważ zatrzymany przestępca był bardzo niespokojny i drżał, kazano mu się rozebrać do naga – wtedy okazało się, że jest kobietą. Naprawdę nazywała się Sura Grunblat i pochodziła z Łodzi. Została oskarżona o szpiegostwo na rzecz Niemiec i handel kokainą. Jaki zapadł wyrok, trudno dziś dociekać, bo „Kurier Czerwony” już się tym tematem nie interesował.

Gazety rozpisywały się natomiast o procesie Stelli Filarowej z domu Cukierman. „Nowiny Codzienne” w artykule *Głośny proces szpiegowski pięknej Stelli i jej szajki* donosiły, że w październiku 1932 roku zatrzymano w Wolnym Mieście Gdańsku dziewięć osób podejrzanych o szpiegostwo na rzecz Niemców.

Dodatek do IKC „Tajny Detektyw” zamieścił fotografię 23-letniej Stelli obciętej na chłopczycę. Opisano jej luksusowe życie: pasierbica znanego bankiera Szai Sobola w wieku 19 lat wyszła za warszawskiego handlowca Leona Filara i szybko go porzuciła, aby swobodnie, za pieniądze ojczyma, spędzać noce w lokalach rozrywkowych. W dobranym towarzystwie dziewięciu osób – wśród których byli m.in. łódzki asesor sądowy i jego żona, nauczycielka w żydowskiej szkole w Wilnie oraz brat Teodozji Majewskiej, agentki wywiadu sowieckiego skazanej na dożywocie – wyjeżdżała imprezować do Gdańska. Tam poznała przystojnego Rosjanina, agenta. Zakochała się.

Cała dziewiątka została oskarżona o przekazywanie informacji Sowiecom. Stella wyszła z aresztu za kaucją 100 tysięcy zł. „Kurier Czerwony” napisał, że kilka godzin później świętowała szampanem odzyskanie wolności w modnej restauracji „Oaza”.

Proces przed Sądem Okręgowym w Warszawie rozpoczął się 8 listopada 1933 r. Reporter IKC odnotował, że Stella ubrana była skromnie, ale z „pewną wytwornością: czarna suknia z białym



kołnierzykiem, kapelusz z woalką”. „Kurier Białostocki” zauważył, że uśmiechała się nienaturalnie, a jej twarz zdradzała niepokój.

Rozprawa odbywała się przy zamkniętych drzwiach. Mimo zgromadzonych 7 tomów akt, dowodu rzeczowego w postaci maszyny do pisania marki Underwood i ekspertyzy fachowców „Dwójki”, większości oskarżonych, w tym Filarowej, nie udowodniono szpiegostwa. Jak opisywało „Echo”, w chwili ogłoszenia wyroku Stella Filarowa uśmiechała się promiennie. Trzy lata później popełniła samobójstwo, połykając truciznę. Dziennik „Dzień Dobry” podał jego przyczynę – zawód miłosny.

## Fałszywy baron, prawdziwy agent

**Oskarżony: mjr Jerzy Sosnowski,  
zarzut: szpiegostwo na rzecz Niemiec**

Jerzy Sosnowski, funkcjonariusz „Dwójki”, przyjechał w 1926 roku do Berlina, aby zorganizować głęboko zakonspirowaną polską placówkę wywiadowczą pod kryptonimem „In-3”. Przeszkolony w centrali, grał rolę polskiego barona o nazwisku Georg von Nałęcz-Sosnowski, który zmuszony był opuścić Polskę, gdyż nie zgadzał się z Piłsudskim. Pieniądze na utrzymanie miał mu przysyłać ojciec, właściciel dużego majątku ziemskiego. Były to spore koszty, bo kawalerzysta osiadł w stolicy Niemiec ze swoimi rasowymi wierzchowcami, dla których wynajął stajnię. Każdego ranka można było go zobaczyć na konnej przejażdżce w luksusowej dzielnicy Berlina Tiergarten. A poza tym szybko dał się poznać jako arbiter elegantiarum, lew salonowy, w czym niewątpliwie pomagała mu uroda i nienagane maniery. O jego wystawnych przyjęciach nazajutrz mówił nie tylko cały arystokratyczny Berlin, ale i agenturalne szefostwo w Warszawie. Upominano swego rezydenta,

że w czasach, gdy nazistowskie Niemcy głosiły: „armaty zamiast masła”, takie hulaszcze życie niepotrzebnie zwraca uwagę na Polaka. Wywiad lubi ciszę.

Georg von Nałęcz-Sosnowski odpowiadał, że jest to jego taktyka organizowania siatki szpiegowskiej. Ma zamiar wciągnąć do tej roboty inteligentne i wpływowe kobiety.

W kręgach berlińskich elit szybko się rozniosło: przystojny Polak przeżył krach małżeński i szukając pociechy, nie stroni od bywających na salonach dam. Pierwszą Niemką, która została kochanką Georga von Nałęcza-Sosnowskiego, była poznana na wyścigach konnych 28-letnia hrabina Benita von Falkenhayn, żona oficera kawalerii. Nieszczęśliwa w małżeństwie (jej mąż, z powodu wstrząsu mózgu po upadku na koniu, miał problemy psychiczne), chwaliła się przyjaciółkom związkiem z przystojnym baronem. Zaprezentowanie kochanką Irene von Jena zakończyło się... jego zdradą. Kiedy Sosnowski zorientował się, że panna pracuje w oddziale budżetowym Wehrmachtu i marzy o wystawnym życiu, co było nieosiągalne przy jej pensji, skusił ją perspektywą dodatkowego zarobku, jeśli dostarczy mu pewne tajne materiały. Zapewniał, że to nic złego i że Benita też z nim współpracuje.

I tak Irene von Jena została szpiegiem. W raportach Sosnowskiego miała kryptonim „Daktyl”. Następna uwiedziona to Renata von Natzmer, urzędniczka w oddziale kierującym pracami nad rozwojem broni pancernej niemieckiego Ministerstwa Wojny. Jej wartość dla „Dwójki” podnosił fakt, że była bratanicą zastępcy inspektora niemieckich wojsk samochodowych i mogła buszować w papierach wujka.

Sosnowski zdobył tę młodą kobietę, znudzoną w małżeństwie z podstarzałym dyplomatą, w ten sposób, że dał ogłoszenie do prasy: *Ujmujący, pełen erudycji cudzoziemiec pragnie zapoznać się z damą władającą francuskim, angielskim i innymi językami europejskimi w celu przyjemnego spędzania czasu...*

Na spotkanie z Renatą von Natzmer pojechał luksusowym lincolnem, zaproponował kolację w specjalnie wynajętym do tego

celu apartamencie przy Prinz-Albert-Strasse. Wkrótce potem zawiadomił centralę w Warszawie: nadarza się okazja zakupu niemieckiego planu agresywnej wojny z Polską. Dokument nazwał OK-Planem. Odpowiedź pułkownika Studnickiego po wstępnej analizie próbki dokumentów (weryfikacji było kilka, wszystkie pozytywne) brzmiała: negocjuj cenę, bo 40 tysięcy marek to za dużo.

Nieżyczliwi Sosnowskiemu pracownicy Centrali II Oddziału sugerowali szefowi w zaciszu gabinetu, że kolega w Berlinie chce zarobić, prawdopodobnie jest w zмовie z agentką dostarczającą lipny Plan i dlatego tak nalega na kupno. Te podszepty nabrały znaczenia, gdy pułkownik Studnicki zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach, a szef wydziału wywiadowczego podpułkownik Tatar zginął w wypadku samochodowym. („Ilustrowany Kurier Codzienny” w nr. 290 z 26 października 1930 roku sugerował nieszczęśliwy wypadek). Warszawa Planu nie wzięła.

Choć Sosnowski preferował w roli agentów kobiety – do dwóch pań dołączyła tancerka Maria Krause występująca pod pseudonimem Lea Niako – nie rezygnował z werbowania mężczyzn, jeśli tylko widział ich przydatność. W tym celu pozyskał rotmistrza Guntera Rudloffa, zastępcę kierownika Abwehrstelle Berlin. Rudloff był hazardzistą, wpadł w długi, stale poszukiwał pieniędzy. Na propozycje szpiegowania zgodził się łatwo, skuszony możliwością otrzymywania wekslowych pożyczek. Okazał się tak bardzo przydatny, że nawet informował Sosnowskiego o donosach do Abwehry na niego jako szpiega. Co więcej, gdy Rudloff miał sprawdzić owe anonimy, tak prowadził dochodzenie, aby oczyszczono „lwa salonowego” z podejrzeń.

„Dwójka” nie skąpiła Sosnowskiemu pieniędzy dla jego agentów, zwłaszcza że dostarczali Warszawie więcej informacji niż pozostałe referaty. To wywoływało zawiść w innych placówkach i rodziło podejrzenia: Polak został przewerbowany.

Pogłoski, że w Centrali coś się wokół niego dzieje, dotarły do Sosnowskiego na początku 1932 roku, kiedy to stanowisko kierownika referatu Zachód w Centrali objął nieżyczliwy berlińskiemu agentowi kapitan Siatkowski. Sosnowski obawiał się, że gdy

przyjedzie do Warszawy, mogą go aresztować pod byle jakim pretekstem.

Ale i w Berlinie grunt zaczął mu się palić pod nogami. Działo się tak za sprawą jego poprzednika w „In-3”, porucznika Gryfa Czajkowskiego, który okazał się podwójnym agentem.

Przez trzy lata kierował on berlińską placówką, ale bez sukcesów. Ponieważ nie potrafił zdobyć żadnych informacji wywiadowczych, zaproponował szefostwu Abwehry, aby przekazywali mu spreparowane materiały wojskowe, zwłaszcza dotyczące doświadczeń niemieckich z nowymi czołgami i bronią, a on będzie je wysyłał do Warszawy jako prawdziwe. Centrala szybko się zorientowała, że są to fałszywki, ale sądzono, że porucznik został celowo przez Niemców wprowadzony w błąd. Kiedy wysłani do Berlina zwiadowcy zobaczyli, że Czajkowski głównie wysiaduje w restauracjach przy kieliszku, został odwołany i usunięty ze służby. Kontrwywiad polski dalej go obserwował i już w Polsce złapał na gorącym uczynku podczas przekazywania materiałów szpiegowskich niemieckim agentom. Aresztowany zeznał, że również Sosnowski dostarczał Abwehrze mikrofilmy o stanie militarnym polskiego wojska. Wie to od Niemców.

Nie wiadomo, czy mu uwierzono, w każdym razie informacja została włożona do teczki Sosnowskiego. Tymczasem Sąd Okręgowy w Toruniu skazał Gryfa Czajkowskiego jako zdrajcę na karę śmierci. Wyrok wykonano.

A wokół majora Sosnowskiego gęstniała atmosfera niepewności i podejrzeń. Nie mógł liczyć na lojalność zakochanej w nim Lei. Wprawdzie zwierzyła mu się z propozycji wywiadu niemieckiego donoszenia na Polaka i zapewniła, że odmówiła, ale... Sosnowski był zbyt doświadczonym agentem, aby uwierzyć, że wszystko skończyło się na jednej rozmowie.

Nie mylił się. Rok później, gdy siedział w ławie oskarżonych berlińskiego sądu, dowiedział się, że Lea sama zaproponowała wywiadowi inwigilowanie swego kochanka. Była rozgoryczona, bo znalazła w jego biurku listy miłosne od Benity.

27 lutego 1934 roku, podczas przyjęcia wydanego przez Sosnowskiego, zjawilo się gestapo i na oczach gości aresztowało Polaka oraz jego trzy agentki. Renata von Natzmer od razu „wyśpiewała” wszystko.

Proces trwał sześć dni i zakończył się w 1935 roku skazaniem Sosnowskiego oraz Ireny von Jena na dożywotne więzienie. Renata von Natzmer i Benita von Falkenhayn otrzymały karę śmierci przez ścięcie toporem. Sosnowski chciał uratować Benitę, zawierając z nią ślub. Wówczas skazana, mając polskie obywatelstwo, nie mogłaby otrzymać kary śmierci. Hitler nie tylko odmówił, ale zażyczył sobie, aby egzekucja odbyła się na oczach Polaka.

Polski szpieg siedział w magdeburskim więzieniu, a w Polsce z inicjatywy Józefa Becka, ministra spraw zagranicznych, aresztowano znanych kontrwywiadowi agentów niemieckich. Były to przygotowania do ewentualnej wymiany szpiegów.

Inicjatywa ze strony niemieckiej pojawiła się rok później – wyszła od szefa Abwehry Wilhelma Canarisa, który zaproponował ambasadorowi polskiemu w Berlinie wymianę Jerzego Sosnowskiego na siedmiu szpiegów niemieckich.

Niemcom szczególnie zależało na uwolnieniu Elzy Teodory Ogórek, siostrzenicy kogoś ważnego w niemieckim wymiarze sprawiedliwości. Ta urodziwa młoda kobieta rodem ze Śląska z wielkim oddaniem służyła narodowym socjalistom w Rzeszy. Abwehra obarczyła ją zadaniem zwerbowania pewnego kapitana MSW.

Elza zatrudniła się w Warszawie jako praktykantka w zakładzie fotograficznym i niby dla wprawy bez przerwy wszystko fotografowała. Kiedy „przypadkowo” poznała namierzonego przez jej mocodawców kapitana, nawet w sytuacjach intymnych nie rozstawała się z leicą. Jej kochanek był zachwycony talentem oddanej mu fotografki. Urządził jej nawet ciemnię w swoim mieszkaniu. Do końca nie zorientował się, że Elza fotografuje tajne wojskowe dokumenty, m.in. wzory nowych granatów przeciwpancernych.

Agentka Ogórek została aresztowana w pociągu Warszawa–Katowice; szpiegowskie dowody znaleziono w jej walizce z podwójnym dnem. W ostatnim słowie podczas procesu oświadczyła, że niczego nie żałuje, bo pracowała na rzecz potężnej Rzeszy niemieckiej. Skazano ją na dożywocie.

W kwietniu 1936 roku piękna Elza została wymieniona w Zbąszyniu na majora Sosnowskiego.

Kiedy tylko służbowy samochód wjechał do Polski, Sosnowski, który zaledwie kilka dni wcześniej został awansowany na rotmistrza, zaczął podejrzewać, że brama do wolności wcale się przed nim nie otworzy. Niepokoilo go zachowanie towarzyszących mu oficerów, ich milczenie. Po przyjeździe do Warszawy nie miał już wątpliwości – nadal był więźniem, tylko teraz w rękach polskich służb. Zaprowadzono go do pokoju w Błękitnym Pałacu Zamoyskich – siedzibie kontrwywiadu; wartownik stanął przy drzwiach. Nie mógł się skontaktować nawet z rodzicami.

Nazajutrz zaczęły się przesłuchania. Prowadził je Adam Świtkowski, dopiero co awansowany szef referatu Zachód. Nigdy się nie lubili, co więcej, nie mieli do siebie zaufania. Jeszcze nie usłyszał zarzutów, a już było widoczne, że szukają dowodów jego winy. Znał te taktyki zmęczenia podejrzanego. Ledwo skończyło się maglowanie podczas przesłuchania, musiał usiąść przy stoliku, aby opisywać swoją działalność wywiadowczą w Niemczech. Codziennie, przez kilka tygodni. Tego żądał Stefan Maresch – szef kontrwywiadu. Skrajnie wykończony psychicznie Sosnowski napisał do zwierzchnika Świtkowskiego, że domaga się uczciwego dochodzenia. Bez odpowiedzi.

W nocy z 26 na 27 maja 1937 roku postanowił odebrać sobie życie. Odratowano go. Wkrótce usłyszał, że jest oskarżony o zdradę i współpracę z Abwehrą. Rok później zaczął się proces. Wśród 24 świadków nie było ani jednego z listy obrońcy. Widownię stanowili oficerowie Oddziału II SG. W charakterze eksperta wystąpił osobisty wróg oskarżonego Jerzy Niezbrzycki, kierownik referatu Wschód. Obie placówki wywiadowcze od dawna rywalizowały ze sobą, Zachód dzięki operatywności Sosnowskiego miał większe sukcesy.

Ale po śmierci pułkownika Studnickiego kapitan Niezbrzycki był faworytem szefa Sztabu Głównego. Powołano go na rzeczoznawcę w procesie, chociaż nie znał zagadnień niemieckich.

Akt oskarżenia Jerzego Sosnowskiego – podpisany przez wojskowego prokuratora okręgowego podpułkownika Tadeusza Porębskiego 8 stycznia 1938 roku – zawierał trzy zasadnicze punkty. Po pierwsze, zarzucono mu, że w latach 1926 i 1934 jako kierownik placówki wywiadowczej w Berlinie ujawnił Niemcom tajemnice państwowe dotyczące wojskowej obrony państwa, a w szczególności dane o polskiej służbie wywiadowczej na terenie Niemiec. Po drugie – złożył Centrali w Warszawie meldunki, z których wynikało, że w skład jego placówki wchodziły agentki Lotta Lemmel pseudonim „Marta”, Gizella von Melchius pseudo „v. ML” i Izabela von Tauscher pseudo „Nurek”, podczas gdy żadna z tych osób nie była na usługach wywiadu polskiego. Meldunkami tymi oskarżony utrzymywał władze polskie w błędnym przekonaniu, że zbudowana przez niego sieć wywiadowcza w Berlinie jest rozległa. A ponadto pozyskiwał w ten sposób fundusze na funkcjonowanie „In-3”, które i tak były duże, wynosiły około 2 milionów złotych.

I po trzecie wreszcie – w grudniu 1932 roku dostarczył zdjęcia rzekomo kompletu planów mobilizacyjnych armii niemieckiej, choć nie miały tego charakteru. Fałszywe były meldunki oskarżonego co do źródła, z którego pochodził plan i nieprawdziwy sposób przewiezienia materiału przez granicę Niemiec do Szwajcarii.

Były też zarzuty mniejszej wagi, jak choćby udawanie przez Sosnowskiego w Berlinie syna bogatego arystokraty.

Daremnie szukać w prasie choćby wzmianki o tej sprawie. Historycy, którzy kilkadziesiąt lat później pisali o dramatycznych losach najsłynniejszego agenta przedwojennej Polski, korzystali z Centralnych Archiwów – Wojskowego i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Przed sądem rotmistrz nie przyznał się do popełnienia zarzucanych mu czynów. Owszem, podał Centrali liczbę agentek większą niż w rzeczywistości, ale to dlatego, że potrzebował dodatkowych funduszy na funkcjonowanie placówki. Zarzut, że

udawał syna bogatego arystokraty to absurd, przecież przed wyjazdem do Berlina uzgadniał z ówczesnymi szefami Oddziału II, ppłk. Studnickim i Tatarą, swój kamuflaż.

Duże emocje na sali rozpraw wywołał ów niemiecki plan mobilizacyjny, tzw. Organisation-Kriegsspiel. Prokurator twierdził, że Niemcy dali Sosnowskiemu fałszywkę. Oskarżony zaprzeczał. Ale wielu argumentów majora nie można było sprawdzić, proces był poszlakowy. Prokurator zamiast dowodów przedstawiał swoje domniemania: twierdził, że w gruncie rzeczy linia obrony oskarżonego polega na wskazywaniu na szczególny zbieg okoliczności, co jest możliwe w jednym czy dwóch wypadkach, ale wykluczone w całym szeregu faktów. Dlatego winę Jerzego Sosnowskiego należy uznać za udowodnioną.

Z aresztu Sosnowski pisał w grypsie do ojca:

*Jestem zdrow, walczę jak mogę, by wykazać zbrodnie całej tej mafii. Wychodzą na jaw niespodziewane łajdactwa „dwójkowego” chlewu. Krzywoprzysięstwo jest u nich formą składania meldunków służbowych. Rzeczoznawcy używają wszelkich środków, byle mnie zdyskredytować. Moi koledzy włącznie z czterema generałami, którzy zeznawali, stoją za mną murem.*

Ale prośbę oskarżonego o umożliwienie mu zapoznania się ze swoimi aktami wojskowy sąd odrzucił.

Prokurator w mowie końcowej zażądał kary śmierci. 17 czerwca 1939 roku zapadł wyrok: 15 lat więzienia, pozbawienie praw obywatelskich na lat 10, objęcie dozorem policyjnym przez lat 5. Ponadto sąd nakazał zapłatę 200 tysięcy złotych grzywny, co ostatecznie zamieniono na więzienie w ten sposób, że jeden dzień równał się kwocie 100 złotych.

Skazany złożył apelację od wyroku do Sądu Najwyższego. Już na etapie weryfikacji akt odnaleziono w nich instrukcję „Dwójki”, z której wynikało, że kierownik berlińskiej placówki otrzymał zgodę na werbunek oficera Abwehry Rudloffa. Zatem Sosnowski postępował zgodnie z instrukcją, a nie samowolnie, jak mu zarzucano w trakcie rozprawy sądowej. Prokuratorowi wytknięto w Sądzie Najwyższym



niestaranność w badaniu dokumentów. Ale do rozprawy nie doszło, bo wybuchła wojna.

Ostateczny dowód na to, że Rudloff był zarejestrowanym agentem „Dwójki”, dostarczyła jego samobójcza śmierć w więziennej celi w 1941 roku (podciął sobie żyły). Aresztowany w Rzeszy pod zarzutem zdrady, postanowił uprzedzić wyrok, który mógł być tylko jeden – rozstrzelanie.

Ale Sosnowski był już wtedy daleko. Po wybuchu wojny wożono go z więzienia do więzienia coraz dalej na wschód. Po drodze prokurator zwalniał kolejnych skazanych, tylko nie jego. W Worochcie na Ukrainie tajne służby postawiły mu ultimatum: albo go zastrzelą, albo będzie współpracował z polskim wywiadem. Wybrał to drugie.

Zamieszkał we Lwowie jako Karski, znalazł tam pracę w stadninie koni, mówił wszystkim, że uciekł z Warszawy, aby nie trafić do niewoli niemieckiej.

Wedle planów polskiego wywiadu miał się zgłosić do jednego z szefów Armii Czerwonej i powołując się na doświadczenie działalności w strukturach „Dwójki”, zaproponować współpracę.

Nie zdążył, bo 2 listopada 1939 roku został aresztowany przez NKWD. Osadzono go na Łubiance, dostał do celi oficera wywiadu Piotra Zubowa. Tak przynajmniej wynika z opublikowanych w 1999 roku pamiętników generała Pawła Sudopłatowa, jednego z najwyższych funkcjonariuszy NKWD i KGB.

Prawdopodobnie Zubow zwerbował Sosnowskiego do współpracy. Ale rozmiękczeniem polskiego wywiadowcy zajmowała się uznana za asa wywiadu pułkownik Zofia Iwanowna Rybkina. Atrakcyjna, bywająca na salonach dama, w której kochało się kilku generałów, doceniła urok Sosnowskiego jako mężczyzny. W swoich wspomnieniach z przesłuchania Polaka tak go przedstawia: *Wysokiego wzrostu, sylwetka wysportowanego mężczyzny o światowych manierach. Nawet aresztancki ręcznik był z szykiem zawiązany na szyi (...). Wielki polski wywiadowca.*

Po podpisaniu układu Sikorski–Majski z 30 lipca 1941 roku (przywracał on stosunki dyplomatyczne między obu krajami) Polacy uwięzieni w Związku Sowieckim zostali objęci amnestią. Ale Sosnowskiego nie wypuszczono. Zaprotestował długotrwałą głodówką. Wyniszczyła jego organizm do tego stopnia, że w stanie skrajnego wyczerpania prawdopodobnie zmarł niespełna rok później, 26 maja 1942 roku. Poza pamiątkami generała Pawła Sudopłatowa, nie ma na to dowodu. Nie wiadomo, gdzie są prochy Polaka.

W III RP, za prezydentury Bronisława Komorowskiego, grono historyków wystąpiło do głowy państwa, aby zrehabilitować Jerzego Sosnowskiego. Odpowiedź była odmowna.

## Pozdrowienia od Czeki

**Oskarżeni: mjr Piotr Demkowski, rtm. Władysław Borakowski, Jan Bakowski, Teodozja Majewska;  
zarzut: szpiegostwo na rzecz państw ościennych**

20 maja 1931 roku wieczorem z bramy kamienicy przy ul. Poznańskiej 15 w Warszawie, gdzie mieści się poselstwo sowieckie, wyjeżdża z kierowcą pracownik tej placówki Griebianiszczukow. W tym momencie od krawężnika odrywa się stojący przy rowerze młody mężczyzna w jasnej wiatrówce i pedałuje za dyplomatycznym oplem. Obserwator „Dwójki” o ksywie Władek jedzie za nimi. W pewnej chwili samochód zatrzymuje się na skrzyżowaniu; rowerzysta porzuca swój pojazd i błyskawicznie wskakuje na tylne siedzenie. Opel długo jeździ po mieście, „Władek”

widzi przez szybę Griebianiszczykowa, jak żywo i czujnie (bo raz po raz ogląda się do tyłu) rozmawia z rowerzystą.

W takich to okolicznościach obserwator Oddziału II Sztabu Głównego WP wypatrzył agenta rosyjskich służb Piotra Demkowskiego, zasłużonego weterana wojny polsko-bolszewickiej.

Na trop zwerbowanego natrafiono podczas rutynowej obserwacji samochodów wyjeżdżających z siedziby poselstwa ZSRR. Akcja z przechwyceniem agenta była wręcz filmowa: Na którymś ze skrzyżowań auto umknęło obserwatorowi „Dwójki”. Ale znano już wygląd rowerzysty i gdy kilka dni później ten sam mężczyzna wsiadał do auta sowieckich dyplomatów (tym razem był w mundurze Wojska Polskiego), po godzinie jazdy został zatrzymany.

Był to major Piotr Demkowski. Na tylnym siedzeniu obok sowieckiego podpułkownika Bazylego Bogowoja, attaché wojskowego w Warszawie, leżała otwarta teczka z tajnymi dokumentami Sztabu Głównego Wojska Polskiego.

Demkowski przyznał się do szpiegostwa już na pierwszym przesłuchaniu. Jego współpraca z komunistycznym agentem trwała niespełna trzy miesiące. Tłumaczył, że został zwerbowany przez Bogowoja (którego wcześniej poznał na manewrach), kiedy poprosił go o pomoc w kwestii przyśpieszenia wyjazdu ojca z Rosji. Major nie ukrywał przed przesłuchującymi swoich sympatii politycznych.

*– Gdyby w Polsce wybuchła rewolucja komunistyczna, bezwzględnie znalazłbym się po tamtej stronie – powiedział. – Moje rodzeństwo, które przebywa na terenie ZSRR, myśli podobnie. Dlatego już podczas pierwszej rozmowy z Bogowojem zapytałem, co mam robić, aby zmazać dotychczasowe swoje grzechy w stosunku do bolszewików. Odpowiedział, że chciałby uzyskać pewne tajne materiały wojskowe. Uzgodniliśmy jakie, ja z góry zastrzegłem: nie wezmę za nie pieniędzy.*

Demkowski dostarczył sowieckim dyplomatom ponad 60 stron planu ochrony granic wschodnich. Następnie dane o organizacji dowództwa WP, raport dotyczący wyszkolenia wojska, a także spis akcji kontrwywiadu polskiego z roku 1929.

Proces w Wojskowym Sądzie Okręgowym w Warszawie trwał dwa dni i zakończył się wyrokiem śmierci. Prezydent nie skorzystał z prawa łaski. Major Demkowski został zastrzelony na Cytadeli w lipcu 1931 roku.

Rok później zdekspirowano jako szpiega kolegę Demkowskiego ze Sztabu Głównego – rotmistrza Władysława Borakowskiego, który równocześnie był tłumaczem w biurze studiów referatu Rosja Sowiecka Oddziału II. Herbowy ziemianin z kieleckiego miał bohaterską kartę z okresu wojny polsko-sowieckiej, za co został odznaczony Krzyżem Walecznych. Ale w czasach pokoju usiłował odbić sobie żołnierskie trudy i częściej można go było spotkać przy karcianym stoliku lub w nocnych restauracjach niż w koszarach.

W tym okresie wydział sowiecki do pozyskiwania oficerów ze Sztabu Głównego zwerbował Jana Bakowskiego, wcześniej członka Polskiej Organizacji Wojskowej.

Agent w poszukiwaniu potencjalnych współpracowników buszował w lokalach rozrywkowych stolicy. Siłą rzeczy musiał się natknąć na Borakowskiego. Zauważył, że rotmistrz gustuje w towarzystwie fordanserek, ale już przed północą ma pusty portfel. Płacił więc za niego rachunki, udając kolegę. Któregoś wieczoru przyprowadził do stolika fordanserkę Teodozję Majewską. Ładna, inteligentna i kochająca pieniądze panna była związana z nadzorującym ten werbunek agentem sowieckim, oficjalnie finansistą posługującym się nazwiskiem Ładnowski. Borakowski wkrótce pysznił się w sztabie Teodozją jako swoją kochanką.

Używali życia. W tygodniu – nocna, rozbawiona Warszawa, w soboty i niedziele Grand Hotel w Sopocie. Do nadmorskiego kasyna wybierali się zwykle w trójkę: Majewska, Ładnowski i Borakowski. Rotmistrz nie miał szczęścia w kartach, Ładnowski chętnie pożyczał mu pieniądze. Nadal karta nie szła. Znów poprosił biznesmena o pożyczkę. Za którymś razem usłyszał: tak, ale za pokwitowaniem. Podpisał, co trzeba i ponownie przegrał. Wtedy Ładnowski zaprosił go na obiad i przy deserze przedstawił się jako

jeden z kierowników międzynarodowego „Stowarzyszenia Walki z Bolszewizmem”. Widziałby Borakowskiego jako współpracownika. To nie będzie praca społeczna. Nie dokończył, kiedy usłyszał ochoczą deklarację.

Rotmistrz został osaczony podwójnie. Bakowski też żądał albo zwrotu pożyczonych pieniędzy, albo podpisania deklaracji o współpracy z agencją sowiecką. Borakowski podpisał.

Przechwycenie dobrze zakonspirowanych polskich agentów w Moskwie spowodowało, że kontrwywiad zaczął szukać zdrajców. 30 kwietnia 1932 roku cała trójka szpiegów znalazła się w areszcie. Borakowski dowiedział się, komu naprawdę służyli kobieta, która go uwiodła, i rzekomy biznesmen.

Proces był – jak zwykle w przypadku szpiegów – tajny, ale na ogłoszenie wyroku dostał się reporter bulwarowego miesięcznika „Tajny Detektyw”. Nie mając dostępu do akt, autor w swym artykule (nr 21 i 22 z 1932 roku) skupił się na oddaniu atmosfery na sali sądowej w chwili odczytywania wyroku – kary śmierci dla Borakowskiego i Bakowskiego, dożywocia dla Teodozji Majewskiej.

Prośba rotmistrza do prezydenta o ułaskawienie została uwzględniona o tyle, że uniknął śmierci przez powieszenie. Zginął od kul plutonu egzekucyjnego.

W tym samym magazynie zamieszczono opis egzekucji skazanych.

Reporter pisze tak, jakby tam był:

*Borakowskiego wprowadzono do oddzielnej celi, do której wszedł ksiądz. Po przyjęciu pociechy religijnej skazany w towarzystwie duchownego wsiada do karetki więziennej, która pod silną eskortą policyjną rusza na plac straceń. Tam oczekuje już pluton egzekucyjny z lekarzem i prokuratorem. Borakowski staje przed słupkiem, pod którym w ub. roku zginął szpieg major Demkowski. Obok wykopany grób, nad nim zbita z białych desek trumna. Skazaniec spogląda na miejsce, w którym niebawem znajdzie się jego ciało... Rozlega się komenda: „Prezentuj broń!”. Prokurator odczytuje wyrok, po czym zwraca się do oficera egzekucyjnego ze*

*słowami: „Proszę wykonać”. Zakładają szpiegowi na oczy przepaskę. Kiedy oficer unosi szablę, z luf błyska ogień. Osiem kul rzuca szpiega o ziemię. Lekarz stwierdza śmierć skazanego, na którą sobie dobrze zasłużył haniebną zdradą własnego państwa.*

Dwie godziny po wykonaniu tego wyroku do więzienia na Dzielnej przybył kat Maciejewski w towarzystwie pomocnika. O pierwszej trzydzieści w nocy drugi szpieg, Jan Bakowski, został doprowadzony do szopy na dziedzińcu więziennym, w której z sufitu zwisał gruby sznur. Dwa stołki zastępowały szafot.

Czekali już tam naczelnik więzienia, prokurator, ksiądz, lekarz i eskorta złożona z czterech strażników więziennych. Po odczytaniu wyroku i zawiadomieniu o odrzuceniu prośby o ulaskawienie do prezydenta, prokurator oddał skazańca w ręce kata... W chwilę potem lekarz protokolarnie stwierdził śmierć.

W więzieniu pozostała Teodozja Majewska, współpracowniczka straconych. Jak podawał „Tajny Detektyw”:

*Córka praczki z niewiadomego ojca, kobieta lekkiego prowadzenia. Mało inteligentna, pochodząca ze sfery niskiej, została usidlona przez wyrafinowanych szpiegów, którym pomagała w zbrodniczej robocie, wystawiając na usługi swoje ciało. Na wzór roli filmowej Marleny Dietrich występowała pod szyfrem X-27. Za urzeczywistnienie haniebnej roli na rzecz wrogów pokutować będzie przez całe życie.*

Dwa lata później w notce o Gorgonowej zamkniętej w Fordonie „Goniec Częstochowski” (z 14 marca 1935 roku) zamieścił też informację o Majewskiej, która odsiadywała tam wyrok w odosobnionej celi, bez możliwości rozmawiania z więźniarkami.

Było jeszcze wielu innych szpiegów służących Sowiecom. Do historii przeszedł Ignacy Dobrzyński – w Polsce kierował siatką wywiadowczą Polskiej Organizacji Wojskowej. W 1920 roku wysłano go do Moskwy – miał tam realizować misję szpiegowską. Został rozpoznany, osobiście przesłuchiwał go Feliks Dzierżyński. Obiecał mu, że jeśli wyda siatkę swoich agentów, w zamian dziesiątki

oficerów i członków POW przetrzymywanych w rosyjskich więzieniach odzyskują wolność. Dobrzyński uwierzył, zaczął pracować dla bolszewickiego kontrwywiadu, jako podwójny agent wysyłał do Polski fałszywe informacje na temat planów wojennych Rosji. Szef Czeki nie dotrzymał słowa. W 1937 roku, podczas „wielkich czystek”, Dobrzyńskiego spotkało to, co wielu innych Polaków, którzy pracowali dla sowieckiego wywiadu – został skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie.

Wywiad sowiecki przenikał też do zatrudnionych w wojsku kobiet. Radiotelegrafistka Maria Stefanowiczowa była szkolona przez Rosjan w obsłudze tajnie zainstalowanej radiostacji i posługiwaniu się szyframi. Kazano jej przenieść się do Lwowa, gdzie mieściły się większe garnizony wojskowe. Ponieważ mąż nie chciał przeprowadzki, wywiad sowiecki zażądał, aby stawiała się na rozmowę w Moskwie. Jeśli odmówi – zagrozili – o wszystkim dowiedzą się władze polskie. Pojechała do ZSRR i tam otrzymała kolejne zadanie – miała wskazywać osoby, które mogły zainteresować sowieckich agentów. A ponadto – zatrudnić się w wojsku w charakterze markietanki.

Zgodziła się na wszystko. Informacje, np. czy w rejonie powiatu kostopolskiego budowane są okopy – przesyłała w nocy pod kryptonimem „Marusia”. Kontrwywiad dowiedział się o niej w czasie przesłuchiwania dezertera armii sowieckiej. W lipcu 1936 roku pod pozorem inspekcji budowlanej z magistratu urządzono rewizję w mieszkaniu „Marusi” i znaleziono dwa urządzenia nadawczo-odbiorcze, baterie elektryczne, zapasowe lampy oraz aparat fotograficzny.

Maria Stefanowiczowa przyznała się do szpiegostwa na rzecz Związku Sowieckiego. Została skazana na 15 lat więzienia. Nie są znane jej dalsze losy, prasa na ten temat milczała. Nie można też znaleźć o niej informacji w obszernej naukowej pracy profesora Andrzeja Peplonia pt. *„Wywiad polski na ZSRR. 1921–1939”*. Wybuch II wojny światowej otworzył przed wieloma skazanymi szpiegami bramy więzienne.

## Bibliografia

„Dziennik Poznański” – wyd. z 17, 18, 19, 21 lipca 1931 r.

„Gazeta Lwowska” – wyd. z 21 lipca 1931 r.

„Gazeta Śledcza” – 1935–1936.

„Goniec Częstochowski” – wyd. z 14 marca 1935 r.

„Ilustrowany Kurier Codzienny” – wyd. z 26 października 1930 r.; z 1 i 21 lipca 1931 r.; 20 lipca 1932 r.; 8 listopada 1933 r.

„Kurier Białostocki” – wyd. z 8 listopada 1933 r.

„Kurier Czerwony” – wyd. z 10 listopada 1929 r.

„Kurier Warszawski” – wyd. z 12 lutego 1927 r.

„Mówią Wieki” – nr 11–12 z 1996 r.

„Nowiny Codzienne” – październik 1932 r.

„Tajny Detektyw” – wyd. z 14 maja 1932 r.; nr 21 i 22 z 1932 r.

H. Ćwiąg, *Rotmistrz Sosnowski*, Kraków 2010.

A. Krzak, *Kontrwywiad wojskowy II Rzeczypospolitej przeciwko radzieckim służbom specjalnym 1921–1939*, Toruń 2007.

P. Kołakowski, A. Krzak, *Sprawa majora Jerzego Sosnowskiego*, Warszawa 2015.

S. Milewski, *Ciemne sprawy międzywojnia*, Warszawa 2002.

A. Pepłoński, *Kontrwywiad II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2002.

A. Pepłoński, *Wywiad polski na ZSRR 1921–1939*, Warszawa 1996.

W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski 1864–1945*, Londyn 1983.

K. Śledziński, *W tajnej służbie. Wojna wywiadów II RP*, Kraków 2018.

Materiały w Centralnym Archiwum Wojskowym.





**MÓWI POLSKA...** Przez usta ministra Spraw Zagranicznych płk. Józefa Becka przemówiła w dniu 5 maja b. r. Polska, stwierdzając dobitnie przed światem, że pragnąc pokoju, całą jednak swoją siłą strażę będzie działa, jak zawsze, najdroższego skarbu każdego człowieka, narodu i państwa: HONORU.

*Słynne wystąpienie Józefa Becka w sejmie – 5 maja 1939 roku,  
„Światowid” z 14 maja 1939 roku. Fot. zbiory Biblioteki Jagiellońskiej*

# KREML CANOSSĄ HITLERA



Kreml, dawna twierdza cesarska, obecnie Stalin. Fot. Kozłowski.



Stalin może się śmiać, zasmiał bowiem Hitlera do przywrócenia sobie jego ideologii antykomunistycznej. K. Kozłowski - Berlin.

Z łaski pomógł mu tenary natrząsał twarz Hitler przed międzynarodowym konwentem. Oni stali na palcach balonów. Kozłowski - Paryż, Berlin.



Przedtem Hitler do siebie pozwolił oddać się grze wykładów Goebbelsa przed parlamentem niemieckim, a za sekwestracją komunistów. Nowak, Berlin.



W podziwieniu Hitlera podziwiano był Dymitrow, który dzięki temu został w więzieniu. Oni stali na palcach balonów. Kozłowski - Paryż, Berlin.



W najbliższym czasie zostaną wypracowane z wieloma przywódcami komunistów europejskich Kreml i Moskwa. Muszą oni stawić się poddani, nie mogą być przeciwnymi. Kozłowski - Paryż, Berlin.

Podobnie jak to się stało w sprawie Rosji, tak i Niemcy nie mogą być w pełni uwolnieni. Hitler przed głową komunistów, Stalin, nawet na Kremlu. Wszak Hitler wyjechał na wakacje i komunisty i do swojego domu zaczął komunisty. Oni stali na palcach balonów, a Hitler natrząsał twarz Hitlera przed międzynarodowym konwentem. Oni stali na palcach balonów. Kozłowski - Paryż, Berlin.

A przed tymże dniem Hitler przed międzynarodowym konwentem. Oni stali na palcach balonów, a Hitler natrząsał twarz Hitlera przed międzynarodowym konwentem. Oni stali na palcach balonów. Kozłowski - Paryż, Berlin.

Tak jest, Kreml stał się Canossą Hitlera, który w okolicy niemieckiego miasta przedłożył tylko swój własny program antykomunistyczny. A to właśnie ten program antykomunistyczny, który Hitler przed międzynarodowym konwentem. Oni stali na palcach balonów, a Hitler natrząsał twarz Hitlera przed międzynarodowym konwentem. Oni stali na palcach balonów. Kozłowski - Paryż, Berlin.

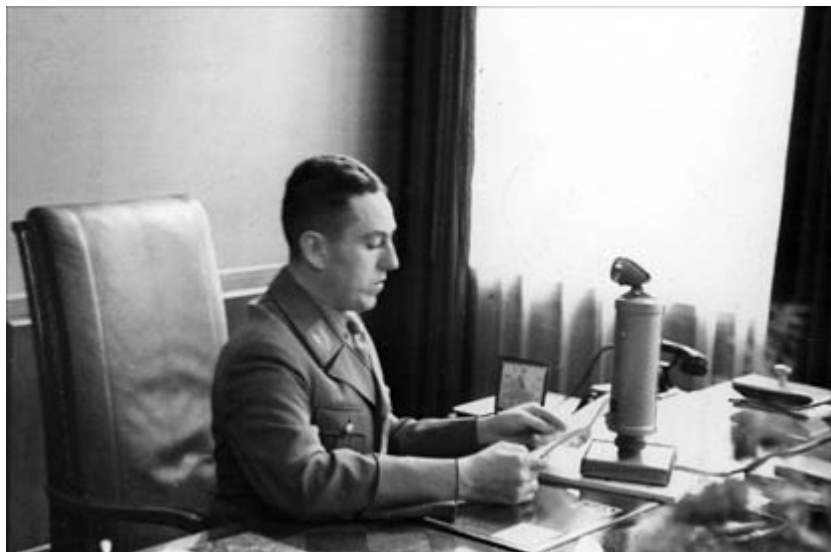
„Światowid” z 3 września 1939 roku. Fot. zbiory Biblioteki Jagiellońskiej



Po podpisaniu paktu o nieagresji między Sowietami a Niemcami – 23 sierpnia 1939 roku, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, 31 sierpnia 1939 roku. Fot. zbiory Małopolskiej Biblioteki Cyfrowej



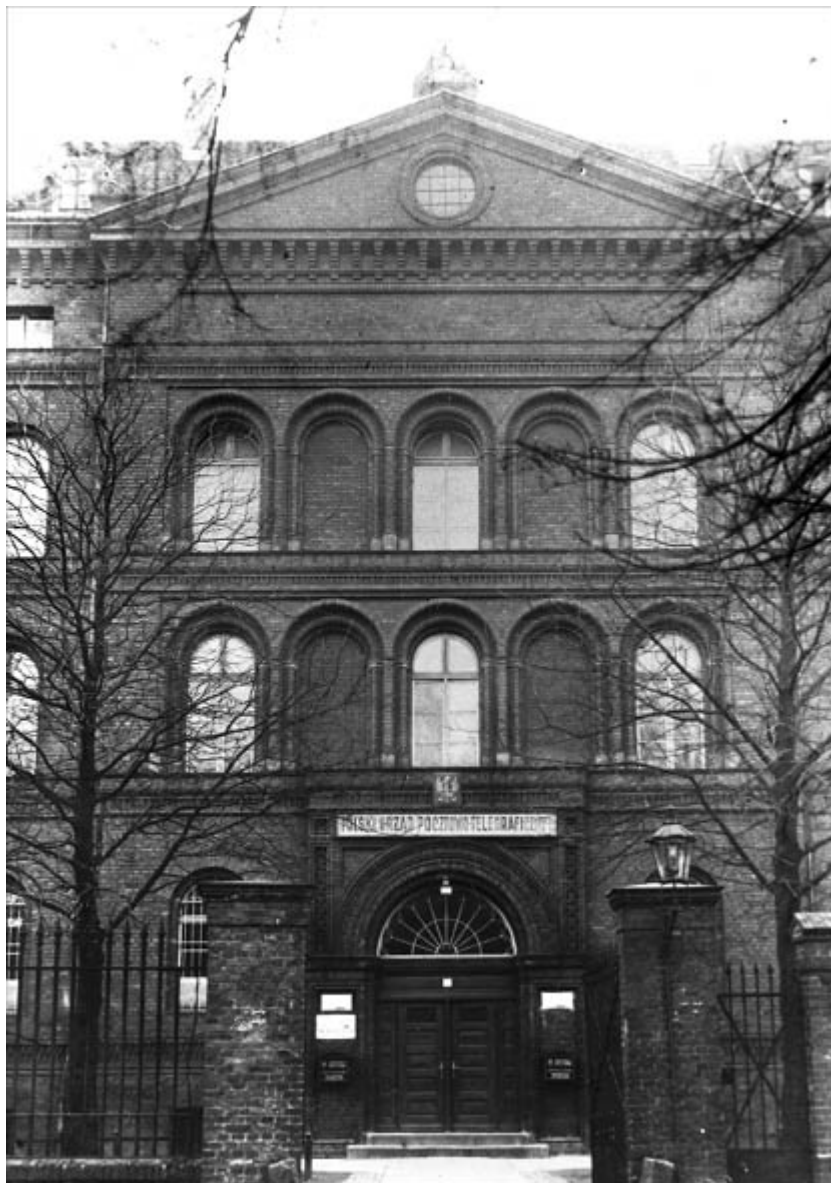
Antypolska manifestacja w Gdańsku. Gauleiter Wolnego Miasta Gdańska Albert Forster przemawia przed Dworem Artusa, sierpień 1939 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*Albert Forster odczytuje proklamację o przyłączeniu Gdańska do Rzeszy,  
1 września 1939 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Spichlerze na Wyspie Spichrzów w Wolnym Mieście Gdańsku, lata 30. XX wieku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Polski urząd pocztowo-telegraficzny – główna placówka Poczty Polskiej  
w Wolnym Mieście Gdańsku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Jerzy Sosnowski w mundurze austriackim w okresie I wojny światowej.  
Fot. Rafał Skrzypek, Wikimedia Commons, CC BY 3.0*



*Rotmistrz Jerzy Sosnowski około 1920 roku. Fot. Rafał Skrzypek,  
Wikimedia Commons, CC BY 3.0*

**Co dzień nicścis?**

**25** Sobota  
**Październik**

Wspomnienie 100-lecia urodzin M. Skłodowska-Curie

Godzina	Temat	Wykonawca	Przewodnik
8.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
9.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
10.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
11.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
12.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
13.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
14.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
15.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
16.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
17.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
18.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
19.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
20.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
21.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
22.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
23.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
24.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór
25.00	Msza św.	Chór parafialny	Chór

**W sprawie wysiłkowych 5-ziobliwych papirów**

Wspomnienie 100-lecia urodzin M. Skłodowska-Curie

**Śniegowce i kalosze**

**ZADARZE WIELKIE**  
**TYLKO Z PEPEGE**

**PEPEGE**

**Straszna katastrofa samochodowa pod Drobniem.**

**Płk. Tatar zabił, por. Zatrwałkowski ciężko ranny**



**Ożberg katastrofą.**

**Pastilles Valda**

**odczuwanie**

**przepryskanie**

**ODDYCHANIE.**

Informacja o śmierci płk. Tatar, „Ilustrowany Kurier Codzienny” z 26 października 1930 roku. Fot. zbiory Małopolskiej Biblioteki Cyfrowej







*Tancerka Lea Niako, jedna z agentek Sosnowskiego. Na zdjęciach z grupą łowiczanek w święto Bożego Ciała w Łowiczu, 15 czerwca 1933 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Lea Niako w tańcu wschodnim w warszawskim teatrze „Morskie Oko”,  
sierpień 1932 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*

23

KALENDARZYK CZYNNOSCI

wojskowego wiceprokuratora okręgowego, prowadzącego dochodzenia  
w sprawie karnej przeciwko mjr. S O S N O W S K I E M U Jerzemu.

9.X.1937 r.	<p>Konferencja u pana Szefa Departamentu Sprawiedliwości.</p> <p>Konferencja w Wojsk.Prok.Nr.I z przedstawicielami Oddziału II.</p> <p>Sprawdzanie przydziału służbowego podejrzanego w Biurze Pers.</p> <p>Zakomunikowanie podejrzanemu w lokalu Oddziału II o wdrożeniu przeciw niemu dochodzeń i sąsądzeniu przytrzymania.</p> <p>Przesłuchania podejrzanego w W.W.Sl.Nr.I.</p>
10-13.X.37 r.	Konferencja z przedstawicielem O.II., poza tym wobec braku jakiegokolwiek materiału, praca w Departamencie Sprawiedliwości.
14.X.37.	Studium protokołu przesłuchania podejrzanego przez O.II. z 11. X.37 i dni następnych 1937 r.
15.X.37.	Dalszy ciąg studium tego protokołu i przesłuchanie podejrzanego.
16.X.37.	Przesłuchanie podejrzanego i praca w Dep.Sprawiedl.
17.X.37.	Niedziela.
18-20.X.37.	Studium zeznań mjr. Sosnowskiego z r.1936 i porównywanie poszczególnych zeznań pomiędzy sobą.
21.X.37.	Przesłuchanie podejrzanego i praca w Departamencie
22.X.37 r.	Studium zeznań podejrzanego i praca w Departamencie.
23.X.37.	Studium nadesłanego przez Oddział II uzasadnienia doniesienia /I część/ oraz sprawdzanie na podstawie otrzymanych w Towarzystwie Zachęty do Hodowli Koni kalendarzy wyścigowych - danych dotyczących sum wygranych rzekomo przez podejrzanego.
24.X.37.	Niedziela.
25.-30.X.37.	Sprawdzanie w dalszym ciągu jak w dn.23.X.37. Dwie konferencje z przedstawicielem Oddz.II, oraz studium II-jej części nadesłanego uzasadnienia doniesienia.
31.X.-2.II.37 r.	Święta - czytanie i porównywanie poszczególnych zeznań, oraz uzasadnienia doniesienia.

*Kalendarzyk czynności prokuratora prowadzącego dochodzenie w sprawie karnej przeciwko mjr. Jerzemu Sosnowskiemu. Fot. Łukasz Katlewa, Wikimedia Commons, CC BY SA 4.0*





*Proces oskarżonych o działalność szpiegowską przed Sądem Okręgowym w Warszawie. Oskarżeni Teodozja Majewska, Andrzej Śliwniak (w środku) i Izrael Berkowski w drodze na rozprawę, listopad 1933 roku.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Andrzej Śliwniak (z gołą głową) i Włodzimierz Kuźnicki, oskarżeni o działalność szpiegowską, w eskorcie policji przed budynkiem Sądu Okręgowego w Warszawie, listopad 1933 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*Brama i most zwodzony do Cytadeli Warszawskiej, lata 20. XX wieku.  
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*

# Podziękowanie

Pragnę podziękować memu bratu Bogdanowi za duchowe wsparcie w chwilach zwątpienia podczas pisania tej książki. A także moim wspaniałym redaktorkom Urszuli Lewandowskiej i Marioli Hajnus, które nie tylko dbały o jak najlepszy merytoryczny obraz prezentowanych procesów, ale ponadto dodały kilka cennych pomysłów, wzbogacających treść tej książki.

Sport i Turystyka – MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz